

ODPOWIEDZI NA TRUDNE PYTANIA
DZISIEJSZEGO ŚWIATA
TOM VI



Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata

Tom szósty

Konwersatoria
w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie
poświęcone przesłaniu Ojca św. Jana Pawła II

Pod redakcją
Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło



Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin

Warszawa 2011

Wydawnictwo SWPR
Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin
ul. M. Grzegorzewskiej 10
02-778 Warszawa
tel.(22) 644 07 97
www.swpr.edu.pl

ZAPISU Z NAGRANIA DOKONALI:

Andrzej Skoczek, Łukasz Pilch, Bogumił Chlebny, Bogdan Motelski,
Agnieszka Nisztor, Łukasz Bujak, Ewa Smolska, Joanna Perkowska

OKŁADKA

Marek Angiel

Fotografie z beatyfikacji Jana Pawła II
wykonane przez Dariusza Kowalskiego

SKŁAD I ŁAMANIE, REDAKCJI TECHNICZNA

Joanna Łokietek

KOREKTA

Urszula Kossowska-Cezak

FOTOGRAFIE W TEKŚCIE

Waldemar Kompała, Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

DRUK

ELPIL Siedlce

Druk publikacji finansowany przez Jacka Waksmundzkiego

Wydanie I

ISBN 978-83-61140-26-9

SPIS TREŚCI

Przedmowa	7
<i>Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną – co to znaczy w moim życiu?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), ks. Eugeniusz Guździół, Radosław Pazura, Dorota Kaczmarowska	9
<i>Jakie są dla mnie granice kompromisu?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), Andrzej Mastalerz, Andrzej Filipiak, Jerzy Kijowski, Krzysztof Haman	51
<i>Co dla mnie znaczy przykazanie „Nie cudzołóż”?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), Sylwester Laskowski, Magda Korzekwa	89
<i>Czy potrafię śmiać się... również z siebie?</i> Ks. Piotr Hartkiewicz (prowadzący), Ks. Bogusław Kowalski, Katarzyna Łaniewska	121
<i>Jaki powinien być człowiek, którego nazywam swoim przyjacielem, i jakim ja sam jako jego przyjaciel?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), ks. Marek Dziewiecki, Maria Środoń, Mateusz Środoń, Paweł Zając	173
<i>Czy przeżyte cierpienie ubogaciło mnie wewnątrznie?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), Magdalena i Piotr Konczewscy, Krzysztof Ziemięc	211
<i>Czy doceniam otrzymane błogosławieństwo i czy nie skąpię go innym?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), o. Wojciech Jędrzejewski OP; Jan Szubski, Dorota Szubska, Zenon Kosicki	247
<i>Czy Dekalog stosuję w życiu w całości, czy wybiórczo?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), Adam Pietrzak, Irena i Jerzy Grzybowski	279



Przedmowa

Tom szósty zawiera, podobnie jak tomy poprzednie, teksty ośmiu Konwersatoriów (wraz z cytataми), które odbywają się regularnie, w odstępach comiesięcznych w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie, przez cały rok akademicki od października do maja, w każdą третią sobotę miesiąca.

Inspiracją spotkań było nauczanie Ojca świętego Jana Pawła II. Obecnie wiele tematów, które są poruszane na Konwersatoriach, wyszło już poza bezpośredni przekaz Jego nauczania, niemniej czujemy stale Jego opiekę i błogosławieństwo nad dziełem Jemu poświęconym.

Szósty tom „Odpowiedzi...” opiera się na osobistych świadectwach osób zapraszanych do panelu, jak i na wypowiedziach uczestników. Nowością w szóstym tomie są wypowiedzi osób uczestniczących również korespondencyjnie w Konwersatoriach. Jest to efekt związującej się z roku na rok liczby osób proszących o przesyłanie im na bieżąco tekstów kolejnych Konwersatoriów. Obecnie jest to już około pięciuset osób w kraju i zagranicą.

Trudno wyobrazić sobie Konwersatoria bez znakomitych wprowadzeń i podsumowań ks. Adama Zelgi. Jemu też zawdzięczamy kontakt z wielu wspaniałymi ludźmi, którzy godzą się uczestniczyć w naszych comiesięcznych spotkaniach. Prowadzenie jednego Konwersatorium zawdzięczamy ks. Piotrowi Hartkiewiczowi, którego znamy z poprzednich lat, a który obecnie przebywając za granicą (pracuje teraz w Belgii), w czasie urlopu zgodził się poprowadzić jedno spotkanie. Dziękujemy Mu za to.

Tom szósty, podobnie jak i tomy poprzednie, jest wspólnym dziełem dużej grupy osób, działających wyłącznie społecznie. Nie żałują oni swego czasu ani umiejętności i dzięki ich pracy co roku możemy wydawać kolejny tom „Odpowiedzi...”. Żmudne przepisywanie tekstu z nagrań zawdzięczamy w bieżącym roku ośmiu osobom: Andrzejowi Skoczkiowi, Łukaszowi Pilchowi, Bogumiłowi Chlebnemu, Bogdanowi Motelskiemu, Agnieszce Nisztor, Łukaszowi Bujakowi, Ewie Smolskiej i Joannie Perkowskiej. Korektę poszczególnych tekstów Konwersatoriów, jak i korektę już złożonej książki zawdzięczamy Urszuli Kosowskiej-Cezak, część fotografii w tekście wykonał nasz wierny przyjaciel – Waldemar Kompała. Okładka tomu szóstego została wykonana według projektu Marka Angiela. Wykorzystano tutaj fotografie wykonane i ofiarowane przez Dariusza Kowalskiego.

Publikację tomu, podobnie jak tomów poprzednich, zawdzięczamy wsparciu finansowemu Pana Jacka Waksmundzkiego. Dzięki Niemu książki mogą rozchodzić się szeroko i trafiać do osób, których nie stać na ich zakup.

Wszystkim wymienionym osobom składam w imieniu swoim i czytelników serdeczne Bóg zapłać.

Następny cykl spotkań zaczynamy 15 października 2011 r. o godz. 11.00 w budynku naszej Uczelni (Warszawa, Ursynów, ul. Grzegorzewskiej 10, wejście od ulicy Rosoła). Zapraszamy wszystkich zainteresowanych. Wstęp wolny. Wszystkie informacje dotyczące spotkań można znaleźć na stronie internetowej www.swpr.edu.pl

Wszystkie sześć tomów książki: „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata” można zamówić drogą internetową (swpr@swpr.edu.pl) lub nabyć w sekretariacie naszej Uczelni.

Elżbieta Mycielska-Dowgiatło

*Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną
– co to znaczy w moim życiu?*



Cytaty

Fragmenty z Ewangelii Świętego Mateusza

Nie gromadźcie sobie skarbów na Ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną. Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje (Mt 6, 19-21).

Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i Mamonie (Mt 6, 24).

Każdego zaś, kto tych słów moich słucha, a nie wypełnia ich, można porównać z człowiekiem nierozsądnym, który dom swój zbudował na piasku. Spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichry i rzuciły się na ten dom. I runął, a upadek jego był wielki (Mt 7,26-27)

Jak trudno jest bogatym wejść do królestwa Bożego. Jak trudno wejść do królestwa Bożego tym, którzy w dostatkach pokładają ufność. Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa Bożego (Mt 19, 23-24).

Ks. MARIUSZ POHL *Bogu czy Mamonie* (fragmenty)

Złoty bożek. Drugim, bardziej praktycznym sposobem urzeczywistnienia się tej pokusy jest bałwochwalstwo. Dokonuje się ono wtedy, gdy Boga zastępujemy bożkiem. Nie trzeba tego kojarzyć tylko z jakimiś pogańskimi kultami, choć, o zgrozo, coraz częściej słyhać w mediach doniesienia o odradzaniu się pogańskich religii, obrzędów, czci dawno zapomnianych bóstw. Najdziwniejsze sekty szerzą się jak grzyby po deszczu.

Jeśli wydaje się nam, że nas pogaństwo nie dotyczy, że przykładnie chodzimy do kościoła i na religię, to warto sprawdzić, czy nie ulegamy pogaństwu w szerszym sensie: pod płaszczykiem okultyzmu, astrologii, spirytyzmu, magii, wróżbiarstwa, medycyny alternatywnej, staje się dziś ono czymś bardzo modnym i szeroko reklamowanym. Horoskopy, amulety, bioenergoterapia sprzedają się wśród chrześcijan bardzo dobrze, a my zamiast ufać Bogu, kłaniamy się wytworom zwod-

niczej wyobraźni i ludzkich rąk. Pomyśleć, że dzieje się to wszystko w epoce rzekomego racjonalizmu i pragmatyzmu!

Jednak najbardziej ta druga pokusa zniewala nasze myślenie w dziedzinie codziennego zmagania się z życiem, pracą, ludźmi. Jak łatwo ulegamy tu przekonaniu, że w życiu wszystko zależy od pieniądza i sukces w pracy i w życiu towarzyskim, i szczęście, i zdrowie, i kariera, może nawet zbawienie też. Mit, że pieniądz jest najważniejszy, że potrafi zaradzić wszelkim życiowym problemom, rozwiązać wszelkie kłopoty i zapobiec nieszczęściom, jest zgubny w skutkach. Bo odwraca naszą uwagę od rzeczywistych rozwiązań i od obszarów życia, gdzie należy naprawdę skupić wysiłki i gdzie te wysiłki przyniosą realne owoce.

Perfidne kłamstwo. Druga pokusa jest największym kłamstwem szatana. Najpierw dlatego, że nie może nam on dać tego, co obiecuje. Owe wspaniałości i potęgę ziemskich bogactw, władza, blask sławy to tylko miraż, fatamorgana, obiecanki bez pokrycia. Poza tym, nie należy do niego, więc nie może nam tego dać. Ale cena zdrady Boga i swoich przekonań jest niewspółmierna, nieraz nawet okrutna. Bo szatan nie liczy się z człowiekiem, tylko z niego drwi.

KONWERSATORIUM XLI

(16 października 2011)

Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną – co to znaczy w moim życiu?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii pw. bł. Edmunda Bojanowskiego), ks. Eugeniusz Guździół (proboszcz parafii pod wezwaniem Matki Bożej Miłosiernej ze Swarzędza, jeden z czterech egzorcystów z diecezji poznańskiej), Radosław Pazura (aktor), Dorota Kaczmarowska (psycholog, pracownik domu pomocy dla osób niepełnosprawnych fizycznie w Lublinie, prowadzi poradnictwo *on line*).



Konwersatorium 16 października 2010 r. w auli SWPR.
Prowadzący: ks. Adam Zelga, ks. Eugeniusz Guździół,
Radosław Pazura i Dorota Kaczmarowska

Ks. Adam Zelga

Po śmierci Jana Pawła II przeszedł przez Polskę powiew, żeby coś zrobić z Jego dorobkiem. Jedną z takich inicjatyw sumienia jest nasze Konwersatorium. Ich nagrane i spisane teksty zawarte są w pięciu tomach „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata.” Dziś zaczynamy szósty cykl spotkań. To wspaniałe dzieło. Oby nie było tylko tak jak w pewnej anegdocie. Gdy znany włoski naukowiec przyszedł do Ojca Pio, przyniósł mu dwa opasłe dzieła, by się pochwalić. Wtedy zakonnik zdenerwował się, rzucił te książki na ziemię i powiedział: „I ty mi mówisz, że to jest dzieło twojego życia? Chodź do konfesjonału.”



Ks. Adam Zelga i ks. Eugeniusz Guździół

Pamiętam dzień 16 października 1978 roku. Siedziałem ze swoją miłą koleżanką Reginą i piłem herbatę w akademiku przy ul. Kickiego 12. Nagle ktoś zapukał i powiedział: „Wojtyła został papieżem”. Zostawiłem koleżankę i niedopitą herbatę i zbiegłem do klubu „Ubaw”, gdzie zebrał się tłumek studentów, którzy nie bardzo wiedzieli, jak reagować. Komentarze były zadziwiająco, zdumiewająco różne, ale w chwilę potem już jednoznacznie entuzjastyczne. Nawet z telewizji biła radość, mimo że spiker starał się zapanować nad emocjami. I tak rozpoczęła się ta wspaniała epopeja Wielkiego Pontyfikatu. Najprościej będzie, jak na początek zaśpiewamy „Barkę”.

(śpiew)

Demokracja ma w sobie misterium, tajemnicę, że ogromnie troszczy się o innego, o mniejszości, żeby je zauważać, żeby je dowartościować. Otóż nasze Konwersatorium wychodzi temu naprzeciw, ponieważ dzisiaj mamy zająć się, rozmawiać, zbliżyć sobie kogoś, kto jest inny. Ta fascynacja innym nas tutaj sprowadza. Ten inny to Bóg. Czy rzeczywiście dzisiejszy świat w swojej demokracji pragnie zajmować się tym Innym, wchodzić w Jego misterium, poznawać Jego tajemnice?

Wracam bezpośrednio z Częstochowy, po tygodniowych rekolleksjach ignacjańskich. Przez tydzień zajmowałem się Panem Bogiem i sobą w relacji do Niego. Wyniosłem z nich głębokie przekonanie – szkoda, że dowartościowując rozmaite mniejszości, wszystkich innych, demokracja zapomina o dowartościowaniu Tego, który jest Inny, najważniejszy, transcendentny, i że nie chce wchodzić w tajniki Jego misterium, Jego poznania. To, co było największym odkryciem podczas tego pobytu, to chyba coś, o czym wiedziałem, ale nie do końca sobie uświadamiałem. Mianowicie, że Bóg jest absolutną wolną wolą i z tej absolutnej wolnej woli wybrał, aby objawić siebie człowiekowi jako oszalały z miłości do niego. To zdanie mnie przejęło, przeniknęło i z nim wróciłem. Bóg, który oszalał z miłości do człowieka i mówi o sobie – Ja jestem Miłością, zobacz, jestem Miłością.

Bardzo serdecznie witam dzisiejszych panelistów i oddaję im głos.

Radosław Pazura

Zastanawiam się, jakim kluczem kieruje się Ksiądz Adam, że mnie wyznacza jako pierwszego. Jeśli tym, że jako aktor mam nie mieć tremy, to zaprzeczam. Trema zawsze towarzyszy aktorom. Ona jest niezbędna, aby dobrze funkcjonować w tym zawodzie. A w sytuacjach, w których mówimy o rzeczach najważniejszych, ona udziela się nam jeszcze bardziej. Skoro jednak taka jest wola prowadzącego, to tak musi być.

Zgodziłem się przyjść tutaj i wziąć udział w panelu Konwersatorium, bo wydaje mi się, że temat, którego będziemy próbowali dzisiaj dotknąć, jest najważniejszy w naszym życiu. Pana Boga powinniśmy czcić i być Mu posłuszni. Ważna, moim zdaniem, jest świadomość, którą nie wszyscy posiadamy, że Pan Bóg jest najważniejszy i nic, i nikt przed Nim nie może być ważniejsze.



Radosław Pazura

Świadomość, moim zdaniem, to jest to, co naprawdę myślimy i ona uwidacznia się w naszych czynkach. Niestety, z tym było na bakier w moim przypadku. Dopomógł mi w tym sam Bóg i jestem Mu za to wdzięczny. Zupełnie inna sprawa, czy to realizuję. Na tej płaszczyźnie nie jestem z siebie zadowolony. Natomiast towarzyszy mi cały czas świadomość, że muszę być czujny i muszę wiedzieć, jaka jest hierarchia wartości.

Kiedyś byłem u spowiedzi i akurat była duża kolejka do konfesjonału, a mnie się spieszyło. Wykorzystałem telefon zaufania i zadzwoniłem do znajomego zakonnika z prośbą, że mam potrzebę wyspowiadania się, a nie zdążyć. Czy mogę skorzystać, bo zawsze cierpliwie czekam w kolejce. Tym razem bardzo mi na tym zależało. I on mnie wysłuchał, wyspowiadał, a że był w trakcie lektury pewnej książki, zaproponował mi, abym i ja tę książkę przeczytał. Nie pamiętam tytułu – coś o grzesznikach, autorem był biskup Kiernikowski. Sens książki był taki, że w życiu człowieka nieraz tak jest, że aby obudziła się w nim świadomość i mogła rosnąć i żyć się, to musi zadziałać Pan Bóg. Musi nam sam pomóc. Nieraz pomaga brutalnie. Jest to taki cios, jak młotem w łeb, tak żeby ten ktoś mógł się otrząsnąć. Wydaje się, że takim właśnie działaniem

posłużył się Pan Bóg w stosunku do mnie. Tym momentem zwrotnym w moim życiu był poważny wypadek, któremu uległem siedem lat temu.

Jestem Bogu za to wdzięczny, chociaż na początku zupełnie tego nie rozumiałem. I rzeczywiście w moim życiu było to potrzebne, takie zupełne zaciemnienie, żeby mnie nie było przez jakiś czas, żeby ktoś jeszcze mógł zrobić jakąś „pracę” po to, żebym znów mógł być. Mówię „pracę” w cudzysłowie, bo tak naprawdę chodziło o modlitwę.

Teraz wiem z perspektywy czasu, że była to modlitwa. Wiem, że bardzo wielu ludzi się za mnie modliło. Zresztą Pan Bóg mi to pokazuje, bo spotykam ludzi, którzy najnormalniej w świecie mnie zaczepiają i mówią po prostu – modliłam/em się za Pana i odchodzą. Takich sygnałów mam bardzo dużo. Wiem też, że moja rodzina bardzo się modliła za mnie.

Mój wypadek był też punktem zwrotnym dla mojej żony, która bardzo mnie kochając, stanęła jakby pod murem. Nie było już dla niej innego kierunku, jak tylko w stronę Pana Boga. Gdy opowiada i opisuje, co się wtedy z nią działo, to wiem, że była to prawdziwa jej modlitwa. Musiała się przyznać przed Panem Bogiem, co myśmy zrobili. Wcześniej żyliśmy 14 lat w konkubinacie. Miłość między nami była, tylko nie miała dobrego podłoża. Dorota i ja jesteśmy katolikami i wcześniej byliśmy bardzo wierzący, ale to było powierzchowne. Ta baza była, tylko była uśpiona. Były podstawy, ale one się nie rozwijały i wiara w pewnym momencie w nas obumarła. Byliśmy jednak napełnieni miłością, której nie umieliśmy chyba osadzić, tak mi się wydaje. I ten moment był punktem zwrotnym, że musiało się zadziać coś takiego, że Dorota musiała wejść w modlitwę, a później ja. Jak opowiadała, była to nieprawdopodobna modlitwa. To był wrzask, pretensje, wszystko naraz, a potem spadek napięcia i dominujące przekonanie, że teraz wszystko od Ciebie, Panie Boże, zależy. Jeżeli mam żyć bez tego człowieka, którego kocham, to przyjmę Twoją wolę. Była to jakby puenta tego wszystkiego, tych pretensji i głośnej analizy całego życia, tego cośmy zrobili, dlaczego tak błędziliśmy. Setki pytań, dlaczego ulegaliśmy innym modelom życia, że nie myśleliśmy o rodzinie, o dzieciach. Cały czas miała pytania, co myśmy zrobili? Dlaczego tak się stało? I wciąż dlaczego, po setny raz, dlaczego? To był monolog,

wielki monolog do Pana Boga. Jak analizujemy to teraz, to był ważny moment, w którym żona moja pogodziła się z wolą Bożą. Jeżeli tak ma być, że mnie ma nie być, to prosi, aby Pan Bóg nauczył ją z tym żyć. Bo ona sama nie będzie tego umiała.

Po tej modlitwie zaczęły się dziać rzeczy, o których prowadząca pani doktor powiedziała: „Ja się na tym nie znam i nie potrafię wyjaśnić, jak to się dzieje”. Potem dodała „czasami tak się dzieje, że i medycyna nie potrafi tego wyjaśnić”.

Po wypadku miałem problem z płucami. Nie potrafiły podjąć samodzielnie pracy i byłem podłączony do respiratora. Jednego dnia prześwietlenie wykazywało, że jest bardzo źle, a następnego dnia, że jest super i można mnie budzić. Coś zadziało, lekarka nie wiedziała co, leki? Ona kierowała się medycznymi wskazaniem i doświadczeniem. Nigdy tak się nie dzieje, aby proces zdrowienia następował tak nagle, przełomowo. U mnie tak się stało.

Od tego się zaczęło. Później były tysiące sytuacji, w których uważaliśmy działanie Pana Boga i takie małe podpowiedzi, co mamy zrobić w swoim życiu, żeby się stawać dziećmi bożymi, prawdziwymi ludźmi. Takimi, którzy pracują nad sobą i są zwróceny ku Niemu.



Radosław Pazura i Dorota Kaczmarowska

Gdy przy udziale rodziny i żony powracałem do zdrowia, zaczynało się coś we mnie otwierać, coś, co pozwalało mi zacząć patrzeć inaczej na świat, poprzez pryzmat Pana Boga. Wielką pomoc miałem właśnie od Niego, co mogę powiedzieć z perspektywy czasu i konkretnych sytuacji. Spotykałem na swej drodze odpowiednie dla danej chwili osoby, wpadały mi w ręce takie, a nie inne książki. To było działanie Pana Boga. Ja to wiem i ja w to wierzę. On pomagał, ale równocześnie chciał, aby pracę wykonać samemu. Myślę, że o to chodzi w naszej wierze. Panu Bogu właśnie na tym zależy i dlatego jest przepelniony nieskończoną miłością i jest miłosierny. On pomaga nam, ale też czeka na to, żebyśmy sami docierali do przekonania, że On jest najważniejszy, że On nam daje potrzebne rzeczy, że On oczekuje tego, żebyśmy Jego poprosili, aby działał w naszym życiu. To wszystko jest też Bogu potrzebne i wiem, że zależy Mu na tym, żebyśmy sami pod Jego opieką i przy Jego pomocy do tego dochodzili, czyli *de facto* stawali się podobni do Niego. Na Jego wzór. Żebyśmy próbowali dążyć do doskonałości, być Nim, tak jak On był człowiekiem i przyszedł do nas. I żeby się nam to po prostu udawało. To powinno przechodzić przez nas.

Dlatego jestem tutaj, aby o tym powiedzieć. Mocno i otwarcie, pomimo tego, że mamy dużo przeszkód i są to realne przeszkody. Świat jest przepelniony złem. Jest nasze ciało, które nam często przeszkadza i jest szatan, który działa, pomimo że mamy świadomość, że Bóg jest najważniejszy. Możemy to wszystko pokonać, jeżeli oddamy się Jemu, jeżeli będziemy postępować tak, jaka jest Jego wola. Moim zdaniem, zadaniem naszego życia jest nauczyć się odczytywać wolę Boga. To zadanie cały czas jest dla mnie karkołomne i trudne, ale mam wrażenie, że coraz częściej odczytuję to, co On by chciał. Często się mylę, ale staram się pracować i zgłębiać siebie, prawdziwego, takiego, jakiego stworzył mnie Pan Bóg, poprzez to, że uczestniczę w życiu Kościoła, że staram się żyć liturgią, że staram się cały czas żyć w czystości, jakkolwiek bym ją rozumiał i cały czas zadawać sobie pytania, co to jest dążenie do świętości, co to jest grzech i co można nazwać grzechem?

Mam różne wątpliwości, pytam się, wyjaśniam. Robię tę pracę, żeby się Jemu podobać. Wiem, że nie jestem jeszcze w tym dobry, ale wciąż dążę. Bóg wie, że mam świadomość, że to jest najważniejsze. Nawet jeśli upadam, a upadam cały czas w większych i mniej-

szych rzeczach, to nie poddaję się. Tę świadomość już mam. I to jest sens naszej wiary, żeby się nie poddawać, nawet gdy upadamy, gdy coś nas załamuje – nie poddawać się. Ciągłe to analizować, ciągle to zgłębiać. I abstrahuję tu od cierpień fizycznych, choć to też się tego tyczy, ale ogólnie tyczy się to naszej słabości, bo jesteśmy słabi. Tak mi się wydaje, że najważniejsze w naszym życiu jest, aby się nie poddawać. Mamy piękne pomoce od Pana Boga. Mam na myśli życie Kościoła i Sakramenty, wspaniałe Sakramenty Święte, które nam pomagają. Sakrament pokuty i pojednania. Od nich zaczęła się moja przemiana. Dzięki nim się nawróciłem. Byłem kiedyś grzesznym człowiekiem, a teraz czuję się mniej grzesznym. Równocześnie zdaję sobie sprawę, że to nie jest tak, że się nawróciłem, dziękuję bardzo i do widzenia. Wiem, że ten proces trwa i będzie trwał do końca życia.

Wierzę, że Pan Bóg jest tak miłosierny i tak nieskończenie cierpliwy, że spokojnie na mnie poczeka i będzie dawał mi sygnały. Nieraz ich doświadczam w swoim życiu. Czasem czuję, że wszystko jest O.K. i trzeba iść tak dalej. Mam czasem wrażenie, że Bóg coraz więcej od nas wymaga i stawia coraz wyżej poprzeczkę, a mnie to często nie po drodze, bo mam w sobie takiego lenia. Mam spotkanie, na które trzeba jechać, a ja zaraz znajduję dla siebie wytłumaczenie, że w tym czasie mogę to i tamto zrobić. Staram się jednak przełamać i mimo że nie mam ochoty, pojechać. I często tak jest. Gdy jestem jednak czegoś pewien, to odmawiam, bo wydaje mi się, że w danym momencie życie rodzinne jest ważniejsze. Oczywiście mogę się mylić, ale podejmuję to mocno i świadomie. Te wybory stale nas czekają. Później w perspektywie czasu okazuje się, że nie zawsze są one słuszne. Piękne w naszej wierze jest to, że mogę się do tego przyznać, wyznać głośno, że mogę skorzystać z sakramentu pokuty i pojednania, pójść do spowiedzi i po prostu to wyznać i dostać rozgrzeszenie.

Zastanawiałem się, co to znaczy w naszym życiu – nie będziesz miał cudzych bogów przede mną. To jest sprawa bardzo prosta, a zarazem skomplikowana. Prosta, bo jeżeli wierzę w Boga jedyne, trójosobowego, czyli w Boga Ojca, Syna i Ducha świętego, to znaczy, że wierzę w Boga i to jest proste. I jeżeli są jacyś inni bogowie, to po prostu w nich wierzyć nie mogę i nie mogę im służyć. Wydaje się to bardzo proste, ale trudne czasem do zrealizowania. Niełatwe w życiu

codziennym. Bo ci inni bogowie ukrywają się w świecie, w różnych naukach, poglądach, trendach itd. Sam jeszcze tego tak mocno nie zgłębiłem. Natomiast wiem, że działanie szatana bardzo pomaga temu złu się rozprzestrzeniać i kłaniać się temu, co wydaje się nam ważne, a więc wydaje się, że jest bogiem. Stąd bałwochwalstwo. Zaczyna się od tego, że kłaniamy się naszym słabościom. Święty Paweł mówił, że chciwość jest bałwochwalstwem, bo jak czegoś pragniemy i do tego dążymy, to poddajemy się temu bóstwu i wszystkie nasze działania są temu oddane.

W naszym zawodzie czymś takim może być kariera. Czymś, co obserwujemy i co mnie teraz przeraża. Kiedyś podchodziłem do tego zupełnie inaczej. Przed wypadkiem było oczywiste, że udzielam się w gazetach, bo tak trzeba, to daje napęd w karierze, daje dobry start itp. Wchodziło się w różne układy, gorsze lub lepsze, i niestety tak było, że poddawałem się temu działaniu. Dochodziło do tego, że nie byłem sobą, nie byłem prawdziwy, tylko udawałem kogoś innego po to, aby zdobyć kolejne piętra kariery. Zapanowała we mnie pycha i chciwość. Był to straszny napęd i chcenie oraz przekonanie, że wszystko musi mi się udać. Było to tak silne, tak mocne, że zwyciężyło, było górą. I to było bałwochwalstwo w moim wykonaniu. Bo temu pragnieniu się kłaniałem, uważałem, że tak trzeba, że tędy droga. Problem wiary w Boga został odsunięty na plan dalszy.

Jestem znany, może poprzez tę moją złą drogę. Gdy już po wypadku zgłaszały się do mnie gazety, te same, w których wcześniej udzielałem wywiadów, i pytały, czy możemy porozmawiać, zadawałem wtedy pytanie, o czym będziemy rozmawiać? Tak w ogóle o życiu. No tak, ale musi być jakiś temat, jakaś myśl przewodnia – wtedy nikt nie umiał nazwać o czym. Chciano porozmawiać o wszystkim i o niczym. Przeważnie wywiady właśnie takie są. Mówiłem: jeśli ktoś wymyśli temat i ja go zaakceptuję, to udzielę wywiadu. Ale telefonów ubywało. I po dwóch, trzech latach nikt już z tych gazet nie dzwonił. Jedyne propozycje, jakie teraz mam, to są z gazet katolickich. Od czasu do czasu się zdarzy, że ktoś zadzwoni i na jakiś temat uda mu się przeprowadzić ze mną wywiad, ale generalnie nie są to tematy ciekawe dla gazet typu tabloidów i takich, których tytułów nie będę wymieniał. One generalnie kłaniają się niższym rzeczom, czyli tym, które

pochodzą od zła, moim zdaniem. A więc kłaniają się jakiemuś bożkowi, który nad tym panuje, choć robią to prawdopodobnie nieświadomie.

Na tym polega praca nad sobą i nad zgłębianiem naszej wiary w Boga, aby odpowiedzieć sobie na pytania, co w naszym życiu jest najważniejsze. Czym powinniśmy się kierować? A punktem odniesienia, sednem sprawy, najważniejszą z najważniejszych rzeczy jest to, w jakiej sprawie się dzisiaj spotykamy. Bóg jest najważniejszy, a później ważne jest, abyśmy się miłowali i tak naprawdę to wystarcza. Cała reszta jest pochodną tego. On nam wyznaczył, co powinniśmy robić, a czego się wystrzegać. On też dostarcza nam różnorakiej pomocy, ale tak jesteśmy skonstruowani, że nie chcemy z tej pomocy korzystać. Sam mam z tym problem, choć modłę się i proszę, a mam czasem wrażenie, że nie otrzymuję odpowiedzi. Jednak wierzę, że mamy całe życie przed sobą i wielką chęć zmierzenia się z tym i zgłębnienia, co w naszym życiu jest złe, a co dobre i czego Pan Bóg od nas oczekuje i jaka jest Jego wola w stosunku do nas. I to jest nasze główne zadanie i tym powinniśmy się kierować.

Dorota Kaczmarowska

Jestem psychologiem i chciałabym podzielić się z Państwem moimi doświadczeniami w pracy psychologa. Oprócz pracy z osobami niepełnosprawnymi fizycznie, jeszcze wcześniej pracowałam w szpitalach psychiatrycznych i w poradni. Spróbuję tylko jeden wątek poruszyć, który jest podłożem wszystkich problemów – to jest lęk.

Jeżeli na naszym spotkaniu będziemy mówić o tym, że „nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”, to można potraktować dla celów naszej dyskusji lęk jako swoistego bożka. Spodobała mi się wypowiedź Pana Radka Pazury, że kłaniamy się swoim słabościom. Bożek kojarzy się nam z kimś bardzo silnym albo z kimś, kto nas bardziej fascynuje niż nasz Bóg. Moje skojarzenia odnoszą się do wyobrażeń ze Starego Testamentu, że bożek to jest coś, co sobie tworzyli, lepili Izraelici, żeby im było lżej, np. na pustyni.

Z emocjami sprawa jest nieco gorsza. Moje doświadczenie jest takie, że to nie jest tak, że pacjenci lub osoby, z którymi rozmawiam przez maile, wybrały lęk lub inne emocje jako swojego bożka.



Dorota Kaczmarowska

To idzie głębszym przekazem; bardziej w stronę nieświadomą, tak że oni są uwiedzeni przez tego bożka, przez własne emocje. Bo to wygląda tak, że niby dobrego marketingu lęk nie ma, gdyż raczej kojarzy się ze słabością, z czymś, co odrzucamy, ale jedną rzeczą kusi i to bardzo skutecznie, zwłaszcza osoby, które mają problemy osobowościowe i nerwicowe: „Jak mnie posłuchasz, jak pójdziesz za mną, to będziesz miał z głowy wszystkie problemy.”

Objawy, które mają pacjenci, zatrzymują ich w życiu. Na początku jest bardzo duża ulga u pacjentów, gdy idą za objawami; zaraz podam parę przykładów. To tak trochę powoduje znieczulenie bólu – taki swoisty „haj”. Dlatego tak trudno jest zmobilizować pacjenta, aby coś zaczął z sobą robić. Jeżeli natomiast posłucha się tego bożka i człowiek wycofuje się z życia, to później konsekwencje są momentami rzeczywiście przerażające, bo ten bożek tylko na zewnątrz jest taki miły. Myślę sobie, że tak niszczy dlatego, że ma nie tylko wielkie oczy. On jest cały wielki. Taki silny i ma też wiele twarzy. Dlatego bije na głowę wszystkie bóstwa, że dosyć trudno go zdiagnozować. Ludzie przychodzą najczęściej z problemem nie wprost ze swojego życia, że gdzieś zagubili Pana Boga, tylko skarżą się, że albo ich głowa boli, albo brzuch boli, albo się czegoś boją i nie wiedzą, czego się boją, albo się jękają, albo im się żyć nie chce, albo wszystko jest dobrze, ale nie wiedzą, dlaczego się boją. A więc za każdym razem, gdy rozmawiam lub słucham tych ludzi, to do-

stają całe spektrum najróżniejszych opowieści i objawów. Natomiast u podłoża leży lęk i bardzo trudno jest się z tym lękiem później zmierzyć.

Dlatego uważam, że jest on taki groźny. Też uważam, jak wiele osób, że za wszystkimi bożkami stoi po prostu diabeł, najzwyczajniej w świecie, bo on jest ojcem kłamstwa, a bożek kłamie. Kłamie, bo nie da nam tego, co obiecuje. Obiecuje nam spokój i wolność. Wolność od trosk. A kwintesencją, np. nerwicy, jest to, że są to ludzie zniewoleni lękiem i w kółko się kręcą wokół tych samych problemów. Powtarzają to samo dziesiątki razy. Wyraźnie widać zniewolenie. Szczególnie dramatycznie widać to przy nerwicy natręctw. Na przykład, natrętne mycie rąk. Rytuał. Czyli potrzeba kontroli nad własnym życiem. W tych objawach widać wyraźnie, jak człowiek oddaje kontrolę lękowi, a ulgi nie ma. Myślę też, że skoro ma to być perspektywa religijna, można by się było odnieść do Prawd Bożych.

Może najpierw powiem tak: Wiara, Nadzieja, Miłość. To nas kierunkuje. To lęk odbiera najpierw Wiarę, że może mi się powieść w życiu, że może być dobrze. Nie mam wiary, to gdzieś mam ten nastrój obniżony. Na początku sobie odpoczywam, bo siedzę w domu, bo nie wychodzę i jest fajnie. Potem przestaje być fajnie.

W drugiej kolejności zabiera Nadzieję. Bo jedną z najgorszych rzeczy, które najwyraźniej widać u wszystkich ludzi, z którymi rozmawiałam, jest to, że jak się ich zapyta, dlaczego wcześniej się nie zjawili, kiedy objawy nie były tak zaawansowane, nie potrafiały odpowiedzieć, tylko robią miny albo bąkają pod nosem „no, jakoś tak...”. Okazuje się, że spowodował to lęk, lęk przed odrzuceniem. Pojawia się zawsze takie przekonanie, fałszywe zresztą, że nie mogę się podzielić swoimi problemami, ponieważ będę kogoś nimi obciążała albo ucierpi na tym moja samoocena. Boję się podzielić sobą z drugim człowiekiem i to robi potworne spustoszenia. Być może dlatego ja się zdecydowałam na pomoc *on line*, ponieważ rzesza ludzi, ta najbardziej potrzebująca, nie trafia do psychologa. Myślę tutaj o depresyjnych, do których mam szczególną sympatię. Natomiast są w stanie coś napisać.

I wtedy przez dialog, przez internet, przez osłabienie lęku i poczucia winy staram się wyciągnąć ich z tej matni. Bo ci ludzie widzą tylko zniszczenia w swoim życiu: wyrzucili go ze szkoły,

dziewczyna rzuciła lub poważniejsze rzeczy, na przykład małżeństwo zostało zawarte ze strachu przed samotnością albo wybór był niedojrzały. Przychodzą z dużymi ranami, z poczuciem, że nie mają już wyjścia. Mają ogromne poczucie winy, bo tylko sobie przypisują to, że im się w życiu nie udało. Mówię im: widocznie w tym momencie byłeś za słaby i przestań tak w siebie walić. A bożek lęku przekonuje: „to twoja wina, nie moja, tylko twoja wina.” Powoduje to autoagresję: ludzie się tną, myślą makabryczne rzeczy na swój temat, ale nie potrafią tego nazwać. Za tym wszystkim stoi lęk.

Lęk zabiera też Miłość. Człowiek odcina się od możliwości pomocy. Są to właśnie zaburzenia lękowe. Ludzie nie wychodzą z domu. Bożek lęku odcina nas od relacji z drugim człowiekiem, czyli tak, jakby zabijał w nas szansę na Miłość, bo jeżeli się nie skontaktuje z drugim człowiekiem, to nie będzie miłości, nie tylko tej damsko-męskiej, ale w wymiarze Caritasu, w sensie miłości przyjacielskiej itd.

Ostatnio byłam w Wąwolnicy pod Lublinem, gdzie organizowane są w ostatnią sobotę miesiąca Msze Święte o uzdrowienia, które prowadzi egzorcysta. Pojechałam tam z moim malutkim chrześniakiem chorym na serce i z jego rodzicami.

Formuła w Wąwolnicy była taka, że po Mszy Świętej były bardzo szczegółowe wezwania do modlitwy za określone grupy osób cierpiących. Byłam zaskoczona, jako psycholog, że bardzo szybko po chorobach fizycznych dorosłych i chorobach dzieci była grupa ludzi, którzy cierpią z powodu lęku. Lęku i depresji, nie odwrotnie. Była to jedyna kategoria dolegliwości, która została wyodrębniona. Bożek lęku jest bardziej przebiegły niż by się wydawało. Udaje, że go nie ma, ale człowiek dotkliwie czuje jego skutki.

Przykładem mogą być osoby, z którymi pracuję. To są osoby przewlekle chore, niewychodzące najczęściej z domu pomocy. Myślę tutaj o jednym pacjencie w wieku średnim, który jest na wózku, ale sam się obsługuje. Ogromnie cierpi, że nie założył rodziny. Nie zdążył jej założyć. Uważam jednak, że ma jeszcze szansę założyć rodzinę. On jest natomiast przekonany, że z powodu tego, że siedzi na wózku, jest absolutnie przekreślony w relacjach damsko-męskich. Nie chce wstawać z łóżka. Strasznie klnie albo w sposób niestosowny zaczepia praktykantki. Zapytałam go, dlaczego tak robi, bo było

dużo skarg nawet ze strony personelu. Okazało się, że całe poczucie własnej wartości było u niego związane ze sprawnością fizyczną. Kiedy był zmuszony sięść na wózek, to zupełnie siebie przekreślił i uwierzył, że jest wart mniej niż zero. Ten lęk zabrał mu wszystko. On w swojej ocenie nie jest mężczyzną, bo siedzi na wózku.

W każdej grupie, z którą się spotykam, jest zawsze ten lęk, lęk przed brakiem akceptacji. Przykłady mogłabym mnożyć z każdej dziedziny.

Ks. Adam Zelga

Pani Doroto, boimy się tego lęku, jak Pani o tym opowiada. Dobrze, że są osoby, które z niego wyprowadzają. Ciągłe jestem zdziwiony, że jest tak słaba współpraca między specjalistami od duszy – klerem a psychoterapeutami czy psychologami. Jest ogromna rzesza ludzi, którzy odrzucają chrześcijańską naukę o duszy. I strasznie mnie to boli. Mam wielu przyjaciół psychologów, psychoterapeutów.

Dorota Kaczmarowska

Mam zupełnie inne doświadczenia. Moja pierwsza praca była w szpitalu psychiatrycznym w Kościanie pod Poznaniem. Pracowałam może dopiero dwa, trzy dni, a już moi pacjenci psychotyczni mi powiedzieli: Proszę pani, proszę pani – bo oni mówią jak dzieci, gdy mają zaufanie. Proszę pani, jaki tu jest fajny ksiądz w parafii – bo niektórzy mogli wychodzić, jak mieli dobrze ustawione leki. On tak ładnie mówi. Poszłam więc do tego kościoła, posłuchałam księdza, rzeczywiście miał dar mówienia, do tej pory pamiętam, a już upłynęło kilkanaście lat. W kazaniu mówił, aby Pana Boga się nie bać. Porozmawiałam sobie z nim i powiedziałam, że furorę robi wśród pacjentów. Uśmiechnął się. Tylko że byłam tam zbyt krótko.

To był młody człowiek, podobnie jak ja na pierwszej swojej placówce. Miał znakomitą intuicję. Podsyłał mi osoby, które miały zaburzenia osobowości. Młodych ludzi. Ja mu swoich, on mi swoich. Potem jednak rozjechaliśmy się, ale do tej pory mam z nim kontakt. Ogromnie się cieszę, ponieważ doceniono jego dar, bo bardzo szybko poszedł na studia i jest w dyplomacji papieskiej. Pierwszą

jego placówką była Moskwa i to wtedy, gdy były pierwsze problemy między cerkwią a kościołem katolickim. On przy tym swoim zabieganiu codziennie mi odpisuje, jak mam jakieś pytanie. Przez lata kontaktów z nim mam, na przykład, narzędzia do pracy z pacjentami odnośnie do skrupulantwa. To jest kolejna plaga konfesyjonałów, jak i psychologów.



Dorota Kaczmarowska, Radosław Pazura
ks. Eugeniusz Guździół i ks. Adam Zelga

Chciałabym jeszcze wspomnieć o podejściu, z którym się nie zgadzam, a którego uczyli w szkole dla psychoterapeutów – to neutralność terapeuty. Bardzo mi się to nie podobało. Tak jakby był w ogóle zakaz poruszania tematów religijnych. Rozumiem, że nie można narzucać pacjentowi, ale też nie można unikać tematów tylko dlatego, że... co? Jaka to neutralność? To jest właśnie narzucanie dla mnie ateizmu.

Radosław Pazura

Chciałbym jeszcze nawiązać do tego, co mówiła Pani Dorota. Jesteśmy tak skonstruowani, że mamy ciało, które jest powiązane z psychiką, psychikę i duszę. Trzy płaszczyzny: fizyczna, psychiczna i duchowa. Wydaje mi się, że całkowite uzdrowienie człowieka, czyli wyjście człowieka z problemów, musi się odbywać na tych trzech płaszczyznach. Jeżeli zrobimy pracę nad ciałem, bo jest uszkodzone, później nad psychiką, to jeszcze zostaje płaszczyzna duchowa, często zapominana. Moim zdaniem, ona jest najważniejsza i generuje te dwie pozostałe płaszczyzny.

Jedynym prawdziwym uzdrowicielem jest Jezus. Dlatego wydaje mi się, że powinna być większa współpraca między duszpasterzami a psychologami. Jeżeli tej współpracy nie ma, to proces leczenia jest niedokończony i choroba może wrócić. Nie wiem, tak teoretyzuję. Tak mi się wydaje. Autorem, który porusza ten problem w książce „Stań się kim jesteś, czyli droga psychoruchowości chrześcijańskiej”, jest Valerio Albisetti, psychoterapeuta, psycholog, który zajmuje się psychoterapią duchową. Droga psychoduchowości chrześcijańskiej to jest coś, co wydaje się dobrą i słuszną drogą. I tak to odbieram. Moim zdaniem, ważne są te płaszczyzny, które muszą się łączyć, a decydującym, tym, który daje pełną łaskę uzdrowienia, jest Bóg.

Ks. Eugeniusz Guździół

Na wstępie chciałbym powiedzieć parę słów o sobie. Miałem w życiu kilka sytuacji, które nazwę błyskami. Wtedy coś nowego zrozumiałem. Jedno z odkryć miało miejsce na katechezie w Lesznie. Polegało na tym, że dotarła do mnie w całej jaskrawości prawda, iż moje życie ma początek, a nie ma końca, że ja już zawsze będę. Najpierw tu na ziemi, potem – tak ufam – w niebie. I żeby zdobyć to życie „na wieki”, to swój czas na ziemi muszę przeżyć cudownie. Bo przecież nie będzie powtórki z życia. Nawet, gdy będę żył 100 lat, to jest to ułamek w porównaniu z dalszym ciągiem, życiem na wieki. Warto zatem wszystko zrobić, by je zdobyć.

Kolejne odkrycie. Do pewnego momentu postrzegałem Boga jako kogoś surowego, karzącego. Taka była moja percepcja, pod wpływem, jak to potem zdiagnozowałem, proboszcza w Wierzbnie (rodzinna parafia) i mojego dziadka. Te dwie osoby były dla mnie

największym autorytetem w czasie, kiedy wzrastałem. Oni mi taki obraz Boga przekazali, z takim obrazem wszedłem w kapłaństwo. Bóg za dobro wynagradza, a za złe karze. I wtedy Boga się bałem.



Ks. Eugeniusz Guździół

Dopiero pod wpływem nabożeństwa do Miłosierdzia Bożego, zafascynowany drogą świętości siostry Faustyny Kowalskiej i tego trendu w duchowości, odkryłem, że Bóg najpierw mnie kocha. A gdzieś w tle jest Jego – mówiąc lapidarnie – mocniejsza ręka. Zatem jestem w cudownych rękach kochającego i wszechmogącego Boga, który wszystko może. I nie ma lepszych rąk, w których mógłbym się znaleźć.

Ostatnio też odkrywam owocność i skuteczność modlitwy do Ducha Świętego. To jest ostatni mój etap w osobistym odkrywaniu Pana Boga.

Natomiast od kilku lat arcypasterz zlecił mi, abym był egzorzystą. Oprócz posługi kapłańskiej, w sensie sprawowania sakramentów, zwłaszcza Eucharystii i sakramentu pokuty, głoszenia Słowa, bycia proboszczem, jestem jeszcze egzorzystą. Zły duch, szatan, chce wyrwać człowieka spod opieki swego Boga. On – „ojciec kłamstwa” sugeruje człowiekowi sposoby życia dalekie od Bożych ścieżek. Drogi, które wskazuje, są bardzo różne. Ostatnio dyskutowaliśmy, bolejąc nad odejściem księży. Dlaczego odcho-

dzą? Według naszej diagnozy niektórzy z głupoty. Jakoś się zaplątali, najczęściej wiążą się z jakąś kobietą. A inni odchodzą z „pychy”. Oto jedno z ostatnich „odejść”. Bardzo uzdolniony młody kapłan. Typ wodzowski, potrafiący porwać za sobą wiele osób, od dzieci, poprzez młodzież do dorosłych. Gdyby wykorzystał swoje talenty, swoje charyzmaty, to wiele osób przyciągnąłby do Pana Boga. Ale niestety, nie słuchał Boga, nie pragnął pełnić Jego woli. Słuchał siebie i pewnie Boga chciał swoim pomysłem podporządkować. Mówiąc moim językiem – zły duch tu go chwycił. Podpowiedział mu: ty będziesz wytyczał drogę. Nawet Bóg ci w tym nie może przeszkodzić. Bardzo chciałbym poprosić o modlitwę w intencji nas kapłanów. Pewnie tak jest, że diabeł bardziej intensywnie niż na innych zastawia na nas swoje pułapki. Jestem przekonany, że bardzo potrzebują modlitwy również księży, którzy odeszli z kapłaństwa. Trzeba wymodlić dla nich wejście na drogę zbawienia.

Jak działa szatan? Wymyśla, posługując się złymi ludźmi, furtki otwarcia na siebie. Klasycznym sposobem jego działania jest pokusa. Znamy przykazania: 10 Bożych Przykazań i Przykazanie Miłości. Zły duch namawia do ich przekroczenia, czyli do grzechu. Ponadto namawia ludzi do dodatkowych otwarć na siebie. Katechizm Kościoła Katolickiego je wymienia: pójście do wróżki, korzystanie z horoskopów, astrologia, chiromancja, wyjaśnianie przepowiedni, wróżb, zjawiska jasnowidztwa, posługiwanie się medium. Wokół niektórych toczy się dyskusja, np. ostatnio Kościół zrozumiał i nazwał bioenergoterapię jako problem duchowy i otwarcie na działanie złego ducha. Stąd wniosek, że wciąż musimy być czujni, gdyż „ojciec kłamstwa” zapewne wymyślił jakieś nowe sposoby otwarcia na siebie.

Jakie są skutki otwarć na działanie złego ducha? Można wyróżnić trzy płaszczyzny.

Pierwsza, dotycząca wprost naszego tematu, to uderzyć w więź z Panem Bogiem. Najpierw cierpi praktyka religijna: modlitwa, niedzielna msza święta, chodzenie do spowiedzi. Mocniejsze otwarcia to kłopot z wodą święconą, z wejściem do kościoła, złe samopoczucie w kościele, zdejmowanie w domu znaków naszej wiary itd.

Drugie uderzenie – to w jedność ludzi. Jeżeli jest to dziecko lub młody człowiek, to kłopot w relacjach z rodzicami. Cierpi również autorytet wychowawcy, kapłana. Jeśli na złego ducha otwierają się małżonkowie, to następuje uderzenie w jedność małżeńską. Przychodzi zburzenie wspólnoty, która daje człowiekowi oparcie. Cel jest jeden – aby ktoś został sam, skłócony ze wszystkimi, pełen nienawiści w sercu.

I trzecia płaszczyzna – przychodzi udręczenie osobiste. Obserwuję, że żadne otwarcie na działanie złego ducha nie pozostanie bez negatywnego skutku. Na przykład: przybiega do mnie dziewczyna z mojego bloku i mówi: „proszę księdza, niech ksiądz coś zrobi, bo się bardzo boję. Muszę palić światło, mam lęki i czuję, że niekiedy coś jest za mną, jakaś postać. Czuję się bardzo nieswojo”. Jak zrobiłem wywiad, to okazało się, że mama kładzie karty tarota, a ona sama gra w niego przez internet. Ten tarot ciągle był obecny, swoiste uzależnienie od niego. W efekcie pojawiło się duże udręczenie dziewczyny. Doświadczenie mnie uczy, że zły duch jest przemyślny i w każdej sytuacji przychodzi inny rodzaj udręczenia. Wciąż powtarzam, że nigdy nie pójdę do wróżki, czy bioenergoterapeuty również z tego powodu, że się boję. Nie mam problemów, a będę je miał, bo otworzę furtkę serca na działanie złego ducha.

Jak działa egzorcysta? Jak ja działałam? Jak wygląda moja posługa, gdy ktoś się do mnie zgłasza? Jest nas sześciu egzorcystów w archidiecezji poznańskiej i wszyscy mamy tyle roboty, ile tylko podobałyśmy. Ja przyjmuję około pięciu osób w ciągu tygodnia. Z każdą osobą umawiam się na półtorej godziny. Pierwsze – to słucham. Później pytam o życie religijne: modlitwę, Eucharystię, spowiedź. Jednym słowem – o pobożność. Następnie pytam o otwarcia, czy był jakiś rodzaj otwarcia na działanie złego ducha? Z reguły ludzie rozpoczynają od osobistych udręczeń. Zazwyczaj wcześniej już odwiedzili psychologa i psychiatrę. W końcówce spotkania mówię o Panu Bogu, o sprawach najważniejszych, o wielkim darze, jakim jest modlitwa, Eucharystia i spowiedź. Zawsze, w zależności od stopnia bliskości z Bogiem, sugeruję zrobienie chociażby kroku w kierunku Pana Boga. Jeśli były otwarcia na działanie złego ducha i jest jakiś rodzaj udręczeń, to wtedy odprawiam modlitwy przewidziane przez Kościół w takich sytuacjach. Rytuał „egzorczyzmy i inne modlitwy błagalne” został odnowiony przez Stolicę Apostolską

w 2000 roku. Nie wymyślam więc sposobu modlenia, jest on podany. Jeżeli nie ma takiej przesłanki, że to jest rodzaj bezpośredniego działania złego ducha, albo mam podejrzenia o chorobę psychiczną, modlę się wtedy inaczej. Odmawiamy dziesiątek różańca świętego albo spontanicznie wzywam pomocy Boga Ojca, Syna Bożego i Ducha Świętego. Trochę w stylu modlitwy zanoszonej we wspólnotach Odnowy w Duchu Świętym.

Staram się też wychwycić pozytywy na drodze życia danej osoby, aby pobudzić nadzieję. W zamyśle chcę przekazać impuls do dobrego. Strzegę się przed dołowaniem, mówieniem, że ktoś jest zły, bo coś się stało. Często też doradzam, obecność na Mszach Świętych o uzdrowienie, które w różnych miejscach się odbywają. Poza tym sugeruję zamówienie Mszy Świętej w intencjach danej osoby, gdyż jestem przekonany, że Eucharystia jest najdoskonalszą modlitwą. Ponadto zwracam uwagę na budowanie jedności z najbliższymi. Jeśli potrzeba, wzywam do przebaczenia lub naprawienia krzywd, które się wyrządziło. Mówię również o noszeniu medaлика, zawieszonym krzyżu w domu, o wodzie święconej.

Na koniec pozwolę sobie na przekazanie trzech „migawek” z życia egzorcysty. Niedawno się one wydarzyły. Pierwsza: ktoś z bliskich mi osób kontestuje istnienie osobowych bytów, jakimi są aniołowie. Wszystkie przekazy ewangelijne związane ze złymi duchami uważa za rodzaj mitu. Nie przyjmuje istnienia demonów jako bytów osobowych. Dlatego w jego obecności, na gruncie towarzyskim, często dochodzi do zanegowania mej posługi, a ponieważ bardzo go cenię – jest mi po prostu przykro. Drugie zdarzenie: zostałem poproszony do kliniki psychiatrycznej w Poznaniu przez rodziców i prowadzącą lekarkę do dziewczyny chorej na schizofrenię. Ona miała duże poczucie winy. Dla mnie bardzo ciekawy jest styk psychiatrii i duchowości. Być może dlatego, że na tej pierwszej mało się znam. Trzecia migawka: ostatnio zadzwonili do mnie z Domu Księży emerytów. Mój kolega nie mógł umrzeć. Już wszystko wskazywało, że powinien odejść. Męczył się w śpiączce i nie mógł umrzeć. Poproszono mnie o modlitwę. Pomodliłem się, tak jak umialem. O 21.00 była modlitwa, a o 22.14 odszedł spokojnie.

Zdarzenie pierwsze było przykre, drugie – ciekawe, trzecie – zaskakujące. Taka jest posługa egzorcysty.

Najpiękniejszy jest jednak Pan Bóg i Jego odkrywanie. Złe duchy... One są nieciekawe. Siostra Faustyna Kowalska w Dzienniczku (nr 540) pisze: „Jak strasznie brzydki jest szatan. Biedne dusze potępione, że muszą żyć w jego towarzystwie. Sam widok jego jest wstrętniejszy niż cała męka piekła”.

Kiedy pierwszy raz jako uczący się egzorcysta uczestniczyłem w modlitwie, którą prowadził inny kapłan nad opętaną, to w pewnym momencie głos złego ducha przez tę osobę powiedział o mnie: „a ten nowy się boi.”

Dyskusja

Dorota Kaczmarowska

Przypomniała mi się taka sytuacja, gdy ksiądz mówił o wrózkach. Gdy po odejściu z Kościana szukałam pracy, moja najbliższa przyjaciółka z ławy szkolnej, która mieszka tutaj, bardzo chciała, żebym została w Warszawie. Mówiła mi: „Mam prywatną praktykę (co było wówczas dla młodego lekarza nobilitujące), a szefem jest tam otwarty na wszystko lekarz, zresztą już z nim rozmawiałam. Mamy różne gabinety”. Ja jednak miałam wątpliwości, że psycholog zaraz po studiach, to chyba nie to. Aby być psychoterapeutą, to tak jak w chirurgii, trzeba parę lat specjalistycznych szkoleń. Ona zaśmiała się i powiedziała: „Dorota, ty się nie przejmuj, poradzisz sobie. On zatrudnił w poradni wrózkę i kolejki są! Ty się w ogóle nie przejmuj”. To był szok. Poszłam gdzieś indziej, a ona mi mówiła ostatnio, że lekarze odchodzą, a wróżka jak przyjmowała, tak przyjmuje. To jest rzeczywistość, która mnie zaskoczyła.

I druga rzecz to chyba braki w psychoedukacji albo wiedzy religijnej. Moi znajomi chadzają do wrózek. Jak im mówię, że to jest grzech, to w ogóle tego nie rozumieją. Widzę po twarzach, że ludzie nie kojarzą jednego z drugim i to jest zaskakujące. Muszę za każdym razem tłumaczyć, na czym to polega.

Marzena Pfeffer

Chciałam dać krótkie świadectwo tego, co się zdarzyło w moim życiu w związku z okultyzmem. To się zdarzyło dwadzieścia parę lat temu. Wtedy wiedza o tym, co jest okultyzmem, a co nie, była właściwie żadna. Weszłam w pewne złe relacje, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że oddaję swoje życie bożkowi, szatanowi. Obecnie natomiast wydawałoby się, że ta wiedza już jest. Mówi o tym katechizm, często poruszają ten temat księża. W warszawskim radiu Józef było sporo audycji Roberta Tekieli na ten temat. Sądząc jednak z liczby osób, które chodzą do bioenergoterapeutów, które leczą się homeopatią, które uważają, że horoskop i astrologia nie są niczym złym, widzimy, że wiedza jest bardzo mała, a zagrożenie ze strony szatana bardzo duże.



Marzena Pfeffer

Chciałam powiedzieć, co się zdarzyło w moim życiu, bo to jest ostrzeżenie dla innych. Zaczęło się od paru lat spędzonych wspólnie z bioenergoterapeutą, który mi pomagał. Ten człowiek początkowo bioenergoterapią traktował jak zabawę. Był człowiekiem dobrym, chciał pomagać ludziom. Nie brał za to pieniędzy. Posługiwał się wahańką i widać było, że jest szczęśliwy, że służy ludziom. On po-

święcał noce, żeby rozpracowywać pewne problemy, bo wahadełko mu odpowiadało na różne pytania. Co jest dobre, co jest złe? Jak ludziom pomagać? Jak świat ulepszać?

Przez tych parę lat widać było, jak on się zsuwa, jak zaczyna być chciwy na pieniądze, które brał za swoją posługę. Darmo dostaliście, darmo dawajcie. On brał pieniądze coraz większe. Gdy ktoś przychodził chory, prosił o pomoc, a nie miał pieniędzy, odmawiał. Zaczęła działać pycha, potworna pycha, która widać było, jak wzrastała, że on wszystko wie, on wszystko może.

Byłam w tym wszystkim uwikłana. Gdy on mi rzeczywiście pomógł w jakimś moim problemie zdrowotnym, zaczęłam w niego wierzyć prawie jak w Pana Boga. I ta moja wiara w niego wzrastała cały czas, ponieważ pomagał kolejnym osobom i ja to widziałam, więc uważałam, że jest wspaniały i cudowny.

Na szczęście Pan Bóg tak prowadzi, że człowiek natrafia na odpowiednie teksty czy książki, albo spotyka właściwych ludzi. Osoba, do której mam duże zaufanie i jest dla mnie autorytetem, powiedziała mi wtedy: „Wiesz, to jest chyba diabelstwo”. Odpowiedziałam, że nie, to niemożliwe, ale zaczęłam patrzeć krytycznie. Zobaczyłam, że on często sam sobie zaprzecza, że np. mówi, że się zdarzy jakiś kataklizm w przyszłym tygodniu, ale go nie ma. Potem przyznaje, że pomylił się. W następnym tygodniu mówi, że już wszystko wie.

Źle skończył, już nie żyje. Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.

Jaka w tym wszystkim była moja droga? Wierzyłam, że zostałam uleczona. Tylko nie zwróciłam uwagi, że kiedy kończyła się jedna choroba, zaczynała się następna. Kolejna, kolejna i wzrastające to moje uzależnienie od bioenergoterapeuty. Już z wszystkim do niego biegałam. Najpierw to były sprawy zdrowotne, potem sprawy relacji z bliskimi, z rodziną, z życiem. Na początku on był osobą wierzącą. A potem przez parę lat zsuwał się w grzechu, czy diabelskich pokusach, po równi pochyłej, po zjeżdżalni na dół.

Jak porównać punkt zerowy i ten po kilku latach, to jest coś niesamowitego, jak on i ja zsunęliśmy się na dół. Zaczął mówić, że Pan Bóg tak, Pan Jezus tak, ale, wiesz, Matka Boża to tak niezupełnie. I tak kolejno zabierał mi szatan, ale jego ustami, pewne punkty oparcia. Byłam osobą letnią religijnie. Nie bardzo wierzącą, ale

do kościoła chodziłam. Pod koniec miałam bardzo silną depresję i myśli samobójcze. Pan Bóg mnie uratował, bo chciałam wpaść pod samochód. Dzięki Niemu jestem tu z Państwem.

Właśnie chciałam podkreślić, że trzeba mieć świadomość, co jest bożkiem w naszym życiu, i innych też uświadamiać, bronić się przed tym i wiedzieć, że jest to potwornie niebezpieczne.

Radosław Pazura

Słyszałem o świadectwie ojca jezuitę z Francji. Nazywa się Verlinde. Będąc jeszcze świeckim człowiekiem, zajmował się bioenergoterapią i innymi sprawami związanymi z okultyzmem. Później zainteresował się też religią wschodnią. Napisał też doktorat na ten temat i wiele publikacji. Był kilka lat w Tybecie. Uzdrawiał ludzi. Ale cały czas coś mu nie pasowało. Był ochrzczony i był naszej chrześcijańskiej wiary. Trafił do jezuitów. Tam dowiedział się, że to może być sprawa związana ze Złym i postanowił się nawrócić. Nie było to proste. Bardzo głęboko wrósł w ten problem zła i był poddawany egzorcyzmom przez siedem lat. I dopiero po siedmiu latach szatan go opuścił. Teraz jest jezuitą w zakonie.



Radosław Pazura

Gdy wejdą Państwo na stronę internetową w Googlach, to można znaleźć nagrania, gdzie on mówi o tym, bardzo pięknie zresztą, jak to jest naprawdę, co on zrobił i wylicza po kolei działania szatana. Jest tak, jak Pani powiedziała.

Kiedyś się tym interesowałem, bo w naszym życiu, moim i mojej żony, też zło zagościło bardzo mocno. Myśmy się borykali z tym problemem, dopiero znajomy ojciec kapucyn wyjaśnił nam te sprawy. Rzeczywiście tak się dzieje, że zło, jeżeli czepiamy się tych praktyk, o których Ksiądz i Pani mówili, wchodzi w nas różnymi kanalikami i nas się czepia. Widzimy tylko zewnętrzne rezultaty tego. Ktoś zdrowieje, ktoś się lepiej czuje itd. Ale częstym problemem jest odróżnienie dobra od zła. Nikt natomiast nie wie, co się dzieje z tymi ludźmi po latach, o tym się nie mówi. Najczęściej ci ludzie znikają z powierzchni zainteresowań okultystycznych, a coś się z nimi i ich bliskimi dzieje dziwnego. Tak jak słynna sprawa z Nowakiem, który kiedyś uzdrawiał, a teraz dziwne rzeczy dzieją się wokół niego i jego rodziny. Mało kto zdaje sobie sprawę, że to zło, jak już wejdzie, to przechodzi również na bliskie osoby tego człowieka.

Pojawiają się inne problemy albo ten problem zdrowotny niby został uzdrowiony, lecz choroba powraca po latach z natężeniem jeszcze większym. To jest niesamowita pułapka. Wydaje nam się, że jest dobro obiektywne, które przez nas jest postrzegane jako dobro, a tak naprawdę jest pokusą, złem, które chce nam wmówić, że jest dobrem, a po czasie się okazuje, że nim nie jest. Jedynym uzdrowicielem jest Pan Jezus i koniec, kropka. Nie możemy i nie dajmy się zwieść niczemu innemu, bo to inne to jest zło. Działanie szatana polega na tym, że tak manipuluje, żebyśmy uwierzyli, że to jest dobro. I przypuszczam, że on się cieszy z tego, że ktoś w niego uwierzy, lecz on nie ma mocy robienia dobra, sprawiania dobra i dążenia do dobra. On jest z gruntu, od samej swojej podstawy zły. Jego zadaniem jest to, abyśmy mogli wierzyć, że to, co on proponuje, jest dobre, a tak naprawdę jest zupełnie odwrotnie. I często w taką pułapkę wpadamy. Mijają lata i później nie kojarzymy nawet, że to mogło być związane z osobą, która mnie kiedyś uleczyła, bo powstają inne problemy, które urastają do rangi potwornych, związanych ze zdrowiem własnym albo bliskich.

Wiem, że to się tak dzieje, bo dzieje się tak w mojej rodzinie i ja nie mogę tego wytłumaczyć moim bliskim. Moi rodzice wierzą w

uzdrowicieli i mam z tym problem. Przeprowadziłem z nimi rozmowę, ale to działanie jest już tak mocne, że wręcz zostałem zaatakowany. Cały czas ich namawiam, aby z tego zrezygnowali. Są pewne rzeczy, których nie da się wytłumaczyć i jest to kwestia zaufania i zawierzenia. Ktoś, kto żyje w naszej wierze, musi mieć świadomość, że zło istnieje i co jest tym złem. Nasza wiara polega na zaufaniu i zawierzeniu. Wiara w Pana Jezusa jest też aktem zawierzenia. Jeżeli brak tego zawierzenia, to zasadzki szatana jest ciężko komuś drugiemu wytłumaczyć. Często odbiera się nas jako ludzi nawiedzonych, z ciemnogrodu, a w rzeczywistości jest odwrotnie. Zaufanie jest podstawą i *de facto* sprowadza się do tego, że wierzymy w to, co Kościół nam nakazuje i unikamy tego, czego zabrania.

Ks. Eugeniusz Guździol

Świadectwo o. Verlinde, które słyszałem na kongresie Odnowy w Duchu Świętym, skierowało moją uwagę na fakt, że wchodzenie w złe rzeczy ma swój czas, ale i wychodzenie z nich też. Moje doświadczenie też tak mówi. Trzeba dużej cierpliwości w pozbywaniu się szatana.

I drugie, też z doświadczenia. Mam kilka znajomych osób, które w pewnym momencie zaczęły chodzić codziennie na Mszę Świętą. Po roku mówili mi, jak niezwykle zmieniło się ich życie i ich rodzin. Ja sobie to wyjaśniam, że Pan Jezus, jedyny Zbawiciel miał możliwość działania przez to, że ci ludzie codziennie słuchali Słowa Bożego i codziennie przyjmowali Komunię Świętą.

Radosław Pazura

Zło można pokonać tylko poprzez uczestnictwo w Sakramentach. Od wspomnianego o. kapucyna dostałem również wskazówkę, że trzeba zamawiać Msze Świętą w danej intencji.

Kiedy byliśmy już małżeństwem, mieliśmy z żoną taki okres, że bardzo chcieliśmy mieć dziecko. Pojawiły się problemy, o których wcześniej opowiadałem. Olbrzymi lęk, potworny strach, przede wszystkim ze strony mojej żony, ale mój też. Mimo że też odczuwałem lęk, miałem w sobie taką siłę i moc, że mówiłem w ciemno, że będzie dobrze. I byliśmy z tym problemem u o. kapucyna, że jest to efekt zła, które w nas było. Zrobiliśmy w życiu wiele błędów, te błędy i grzech to zło gruntowały. Wytoczyliśmy więc największe dzia-

ła, nie opuszczaliśmy żadnej Mszy Świętej, staraliśmy się żyć w czystości z intencją, żeby była Klara, która już teraz jest na świecie. Jeździliśmy na pielgrzymki do św. ojca Pio, do Częstochowy, gdzie się dało i gdzie mogliśmy. Po ludzku wszystkie sprawy robiliśmy tak, jak trzeba i jak Pan Bóg przykazał, zgodnie z zasadami i naukami Kościoła. Byliśmy kuszeni, nękami, no bo mieliśmy pieniądze. Proponowano nam *in vitro* i jakieś inne drogi, ale byliśmy bardzo mocni w postanowieniu.

Przede wszystkim powiedzieliśmy sobie przed Panem Bogiem, że będziemy wszystko robili, co jest zgodne z Jego wolą i nauką Kościoła. A jeżeli Jego wolą jest to, że nie będziemy mieli dzieci, to się z tym pogodzimy. Włożyliśmy olbrzymią pracę w sferę duchową. Bardzo dużo się modliliśmy, również wspólnie. Zamawialiśmy Msze Święte w tej intencji. Wiedzieliśmy od o. kapucyna, że to jest niezwykła pomoc. Modliliśmy się dużo za wstawiennictwem świętych, a po śmierci Jana Pawła II za Jego wstawiennictwem. Poznaliśmy księdza, który pracuje w Watykanie. On wcześniej przeczytał wywiad z nami i przysłał do mojego agenta wiadomość, że dziękuje za świadectwo i chciałby się skontaktować. Skontaktowałem się z nim. Poradził nam modlitwę do Jana Pawła II. Powiedział też, że będzie codziennie schodził na grób i też będzie się modlił w naszej intencji. I niedługo potem poczęła się Klara.

Widzę w tym rękę Jana Pawła II i św. ojca Pio. Wiele zawdzięczamy też naszemu o. kapucynowi, który nas prowadził. Poradził nam też, żeby przynosić mu wodę, a on nam ją będzie święcił. Piliśmy tę wodę. Dał nam też wspaniałe olejki z sanktuarium w Loreto. W końcu opanowywaliśmy prześladowający nas strach. Otwieraliśmy się na Pana Boga i na siebie. To było przepiękne, zaczęliśmy się miłować, tak naprawdę kochać. Poznaliśmy, jak miłość może mieć szerszy wymiar. To jest coś niebywałego. Ale to wszystko dzięki temu, że walczyliśmy ze złem. Dzięki temu dowiedziałem się o ojcu Verlinde i o wszystkich niebezpieczeństwach, o których nie mieliśmy wcześniej pojęcia.

Na przykład, wierzyliśmy w homeopatię, a to mogło być też źródłem zła. Miałem wiarę w łykane granulek, to była czysta głupota, a dziś ich nie biorę i też czuję się dobrze. Wcześniej mieliśmy różne problemy. Te lęki, przemożny strach, to wszystko z czegoś się brało. Gdy to wszystko wyeliminowaliśmy, poprzez uczestnic-

two w Eucharystii, w Sakramentach, w Mszach Świętych, nabożeństwach, pielgrzymkach itd., to poczuliśmy, że coś dobrego dzieje się z nami. A potem poczęcie dziecka, które uważamy za cud w naszym przypadku.

Monika Ciepela

Mam wiele różnych doświadczeń z tego zakresu w swoim życiu i chciałabym na wstępie podkreślić jedną rzecz, mianowicie to, że kuszenie przez szatana ukazuje się nam na początku jako wspaniała sprawa. Może nam pokazać, ile możemy zrobić wspaniałych rzeczy. Nie tylko uzyskać zdrowie fizyczne dla siebie czy dla rodziny, ale może nam również pokazać, że sami możemy jakąś moc uzyskać i właściwie Pan Bóg może nam być już niepotrzebny.

W książkach o New Age można znaleźć wiele przykładów, jak bardzo ludzie odeszli od Pana Boga przez kuszenie ich przez szatana, który przekonał ich, że Pan Bóg jest do niczego im niepotrzebny. Mogą sobie ze wszystkim sami poradzić.

W okresie, o którym mówiła Marzenka, było dosyć popularne szukanie różnych niekonwencjonalnych dróg, a równocześnie była jeszcze mała wiedza na temat zagrożeń. Ktoś mnie namówił, kiedy miałam ogromne kłopoty z zatokami, chyba byłam wtedy w ciąży, a motywacja była taka, że nie mogę brać żadnych leków. Trafiałam do bioenergoterapeuty, który miał wyleczyć moje zatoki. Zaczął opowiadać, że jeżeli chcę się zrelaksować, to mogę sobie wybrać takiego proroka, o którym mogę myśleć. A tam były różne wizerunki. Był Budda, Siwa, była Matka Boża, był Jezus. Wszyscy byli postawieni w jeden rząd. Świeciły się światełka, było bardzo fajnie. Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć, czy to jest tak, że on jest taki tolerancyjny i każdemu daje możliwość wyboru, czy też wsadza wszystkich do jednego worka – i to już mi się nie bardzo podobało. Po jakimś czasie on stwierdził: „Ty masz nieprawdopodobny talent. Jak przyjdiesz do mnie na kurs, to nauczę cię leczyć innych. To jest niebywałe, ty masz białą aurę. To się nie zdarza. Ty się szybko nauczysz. Na początek będziesz leczyć tylko swoją rodzinę. Ale gdy wejdiesz na drugi stopień kursu, to będziesz mogła 30 osób leczyć dziennie. Zrobisz tyle dobrego, bo masz naprawdę wspaniały talent.”

Poszłam do domu przemyśleć sprawę. Wymyśliłam, że przyjdę do niego jeszcze raz, ale zrobię mały fortel. Siadłam na fotelu. On się skupiał, a ja postanowiłam mówić różaniec. Mówię różaniec, a facet nagle mówi: „Wiesz, dzisiaj to nic z tego nie będzie. Ja jakoś nie mogę się skupić. Coś mi przeszkadza. Musimy to przełożyć.” Oczywiście więcej do niego nie poszłam. I tak się skończyła moja przygoda z moimi zdolnościami pseudomedycznymi.



Monika Ciepiela

Miałam później drugą przygodę i miałam wrażenie, że jest to następny etap kuszenia mnie, żeby mi pokazać, że mogę być wspaniała i wcale do tego nie jest mi potrzebny Pan Bóg. Wtedy pracowałam w naszej wspólnej z mężem firmie. Musiałam pojechać z klientem do Włoch, żeby pokazać mu maszyny i żeby podpisać kontrakt z fabryką, którą reprezentowaliśmy w Polsce. Klient był nieco dziwny, bo nigdy wcześniej nie latał samolotem, co wydawało mi się, że w biznesie jest trochę nietypową sytuacją. Nie mówił żadnymi językami i musiałam go niańczyć jak dziecko, przeprowadzać go przez wszystkie lotnicze bramki itd. Tłumaczyć mu wszystko. Nawet pokazywać, jak się wkłada kartę w drzwi w hotelu, bo nie potrafił sobie z tym poradzić.

Jak się później okazało, podłożem, iż wcześniej nie podróżował, był koszmarny lęk. On się po prostu stałe bał. On postawił warunek, że pojedzie ze mną do fabryki, by negocjować kontrakt, ale prosi, aby fabryka została otwarta w sobotę, choć przyjechalibyśmy w czwartek czy piątek. On chce w sobotę negocjować i podpisać ten kontrakt. Nie mogłam go zrozumieć. Fabryka wtedy nie pracowała i musiałam użyć wpływów moich, mojego męża oraz managera w fabryce, który z nami współpracował, żeby namówić tych ludzi do tego, żeby przyszedli w sobotę i żeby otworzyli fabrykę, w wolny dla siebie dzień. W jakiejś rozmowie, zanim dotarliśmy w sobotę do tej fabryki, ten pan się trochę otworzył przede mną i spytał, czy jestem ciekawa, dlaczego tak naciska, żeby to było w tę sobotę. Oczywiście, że jestem, odpowiedziałam. Profesjonalizm zakazywał mi pytać go o to specjalnie, ale skoro sam mówi, to O.K., posłucham. „No bo ja mam taką panią – mówił ten człowiek – która mi doradza. A ona jest numerologiem. Obliczyła mi, że w tę sobotę jest najlepszy moment na podpisanie kontraktu, bo wtedy ten kontrakt mi się powiedzie i będę miał perspektywy i to będzie początek większego, wspianiałego biznesu. A następny taki dzień – mówił dalej, a to był grudzień – zdarzy mi się dopiero pod koniec lutego i to będzie dla mnie za późno.” Jak lecieliśmy, to powiedział: „Niech się pani nie martwi, samolot doleci, nie spadnie, bo pani numerolog sprawdziła.” Więc spokojnie (sic!) lecieliśmy.

Dotarliśmy do tej fabryki. Oczywiście moi Włosi po cichu spytali mnie, dlaczego mamy dzisiaj podpisywać kontrakt? Ja odpowiedziałam: „Ten pan wierzy w numerki.” Odpowiedź, którą usłyszałam, zwała mnie z nóg. „To dlaczego ty nie mówiłaś od razu? To byśmy bez problemu otworzyli, bo to w biznesie jest bardzo popularne.”

Siedzimy później, on ogląda jakieś plany i mamy sprawdzać kontrakt, a on prosi mnie o moją datę urodzenia i wszystkie dane, dzień, miesiąc itd. Podaję mu, a on wyciąga kalkulator i liczy, liczy i widzę, że lekko błędnie. Myślę, coś nie tak. Mówi: „wie pani, to jest niezwykłe, pani jest jedynką.” Pytam się, co to znaczy? A on: „Tylko wielcy ludzie byli jedynkami. Prezydenci Stanów Zjednoczonych wszyscy byli jedynkami.” I proszę sobie wyobrazić, że nie przeczytał kontraktu. Z jedynką się nie dyskutuje. Kontrakt został podpisany. W kontrakcie było ustalenie niezbyt wygodne dla niego, gdyż mu-

siał część płatności, która była ogromna, zapłacić na starcie, ale z niczym nie dyskutował, wszystko podpisał.

W samolocie, gdy wracaliśmy, dyskusja się bardziej rozwinęła, i gdy mnie bardzo przekonywał, że z tą jedyнкą mam niezwykle szanse i powinnam w to głębiej wejść, odpowiedziałam, że każdy wierzy w swoje, ja akurat w Ducha Świętego. To mu zamknęło buzię i na jakiś czas miałam święty spokój. On oczywiście przelał te pieniądze. Kontrakt się rozpoczął. Po jakimś czasie zaczęły się dyskusje, jakieś dziwne maile prawnika z informacją, że klient chce się wycofać z kontraktu. Lecz w tej maszynie dla niego robionej zostały poczynione dosyć duże zmiany za te wpłacone przez niego pieniądze. Poza tym kontrakt był podpisany bezpośrednio z Włochami, więc odpowiedziliśmy, że te pisma to nie do nas, tylko do Włochów. Prawnik zamilkł, a po jakimś czasie okazało się, że facet po prostu zbankrutował. I taki był koniec tej historii.

Ks. Adam Zelga

Oglądaliśmy misterium duszy ludzkiej z trzech horyzontów: psychologa, duchownego i świadka. Nie wiem, czy Panu ktoś kiedyś powiedział, panie Radku, że byłby pan dobrym aforystą. Oto przykład: „Czasem Pan Bóg pomaga brutalnie” albo bardzo piękne świadectwo: „Byliśmy z żoną napełnieni miłością, której nie umieliśmy osadzić”. Staram się zawsze kończyć Konwersatoria swoimi słowami, ale może czas trochę spokornieć. „Jeżeli wierzysz w jednego Boga, to w innych wierzyć nie możesz, ale bożkowie są ukryci w świecie i będą chcieli, abyś w nich wierzył”. I na tym zakończę nasze spotkanie. Jeżeli wierzymy w Boga, to w innych wierzyć nie możemy.

Spisał z nagrania Andrzej Skoczek

Cd. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną:

Ks. Stanisław Wrześniewski przesłał: „*Twarzą w twarz z demonem*”
– ks. Giuseppe Tomaselli (fragmenty)

W obiegu jest książeczka „Wywiady ze złym”. Pomyślałem, że ja także mógłbym napisać coś na ten delikatny temat, ponieważ od 50 lat jestem egzorcystą (1934-1984) i wielokrotnie widziałem demona w ludzkiej postaci. Niejeden raz musiałem z nim bezpośrednio walczyć, wiele razy byłem przez niego bity. Ponadto byłem kierownikiem duchowym dusz mistycznych, które są bezpośrednim celem zaciekłych ataków samego demona. Jako kierownik duchowy byłem świadkiem wydarzeń, w które trudno byłoby mi uwierzyć, gdybym nie widział ich osobiście dziesiątki razy. Poniższe wydarzenia, które przedstawiam, miały miejsce w rzeczywistości. Byłem sam ich świadkiem.

G.T. Melid (imię szatana), chcę z tobą przeprowadzić rozmowę i nadać jej charakter wywiadu. Wiem ze studiów i mojego doświadczenia, że ty zawsze czynisz zło, bo jesteś w nim utwierdzony i że nie pragniesz niczego innego poza złem. Ale wiem też, że chociaż zawsze dążysz do zła, wbrew twojej woli, dzięki Bożemu zarządzeniu, możesz też przyczynić się do dobra. Tak jest za każdym razem, kiedy kusisz kogoś, a on zwycięża pokusy i w ten sposób wzbogaca się w zasługi na wieczność. Wywiad ten może uczynić wiele dobrego, a ja proszę Boga, aby cię zmusił do odpowiedzi na moje pytania.

M. No więc, klecho, o co ci chodzi? Powiedz mi, skąd wiesz, że nazywam się Melid?

G.T. Sam mi to powiedziałeś podczas naszego pierwszego spotkania. Wiele lat temu. Zanim przejdę do dalszej części wywiadu, zadam ci pytanie na pozór bezużyteczne, a może nawet naiwne: Jako demon, istniejesz czy nie?

M. Ignorancie! Jak mógłbym nie istnieć?

G.T. Kiedy jest ci to na rękę, mówisz, że istniejesz, innym razem bezczelnie twierdzisz, że cię nie ma. Kim byłeś, zanim stałeś się demonem?

M. Cherubinem. Teraz jestem urzędnikiem szatana.

G.T. Ponieważ, jak sam mi mówiłeś, w ciele ludzkim doświadczasz w jakimś stopniu odpoczynku, kiedy więc możesz kogoś pojąć, uciekasz się do różnych sztuczek, aby w nim jak najdłużej pozostać. Po pierwsze, robisz wszystko, aby cię nie rozpoznano i nie egzorcyzmowano z tej osoby. Wybierasz osoby, które cierpią na jakąś dolegliwość. W ten sposób zamiast zająć się opętaniem, wszyscy koncentrują się na chorobie. Tak więc w ciele niektórych opętanych może występować równocześnie i choroba i samo opętanie. Aby nie dać się wypędzić, często mówisz: „Jestem dobrym duchem, przybyłem, aby pomóc całej rodzinie”. Ty boisz się egzorcyzmów i kiedy jesteś zidentyfikowany, próbujesz wprowadzić w błąd kapłanów egzorcystów, starając przekonać ich o nieskuteczności egzorcyzmów. Także i ze mną usiłowałeś zastosować tę taktykę, ale ja starałem się nie zniechęcić i nie wpaść w twoją sieć.

Pamiętasz tego mężczyznę, którego trzymałeś w swojej niewoli przez ponad 20 lat? Każdego dnia odprawiałem egzorcyzm; ty opierałeś się modlitwom; zacząłem więc egzorcyzmować dwa razy dziennie; wtedy podrażniony powiedziałeś: „Basta! Już więcej nie wytrzymam! Wolę wrócić do otchłani piekielnej”.

M. Kiedy jesteśmy w piekle, nasze cierpienie jest ogromne, ale podczas egzorcyzmów jest ono jeszcze większe. W piekle jesteśmy daleko od Boga, a podczas egzorcyzmów jesteśmy bliżej Niego i stąd nasze cierpienie powiększa się.

G.T. Wiem, że masz potężnych wrogów, a są to ci, którzy na co dzień żyją w głębokiej przyjaźni z Bogiem i oddają się sumiennie swojemu apostołatowi.

Masz też niestety wielu przyjaciół, a są wśród nich tacy, którzy nie wierzą w twoje istnienie. Twierdzą, że nie wierzą w ciebie, ale żyją według twoich wskazań. Przeczą istnieniu piekła i oddają się grzechowi, dążąc jedynie do zaspokojenia własnych żądz. Do innej kate-

gorii twoich sprzymierzeńców należą ci, którzy wchodzą w relacje z tobą poprzez seansy spirytystyczne. Ty pragniesz tego, żeby ci „wywoływacze duchów” oraz ich przyjaciele wzywali ciebie. Oni wierzą, że w tych seansach wywołują dusze zmarłych, a tymczasem to ty, kłamiąc, odpowiadasz na ich pytania. Kłamiesz, mówiąc o reinkarnacji, o przybyszach z Kosmosu, czy też o błądzących po ziemi duszach poddanych oczyszczeniu. Dobrze wiesz, że przekonując ludzi do reinkarnacji, tym samym utwierdzisz ich w przekonaniu, że piekła nie ma.

M. Nawet jeśli kłamię, zawsze znajdzie się ktoś, kto mi uwierzy.

G.T. Czy wszystkie demony mają taką samą siłę?

M. Nie. Chrystus tego nauczał, kiedy zwrócił się do Apostołów bezsilnych wobec demona siedzącego w opętanym. „Ten rodzaj demonów można zwyciężyć tylko przez post i modlitwę”. Najpotężniejszymi są demony nakłaniające do nieczystości seksualnej. Ja jestem jednym z przywódców takich demonów. Ja i moi podwładni zazwyczaj zwyciężamy w walce z człowiekiem.

G.T. Kobiety i mężczyźni mają dar wolności. Wolną wolę. A zatem jeśli chcemy, możemy odeprzeć każdy z waszych ataków.

M. Teoretycznie masz rację, ale w praktyce jest inaczej. Jesteśmy niezmiernie inteligentni, a poza tym znamy bardzo dobrze ludzkie pragnienia. Do każdej osoby umiemy podejść z odpowiedniej strony. Za pomocą nieczystych pożądań zaciemniamy wasz rozum i łamiemy waszą wolę. Najlepszym sposobem jest łapanie kobiet i mężczyzn na haczyk „miłości”. Jeżeli użyjemy tego „sercowego” chwytu, w 90% przypadków odśpiewujemy pieśń zwycięstwa.

G.T. Wy, demony, jesteście wyspecjalizowani w różnych zadaniach. Są wśród was tacy, którzy pchają ludzi do bluźnierstwa, niewiści, ateizmu, kradzieży itp. Sądzę jednak, że o ile większość grzechów ludzie popełniają niewiele razy, bo brzydzą się nimi i odrzucają je, to z grzechem nieczystości jest inaczej. Już po kilku upadkach staje się on nawykiem, bardzo trudno jest go odrzucić, zaczyna

on przybierać pozory dobra, zasłaniając się przyjemnością. Wielokrotnie pytałem cię podczas egzorcyzmów: „Który z grzechów prowadzi najwięcej dusz do piekła?” Odpowiadałeś mi zawsze: „Nie muszę ci tego mówić. Ty to wiesz.” Według mnie jest to grzech nieczystości.

M. Widzisz, że znasz odpowiedź. Wielu, którzy są uwięzieni w otchłani piekielnej, znajdują się tam przez nieczystość. Popelniali też inne grzechy, zostali jednak potępieni przez nieczystość. Ci, którzy żyją niemoralnie, sądzę, że są już zapisani w rejestrze potępionych i tylko wielka łaska Najwyższego mogłaby ich z niego wyznaczyć.

To właśnie ja i moi towarzysze przekonaliśmy przywódców waszych krajów, aby zaakceptowali prawo rozwodowe, bez którego promowany przez nas „postęp cywilizacyjny” byłby niemożliwy. Pierwszymi, którzy zapłacą za to prawo, nazwane przez ciebie niegodnym, a które jest skarbem mojego królestwa, będą jego prawodawcy, odpowiedzialni za grzechy nieczyste osób rozwiedzionych. Karę poniosą także ci, którzy zaakceptowali to prawo.

Ja, Melid, przekonuję ludzi do tego, że słowami Jezusa nie trzeba zawracać sobie głowy, a nie, że z Najwyższym nie powinno się żartować.

G.T. Jezus Chrystus powiedział: „Kto idzie za mną, nie chodzi w ciemnościach... Niebo i Ziemia przeminą, ale moje słowa nie przeminą; niepodobna, żeby nie przyszły zgorszenia; lecz biada temu, przez którego przychodzą! Byłoby lepiej dla niego, gdyby kamień młyński zawieszono mu na szyi i wrzucono go w morze”.

Zadaję sobie pytanie: skoro słowa Jezusa, Zbawiciela i Najwyższego Sędziego ludzkości są tak straszne, jak mogą gorszyciele żyć w takim spokoju?

M. Dzieje się tak dzięki mojej interwencji. Robię im duchowe znieczulenie, niewidzialne, ale rzeczywiste. Sprawiam, że nie czują oni żadnej odpowiedzialności przed Stwórcą za swoje czyny i wszystko wydaje się im być dozwolone. Pracując w ich wyobraźni, sprawiam, że patrzą na powściągliwość seksualną jak na coś niewykonalnego w życiu. Po wbiciu im do głowy tego przekonania podsuwam

im następnie różnorakie pokusy w zależności od tego, czy jest to kobieta, czy mężczyzna, od ich wieku oraz okoliczności, w jakich się znajdują.

G.T. Myślę, że telewizja jest jednym ze skuteczniejszych środków, jakie używasz w swojej diabelskiej pracy. Używana w słusznym celu może być ona źródłem dobra, używana źle może doprowadzić do wielu nieprawości. W późnych godzinach wieczornych wyświetlane są sceny nieprzyzwoite i perwersyjne. Masy telewidzów napełniają się sprośnościami, a wy, demony występne, trzymacie ich w waszych piekielnych sieciach i popychacie ich nie tylko do myśli i spojrzeń nieczystych, ale także o wiele dalej.

M. Wszyscy oni, jak dobrze ująłeś, znajdują się w mojej sieci, ale nie zdają sobie z tego sprawy, bowiem są omamieni nieczystymi przyjemnościami.

Myślisz, klecho, że telewizja i filmy są jedynymi narzędziami, którymi posługuję się w celu zapełnienia piekła? Jak pasterz cieszy się widokiem łąk porośniętych obficie świeżą trawą, tak ja raduję się, gdy patrzę na masy kobiet podążających za nowoczesną modą, szczególnie na plażach. Z niecierpliwością my, demony nierządu, czekamy na okres letni, aby jeszcze więcej ludzi związać sieciami nieczystości.

Ja jestem bardzo sprytny, aby osiągnąć swój cel w świecie, osłabiam autorytet rodziców, którzy są pierwszymi odpowiedzialnymi za nieprzyzwoity sposób ubierania się ich córek. Kobiety i dziewczyny noszące się bezwstydnie utwierdzam w przekonaniu, że nie robią nic złego, ponieważ obecnie prawie wszystkie tak się ubierają.

Podobnie wykorzystuję tych, którzy znajdują upojenie w tańcu, balach i dyskotekach. Również książki, które wzniecają pożądanie oraz gorszące zdjęcia są moją potężną bronią i często jej używam. Pisarze i dziennikarze wiedzą o tym, znają upodobania ludzi i dla chęci zysku umieszczają na kartach swoich powieści czy ilustrowanych magazynów nasiona nieczystości, które sami noszą w sercach. Tego typu lektura pobudza zmysły i pragnienie przyjemności w czytelnikach i w ten sposób liczba moich ofiar ciągle się powiększa.

G.T. Powiedz mi teraz, Melid, o taktyce, jaką stosujesz, pracując nad wypaczeniem ludzkich sumień, zmieniając na gorsze charaktery

wzrastających w rodzinach dzieci. W pierwszych latach życia chłopcy i dziewczynki są na ogół dobrzy, posłuszni, pilni w nauce, dają się prowadzić rodzicom do kościoła, są komunikatywni, ale jak tylko minie okres dzieciństwa, w miarę wzrastania, odchodzą od Sakramentów, lekceważą modlitwę, odczuwają antypatię, a nawet nienawiść do wszystkiego, co religijne.

M. Czyżbyś nie był, klecho, w stanie zrozumieć tych wszystkich zmian? Jak tylko minie okres dzieciństwa, wraz z wchodzeniem w okres dojrzewania człowiek zaczyna odczuwać przebudzenie pożądania. Dla mnie bronią nie do pokonania jest Łaska Boża, która przychodzi wraz z modlitwą, czuwaniem, wstrzeźliwością i dobrą wolą. Na szczęście nie wszyscy korzystają z tych środków, a kiedy zaczynam swoje intrygi, łatwo im ulegają i wpadają na przykład w narkotyki, a kiedy już to zrobią kilka razy, potrzeba kontynuowania jest tak silna, że nie mogą się jej oprzeć. Podobnie kiedy zakosztują nieczystości, wtedy już są prawie zawsze moi.

G.T. Jakiś czas temu zapytałem cię: „Co mi powiesz o młodzieży”?

M. Dzisiejsza młodzież jest w większości wyniszczona przez seks.

G.T. A co mi powiesz o rodzinach?

M. W rodzinach interweniuję na tysiące sposobów. Ty, klecho, dobrze o tym wiesz. Wiele nadużyć moralnych podarowują mi młodzi w swoim przedmałżeńskim życiu. W osiągnięciu tego pomagają mi także ich rodzice, którzy pozwalają młodym przebywać samotnie, zostawiają ich bez żadnego nadzoru, szczególnie w godzinach wieczornych, kiedy to młodzi wychodzą sobie na spacerki lub na przejażdżki samochodem. Wtedy to właśnie wykorzystuję tę chwilę, aby ich kusić i zmusić do upadku. Rodzice są zazwyczaj zainteresowani tylko tym, aby w dzień ślubu ich córka miała na sobie białą suknię. Liczba młodych, samotnych matek powiększa się z dnia na dzień, a to dlatego, że jestem bardzo sumienny i sprytny w wymyślaniu i podsuwaniu pokus.

Także w zawartych po Bożemu małżeństwach działam nieustannie: często udaje mi się sprawić, że rodzice nie chcą zaakceptować nowych dzieci i zabijają je w łonie matek. Ileż razy udaje mi się przez różne podstępny osłabić uczucie panujące między małżonkami i skierować serce mężczyzny ku innej, nieraz zamężnej kobiecie lub kobiecie ku innemu, też żonatemu mężczyźnie. Tak więc podsuwając pożądaną, doprowadzam małżonków do rozwodów, zabijając po drodze naturalną miłość rodziców do swoich dzieci. Owoce mojej diabelskiej pracy są naprawdę duże.

G.T. Teraz, Melid, żądam od ciebie odpowiedzi na moje ostatnie pytanie. Wiem, że nie będziesz chciał tego zrobić, ale rozkazuję ci.

M. Kim ty jesteś, aby mi rozkazywać?

G.T. Jestem marnym stworzeniem, ale jednocześnie Kapłanem i ministrem Boga. Przez autorytet Boga płynący z mojego kapłaństwa rozkazuję ci powiedzieć prawdę. Z odpowiedzi, których mi udzielałeś, można by sądzić, że cały świat z powodu niemoralnych czynów znajduje się w twoim posiadaniu. Jednak tak nie jest. Zło czyni więcej hałasu niż dobro, ale dobra jest znacznie więcej na świecie niż zła.

Czego najbardziej się boisz i nienawidzisz w ludziach dobrych i zwyciężskich w pokusach?

M. Dwóch rzeczy! Modlitwy i ucieczki od złych okazji.

G.T. A dlaczego boisz się tak bardzo modlitwy?

M. Bo jest ona pierwszym krokiem w stronę Boga, wyprasza liczne łaski i trudno jest mi przeciągnąć do siebie kogoś, kto dużo i wytrwale modli się. Wszyscy ci, którzy teraz znajdują się w piekle, nie modlili się albo też modlili się mało i niedbale. W sposób szczególny nienawidzę modlitwy kierowanej do tej Kobiety, której imienia my demony nigdy nie wymawiamy.

Drugą rzeczą, której nienawidzę, jest ucieczka i pogardzanie złymi okazjami. Moi niewolnicy nie tylko nie uciekają od pokus i złych okazji, ale sami ich poszukują i z pasją stwarzają co raz to nowe.

Jakie są dla mnie granice kompromisu?



Cytaty

JAN PAWEŁ II *Nie można iść na kompromis*, 10 marca 2002 r.
(fragment)

Ewangelia opowiada historię «człowieka niewidomego od urodzenia» (J 9, 1). Gdy ujrzał go Jezus, zrobił błoto ze śliny, nałożył je na jego oczy i powiedział: „Idź, obmyj się w sadzawce Siloe — co znaczy »Posłany On (...) odszedł, obmył się i wrócił, widząc” (por. J 9, 6-7).

1. Niewidomy od urodzenia to symbol człowieka naznaczonego grzechem, który pragnie poznać prawdę o sobie samym i o swoim przeznaczeniu, ale uniemożliwia mu to wrodzone zło. Jedynie Jezus może go uzdrowić: On jest „światłością świata” (J 9, 5). Zawierając Jemu, każdy człowiek „ślepy duchowo” od urodzenia może na nowo „ujrzeć światło”, to znaczy narodzić się do życia nadprzyrodzonego.

2. Opowiadając o uzdrowieniu niewidomego, Ewangelia wyraźnie podkreśla też niewiarę faryzeuszy, którzy odmawiają uznania cudu, ponieważ Jezus dokonał go w szabat, łamiąc, w ich przekonaniu, prawo Mojżeszowe. Dochodzi tu do wymownego paradoksu, który Chrystus podsumowuje w następujący sposób: „Przyszedłem na ten świat, aby przeprowadzić sąd, żeby ci, którzy nie widzą, przejrżeli, a ci, którzy widzą, stali się niewidomymi” (J 9, 39).

Ten, kto spotyka Jezusa, nie może iść na kompromis: albo uznaje potrzebę Jezusa i Jego światła, albo decyduje się żyć bez Niego. W tym ostatnim przypadku już samo wykluczenie Jezusa nie pozwala otworzyć się na autentyczne nawrócenie zarówno temu, kto uznaje się za sprawiedliwego w obliczu Boga, jak i temu, który uważa się za niewierzącego.

3. Drodzy bracia i siostry, niech nikt nie zamyka swej duszy przed Chrystusem! On tym, którzy Go przyjmują, daje światło wiary, światło zdolne przemienić serca, a w konsekwencji — sposób myślenia, sytuacje społeczne, polityczne, ekonomiczne, zdominowane przez grzech. „Wierzę, Panie!” (J 9, 38) — niech każdy z nas będzie gotowy, podobnie jak ów niewidomy od urodzenia, wyznać z pokorą, że chce przyłączyć się do Niego.

MONIKA BIAŁKOWSKA – *Świętość bez kompromisu* (fragment)

26 sierpnia mija sto lat od dnia, gdy przyszła na świat w Skopje. Dziś nie ma chyba na świecie człowieka, który by nie znał jej imienia i nie kojarzył małej postaci w biało-niebieskim sari: Matki Teresy z Kalkuty.

Radykalnie

Matka Teresa nie szła na ustępstwa i na kompromisy. Biedni byli najważniejsi, bo do tego właśnie potrzebował jej Jezus.

Kiedy otrzymała Nagrodę Nobla, wszystkie pieniądze przeznaczyła na najuboższych, łącznie z tymi, za które miał być wyprawiony bankiet po uroczystości wręczenia nagrody. Podczas przemówienia, które rozpoczęła znakiem krzyża, powiedziała: „Jeśli usłyszycie, że jakaś kobieta nie chce urodzić swojego dziecka i zamierza je usunąć, starajcie się przekonać ją, aby mi je przyniosła. Ja je będę kochała, widząc w nim znak Bożej miłości”.

Kiedy siostry pytały ją, co mają zabrać, jadąc do Wenezueli, odpowiadała: serce i ręce. W nocy modliła się przed Najświętszym Sakramentem, a kiedy siostry prosiły ją o zgodę na wydłużenie dnia pracy, zgodziła się pod warunkiem, że o tyle samo wydłużą również czas swojej modlitwy. Sama nieustannie chodziła z różańcem, a kiedy ktoś zapytał ją, ile różańców dziennie odmawia, w odpowiedzi usłyszał: „Ja tylko odmawiam, liczy Matka Boża”. Kiedy na przejściu granicznym w Gazie żołnierz zapytał, czy ma przy sobie broń, odpowiedziała, że oczywiście — ma przy sobie modlitewnik. I sama wspominała, jak na początku swojej pracy zachorowała i zaczęła majaczyć w gorączce. Miała wrażenie, że stanęła przed św. Piotrem, który nie chciał jej wpuścić, bo w niebie nie ma slumsów. Ona rozgniewała się wówczas i odpowiedziała Piotrowi: „Dobrze! W takim razie napełnię niebo biedakami i będziecie tu mieć slumsy, a wtedy będziecie musieli mnie przyjąć!”. Słowa dotrzymała.

KONWERSATORIUM XLII (20 listopada 2011)

Jakie są dla mnie granice kompromisu?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii im. bł. Edmunda Bojanowskiego), Andrzej Mastalerz (aktor), Andrzej Filipiak (doradca finansowy), Jerzy Kijowski (profesor w Centrum Fizyki Teoretycznej PAN oraz profesor, nauczyciel akademicki w Katedrze Fizyki UKSW), Krzysztof Haman (emerytowany profesor zwyczajny w Zakładzie Fizyki Atmosfery, IGF UW, członek korespondent PAN).

Ks. Adam Zelga

Pytanie o granice kompromisu zadaje sobie każdy. Stajemy przed nim każdego dnia, w najróżniejszych sytuacjach, także w tych prostych, codziennych. Jest to pytanie związane z wyborem wartości. Poprosimy teraz o wypowiedzi naszych gości i o ich świadectwa. Czy kompromis jest dozwolony? Jakie ma granice?



Paneliści: ks. Adam Zelga, Andrzej Filipiak, Krzysztof Haman
i Andrzej Mastalerz

Andrzej Filipiak

O kompromisie można mówić w różnych dziedzinach życia. Ja chciałem się podzielić granicami kompromisu w kontekście zawodu, który wykonuję. Jestem doradcą finansowym, a równocześnie niezależnym, samodzielnym przedsiębiorcą. Funkcjonuję więc w sferze biznesu i w sferze finansów. Sfery te budzą szczególne emocje i istnieje opinia, że w tych dziedzinach trzeba iść na daleko idące kompromisy, podobnie jak w polityce. Pierwsze konwersatorium pięć lat temu, które rozpoczęło cykl spotkań, było poświęcone pytaniu, czy warto angażować się w politykę, która jest często postrzegana jako dziedzina moralnie podejrzana. Ojciec Święty Jan Paweł II bardzo wyraźnie określił tutaj swoje stanowisko. Uznał, że w takich sferach, jak polityka, biznes, przedsiębiorczość nie może zabraknąć chrześcijan. W tym kontekście ja także odczytuję swoje miejsce w zawodzie doradcy finansowego.



Andrzej Filipiak

Chciałbym powiedzieć o trzech sferach mojego codziennego życia, w których widzę zagrożenie przekraczania granic, których chrześcijaninowi nie wolno przekraczać albo których przekraczanie staje się niebezpieczne dla jego chrześcijańskiej tożsamości.

Odwołam się tutaj do naczelnej wartości chrześcijaństwa, czyli do miłości w trzech sferach: mądrej miłości samego siebie, miłości Pana Boga i miłości drugiego człowieka. Zagrożenia, jakie widzę w swoim życiu zawodowym i w swojej pracy, zawierają się w tych trzech sferach. Granice kompromisu, o których mówimy i które sobie stawiam, pozwalają mi zachować szacunek do siebie samego, który jest wyrazem mądrej i roztropnej miłości siebie samego, miłości do Pana Boga i miłości do drugiego człowieka – agape w rozumieniu chrześcijańskim.

Praca w biznesie i praca w finansach jest zajęciem niezwykle czasochłonnym, które ogromnie angażuje człowieka. Jest w nim olbrzymia dawka stresu, ale też wielka pokusa, by całkowicie koncentrować się na tym zajęciu. Można zupełnie zatracić się w sprawach zarabiania pieniędzy i obracania pieniędzmi w celu optymalnego ich wykorzystania. Z tą pracą wiąże się dyspozycyjność wobec przełożonych lub, jak w moim przypadku, dyspozycyjność wobec klientów, czyli konkretnych ludzi, z którymi się często spotykam i którzy chcieliby mieć stały kontakt ze swoim doradcą, niezależnie od pory dnia czy tygodnia, weekendu, wakacji, a nawet świąt. Jeżeli człowiek nie potrafi postawić sobie granic, to ryzykuje, że stanie się jednowymiarowy i zupełnie zaniedba te obszary, które decydują o tym, że jest pełnowartościowym człowiekiem. Nie będzie miał już czasu na relacje z innymi ludźmi, na kulturę, sport, odpoczynek itp. Jest to dylemat, przed którym człowiek staje niemal każdego dnia. Jest to nieustanna walka ze sobą samym o wyznaczenie tych granic. Z mojego doświadczenia wynika, że trzeba podejmować bardzo konkretne, często radykalne decyzje, aby się w tym nie zatracić.

Chciałbym podać konkretny przykład, co robię, żeby te granice postawić i ustanowić pewną przestrzeń, w której jestem w stanie funkcjonować i rozwijać się jako człowiek, poza sferą zawodową. Ten czas nazywam „świętymi weekendami”. Weekend jest dla mnie okresem, w którym zasadniczo nie pracuję i staram się odrzucać wszelką pokusę zaangażowania się w tym czasie w pracę zawodową. Specyfiką mojego zawodu jest ciężka praca we wszystkie poprzednie dni tygodnia, często nawet do późnych godzin wieczornych. Aby chronić weekend, staram się w tym czasie nie odbierać telefonów, nie czytać maili. Weekend to jest dla mnie czas na spo-

tkania z bliskimi osobami, to jest czas na kulturę, na dobrą książkę, film, na funkcjonowanie też w innych sferach, które sprawiają, że jestem człowiekiem i że się mogę rozwijać.

Drugą „przeźrenią” dla mnie bardzo istotną są, co dwa-trzy miesiące, okresy kilkudniowego całkowitego oderwania się od pracy, wyrwania się, wyjazdu, najczęściej poza miejsce zamieszkania, zupełnego odcięcia się od świata zawodowego. Jest to niezbędna dla mnie granica, której przekroczenie, pozbawienie siebie tego, oznaczałoby zagubienie się w tym zagonionym, często znerwicowanym świecie finansów. Tak w skrócie widzę roztrofną miłość samego siebie i stawiania sobie granic.

A teraz kilka słów o miłości Pana Boga. Tutaj chyba zagrożenia są jeszcze większe. Miłość Pana Boga wyrażam przede wszystkim w czasie, który przeznaczam na modlitwę. Muszę przyznać, że ta codzienna walka o czas na modlitwę, na spotkanie z Bogiem, w tym tempie życia, w tego rodzaju pracy, jest bardzo dużym wyzwaniem.

Niedziela jest dla mnie przede wszystkim dniem dla Boga, jest dniem absolutnie świętym. Podstawą jest niedzielna Eucharystia, ale jest to też czas na lekturę Pisma Świętego, na jakieś czytanie duchowe. Staram się, aby niedziela była tym czasem, w którym rzeczywiście przybliżam się do Pana Boga. W niedzielę trochę nadrabiam modlitewne zaległości tygodnia.

Bardzo trudna jest walka o codzienną modlitwę, a przecież na niej spotykam się z Panem Bogiem i buduję własną z Nim relację. Jest to szczególnie trudne, jak wracam późno do domu od klientów, nieraz o godzinie 23 czy 24. Specyfika mojej pracy polega na tym, że spotykam się z małżeństwami, które preferują spotkania wieczorne, kiedy dzieci już śpią i dopiero wtedy można spokojnie porozmawiać. To jest zrozumiałe. Czasami w ciągu dnia znajdę moment, żeby wejść do kościoła i przykleknąć przed Najświętszym Sakramentem, czasem trafię na krótką, półgodzinną Eucharystię lub uda mi się odmówić dziesiątek różańca, kiedy jadę w jakimś środku komunikacji miejskiej.

Pewną granicą nieprzekraczalną, a bardzo dla mnie ważną w relacji z Panem Bogiem, jest cotygodniowy udział w grupie modlitewnej. Jest to dla mnie trudne, gdyż spotkania odbywają się w poniedziałkowe wieczory, czyli w czasie najlepszym na pracę z klientami. Jest to wieczór wyjęty z normalnego grafiku pracy, ale staram się tego bardzo ry-

gorystycznie pilnować, żeby ten jeden wieczór był dla Pana Boga, był rodzajem ofiary, daru dla Niego. To spotkanie modlitewne jest kluczową dla mnie sprawą dla podtrzymywania relacji z Panem Bogiem, żeby nie przekroczyć granic, które pozwalają człowiekowi trwać w swojej chrześcijańskiej tożsamości.

Ostatnią sferą, w której trzeba stawiać sobie granice, jest miłość do drugiego człowieka, relacja z drugim człowiekiem. W mojej pracy wyraża się ona przede wszystkim podejściem do niej jako służby, jako pomocy drugiemu człowiekowi. Praca ma o tyle dla mnie sens, o ile jest pomaganiem, jest formą służenia drugiemu człowiekowi. Równocześnie wymaga ona ode mnie, aby być bezwzględnie uczciwym, rzetelnym w wykonywaniu swojej pracy i kompetentnym. Brak kompetencji powoduje często realną krzywdę człowieka. Mimo że nie jest to medycyna, gdzie brak kompetencji może pociągać ze sobą tragiczne skutki, to finanse rodziny to też kwestia często bardzo istotna, dotycząca kluczowych spraw dla rodziny i brak kompetencji jest po prostu brakiem miłości do człowieka. Można w ten sposób wyrządzić konkretną krzywdę ludziom.

W sferze, o której mówię, widzę dwa zagrożenia. Pierwsze zagrożenie to pokusy, które są w człowieku. Pokusy zarabiania więcej pieniędzy, pokusy chciwości. Branie na siebie coraz więcej pracy, oferowanie nienajlepszych rozwiązań dla klienta, pośpiech po to, żeby zarobić więcej. Drugie zagrożenie w sferze finansów, które może odgrywać istotną rolę, to są bardzo konkretne naciski przełożonych czy instytucji. Na przykład, są to wymagania, które stawia instytucja finansowa, dotyczące planów sprzedażowych. Jeżeli człowiek musi się do nich dostosować, to jego granice kompromisu wystawione są często na dużą próbę.

Kiedy postanowiłem zostać doradcą finansowym, to postawiłem pewne wymagania, żeby tych pokus uniknąć. Już na rozmowie kwalifikacyjnej, gdy decydowałem się, czy podejmę się pracy w tym zawodzie, powiedziałem, że jest dla mnie jedna rzecz zupełnie kluczowa i bez spełnienia tego warunku nie podejmę się tej pracy: całkowita wolność wyboru dla moich klientów takich rozwiązań, które ja osobiście uznaję za najlepsze, według swojej najlepszej wiedzy i według swojego rozpoznania i swojego sumienia. To była granica dla mnie nieprzekraczalna. Nie wyobrażam sobie pracy w instytucji finansowej, która by mi nie zapewniła takiej przestrzeni,

takiej wolności. Wręcz nie wyobrażam sobie jakichkolwiek nacisków ze strony przełożonych i instytucji, które zmuszałyby mnie do zachowań *de facto* niemoralnych, czyli oferowania produktów, które nie są dobre dla klienta, nie są dla niego najlepsze. Miałem szczęście, że instytucja, z którą współpracuję, przystała na moje warunki, nie są wywierane na mnie żadne naciski, mam zagwarantowaną niezależność i wszystko zależy tylko i wyłącznie od mojego sumienia i mojej kompetencji. Zdawałem sobie również sprawę, że aby postawiony warunek spełnić, nie mogę być pracownikiem etatowym, np. korporacji, tylko muszę być samodzielnym przedsiębiorcą. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie można być chrześcijaninem, pracując etatowo w dużej korporacji finansowej, bo po prostu nie mam takiego doświadczenia. Jednak pozycja niezależnego przedsiębiorcy, który sam decyduje o sobie, o swoim czasie jest dla mnie olbrzymią wartością. Nie ma on, w rozumieniu kodeksu pracy, przełożonego, który może na drodze służbowej wymagać pewnych konkretnych nieetycznych zachowań. Mając już doświadczenie bycia niezależnym przedsiębiorcą, jedynie współpracującym z instytucją finansową na zasadzie partnerskiej, nie bardzo wyobrażam sobie inne rozwiązanie, w którym mógłbym zachować wartości, które wyznaję.

Żeby nie przekroczyć wyznaczonych sobie granic, konieczna jest nieustanna autorefleksja, gdyż każdy człowiek ma tendencję do racjonalizowania swoich złych wyborów. Na przykład, wybieram jakieś rozwiązanie, które jest nieco lepsze finansowo dla mnie, ale nieco gorsze dla klienta i pojawia się natychmiast pokusa racjonalizowania i myśl: „to tak naprawdę nie jest dla klienta gorsze, to jest też bardzo dobre rozwiązanie”. Konieczna jest nieustanna świadomość i czuwanie nad samym sobą, pogłębiona autorefleksja, czy na pewno rozwiązanie, które proponuję, ma na celu dobro człowieka, dobro jego rodziny, jego dzieci, a nie jakiś mój interes finansowy. Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że natura ludzka jest skażona grzechem pierworodnym i że nie jesteśmy aniołami. Przy każdej decyzji musimy zadawać sobie na nowo pytanie, czy jest ona najlepsza dla drugiego człowieka, naszego klienta.

Krzysztof Haman

Jestem byłym profesorem zwyczajnym w Instytucie Geofizyki Uniwersytetu Warszawskiego, obecnie na emeryturze, ale w tym zawodzie przejście na emeryturę nie oznacza ustania aktywności zawodowej i ciągle mam problemy związane z kompromisami. W kompromisach możemy mieć do czynienia z dwiema wartościami o pewnej stopniowości, gradacji (a nie o strukturze zero-jedynkowej: jest – nie ma), a przedmiotem kompromisu może być cena w sensie materialnym i moralnym. Na przykład, w rodzinie chodzi o podział obowiązków, powiedzmy między mężem, żoną i dziećmi. Wartością, o którą tu chodzi, jest wolny czas dla każdej ze stron, a przedmiotem kompromisu są obowiązki, którymi trzeba się podzielić. Chodzi o wyważenie (oczywiście kosztem czasu), aby każda strona jakiś czas dla siebie miała. Drugą wartością tego kompromisu jest spokój w domu. Gdy któraś ze stron jest zbyt obciążona, to jest zła i mogą wybuchać w domu awantury, jeżeli jednak wypracujemy kompromis między stronami, to każdy ma swój zysk, choć ograniczony, i nie ma podstaw do konfliktów.



Krzysztof Haman, obok Jerzy Kijowski

Czasem kompromis jest wyłącznie wewnętrzny, czyli taki, który dotyczy tylko mnie albo osób które reprezentuję (bo czasem są to decyzje grupowe – dotyczące kompromisu między grupami). Jeżeli chodzi o ten pierwszy rodzaj, to zdarza się czasem taka sytuacja w życiu codziennym. Na przykład: chciałbym sobie pooglądać telewizję w jakimś większym nieco wymiarze, jednocześnie lubię mieć w domu porządek, a jest bałagan. Muszę więc albo poświęcić czas, żeby zrobić porządek kosztem oglądania telewizji, albo zrezygnować z porządku i oglądać telewizję. Jest jeszcze trzecie wyjście kompromisowe: zrobić trochę porządku, nie do samego końca, ale tak, żeby dało się żyć, a w telewizji nie obejrzeć wszystkiego, co bym chciał, ale najważniejsze rzeczy. To jest przykład kompromisu wewnętrznego. I takich kompromisów mamy całe mnóstwo na każdym kroku. Musimy rozstrzygać o wyborze między jakimiś wartościami, które byśmy chcieli uzyskać, ale nie możemy ich uzyskać w pełni i musimy je jakoś pogodzić w różnych proporcjach.

Są sytuacje, w których kompromisy zawierają ze sobą całe grupy, wręcz całe społeczności. Każda ma swoją wartość, o którą walczy. Przy zawieraniu kompromisu chodzi o uzyskanie takiego rozwiązania, które dla każdej ze stron wprawdzie nie będzie w pełni satysfakcjonujące, ale jednak do przyjęcia. Natomiast pojawia się trzecia dodatkowa wartość, że nie pojawia się konflikt siłowy, który może przynieść dodatkowe koszty i straty. Poza tym trzeba pamiętać jeszcze o jednym, że zarówno kompromis przyjęty w takim układzie, jak i krańcowy przypadek braku takiego kompromisu może również kosztować osoby trzecie, które w ogóle nie są w ten konflikt zaangażowane. W polityce jest wiele tego rodzaju przykładów, które można podać. Powiedzmy w 1939 roku niewątpliwie istniał konflikt interesów między hitlerowskimi Niemcami i Związkiem Radzieckim. Pewien kompromis w postaci paktu Ribbentrop-Mołotow został zawarty, ale koszt jego poniosła Polska i Kraje Bałtyckie. To jest przykład wielkiego kalibru, ale w naszych wewnętrznych drobnych sprawach też tego rodzaju sytuacje mogą wystąpić, w których również trzeba pamiętać o potencjalnym koszcie dla trzeciej strony. Z kompromisem, zarówno jak i z jego brakiem, co jest też pewnego rodzaju kompromisem, ale przechylonym w tę a nie inną stronę, wiąże się pewne ryzyko. Może też dojść do sytuacji, że uzgodnienie kompromisu okaże się „zgniłym kompromi-

sem”, z którego na dobrą sprawę nikt nie korzysta, ewentualnie korzyści są, ale inne niż pożądane (np. mąż chce spędzić urlop w górach, żona nad morzem, a w ramach kompromisu nie wyjeżdżają nigdzie). Także postawa bezkompromisowa może generować znaczny koszt, choć nie zawsze musi. Trzeba uwzględnić poziom ryzyka, który jesteśmy w stanie zaakceptować przy rozpatrywaniu takiej czy innej granicy kompromisu.

Granice kompromisu w takich sytuacjach, gdzie są dwie strony, mogą być różnie przez nie ustalone. Jeżeli te granice są od siebie odsunięte, dochodzi do sytuacji konfliktowej, a w krańcowych przypadkach może dojść do rozstrzygnięcia jej przemocą. Przykłady utrudnienia dojścia do kompromisu przy daleko odsuniętych granicach widzimy w handlu. Ten, co sprzedaje, stawia granice cenowe, poniżej których nie chce zejść, a druga strona, kupująca, stawia granice maksymalnej ceny, którą jest gotowa zapłacić. Jeżeli te granice na siebie zachodzą, to targu da się dobić. Jeżeli są od siebie oddalone, to do sprzedaży nie dojdzie i obie strony mogą na tym zyskać, ale mogą też stracić. Mogą zyskać, bo nie doszło do niekorzystnej dla obu stron transakcji, ale mogą stracić, bo kupujący nie dostanie tego, czego szukał, a sprzedawca zostanie na lodzie z niesprzedanym towarem. Powstaje więc pytanie, jak te granice w konkretnej sytuacji trzeba ustawiać. W matematyce jest teoria gier, która zajmuje się rozwiązywaniem tego rodzaju przypadków w odniesieniu do wartości, które są na tyle mierzalne, że można stosować do nich metody matematyczne. W naszej dyskusji, jak rozumiem, chodzi raczej o granice kosztów moralnych, jakie mogą być związane z ewentualnym kompromisem. To jest oczywiście trudno mierzalne, można tylko szacować poziom tych kosztów moralnych. Na pytanie o dopuszczalne granice kompromisu moralnego nie byłbym w stanie dać uniwersalnej odpowiedzi bez rozpatrzenia konkretnej sytuacji, o którą chodzi. Mogę jedynie wskazać wartości, które wyznaczają takie granice. Oczywiście istnieją wartości, które przedmiotem kompromisu absolutnie być nie mogą, a przynajmniej nie powinny. Nie chciałbym o nich mówić, ponieważ mają bardzo osobisty charakter. Ale chciałbym wspomnieć o takich nieco mniej absolutnych wartościach, które trzeba brać pod uwagę. Takich wartości jest bardzo dużo.

Należałoby zwrócić uwagę na dwie wartości, które są powszechne. To jest prawda i uczciwość. Zdecydowanie nie lubię, jeżeli kompromis ma być zawierany kosztem prawdy i uczciwości, szczególnie w moim osobistym interesie. Jednak kłamstwo, jak i nieuczciwość mogą być różnej wagi. Czasem dość drobnej, a po przeciwnej stronie może wchodzić w grę wartość bardzo dużego kalibru. Czasem to jest wartość dotycząca nie mnie, tylko kogoś innego i wtedy jest problem, że koszty kompromisu czy bezkompromisowości ponosi ktoś inny. Są to moim zdaniem, sytuacje szczególnie trudne i niełatwo jest podjąć jakąś zgodną z sumieniem i rozsądkiem decyzję. Takie sytuacje mogą mieć miejsce w przypadku lekarza lub bliskiej osoby, która ma powiedzieć lub ukryć przed chorym fakt nieuleczalnej choroby. W moim przypadku tego rodzaju problemy miałem przede wszystkim jako recenzent prac naukowych, z którymi miałem dość dużo do czynienia. Pracowałem przez wiele lat w Centralnej Komisji do spraw stopni i tytułów naukowych. Czasem dostawałem do recenzji pracę, która była bardzo słaba i, uczciwie rzecz biorąc, należałoby ją zdyskwalifikować. Uczciwie – w sensie moich obowiązków zawodowych jako recenzenta. Rozpatrując jednak trudną osobistą sytuację autora czy jednostki badawczej, w której pracuje, gdybym dał tak ostrą, dyskwalifikującą recenzję, mógłbym postawić w bardzo trudnej sytuacji życiowej tę osobę czy tę instytucję; w sytuacji znacznie trudniejszej, niż sprawa była tego warta. W takich przypadkach jest mi bardzo trudno podjąć decyzję, czy trzymać się twardo kryterium prawdy i uczciwości, czy jednak, w pewnym sensie, wyrozumiałości i liwości dla autora pracy. Podobne sytuacje są znane urzędnikom państwowym. Urzędnik zgodnie z kryteriami uczciwości urzędniczej powinien trzymać się twardo przepisów, które go obowiązują, do przestrzegania których się zobowiązał. Jednak, jak sami Państwo wiecie, przepisy bywają czasami idiotyczne i zdrowy rozsądek nakazywałby, żeby jakoś je obejść czy wręcz zlekceważyć. Staje więc problem, jak w takim przypadku potraktować kryterium uczciwości. Mnie osobiście się wydaje, że kryteria prawdy i uczciwości są bardzo ważne i trzeba wysoko ten poziom ustawiać, ale ze zdrowego rozsądku też nie można rezygnować i też musi być on czynnikiem, który przy stawianiu granic kompromisu powinien być brany po uwagę.

Jerzy Kijowski

Spróbuję odegrać rolę *advocatus diaboli*. Myśląc o kompromisie, uświadomiłem sobie, że gdybym stawiał sobie granicę kompromisu w moim małżeństwie, to zapewne przetrwałoby ono może... rok, a nie już prawie 46 lat. Również uświadomiłem sobie, że gdy Pan Jezus mówi, że nie 7, ale aż 77 razy trzeba przebaczać, to w gruncie rzeczy, używając dzisiejszego języka, powiedzielibyśmy, że nie należy w ogóle stawiać granic kompromisu. Co to jest kompromis? To jest wzajemna rezygnacja ze swoich racji w celu zażegnania konfliktu. Patrząc więc od tej strony, powiedziałbym – nie ma granic kompromisu. Jestem gotów do jak najdalej idącego kompromisu. No dobrze, w takim razie o czym mamy dyskutować? Co autor miał na myśli, formułując pytanie o granice kompromisu? W sferze jakich wartości? Może chodzi po prostu o uczciwość? Przypuśćmy, że jestem kontrolerem biletów w pociągu i spotykam znajomego, który jedzie bez biletu. Skoro jestem bezkompromisowy, to mu wlepię mandat, a jeśli jestem kompromisowy i on powie: „Jasiu, nie wygłupiaj się” co wtedy zrobię? A co zrobię, gdy jestem kontrolerem stanu technicznego jakiegoś pojazdu?



Jerzy Kijowski

Parę tygodni temu złamały się maszty w żaglowcu o dumnej nazwie „Fryderyk Chopin”, przy wietrze o sile 9 w skali Beauforta – w języku angielskim to jeszcze nie jest sztorm, tylko „gale”. Jeżeli przy dziewiątce łamią się maszty, to co by było przy dziesiątce albo i jeszcze silniejszym wietrze? Ktoś był tam, najwyczejajniej w świecie, nieuczciwy, albo ten, kto sprawdzał, albo ten, kto projektował, lub też ten, kto wykonywał. Przykłady z żeglarstwa są mi bliskie, bo często żegluję.

W Sztokholmie jest muzeum statku Vasa. Był to największy statek marynarki szwedzkiej w XVII wieku, który został wodowany w 1628 roku. Został on zbudowany przeciw Polsce, do wojny z Polską. Cała ludność z królem i senatem stała na brzegu, gdy on dumnie wypływał z portu, po czym spokojnie się przechylił i poszedł na dno. 300 lat później statek wydobyto i jest on bardzo interesującym eksponatem, ponieważ wszystko się na nim zachowało. Nasuwa się pytanie, dlaczego nastąpiła katastrofa? Co ją spowodowało? Może kompromis? Król przychodził i wciąż wymuszał jakies zmiany. Szwedzi znakomicie umieli budować statki, ale król mówił: wiecie co, panowie? Może jeszcze jeden rząd armat, żeby tym Polakom dołożyć, może więcej żagli, żeby statek szybciej płynął. Oni odpowiadali królowi, że nie mogą, ale król naciskał i w końcu ulegali. Gdy po katastrofie odbywał się proces, wszyscy budowniczowie zostali uniewinnieni.

Jeśli ktoś pracuje w reklamie i ma zachęcać ludzi, żeby pili więcej wódki, to ma trudną sytuację, ale nie rozpatrywałbym tego na płaszczyźnie kompromisu, ale raczej czy jestem uczciwym człowiekiem, czy też nie. Często ludzie nazywają to kompromisem, bo próbują się usprawiedliwić. Jednak trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że Pan Jezus nam nie obiecywał, że będzie łatwo. Nie ma nic za darmo. Jeśli się chce iść droga uczciwą, to czasami trzeba podejmować trudne decyzje i nie usprawiedliwiać się tym, że inaczej nie można było i trzeba było zawrzeć kompromis. Nie mieszałbym tutaj pojęcia kompromisu, chodzi o to, że musimy być uczciwi w swoim życiu.

Więc o co chodzi z tym kompromisem? Może chodzi o dziedzinę, którą bym nazwał szacunkiem dla prawa, norm i przepisów. Jeżeli jesteśmy bezkompromisowi, to gdy jest napisane na znaku drogowym 60 km/h, to jedziemy 60 km/h, a jeśli idziemy na kompro-

mis, to jedziemy 70 km/h lub może odrobinę więcej. Szacunek dla norm to jest w dużej mierze sprawa kultury i w różnych społeczeństwach jest z tym różnie. W Niemczech tradycyjnie przestrzega się przepisów, we Włoszech nie leży to w tradycji kultury kraju. W Polsce model jest mieszany, w którym przyjmujemy najgorsze cechy modelu niemieckiego i najgorsze modelu włoskiego. Kto w Niemczech wejdzie na jezdnię przy czerwonym świetle, to ryzykuje śmiercią i to dla dobra społecznego, żeby następny wiedział, że tak nie można. Z kolei we Włoszech gdy matka z pięciorgiem dzieci, w tym jedno przy piersi, wejdzie przy czerwonym świetle, może iść bardzo bezpiecznie, ponieważ nikt nie przestrzega przepisów, ale każdego, kto idzie po jezdni, trzeba szanować. A u nas raczej bierzemy najgorsze elementy z tych obu systemów.

Warto zastanowić się, jak kompromis ma się do stałości poglądów. Bezkompromisowym nazwalibyśmy człowieka, który ma stałe poglądy i bardzo trudno mu przychodzi je zmieniać, a o człowieku, który często je zmienia, powiedzielibyśmy, że idzie na kompromisy. Oczywiście można tutaj przypomnieć, że tylko krowa nie zmienia poglądów. Równocześnie chcielibyśmy, żeby nasze dzieci, uczniowie, wychowankowie nie zmieniali poglądów. Będąc nauczycielem i wychowawcą w harcerstwie i Przymierzu Rodzin, wpajałem jakieś wartości, starałem się kształtować ludzi i bardzo bym chciał, żeby oni byli wierni tym poglądom. Żebym mógł sobie powiedzieć, że są to ludzie przeze mnie ukształtowani. Z drugiej strony, kiedy przychodzą do nas ludzie o innych poglądach, to bardzo byśmy chcieli zmienić ich poglądy i przekonać ich do swoich racji. Tak więc sądzę, że kompromisowość bądź bezkompromisowość to są pojęcia z nieco innej dziedziny. W pewnych dziedzinach mogę powiedzieć, że nie zmieniłem poglądów od dawien dawna, w innych przekonałem się, że nie miałem racji i jestem dumny z tego, że zmieniłem pogląd, że być może jestem mądrzejszy niż dawniej. Trzeba umieć zmieniać poglądy. Nie można żyć w wieży z koci słońcowej i tylko konfrontować pasujące poglądy.

Może chodzi o nieustępliwość: musimy być nieustępliwi. Przykładem takiej bezkompromisowości była wojna trzydziestoletnia. Wtedy w Europie istniały dwa silne bloki religijno-polityczne. My, katolicy, wiedzieliśmy, że mamy rację i byliśmy nieustępliwi, podobnie przeciwnicy. W ciągu kilkudziesięciu lat 2/3 ludności Nie-

miec zmarło bądź zostało zabitych. Potem został zawarty kompromis. Patrząc na ten kompromis, myślimy o nim: obrzydliwy. *Cuius regio, eius religio* (czyja władza, tego religia) – aż się pięści zaciskają, jak można taką zasadę wprowadzić. Tyle tylko, że w ten sposób zastopowano ciąg ludobójstwa, który trwał nieustannie 30 lat i tu konstatujemy, że ten zgniły, obrzydliwy kompromis przyniósł ze sobą jakąś wartość.

Po tak przeprowadzonej analizie doszedłem do wniosku, że jedyna interesująca dziedzina, o której mógłbym coś sensownego powiedzieć, to bezkompromisowość polityczna w okresie komunistycznym. Zmuszano nas do rozmaitych rzeczy, a myśmy się poddawali w mniejszym lub większym stopniu, choć czasami nam się wydaje, że w im mniejszym, tym było lepiej. W tej dziedzinie jesteśmy słynni – byliśmy społeczeństwem mało pokornym, bezkompromisowym. Rzeczywiście była to wartość, która dała impuls do ogromnych zmian politycznych, które zaszły w całej Europie.

Jestem bardzo dumny z tego, że właśnie Polska odegrała taką rolę. Ale z drugiej strony, przypominam sobie pewne wydarzenie z roku 1986, czyli trzy, cztery lata przed tymi wielkimi zmianami w Europie: reżim pragnąc uzyskać pełną legitymizację, zorganizował referendum z banalnym pytaniem, na które narzucała się pozytywna odpowiedź. Ale taka odpowiedź oznaczałaby właśnie poparcie dla władzy. Jedyne sensowne wyjście polegało na tym, żeby zbojkotować to referendum. Wtedy byłem bardzo zaangażowany w Przymierze Rodzin w naszej parafii na Rakowcu. Wydawało nam się, że zbudowaliśmy takie mikroskopijne „Państwo Boże”, że tworzymy jedną rodzinę. Kiedy organizowaliśmy obóz Przymierza Rodzin, to było w nim 20 podobozów, a w każdym około 20 osób. Wydawało nam się, że mamy rząd dusz tej parafii. Tymczasem pamiętam, jak w niedzielę, w dzień referendum, po Mszy świętej ogromny tłum wychodził z kościoła i równiutko szedł do szkoły obok, żeby głosować. Rozmawiałem wtedy z wieloma ludźmi: co się stało, dlaczego? Otrzymałem taką odpowiedź: „bo wie pan, panie Jurku, nie wiadomo, może z pracy wyrzucą”. Ja na to: „skąd będą wiedzieli, będą kontrolować?” W sumie nie powinniśmy się tak za bardzo chełpić, że jesteśmy aż tak bezkompromisowi. Moim zdaniem, był to nieuzasadniony kompromis.

Ponieważ ksiądz nazwał te nasze wypowiedzi świadectwem, to ja sobie uświadomiłem, że na razie żadnego świadectwa nie dostarczyłem. Żyłem w czasach, kiedy widać było, że system komunistyczny się wali, że nie funkcjonuje, ale jeszcze ciągle ma siłę. Przeżyłem wiele takich momentów, kiedy jak w piosence z kabaretu studio 202 tliła się nadzieja, a potem szybko umierała. Bardzo mocno przeżyłem wypadki roku 68. Działiałem wtedy bardzo czynnie w harcerstwie. 1968 rok był dla mnie jednym z najsilniejszych przeżyć politycznych, kiedy wydawało mi się, iż zapadła tak czarna noc, że nie wiem, czy ją przeżyję. Myślałem wtedy o wyjeździe w Bieszczady i zajęciu się hodowlą owiec, bo zbyt ciężkie było obserwowanie, jak te iskierki swobody zostają brutalnie tłumione. Wtedy od trzech lat pracowałem już jako asystent na Uniwersytecie Warszawskim, już miałem mocno zaawansowaną pracę doktorską, no i w maju 68 roku najpierw dostałem naganę, potem zostałem zawieszony w prawach pracownika i już wiadomo było, że dostanę proces dyscyplinarny, który być może zakończy się wyrzuceniem mnie z pracy.

Pracowałem na wydziale matematyczno-fizycznym, na którym nie odczuwałem ciśnienia, żeby iść na jakieś kompromisy, zawsze mogłem mówić to, co myślałem. Miałem wrażenie, że moi koledzy też mówią to, co myślą i to była taka enklawa wolności. Wyobrażam sobie, że gdybym pracował w gminnej spółdzielni, w jakiejś małej miejscowości, to zapewne odczuwałbym znacznie większe ciśnienie polityczne. Jednak otrzymałem naganę, byłem zawieszony w prawach pracownika i wisiał nade mną proces dyscyplinarny. Pomyślałem wtedy, że sam zrezygnuję z pracy i wyjadę w Bieszczady. Jednak moi profesorowie postanowili mnie bronić. Zanim doszło do komisji dyscyplinarnej, obiecałem jednemu z nich – rzecznikowi komisji dyscyplinarnej, zatem temu, który odgrywał rolę prokuratora, że nic nie będę mówił w czasie posiedzenia komisji. Tak jak obiecałem, nie zabierałem głosu i proces dyscyplinarny zakończył się decyzją, że dadzą mi naganę, ale mnie nie wyrzucą z pracy. Na koniec podsunęto mi do podpisania oświadczenie, że jestem niewinny i że odcinam się od różnych działań, również antypaństwowych. Gdy to przeczytałem, „krew mnie zalała” i powiedziałem, że mam w nosie oświadczenie, nie będę takich głupot podpisywał. Zepsułem wszystko i cała historia trwała jeszcze pół

roku, profesorowie mnie jednak wybroniłi i wróciłem do pracy. Od tamtego czasu jednak, gdy mi każą podpisywać pismo, że jestem niewinny, że czegoś nie robiłem, to po prostu nie mogę tego zrobić. Gdy kilka lat temu w czasie akcji lustracyjnej na uniwersytecie kazano mi podpisać takie oświadczenie, to postąpiłem identycznie.

Andrzej Mastalerz

W ramach tego zawodu, który uprawiam, czasami udaje mi się otrzeć o prawdziwą sztukę. Z moich doświadczeń, obserwacji i spostrzeżeń wynika, że w przestrzeni artystycznej kompromis nie istnieje. Uważam, że kompromis jest równoznaczny z porażką. Jeżeli mamy do czynienia z profesjonalnym twórcą, który chce coś ważnego powiedzieć widzowi, to jeżeli idzie on na kompromis na przykład względem znanego producenta, to rzecz, która powstaje, w najlepszym razie ma ryse, a w najgorszym razie jest bardzo niedobra, bo część własnej obserwacji świata, swojego świata daje w jakiś sposób zmanipulować komuś, kto uważa, że ten nowy produkt lepiej się sprzeda. To nie jest tylko kwestia naszego kraju, ale ogólny problem produkcji światowych.

Pozwolę sobie na dygresję. W ostatnich czasach namnożyło się ludzi, którzy wykonują zawody artystyczne, natomiast mam wrażenie, że są oni za słabymi rzemieślnikami i mają kłopoty z tym, co powinno być najważniejsze w sztuce, z komunikowaniem się z widzem. Nie mają mu nic do przekazania. Teatr to sztuka pierwotna, powstała w bardzo prosty sposób. Kiedyś któregoś dnia, wieczora czy nocy do jaskini przyszedł człowiek, który nie potrafił mówić, a za nim przyszedł drugi, który chciał mu opowiedzieć, co mu się przytrafiło tego dnia. Ponieważ znał bardzo mało słów, postanowił mu to pokazać, no i tak powstał teatr. Mam wrażenie, że dzisiaj zmierza się w sztuce w stronę egocentryzmu, gdzie „ja” twórcy jest ważniejsze od komunikatu, który powinien czy chciałby przekazać widzowi. To była dygresja dotycząca dzisiejszego zapatrzenia się w siebie. Nawijając do dzisiejszego tematu, uważam tak, jak powiedziałem wcześniej, że kompromis w sztuce nie istnieje i jest równoznaczny z porażką.



Andrzej Mastalerz

Jeżeli chodzi o moje doświadczenia obywatelskie, zastanawiałem się, kiedy po raz pierwszy powiedziałem „nie”, co było równoznaczne ze zrozumieniem wartości wynikającej z poznania znaczenia słowa kompromis i z jego przeciwieństwa, czyli z postawy bezkompromisowości. To było takie moje pierwsze doświadczenie obywatelskie. Jeżeli sobie przypomnę siebie, powiedzmy w lipcu 1980 roku, a potem w grudniu 1981, to mam do czynienia z dwoma różnymi osobami. Wtedy po raz pierwszy świadomie zdałem sobie sprawę, co to znaczy kompromis, w tamtych czasach kompromis i co znaczy świadome wypowiedzianie słowa „nie”. Bo czasami świat jest bardzo prosty i my sobie niepotrzebnie, za jakimiś podszeptami go komplikujemy. Unikamy odpowiadania na proste pytania i podejmowania prostych decyzji. Tylko że te decyzje są czasami najtrudniejsze, ale w konsekwencji owocują uświadomieniem sobie, że dobrze zrobiłem i jakbym się czuł, gdybym postąpił inaczej. Potem, kiedy racjonalizowałem moje wybory, to dochodziłem do wniosku, że wynikają one z takiego prostego podziału świata, w którym istnieje prawda i kłamstwo, dobro i zło. Jeżeli ja podejmę taką decyzję, to znaczy, że będę tylko trochę mniej kłamał albo bę-

dę tylko trochę gorszy. Okazało się, że jest wybór zero-jedynkowy. Tak albo nie i koniec. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest łatwe, życie nam stawia różnego rodzaju wymagania. Jeżeli brakuje własnych słów, warto posłużyć się cytatem „życia w wolności wart jest tylko ten, kto zwykł ją zdobywać z dnia na dzień”. I coś takiego jest. Każdego dnia, kiedy się budzę i niespodziewanie zza węgła przychodzi do mnie podjęcie decyzji i kusi różnymi błyskotkami, takimi postkolonialnymi, a przed moimi oczami siedzą właściciele kolonii i mówią, że przecież to jest takie proste, nie masz dużego wyboru i wszyscy będą zadowoleni. Wszyscy poza mną i to jest problem, bo nie wiem, czy mógłbym sobie spojrzeć za jakiś czas w twarz. Wydaje mi się, że czasy nie są zbyt sprzyjające pewnym postawom prostym, uważam, że w tej chwili hołduje się pewnym cechom, pewnym zachowaniom, które są bardziej nagradzane. Gdy obserwuję życie publiczne, widzę jakieś takie gremialne pozbywanie się twarzy. Czy ludzie nie zdają sobie sprawy, myślą, że tego nie widać? Że można tak czemuś wprost zaprzeczyć, po prostu skłamać. To nie jest miłe, co powiem, ale ja mam wrażenie, że ten człowiek twarz stracił, przestaje być ciałem, czymś namacalnym, czymś fizycznym, jest taki nieprzyjemny w dotyku, jest taką jakąś galaretką. Takie jest moje zdanie na temat pojmowania pojęcia kompromisu i tych porażek, które ten kompromis czy te kompromisy ze sobą niosą.

Dyskusja

Andrzej Ciepiela

Każdy z nas podchodzi do tego tematu z innej strony i jestem bardzo szczęśliwy, że mogłem Państwa posłuchać i usłyszeć Państwa wypowiedzi, naświetlające poruszany problem z różnych stron. Czy mam coś do dodania? Wszyscy stajemy w obliczu podejmowania trudnych decyzji i wszyscy musimy zawierać kompromisy, ale za jaką cenę. Podzielę się z Państwem pewnym doświadczeniem. Wiele lat temu pracowałem w dużej zagranicznej korporacji, byłem zachwycony, to były nowe czasy i wielka szansa życiowa dla mnie, tak sobie to wówczas wyobrażałem: uczciwa praca i dobre

wynagrodzenie, wszystko tak fajnie poukładane. Dopiero później okazało się, że to są mechanizmy korporacji, ja tego nie znałem, tego wtedy nikt nie znał w Polsce. Mechanizmy korporacji są straszne, obserwowałem je, pracując tam 10 lat. Byłem wysokiego szczebla menadżerem, nie musiałem się więc na szczęście wspinać po drabinie kariery, bo będąc specjalistą, byłem od razu w pewnym sensie ustawiony, mogłem natomiast obserwować to całe bagno, które wokół mnie się kotłowało. Na początku to była grupa prawie że hippisów: kochajmy się i róbmy fajną pracę i jest super. Pracowaliśmy z Amerykanami, wydawali się świetnymi ludźmi, rozpie-rał nas entuzjazm. Później okazało się, że Amerykanie są fajni tylko z pozoru, a tak naprawdę podchodzą do nas bardzo profesjonalnie, rozgrywają nas tak, jak chcą. Stopniowo z ludzi zaczęły wychodzić same najgorsze cechy. Ja to obserwowałem, byłem tego świadkiem, czasami bezwiednie w tym uczestniczyłem. Nie widziałem sposobu, aby się z tego wydostać. Moje kłopoty zaczęły wpływać na stosunki w mojej rodzinie. Kiedy rozmawiam z naszą córką, już teraz dorosłą, ona mówi, że pamięta ten okres wczesnego dzieciństwa jako czas totalnej kłótni w domu. Teraz wiem, że wtedy przekroczyłem granicę kompromisu, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy. Uciekłem z pracy i zacząłem od nowa życie zawodowe. Dopiero po czasie uświadomiłem sobie, że powinienem już w pierwszym momencie, kiedy kompromis był niezgodny z moim sumieniem, powiedzieć wyraźnie „nie”. A ja wahałem się, bo tak jak Pan profesor zauważył, była trzecia strona, trzeci uczestnik tego procesu – moja rodzina. Była rodzina, była chęć jej utrzymania i to było dla mnie najważniejsze, więc szedłem na kompromis, ale była jakaś granica. Z perspektywy czasu uważam, że był to moment, kiedy powinienem rzucić papiery na stół, jednego czy drugiego faceta strzelić w ryj, zamknąć temat i koniec. Dzisiaj, z tym doświadczeniem, jakie mam, już tak bym zrobił, ale tego trzeba się uczyć.

To, co panowie powiedzieli, uświadomiło chyba nam wszystkim, jak jesteśmy bardzo zagubieni, że to jest bardzo trudne zjawisko i jesteśmy cały czas jego przedmiotem i uczestnikiem. Codzienne decyzje i cały czas walka z kompromisem. Gdybyśmy popatrzyli na to zjawisko od strony matematycznej, to jest to zjawisko z dużą ilością wartości początkowych i z wielką trudnością opisanego. Nie ma mechanizmów. Gdyby ten mechanizm był, to już dawno by



Andrzej Ciepiela (z mikrofonem)

został opisany. To nie jest opisane, czyli jesteśmy bezradni. Uważam natomiast, że ta rozmowa spełniła bardzo ważną rolę. Uświadamia nam ona naszą bezradność, ale z drugiej strony wskazała na zasady, których musimy się trzymać. Ten kościec, ten szkielet, na którym musimy się oprzeć, jest niezmiernie ważny. I taki jest dla mnie wniosek z Panów wypowiedzi.

Elżbieta Mycielska-Dowgiało

Chcę się podzielić z Państwem jednym doświadczeniem dotyczącym wartości kompromisu. Wydaje mi się, że niesłuchanie ważny jest kompromis w wychowaniu, szczególnie dorastających dzieci. One domagają się od nas wielu pozwoleń dotyczących różnych spraw. Moim zdaniem, dobre wychowanie dzieci wymaga od nas, aby każdą z tych spraw rozpatrzyć i wysłuchać racji dzieci i generalnie być na „tak”. Ale równocześnie przy prośbach, propozycjach, które niosą jakieś zagrożenie dla dziecka, fizyczne albo moralne, trzeba umieć powiedzieć „nie” i tego konsekwentnie się trzymać. Przez dwa lata opiekowaliśmy się naszą dorastającą wnuczką,

w wieku 16-17 lat – mówi się, że to najtrudniejszy okres. A mimo tego w ciągu tych dwóch lat było naprawdę mało takich „pomysłów”, na które zdecydowanie mówiliśmy „nie”. Wszystkie te nasze decyzje były uzasadniane, nie budziły więc emocji. Kiedyś dotarło do mnie zdanie naszej wnuczki, której koleżanka skłaniała ją, aby uzyskała u mnie zezwolenie na jakiś „pomysł”. Nasza wnuczka podobno powiedziała: „Do babci z tym nie pójde, bo na ten temat nie ma z nią rozmowy”. Czyli bardzo ważne jest, żeby dzieci/młodzież znały nieprzekraczalne granice.

Andrzej Dowgiałło

To co powiem, jest bardzo prowokacyjne. W 1939 roku byli ludzie, którzy twierdzili, wbrew całemu społeczeństwu, że Niemcom należy się podporządkować, gdyż nie ma sensu z nimi walczyć, bo z tego nic dobrego nie wyjdzie. Potem taką samą opinię słyszało się o Powstaniu Warszawskim. Cofając się jeszcze bardziej, zobaczymy, że byli też i tacy, co mówili, że postawa Króla Stanisława Augusta, ostatniego polskiego króla, która była dosyć służalcza wobec Rosji, była jednak postawą w tamtych czasach racjonalną. Ten dylemat stale się przewija. Na przykład Czesi, którzy nie stawiali się Niemcom i wyszli na tym znakomicie. Inna sprawa, że po cichu piasek wsypywali do bomb i niemieckie bomby leciały i robiły zniszczenia nie większe, niż jak ciężki przedmiot spadnie komuś na dach. Podobnie Węgrzy, którzy całą wojnę mieli niewielki udział militarny na froncie wschodnim, ale za to mieli otwarte uniwersytety i rozwój kulturalny przez całą wojnę. To, co mówię, jest bardzo prowokacyjne i proszę o głosy przeciwne. Gdzie jest granica kompromisu, jak daleko można iść na kompromis z najeżdżcą i jak dalece można ryzykować totalnym zniszczeniem Warszawy i reszty kraju.

Krzysztof Haman

To jest interesujące zagadnienie. Mnie się wydaje, że tutaj trudno w ogóle mówić o kwestiach kompromisu, bo to jest kwestia wyboru strategii, która strategia była dobra lub niedobra w dłuższej perspektywie czasu. Oczywiście w 1939 roku mogło się różnie wydawać ludziom. Jeden z historyków (o ile się nie mylę, prof. Wiczorkiewicz, już nieżyjący do ostatniej chwili twierdził, że to był

błąd, że Polacy nie poszli z Niemcami na Związek Radziecki. Kiedy uświadomimy sobie, jakie byłyby tego konsekwencje, to się zimno robi; nie mieliśmy żadnych szans tej wojny wygrać, wystarczy zobaczyć, jakie było to terytorium, jakie były rezerwy po tamtej stronie. Tej wojny nie można było wygrać inaczej, jak rozsadzając ZSRR od wewnątrz. Niemcy zaś robili wszystko, żeby do tego nie doszło. Nasza sytuacja po wojnie przegranej przez Niemców (w sojuszu z nami) byłaby znacznie gorsza niż sytuacja Czechów czy nawet Węgrów. Tego rodzaju propozycja była po prostu z punktu widzenia strategii absurdalna. Tutaj trudno mówić o kwestii kompromisu czy braku kompromisu, bo w tym miejscu jej specjalnie nie widzę.



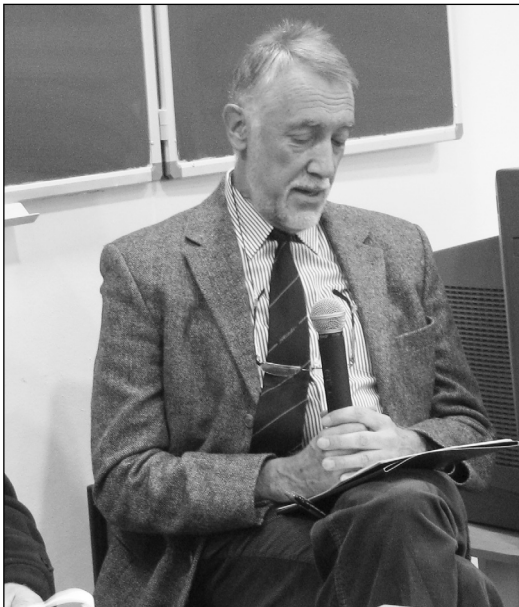
Krzysztof Haman

W przypadku Powstania Warszawskiego sytuacja była inna, to była sytuacja bez dobrego wyjścia. Dobrego wyjścia tutaj znaleźć nie można było. Są takie sytuacje, gdzie dobrego wyjścia nie ma, a decyzja wyboru dotyczy mniejszego lub większego zła, większego lub mniejszego rozsądku przy rozpoznaniu danej sytuacji. W przypadku Powstania z różnych złych wyjść wybrano chyba najgorsze. Ale też nie widzę tutaj miejsca na wiele kompromisów. Już raczej w przykładach z czasów przedrozbiorowych, gdzie była kwestia sta-

wiać się czy się nie stawiać, ale za słabo znam historię i uwarunkowania historyczne z tego okresu, by zabierać głos w tej sprawie.

Jerzy Kijowski

W odpowiedzi na Pana pytanie chciałem powiedzieć, że przeciwstawienie bezkompromisowych Polaków kompromisowym Czechom jest o tyle niezbyt prawdziwe, że Czesi właśnie przez dwa wieki byli najbardziej bezkompromisowym narodem w Europie, począwszy od pierwszej defenestracji w roku 1408 czy w 1409. Byli niezwykle bezkompromisowi, tak że pod Białą Górą ponieśli taką klęskę, że prawie przestali istnieć. To był właśnie wybór tej strategii absolutnie bezkompromisowej. Dopiero potem powolutku w XIX wieku jakoś się odbudowywali.



Jerzy Kijowski

Teraz jeśli chodzi o te ostatnie kwestie historii Polski, to zgadzam się, że wybór którego dokonaliśmy w 1939 roku, był najmańdrzejszy z możliwych. Jeżeli chodzi o Powstanie Warszawskie, to jestem człowiekiem wychowanym w absolutnym kulcie Powstania. Gdy mi ktoś mówi, że Powstanie było zapomniane, a dopiero teraz

od niedawna przypomniane, to ja mu się śmieję w oczy, bo począwszy od 1957 roku z moją drużyną harcerską nieomal co miesiąc byłem na Powązkach i czyściłem groby. W roku 1967 harcerski hufiec na Mokotowie przyjął miano hufca Szarych Szeregów i dla mnie ci ludzie, ci chłopcy, te łączniczki to byli absolutnie święci. Chciałem też powiedzieć, że jak beznamiętnie się patrzy, to widać, że wybór strategii wybuchu Powstania, moim zdaniem, był najgorszy z możliwych. Prowadziło to do ogromnych strat – te rany dopiero teraz się zablźniają.

Ks. Adam Zelga

Powstanie było straszne i jestem przekonany, że o to, jaki miało sens, będziemy spierać się do końca czasów. O wszystkich powstaniach mówiło się, że były bez sensu. Z punktu widzenia militarnego wydaje się, że tak. Z punktu widzenia wmanipulowania Polski w determinację pewnych wyborów wydaje się – również tak. Ale z punktu widzenia na fakt, kim jesteśmy, jaka jest nasza świadomość, jaka nasza duma, godność, to już sprawa nie jest taka prosta. W tym wydaje się tkwi odpowiedź na sens powstań.



Ks. Adam Zelga i Andrzej Filipiak

Zbigniew Jeziński

Chodzi o kompromis w sztuce, o której mówił pan Andrzej Mastalerz. Na jak wielki kompromis musiał pójść artysta rzeźbiarz pomnika w Ossowie, który czerwonoarmistów symbolizuje krzyżem prawosławnym. Armii Czerwonej, którą widywałem przez kilkadziesiąt lat, nigdy nie widziałem z prawosławnym krzyżem i nie słyszałem, aby tak było w 1920 roku. Jak czyta się argumentację profesora Kunerta, to z jednej strony nasuwa się wątpliwość co do jego wiedzy historycznej, a z drugiej co do nieprzekraczalnych granic kompromisu. Po rozmowie profesora Kunerta z miejscową ludnością artysta rzeźbiarz (Marek Moderau) został przypuszczalnie zmuszony do następnego kompromisu – zastąpienia bagnetów na pomniku zniczami. Samym faktem natomiast jestem zbulwersowany, że to się stało w takiej formie, w taki sposób, w takim okresie (pomnik żołnierzy Armii Czerwonej w Ossowie, którzy zginęli w 1920 roku, który miał być odsłonięty 15 sierpnia 2010 r. dop. red.).

Ks. Adam Zelga

Nasza dyskusja na temat kompromisu pokazuje, że nie tracimy gremialnie twarzy oraz że jeszcze są ludzie, którzy wiedzą, jak było naprawdę. Jeżeli stawiamy pomnik w Ossowie żołnierzom Armii Czerwonej, która szła na Warszawę, to dlaczego Rosjanie nie sta-



Zbigniew Jeziński

wiają pomnika Żółkiewskiemu? Przeciwnie – uważają za swój dzień narodowy rocznicę wypędzenia Polaków z Kremla. Dlaczego wznosimy pomnik z krzyżem prawosławnym, wbrew poglądom tych ludzi – to dla mnie niebywała historia.

Andrzej Mastalerz

To jest takie mieszanie poglądów, mieszanie porządków, ponieważ starano się nam wmówić, mnie czy też nam, naszemu społeczeństwu, że my nie szanujemy zmarłych. Czułem się tak, jakbym dostał w twarz, ponieważ poza incydentalnymi sprawami nie przypominam sobie, żeby na grobach żołnierzy radzieckich odbywało się bezczeszczenie pomników. Były incydenty, to prawda, ale w jakim stopniu i na jaka skalę. Od jakiegoś czasu jeżdżę w Bieszczady, gdzie bardzo dba się o groby z okresu I wojny światowej. Także w małej wsi, którą odwiedzam, jest zbiorowa mogiła. Ja nie wiem, kto tam leży, ale w żadnym razie nie przeszkadza mi tam pójść 1 listopada i zapalić świeczkę. Czyli wmawianie nam, że nie jesteśmy w stanie uszanować zmarłych, jest dla mnie obraźliwe.

Krzysztof Haman

Przepraszam bardzo, ale pozwolę sobie w te sprawie mieć zdanie odmienne niż moi przedmówcy. Ale jeśli można zaproponować, to może jednak nie kontynuujemy tego tematu, bo w końcu naszym dzisiejszym tematem jest granica kompromisu. Jak będziemy wprowadzać tego rodzaju dygresje, to zajdziemy nie wiadomo dokąd.



Od lewej: Krzysztof Haman, Jerzy Kijowski i Andrzej Mastalerz

Andrzej Filipiak

Co do kompromisu w sztuce, to mam takie wrażenie, że w tej dziedzinie wracamy w paradoksalny sposób do czasów socrealizmu, ponieważ obecnie często postulatem bezkompromisowości w sztuce broni się projektów o przesłaniu skrajnie ideologicznym, a jakakolwiek krytyka tego przesłania jest odbierana jako atak na tę bezkompromisowość artysty. Przykładem mogą być instalacje pani Nieznalskiej. Jest to konkretny projekt jakiejś ideologii antyreligijnej. Jakakolwiek krytyka tego projektu jest odbierana przez środowiska artystyczne, a w każdym razie przez jego znaczną część, jako atak na tę niezależność, bezkompromisowość artysty, bez której sztuka nie jest możliwa. To jest paradoks, bo tak jak kiedyś socrealizm, który był projektem ideologicznym, tak samo paradoksalnie w imię wartości liberalnych, przeciwstawnych wobec starego systemu, dzisiejsza sztuka jest coraz częściej sztuką o przesłaniu ideologicznym. Może w Polsce tego tak do końca nie widać, natomiast w Stanach Zjednoczonych, a jestem z wykształcenia amerykańską, to zaangażowanie wręcz fanatycznie polityczne, ideowe artystów i tworzenie sztuki całkowicie zideologizowanej, wręcz rewolucyjnej w swoim przesłaniu jest bardzo powszechne. Tyle co chciałbym powiedzieć na temat bezkompromisowości w sztuce.

Jeszcze chciałbym wrócić do kwestii korporacji. Myślę, że to jest temat dość ciekawy dla studentów. Wśród wielu moich znajomych, kolegów i koleżanek w moim wieku, osób, które pracują w różnych branżach (nie tylko mówię tutaj o finansach), równocześnie osób w sposób świadomy przyznających się do wiary w Pana Boga, od jakiegoś czasu zauważam trend wycofywania się z korporacji. Panuje opinia, że w korporacji nie da się funkcjonować jako człowiek sumienia czy człowiek uznający wartości. Trend ten przekłada się na zakładanie własnej działalności gospodarczej, własnego przedsiębiorstwa, małego czy dużego. Ta własna działalność gospodarcza nie jest oczywiście wolna od pokus przekraczania granic kompromisu, ale jest w niej pewna sterowność i to, czy przekraczam granice czy nie, zależy od moich decyzji, od mojego sumienia i od mojej wrażliwości etycznej, a nie od nacisków zewnętrznych czy instytucji, w której pracuję. Smutną rzeczą jest to, że trudno jest iść we własną działalność gospodarczą tuż po studiach, na początku swojej kariery. Tę drogę ograniczają różne bariery: społecz-



Andrzej Filipiak

ne, ekonomiczne, a także towarzyskie, pewnego zaplecza i kapitału. Wydaje się, że jest to droga sensowna, do której bym osobiście zachęcał, z drugiej jednak strony zdaję sobie sprawę, że dla młodych ludzi to jest niewątpliwie dużo trudniejsze niż dla osoby w moim wieku, czyli wieku średnim.

Krzysztof Haman

Jeszcze jedno zdanie na temat kompromisu w sztuce. Szereg obiektów sztuki współczesnej ma tę bardzo podstawową wadę, że trudno się w nich doszukać sztuki. Nie mając tytułu artystycznego, trudno osądzić, czy jest to sztuka. Posadzenie pani obierającej kartofle trudno potraktować poważnie jako osiągnięcie artystyczne. Niestety tego rodzaju przykładów mamy w sztuce więcej, bardzo trudno mówić tu o efektach artystycznych. Na przykład pani Katarzyna Kozyra postawiła 4 wypchane zwierzęta jedno na drugim i wszyscy się tym zachwycali. Co to jest za osiągnięcie artystyczne? Na czym ma to polegać, nie wiem, może jestem za stary, żeby to docenić. Śp. Witold Lutosławski uchodził i wciąż uchodzi za wielkiego kompozytora. Lubię muzykę, ale jego muzyki akurat nie. Słyszałem o kocie, który bardzo lubi Mozarta, ale uciekał z pokoju, jak zaczynano grać Lutosławskiego.

Co jest sztuką współczesną, a co nią nie jest? Być może to jest kwestia czasu, być może w dawnych czasach też w sztuce było wielu jedynie chwilowo sławnych artystów, o których nikt dziś nie pamięta. Tylko czas to zweryfikował. Może za sto lat zostanie z sztuki współczesnej tylko kilka pozycji, które warte były przetrwania.

Andrzej Mastalerz

Niedawno się przeprowadzałem i gdy przeglądałem rzeczy, zobaczyłem stare zdjęcie, które było w miesięczniku „Dialog”. Okazało się, że to był spektakl sprzed dziesięciu lat. To dokumentalne zdjęcie pokazuje jakąś stałość. Czas jest bezwzględny, weryfikuje wartości.

Dla nas jest przykre, że jesteśmy zmuszeni obcować z czymś takim, co wmawiają nam, że jest dobre i że jest modne, a tymczasem to się szybko starzeje i tak naprawdę nie niesie ze sobą żadnych wartości. Myślę sobie, że jeżeli jesteśmy w stanie zapamiętać sobie jakąś rzeźbę, która była kilkaset lat temu rzeźbiona, to znaczy, że ona tę próbę czasu przetrwała. To znaczy, była zrobiona z jakiegoś powodu przez kogoś, kto miał umiejętność, jakiej nie miał przeciętny śmiertelnik, umiejętność, dzięki której potrafił zrobić coś genialnego, w pełnym znaczeniu tego słowa. To znaczy, że wziął kawałek metalu i młotek i z tego materiału zrobił coś niezwykłego. Coś, co żyje do dzisiaj. I to przetrwa. Natomiast tego, o czym Panowie wcześniej wspominali, tego niestety nikt nie będzie pamiętał, ponieważ nie wiadomo, po co to jest zrobione. Nie mam zielonego pojęcia, ale co do jednego nie mam żadnych wątpliwości: jest to kompletnie bez wartości.

Jerzy Kijowski

Przy całym moim szacunku dla kompromisu, który wyraziłem w czasie mojej wypowiedzi, jako pewnej bardzo wielkiej wartości, to w mojej duszy silnie współgra Pana wypowiedź, że w sztuce nie ma kompromisu, albowiem sam uprawiam pewną dziedzinę sztuki, która się nazywa fizyką teoretyczną. Rzeczywiście, gdyby zaliczać tego rodzaju aktywność do którejś z dziedzin, to pewnie najbliższą byłoby ją zakwalifikować do dziedziny sztuki. Dziedzina badań podstawowych, a zatem takich, które być może w przyszłości, może za sto lub dwieście lat, doprowadzą do jakichś spektakularnych osią-

gnięć, które będą miały zastosowania, na razie należą do dziedziny sztuki. Podobnie jak w przypadku teatru, działalność w tej dziedzinie też obrosła swoją „socjologią”. Są mody, coś się lepiej sprzedaje, są trendy, a ta prawdziwa nauka wymaga jednak zupełnej bezkompromisowości. To, co jest modne dzisiaj, za dwa lata może być zupełnie zapomniane, a przetrwa tylko to, co jest stworzone bez kompromisu. Ale to tylko w tej dziedzinie naszej sztuki.

Jeszcze chciałem powiedzieć, że ja również, podobnie jak profesor Haman, ostatnio często staję w sytuacji takiej, która być może zachęcałaby do kompromisu. Jest to kwestia pisania recenzji, których jest coraz więcej. Przyznam szczerze, że w tej dziedzinie jestem bezkompromisowy, a dodatkowo zachęca mnie do tej bezkompromisowości fakt, że coraz częściej okazuje się, że moja negatywna recenzja nie ma negatywnych skutków dla tego delikwenta. Najczęściej bowiem jestem przegłosowywany. Jednak większość recenzentów bierze pod uwagę to – że jakżeż temu tak miłemu człowiekowi nie dać habilitacji? Tak, niezależnie od mojej negatywnej recenzji, włos mu z głowy nie spadnie.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałabym nawiązać do tego, co Panowie profesorowie już wcześniej mówili. Recenzowałam wiele prac habilitacyjnych i doktorskich i miałam dotychczas szczęście, że mogłam zawsze napisać pozytywną opinię. Uważałam oczywiście, że są prace lepsze i gorsze, ale wszystkie zasługiwały na ocenę pozytywną. Natomiast miałam raz sytuację, która wymagała decyzji bardzo trudnej. Mianowicie, byłam superrecenzentem pracy na tytuł profesora i wszyscy poprzednicy, a byłam chyba szóstym czy siódmym recenzentem, przedstawiali recenzje o wydźwięku negatywnym, ale z pozytywnym wnioskiem końcowym. Gdy poproszono mnie o recenzję i zapoznałam się ze sprawą, to okazało się, że z punktu widzenia nienaukowego sprawa była nietypowa. Człowiek, który ubiegał się o profesurę, urodził się w obozie koncentracyjnym. Różne jego zachowania i braki w różnych dziedzinach można było tłumaczyć tym, że ma jakieś obciążenia psychiczne. Z drugiej jednak strony to, co przedstawiał jako dorobek na profesurę, absolutnie się nie nadawało. No i teraz co wziąć pod uwagę? Dałam negatywną recenzję, uważając, że pozytywna skrzywdzi nie tyle jego samego, co je-

go przyszyłych uczniów, a także kolegów, którzy przestaną wierzyć w rzetelność oceny. W tym wypadku uważałam, że nie ma miejsca na kompromis.

Elżbieta Pięścioneł

Chcę przeczytać dwa krótkie wiersze mojej przyjaciółki Barbary Szafrńskiej, z którą przyjaźnię się od szkoły licealnej, a która potem kończyła fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Wiersze te są, moim zdaniem, bliskie poruszanemu tematowi.

Fizyka i metafizyka
 Kilogram pierza waży kilo ołowiu
 Metrowa miara z papieru
 jest lżejsza niż metr drewniany
 (metr pozostaje metrem
 kilogram kilogramem)
 Chciałabym umieć zaczarować godzinę
 Zwiększyć jej objętość i wagę
 żeby czas poczuł się pokonany

Wiara i nadzieja
 Przypadkowe wstrząsy
 nie zniszczą
 zamkniętego kształtu powierzchni
 złożonej z elementów
 idealnie dopasowanych
 Niewielkie pęknięcia
 nie muszą ujawnić
 istnienia wewnętrznych
 pokrętnych zaułków
 w których zmagania instynktów
 nadają nowy kształt
 dobrym bajkom
 Po co oceniać trwałość konstrukcji
 jeśli chce się wierzyć w jej doskonałość

ks. Adam Zelga

Na końcu pozwolę sobie na krótką konkluzję. Świadcstwa Panów, a może i nasze myślenie są zawieszony między tym, co nazywamy sztuką kompromisu (bardzo ważną, jak wynika z Panów wypowiedzi, żeby małżeństwo trwało pięćdziesiąt i więcej lat), a z drugiej strony między Chrystusowym „niech wasza mowa będzie tak – tak, nie – nie”. Jeśli miałbym zapytać o granice między tymi dwoma biegunami, powiedziałbym, że jest to – po prostu – miłość. Cierpliwa, łaskawa...

Spisał z nagrania Łukasz Pilch

Cd. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną**Michał Mierzejewski (Wrocław)**

Trzeba wspomnieć również o ludziach, którzy poszli na kompromis z „władzą ludową”. Ten temat został pominięty zarówno przez panelistów, jak i dyskutantów. W przeszłości wielu z tych, którzy wypowiadali się przeciw lustracji, okazało się tymi, którzy sami byli umoczeni w donoszenie.

Mnie jednak szczególnie chodzi o takich ludzi, jak na przykład red. Mieczysław Pszon z „Tygodnika Powszechnego”. Dawny żołnierz AK, grożono mu karą śmierci, jeśli nie zgodzi się na współpracę. Ja go nie potępiam, bo sam nie wiem, jakbym się zachował, do tego osłabiony więzieniem i przesłuchaniami. Rozsądne wyjście znalazł pan Jan Zamoyski, który po wyjściu z więzienia powiedział znajomym, że się zgodził na współpracę i wobec tego prosi, aby w jego obecności nie mówiono o rzeczach obciążających. Podobnie zachował się jeden znajomy mi człowiek w Legnicy. To był chyba dopuszczalny kompromis.

Na Uniwersytecie Wrocławskim i WSE pracował prof. Wincent Styś. Po scysji z „władzą ludową” rzucił swoją katedrę i poszedł do Państwowych Gospodarstw Rolnych (PGR) pracować jako pracownik fizyczny. Po jakimś czasie „władza ludowa” przyjechała do tego PGR z prośbą, by wrócił na uczelnię i nie robił demonstracji.

Prof. Marian Suski, prezes wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, organizował pobyt Papieża w Polsce. Został wezwany do KW we Wrocławiu i tamtejszy funkcjonariusz podniesionym głosem wydawał mu (stojącemu) polecenia, co ma zrobić. Prof. M. Suski oświadczył na to, że natychmiast wraca do KIK i rozwiązuje Klub. Na to funkcjonariusz poprosił go o zajęcie miejsca, zapytał, czy wypije kawę i rozmowa zaczęła się uprzejmie. Żeby się tak zachować jak prof. M. Suski czy prof. W. Styś, trzeba być kimś o zdecydowanych poglądach i charakterze, a nie „trzcina chwiejąca się na wietrze”. Nie zgadzam się z panem Andrzejem Dowgiałło, że sytuacje są „szare”, a nie czarno-białe.



*Co dla mnie znaczy przykazanie
„Nie cudzołóż”?*



Cytaty

JAN PAWEŁ II – *Etyczna i antropologiczna treść przykazania „Nie cudzołóż”*. 23 kwietnia 1980 (fragmenty)

Przypomnijmy słowa z Kazania na Górze, do których nawiązujemy w bieżącym ciągu naszych środowych rozważań: „Słyszeliście – mówi Chrystus – że powiedziano: Nie cudzołóż. A ja powiadam wam: Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się z nią cudzołóstwa dopuścił w swoim sercu” (Mt 5, 27-28).

Cudzołóstwo, do którego odnosi się wprost i bezpośrednio przykazanie „nie cudzołóż”, oznacza naruszenie tej jedności, przez którą mężczyzna i kobieta tylko jako małżonkowie mogą „łączyć się z sobą tak ściśle, że stają się jednym ciałem” wedle Rdz 2, 24. Cudzołóży mężczyzna, jeśli łączy się w taki sposób z kobietą, która nie jest jego małżonką, żoną. Cudzołóży też kobieta, jeśli łączy się w taki sposób z mężczyzną, który nie jest jej mężem. Należy wnosić, że owo „cudzołóstwo w sercu”, którego dopuszcza się mężczyzna, gdy „pożądliwie patrzy na kobietę”, oznacza ściśle określony akt wewnętrzny. Jest to pożądanie skierowane w tym wypadku przez mężczyznę w stronę kobiety, która nie jest jego żoną, a zmierzające do tego, aby złączyć się z nią tak jak z własną żoną, czyli – używając raz jeszcze słów Rdz 2, 24 – „tak ściśle, że stają się jednym ciałem”. Pożądanie takie jako akt wewnętrzny wyzwala się poprzez zmysł wzroku, przychodzi wraz z patrzeniem.

JAN PAWEŁ II – *Chrystus odwołuje się do człowieka wewnętrznego*. 16.IV.1980 (fragment)

Dekalog, oprócz przykazania „nie cudzołóż”, zna również przykazanie „nie pożądaj żony bliźniego” (por. Wj 20,17; Pwt 5,21). Chrystus w swej wypowiedzi z Kazania na Górze poniekąd łączy jedno z drugim: „Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa”. Nie tyle jednak chodzi o rozróżnienie zakresu tych dwu przykazań Dekalogu, ile o ukazanie

wymiaru wewnętrznego działania, do którego odnoszą się również słowa „nie cudzołóż”. Działanie to ma swą widzialną postać „uczynku ciała”, uczynku, w którym uczestniczą mężczyzna i kobieta wbrew prawu małżeńskiej wyłączności.

KS. MAREK DZIEWIECKI – *Czystość to świadomość, że w miłości kobiety i mężczyzny obecna jest miłość Boga* (fragment)

„Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą!” (Mt 5, 8). Zamyśl Boga jest taki, by mężczyznę i kobietę łączyła miłość, która jest mądra i wierna, a nie popęd, który jest ślepy i przemijający. Miłość to nie gra seksualna, ani nie techniki współżycia. Tylko współżycie małżonków może być czyste, gdyż tylko małżonkowie przysięgają sobie największą miłość, jaka może połączyć mężczyznę i kobietę i jaka prowadzi do największej bliskości – do bycia ze sobą na zawsze razem we wszystkim, do bliskości seksualnej włącznie. Małżonków łączy Bóg poprzez sakrament wielki (por. Ef. 5, 32), w którym miłość i małżeństwo ma absolutne pierwszeństwo przed seksualnością. Maryja i Józef stali się wzorem dla wszystkich małżonków we wszystkich epokach, gdyż potwierdzili, że bliskość w miłości przewyższa każdą inną formę bliskości (por. Jan Paweł II, List do Rodzin, 20).

Cnota czystości nie oznacza stosowania represji wobec samego siebie. Jest natomiast przejawem cnoty umiarkowania oraz potwierdzeniem zdolności do panowania nad sobą. Człowiek czysty jest panem samego siebie i własnego ciała. Dzięki czystości człowiek zachowuje przejrzystość w kontaktach z osobami drugiej płci oraz chroni samego siebie przed naiwnością, słabością, uzależnieniami i grzechem. Czystość jest „energiją duchową, która potrafi bronić miłości przed niebezpieczeństwami ze strony egoizmu i agresywności oraz potrafi kierować ją ku pełnemu urzeczywistnieniu” (*Familiaris consortio*, 21). „Czystość oznacza osiągniętą integrację płciowości w osobie, a w konsekwencji wewnętrzną jedność człowieka w jego byciu cielesnym i duchowym” (KKK, 2337). Czystość jest cnotą, której osiągnięcie nie jest możliwe bez czujności, dyscypliny i wysiłku, a także bez umiejętności wyrzeczenia, ofiary, oczekiwania.

KONWERSATORIUM XLIII (18 grudnia 2010)

Co dla mnie znaczy przykazanie »Nie cudzołóż«?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii pw. bł. Edmunda Bojanowskiego), Sylwester Laskowski (doktor nauk technicznych, muzyk), Magdalena Korzekwa (studentka prawa i psychologii w Kolegium MISH na UW, przez pięć lat współprowadziła program „Ziarno”, autorka licznych książek i artykułów, Prezes Akademickiego Stowarzyszenia Katolickiego „Soli Deo” na UW).



Paneliści: ks. Adam Zelga, Magdalena Korzekwa
i Sylwester Laskowski

Ks. Adam Zelga

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia składam państwu najserdeczniejsze życzenia. Życzę Państwu z całego serca, aby ta fenomenalna, fantastyczna i zdumiewająca miłość Boga pokazana w Dziecku Betlejemskim, które pragnie być przytulone do

serca i niesione na rękach, aby ta zupełnie niepojęta bliskość Boga niosła was przez śnieżyce, mrozy, burze i inne polityczno-atmosferyczne zjawiska w naszej Ojczyźnie.

Cieszę się, że będzie mi towarzyszyć para młodzieży, piękny mężczyzna i piękna kobieta, którzy będą mówić o wartościach szóstego przykazania. Serdecznie witam i zapraszam na miejsce honorowe panią Magdę Korzekwę. Jest Pani studentką, nie dość że prawa, to jeszcze psychologii, nie dość że wielkiej uczelni – Uniwersytetu Warszawskiego, to jeszcze na studiach indywidualnych. Przez pięć lat współprowadziła Pani program „Ziarno”, a na dodatek jest Pani autorką licznych książek i artykułów. Mało tego, jest jeszcze Pani prezesem; mamy w swoim składzie rektora, proboszcza, kanonika, siostry zakonne i prezesa – prezesa Akademickiego Stowarzyszenia Katolickiego „Soli Deo” na Uniwersytecie Warszawskim. Witamy całe „Soli Deo” w Pani osobie.

W czasie stanu wojennego, gdy niosłem flagę Polski z napisem „Soli Deo”, bardzo podobną do flagi solidarnościowej, byłem bardzo szczęśliwy. Milicjanci mierzyli mnie wrogim wzrokiem, pewnie myśląc, że to napis solidarnościowy, a ja uśmiechałem się do nich i machałem flagą z napisem „Soli Deo” (samemu Bogu).

Serdecznie witam i zapraszam do panelu Pana Sylwestra Laskowskiego. Jest Pan doktorem i to doktorem nauk technicznych, co dla mnie humanisty jest niepojęte, a na dodatek jest Pan muzykiem.

Temat naszego dzisiejszego spotkania: „Co dla mnie znaczy przykazanie »Nie cudzołóż«?” jest dla każdego z nas niesłuchaną propozycja Pana Boga, którą można streścić bardzo prosto słowami piosenki religijnej: „miłość jedyna jest...”, której piękno oddaje „Pieśń nad pieśniami” uzupełniona przez Hymn Świętego Pawła.

Magdalena Korzekwa

Bardzo dziękuję Księdzu za przedstawienie mnie, a Pani Rektor za zaproszenie mnie do udziału w dzisiejszym Konwersatorium. Po raz pierwszy w życiu jestem w roli osoby, która ma mówić o swoim doświadczeniu przeżywania szóstego przykazania. Serdecznie zachęcam do zapoznawania się z działalnością wspomnianego przez księdza Adama Zelgę Akademickiego Stowarzyszenia Katolickiego „Soli Deo”, nie tylko na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie studiu-



Magdalena Korzekwa i Sylwester Laskowski

ję, ale też na innych uczelniach Warszawy. Stowarzyszenie organizuje m.in. otwarte spotkania na tematy związane z wiarą, dorastaniem do miłości oraz z zagadnieniami społecznymi.

Na początku oddam głos mojemu współprelegentowi – panu Sylwestrowi Laskowskiemu. Nie ukrywam, że jest on człowiekiem, który jest dla mnie inspiracją przez swoją wszechstronność i profesjonalizm.

Sylwester Laskowski

Jestem inżynierem telekomunikacji. Obecnie pracuję w Instytucie Łączności jako kierownik Ośrodka Szkolenia. Jestem też muzykiem – gitarzystą. Mam też własną firmę; organizujemy różne imprezy i prowadzimy je jako wodzireje oraz zapewniamy oprawę muzyczną. Jestem żonaty, mam żonę Magdę i dwójkę dzieci – Małgosię i Kubę.

Magdalena Korzekwa

Korzystając z okazji, chciałabym serdecznie pozdrowić tych wszystkich, którzy oglądali i oglądają program „Ziarno”, w którym występowałam w latach 2000-2005.

Pytanie dzisiejszego konwersatorium brzmi „Co dla mnie znaczy przykazanie »Nie cudzołóż«?” Sylwester jest mężem i ojcem, ja



Sylwester Laskowski i Magdalena Korzekwa

zaś mam obecnie dopiero marzenia o małżeństwie i rodzinie. Choć jestem przekonana, że to jest moje powołanie, to nie mam żadnej pewności, czy je zrealizuję, gdyż zawarcie małżeństwa zależy od spotkania takich dwóch osób, które pokochają siebie w sposób nieodwołalny. Jednocześnie mam odwagę marzyć o największej możliwej, zaskakującej miłości w małżeństwie i w rodzinie. Dlatego przeżywanie przykazania „nie cudzołóż” i zachowywanie czystości jest dla mnie pierwszym znakiem wierności w małżeństwie, o jakim marzę. Pierwszą formą zdrady małżeńskiej jest właśnie współżycie przed ślubem. Najbardziej marzę o miłości, która wynika z wolności, czyli o tej jedynej miłości, która jest prawdziwa. Nie chcę kierować się moim popędem i ciałem, zamiast miłością. Doskonale wiem, że jesteśmy osobami, które łatwo ograniczają swoją wolność, natomiast zachowywanie czystości, respektowanie przykazania „Nie cudzołóż” przed małżeństwem, jest tym, co ułatwia decyzję na małżeństwo z pełną wolnością. Osoby, które nie respektują tego przykazania przed małżeństwem, odbierają sobie dużą część wolności w decydowaniu się na to, z kim chcą się związać, kiedy i w jaki sposób.

Chciałabym zwrócić uwagę na aspekt według mnie szczególnie ważny dla dziewcząt i kobiet, chociaż nie tylko dla nich. Chodzi o to, że w sytuacji, gdy osoba, z którą wiążemy się, co do której mamy

plany małżeńskie, okazuje się niedojrzała, i przekonujemy się, że nie jest dobrym kandydatem/kandydatką na męża czy żonę, wówczas zachowując czystość, mamy większą zdolność do tego, aby się rozstać z taką osobą.

Chcę mieć pełną wolność w decydowaniu o tym, z kim związać się tak mocno, aż do małżeństwa i założenia rodziny. Powołałam się na opinie dwóch osób, które są dla mnie wielkimi autorytetami: na Kardynała Stefana Wyszyńskiego, patrona stowarzyszenia „Soli Deo” i na Jana Pawła II. Oni obaj podkreślali, że warto podejmować rzeczy trudne; dla rzeczy wielkich potrzeba wyrzeczeń. To co piękne, to co mądre, nigdy nie przychodzi łatwo i bez oporu i dlatego zachowywanie czystości może być czasem trudne, ale jestem przekonana, że to się opłaca, że warto i że jest to podstawa do zbudowania pięknej, wolnej i szczęśliwej miłości. Największe możliwe marzenia związane z powołaniem do małżeństwa i rodziny to są marzenia o miłości, która jest moją autonomiczną i mądrą decyzją, która uwzględnia wszystkie ważne czynniki i aspekty. Miłość nie oznacza, że mogę związać się z kimkolwiek. Mam odwagę stawiać samej sobie największe z możliwych wymagań, chociaż oczywiście nie zawsze jestem w stanie im sprostać. Pójścia wyłącznie optymalną drogą życia uczy mnie Jezus i tego staram się przestrzegać w moim życiu.

Myślę, że będziemy mieli możliwość porozmawiania o pewnych mitach i błędnych przekonaniach związanych z sensem przykazania „Nie cudzołóż” i z czystością.

Sylwester Laskowski

Opowiem Państwu pewną historię z czasu przed ślubem. Obecnie mam 38 lat. W wieku około 15 lat wstąpiłem do ruchu „Światło – Życie”, czyli do tzw. Oazy. Wcześniej byłem „jędrnym” chłopakiem, kapitanem drużyny sportowej, lubiłem bójki przed blokiem. Gdy wstąpiłem do Oazy, w której było dużo więcej dziewcząt niż chłopaków, dość szybko dotarły do mnie dwa przesłania: pierwsze – że Bóg jest dobry, że mnie kocha, że ma na mnie swój plan i chce, żebym był szczęśliwy i żeby mi się w życiu udało. Nie zabiera mi niczego, co ma służyć mojemu szczęściu, jeśli nie ma czegoś dla mnie lepszego. Z drugiej strony natychmiast pada twarde „Nie cudzołóż”. Stąd proste pytanie: „Skoro Ty, Dobry Boże, mówisz, że

seks jest dobry, że dobre jest to, że uczyniłeś mnie mężczyzną i dobre jest to, że podobają mi się kobiety, to dlaczego zabraniasz mi współżyć przed ślubem?” Albo jeszcze dalej: „Czy przypadkiem ów zakaz nie jest wymysłem panów ubranych na czarno, którym nie wolno współżyć i dlatego mi tego zabraniają?” Stawiam więc proste pytanie, dlaczego nie wolno mi współżyć przed ślubem? I co takiego dobrego zyskam albo co mogę stracić, jeśli rozpocznę to współżycie.



Sylwester Laskowski

Zacząłem poszukiwać odpowiedzi na te pytania. Dużo myślałem, sporo czytałem, rozmawiałem z wieloma ludźmi, stawiając im ulubione pytanie „dlaczego?”. Po pewnym czasie znalazłem dla siebie około 10 argumentów, które przekonały mnie do tego, że warto czekać. Później na początku studiów napisałem list do swej młodszej siostry, w którym opisałem jej te powody. I tu dygresja: studiowałem w Warszawie, a mieszkalem w Ostrołęce.

Kiedyś po przyjeździe do domu na weekend zobaczyłem, jak moja młodsza o 8 lat siostra (ja miałem wtedy około 20 lat) czyta gazety z rodzaju „Girl”, czy „Bravo”, a wiemy, co się pisze w tych gazetach. Widziałem, że się z tymi treściami nie zgadzam, a ponieważ nie miałem możliwości, żeby z nią porozmawiać, napisałem list, w którym opisałem, dlaczego warto czekać do ślubu ze współżyciem seksualnym. Napisałem mniej więcej tak:

- chciałbym, aby moja przyszła żona była dziewicą;
- chciałbym dla niej się „dziewiczym” zachować, aby noc poślubna była prawdziwie czasem spełnienia tęsknoty, a nie choćby najurodziwszym, ale kolejnym razem;
- nie chciałbym zarazić się żadną chorobą przenoszoną drogą płciową;

- chciałbym mieć zaufanie do swojej żony, że mnie nie zdradzi, oraz by mnie również darzyła takim zaufaniem, aby nie było chorej zazdrości, gdy będę miał kontakt z innymi dziewczynami;
- chciałbym być panem swojego ciała, bym mógł spokojnie przytulić swoją dorastającą córkę, a teraz siostrę czy też bliską mi dziewczynę, również bym nie musiał kiedyś spać w oddzielnym łóżku, gdy współżycie z żoną z jakichś powodów będzie niewskazane;
- chciałbym, aby matką moich dzieci była moja żona, inaczej mówiąc, nie chciałbym mieć dziecka z nie swoją żoną, jak również nie chciałbym żenić się z dziewczyną tylko dlatego, że jest ze mną w ciąży; chciałbym żonę sobie wybrać, a nie wylosować;
- chciałbym być bohaterem dla swoich dzieci, chciałbym móc kiedyś mówić im szczerze i uczciwie o swoich młodzieńczych kontaktach z dziewczynami;
- chciałbym również, aby moja żona słysząc to, mogła być dumna i zadowolona ze mnie;
- chciałbym mieć przyjaciół wśród dziewcząt, aby dziewczyny się mnie nie bały, żeby mi ufaly; chciałbym również, aby moi kumple mi ufali, gdy będę się zbliżał do ich dziewczyn czy żon;
- a jeśli się ożenię, to chcę prowadzić radosne, ciepłe, pełne troski i oddania, płomienne i bez niepokojów życie seksualne z własną żoną;
- jeśli się nigdy nie ożenię, to chcę, by moja wstrzemięźliwość seksualna była wsparciem i umocnieniem dla moich kolegów i mojego brata, w sytuacji gdyby kiedyś, gdzieś przez dłuższy czas znaleźli się z daleka od swoich żon.

Koniec. Co było po ślubie – powiem za moment.

Magdalena Korzekwa

To było mocne tym bardziej, że mówił to mężczyzna. Bardzo dziękuję, szczególnie jako przedstawicielka tej drugiej płci. Myślę, że warto teraz powiedzieć o tym, że istnieje bardzo dużo związanych z tym tematem mitów, które stanowią pośrednią zachętę do tego, by młodzież nie zachowywała przykazania „Nie cudzołóż”. Jeden z takich mitów zaleca, że trzeba się sprawdzić przed ślubem. Drugi głosi, że trzeba dopasować się seksualnie, że niby po ślubie może być wielkie rozczarowanie i wielka tragedia na tle tak zwanego niedopasowania seksualnego. Trzeci mit, do którego chciała-

bym się odnieść, przedstawiany przez osoby nieżyjące w małżeństwie, to mit, który mówi, że ślub i tak nic nie zmieni: jeśli się kochamy, to dlaczego nie możemy już teraz wyrażać sobie „miłości” (w cudzysłowie, bo co to za miłość) w sposób najbardziej intymny?

Ponieważ nasze Konwersatorium ma charakter mówienia poprzez świadectwa, odnosząc się szczególnie do trzeciego mitu chciałabym zwrócić szczególną uwagę na fakt, że oprócz fizyczności, cielesności, płciowości i seksualności istnieją także w nas inne sfery: sfera psychiki, sfera myślenia, sfera emocjonalna, moralna, duchowa, sfera społeczna. A zatem jeśli współżyję, to nie ponoszę jedynie skutków w sferze fizycznej, to narażam nie tylko moją psychikę. Wówczas ponoszę skutki w każdej innej sferze, a więc także w sferze emocjonalnej, w sferze myślenia, w sferze moralnej, duchowej, religijnej. A zatem są to nie tylko jednopłaszczyznowe skutki w moim życiu. Na przykład, ograniczona zostałaby moja wolność w wyborze osoby, którą chcę wiernie kochać i co do której chcę mieć pewność, że ona także decyduje się żyć ze mną w wierności, czystości i świętości. Jeśli decyduje się na małżeństwo ze mną, to nie dlatego, że już współżyliśmy, tylko dlatego, że tak chcemy, że to jest największe marzenie – moje i tej drugiej osoby. A zatem nie dlatego, że muszę, że wytworzyła się jakaś więź oparta na popędzie, pożądaniu czy uległości, lecz dlatego, że tak chcę i już; by ta druga osoba dzięki mnie była najszczęśliwszą osobą na świecie, żeby każdego dnia była zaskakiwana przeróżnymi znakami miłości, które sprawiają, że poczuje, iż stała się centrum mojego świata. Nie dlatego, że związaliśmy się, bo współżyliśmy, ale dlatego, że takie jest nasze wspólne pragnienie i że takie są nasze decyzje – zależne od nas, a nie od naszych popędów, stanów emocjonalnych czy hormonów.

Sylwester Laskowski

Nawiążę do tych trzech mitów, że nie warto kupować „kota w worku”, że trzeba się dopasować seksualnie i że ślub niczego nie zmieni. Otóż zaczynając od trzeciego: ślub zmienia wszystko. Z własnego doświadczenia: widziałem, jak zmienia się mój stosunek do Magdy – mojej obecnej żony, gdy była moją dziewczyną, narzeczoną. Określenie „moja dziewczyna” słabiej brzmi, podczas gdy „to jest moja żona” brzmi zupełnie inaczej. Czy ślub niczego nie

zmienia? Przecież ślub do niczego nie jest potrzebny! Oczywiście, że jest potrzebny.

1. Z punktu widzenia prawnego. Przypuśćmy, że moja obecna żona jest tylko moją dziewczyną i, na przykład, miałaby wypadek samochodowy, znalazłaby się w szpitalu i odniosłaby jakieś bardzo poważne obrażenia. Ja przychodzę do szpitala i pytam „Przepraszam, chciałbym odwiedzić panią Magdalenę Szczepańską (nie Laskowską), czy mogę?” „A kim pan jest?” „Jestem jej przyjacielem”. „Przepraszam, może tylko rodzina”. I nie wejdę. Nie wejdę do swojej ulubionej, ukochanej Magdy Szczepańskiej, bo nie jest moją żoną. Ona nie jest moją rodziną, w świetle prawa jest dla mnie nikim, jak każda inna osoba. Prawo chroni małżeństwo, nie chroni wolnych związków i to dobrze.

2. Z punktu widzenia religijnego: Bóg błogosławi małżeństwu. Nie obiecywał błogosławieństwa wolnym związkom. Bóg mówi „Pobłogosławie na amen, będę robił wszystko, żeby wam się udało, będę bardziej starał się o waszą jedność niż wy sami”.

Bóg błogosławi małżeństwom, nie wolnym związkom, nie parom, które nie wiadomo czym są. Ślub zmienia wszystko, zmienia też poczucie psychiczne. W mężczyźnie budzi poczucie odpowiedzialności, że naprawdę trzeba się starać. Kiedyś w internecie znalazłem fajne powiedzenie: „Kobieta obawia się o swoją przyszłość do ślubu, a mężczyzna od ślubu”. Bardzo dużo się zmienia, zwłaszcza dla nas, mężczyzn. My boimy się tej decyzji.

3. Dopasowanie seksualne. Oczywiście jest, że trzeba się dopasować seksualnie, ale ile to trwa? Miesiąc, dwa miesiące? No nie! Całe życie się uczymy siebie. Im jesteśmy bogatsi psychicznie, intelektualnie, tym mamy bardziej wysublimowane potrzeby, które wyrażają się również przez seksualność. Pewne potrzeby są bardzo oczywiste: jak będziesz dotykał kogoś w określony sposób, w określonym miejscu, to zawsze zadziała. Ale to nie jest wszystko, to nie jest tylko jakby czysta mechanika. Istotą fajnego seksu jest dla mnie to, kiedy mogę być sobą, mogę być w pełni nagi ciałem, umysłem, wszystkim. Po prostu mogę być w końcu zwykłym Sylwkiem. Nie muszę udawać Bruce’a Willisa (jestem lepszy niż Bruce

Willis). Jeśli ona, widząc mnie takiego ze wszystkim nagiego, ze mnie właśnie takiego się cieszy i takiego mnie przyjmuje, to jest to istotą fajności współżycia seksualnego. Ażeby dojść do takiego komfortu, to trzeba czasu i poczucia pewności, że mnie nie zostawi za chwilę, gdy zrobię coś dziwnego. I tak jest w drugą stronę. Żeby być na dłuższą metę sobą, trzeba być wymagającym wobec siebie, nierobiącym wszystkiego, co mi do głowy przyjdzie, bo nie wszystko będzie dobre. Chodzi o czas. Uczymy się siebie, a nie sprawdzamy, czy pasujemy do siebie.

4. Kot w worku. Na szczęście mnóstwo rzeczy można przewidzieć. To, co wydarzy się w łóżku, można przewidzieć, nie wchodząc do łóżka. Takie cechy, jak pomysłowość, czułość, wrażliwość, energiczność, poczucie humoru, zaczepność lub odwrotnie – ich brak są doskonale widoczne poza łóżkiem. W łóżku nie jesteśmy kimś innym. Patrząc na mnie, można wyobrazić sobie, jaki jestem w łóżku i to samo jest w drugą stronę. Przy odrobinie wyobraźni można przewidzieć czyjeś zachowanie w łóżku i nie trzeba tego dosłownie sprawdzać. Nie musi to oznaczać jakiegoś szczególnego objawiania swojej seksualności, zachowania się w sposób wyzywający, czy coś w tym stylu. Po prostu w łóżku jesteśmy sobą. A jeżeli sobą jesteśmy również poza łóżkiem, to wiele o nas można się dowiedzieć, również z tego, co wydarzyć się może w łóżku. To jest pierwsza dobra wiadomość. A druga jest taka, że wielu rzeczy nigdy nie sprawdzimy. Nigdy nie sprawdzimy pewnych rzeczy, mając nastawienie, że kogoś sprawdzamy. Jeśli współżyję z kimś, a ta druga osoba wie, że właśnie ją sprawdzam, to ona wtedy nie będzie sobą i ja nie będę sobą, bo wiem, że jestem sprawdzany. W rzeczywistości chodzi nam o doświadczenie, jaki ktoś jest naprawdę, gdy nie jest sprawdzany, gdy może się „wyluzować” i być sobą. Tego nigdy nie doświadczysz, współżyjąc z nastawieniem na sprawdzanie. A więc odnośnie do sprawdzania: wiele rzeczy doskonale widać poza łóżkiem; niech to źle nie zabrzmie, ale mnie moja żona nie zaskoczyła w łóżku, przewidywałem, jaka będzie. Widząc ją normalnie na co dzień, w jaki sposób się uśmiecha, jak się rusza, jak mnie zaczepia, a jak odpowiada na moje zaczepki, przewidywałem, jak będzie w łóżku. Natomiast pewnych rzeczy sprawdzić się nie da, mając nastawienie, że się sprawdza.

Magdalena Korzekwa

Przestrzeżenie przykazania „Nie cudzołóż” można rozpatrywać na dwóch płaszczyznach. Jedna dotyczy tego, o czym mówiliśmy do tej pory, czyli dlaczego warto nie współżyć przed ślubem, dlaczego warto czekać do ślubu. To jest aspekt pozytywny. Drugi aspekt pozytywny, to jak wyrażać czystość przed ślubem, tworząc związek, chodząc ze sobą, będąc narzeczonymi. W moim odczuciu jest to ogromnie ważne. Największym przejawem czystości w związku między dziewczyną i chłopakiem, narzeczonym i narzeczoną jest okazywanie czułości, która jest oderwana od jakiegoś wyrażania popędu, ale która jest wyrazem prawdziwej miłości, być może także wyrazem marzeń o miłości największej. Okazywanie czułości jest ważne zwłaszcza dla dziewczyn, chociaż myślę, że nie tylko dla nas. Istotne jest to, żeby czułość rzeczywiście nie wyprzedzała więzi, ale też żeby była dla drugiej osoby silnym znakiem i zapewnieniem, że dla tej pierwszej osoby jesteśmy kimś wyjątkowym. Jeśli jest związek, w którym chłopak nie okazuje dziewczynie czułości i odwrotnie, to jest to bardzo niepokojący znak dla obydwu stron, zwłaszcza dla dziewczyny. Jeśli chłopak interesuje się dziewczyną tylko po to, żeby z nią współżyć, wówczas nie ma mowy o miłości, a taka postawa jest wyrazem pożądania, a nie pragnieniem, aby druga osoba rzeczywiście stała się dla niego centrum jego świata. Oczywiście dotyczy to także sytuacji odwrotnej, czyli odnosi się również do dziewczyn. Jeśli ktoś nie okazuje czułości, a co więcej, jeśli obydwu osób tworzących związek nie ciągnie do siebie, to też jest niepokojący znak. Może to świadczyć o oziębłości, a czystość nie ma nic wspólnego z oziębłością. Miłość czysta jest zawsze czuła. Nigdy oziębła!

Bez okazywania czułości nie ma szczęśliwego małżeństwa ani szczęśliwej rodziny. Ja mam to szczęście, że wyrastałam i jestem do tej pory w bardzo szczęśliwej rodzinie. Moi rodzice są dla mnie wzorem miłości małżeńskiej i miłości rodzicielskiej. Mam bardzo silne i radosne doświadczenie miłości i czułości wyniesione z domu rodzinnego. Moi rodzice są już 36 lat po ślubie i do tej pory wręcz wzrusza mnie, gdy okazują sobie czułość w codziennych sytuacjach; gdy, na przykład, mój tata zaskakuje moją mamę, podchodząc do niej i przytulając ją w różnych sytuacjach, gdy ona się tego nie spodziewa, ale gdy to ją umacnia. To jest dla mnie wyraż-

ny znak, że czułość jest czystym i umacniającym wyrazem zachowywania przykazania „Nie cudzołóż”. A zatem jeśli mamy czystą czułość, to możemy mieć pewność, że po ślubie będziemy szczęśliwi także w sferze seksualnej. Seksualność czysta jest wyrazem miłości, a nie potrzeb seksualnych. Właśnie dlatego czysty jest ten, dla kogo największą potrzebą jest potrzeba miłości, a nie jakakolwiek inna potrzeba!

Sylwester Laskowski

Mogę wyodrębnić trzy etapy mojego życia, w których różnie patrzyłem i patrzę na różne sposoby wyrażania sobie miłości w sensie fizycznym przed ślubem. Pierwszy czas to wtedy, kiedy byłem sam, drugi – kiedy byłem z Magdą przed ślubem i trzeci teraz, gdy jestem również z Magdą – po ślubie. Najbardziej rygorystyczne poglądy na temat granic przed ślubem miałem wtedy, gdy byłem sam, w drugiej kolejności – dzisiaj, a najmniej gdy już byłem z Magdą. To zrozumiałe. Przed ślubem, gdy nieraz publicznie wypowiadałem się na temat wartości czekania do ślubu, nieraz mówiono: „Co ty, Sylwek możesz wiedzieć na ten temat, nigdy nie współżyłeś, nie masz nawet dziewczyny, a wymądrzasz się”. I dalej „Co ty, księżę czy siostrzo zakonna, możesz na ten temat wiedzieć”. Znamy bardzo dobrze powiedzenie, że „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia”. Kryje ono zarówno pozytywne, jak i negatywne przesłanie.

Są trzy punkty widzenia, a więc czasu, kiedy zupełnie jesteś sam – czy to żyjesz w celibacie wybranym do końca życia, czy jesteś obecnie sam – to pierwszy punkt widzenia, drugi – kiedy z kimś jesteś, właśnie przeżywasz to, co przeżywasz, i wokół twojej sytuacji odbywa się sprawa, i w końcu trzeci punkt widzenia, gdy jesteś już po ślubie, kiedy już przeżyłeś swoje, patrzysz wstecz, masz już nowe doświadczenia, nowe pomysły. Myślę, że one się uzupełniają. Gdybym miał dzisiaj powiedzieć, co wolno, jak wolno, to nic nie powiedziałbym wprost, raczej podsuwałbym pewne drogowskazy, które wyznaczają kierunek. Niestety, a może na szczęście, te drogowskazy są niejednoznaczne, czasem wskazują – idź tam, a czasem – idź w przeciwnym kierunku. Mądrość życiowa, którą powinniśmy zdobywać, pozwala nam rozeznaczyć, w jakim iść kierunku. Prosty przykład – jest hasło: nie wolno współżyć. Jedno wskazanie mówi, że nie wolno ci rozbudzać seksualnie drugiej osoby. Jeżeli dzisiaj

nie wolno mi rozbudzać żadnej innej kobiety niż tylko moją żonę, to jakim prawem rozbudzam przed ślubem kogokolwiek, skoro to nie jest moja żona? A więc pierwsze bardzo rygorystyczne wskazanie – nie wolno ci rozbudzać. A co podpowiada drugie wskazanie? Pobudzenie jest czymś bardzo naturalnym. Jest niemożliwe nie czuć się pobudzonym, będąc w bliskim kontakcie z dziewczyną, która mi się ogromnie podoba i jeszcze w atmosferze romantycznej. Po drugie, jeżeli impotencja jest warunkiem unieważniającym małżeństwo, to w pewnym sensie istotą małżeństwa jest seks. W tym kontekście i z tego punktu widzenia uważam, że kobieta ma prawa i na swój sposób powinna doświadczyć tego, że mężczyzna nie jest impotentem. A zatem można by powiedzieć, że ma prawo, a nawet swoisty obowiązek (choć to stwierdzenie może zabrzmieć myląco) doświadczyć jego pobudzenia i jego zdolności do współżycia. Oczywiście nie chodzi tu o jakąś prowokację, specjalne, zaplanowane rozbudzenie mężczyzny, by go sprawdzić. Na szczęście pobudzenie męskie jest naturalnym odruchem i w wielu bliskich sytuacjach, bez specjalnego angażowania się w erotyzm, kobieta będzie mogła go doświadczyć.

Jeszcze na chwilę wrócę do owego seksu jako istoty małżeństwa. Miłość powinna mnie łączyć z każdym człowiekiem, a seks może mnie łączyć tylko z jedną osobą. Mój osobisty rozwój w tej tematyce, związany nie tylko z osobistymi doświadczeniami, ale i z przemyśleniami i studiowaniem literatury, pozwala mi na śmiałe dowartościowanie seksu. Rozwiązłość seksualna, z jaką mamy powszechnie do czynienia, zbyt łatwo rzuca negatywne światło na seksualność jako taką. A to niedobrze. Seks jest dobry. Bóg wymyślił seks.

W czasie przedślubnego bardzo rygorystycznego myślenia i platonicznych ideałów byłem skłonny niedocenić znaczenia seksu. Dzisiaj, nie zmieniając zasad wierności i wstrzemięźliwości przed ślubem, uważam, że seks jest obowiązkiem w małżeństwie. Mówię to szczególnie do kobiet, bo w różnych momentach dociera do mnie przesłanie, że kobiety nie chcą współżyć ze swoimi mężami.

Magdalena Korzekwa

Może mężowie za słabo się starają?

Sylwester Laskowski

Jacek Pulikowski, znana pewnie większości postać, bardzo często mówił, że dla mężczyzny w małżeństwie niezwykle ważne są dwie sfery życia: mężczyzna chce czuć się mądry w małżeństwie i chce być akceptowany seksualnie, czyli chce mieć poczucie, że kobieta chce z nim współżyć, uwielbia to i zaczepia go w tym celu. Taki mężczyzna na pewno będzie się czuł świetnie w małżeństwie – podpowiadam to każdej kobiecie, bo się z nim zgadzam. Równocześnie kobieta bardzo łatwo może dać mężczyźnie poczucie, że będzie się źle czuł wobec niej w wyniku jego inicjatywy współżycia.

W 98% inicjatywa jest po stronie mężczyzny. I to dobrze. Generalnie podoba nam się ten model, gdy mężczyzna ma inicjatywę wobec kobiety, a kobieta może przyjąć (lub nie) tę inicjatywę. Przykładem może być dyskoteka. Czy dziewczyna ma prawo poprosić chłopaka do tańca? Oczywiście, tak. Ale o co ona go prosi? Poprowadź mnie. Ostatecznie ona go prosi o to, by on przyjął inicjatywę. Kobieta bardzo dobrze się czuje w obecności mężczyzny, który potrafi przejąć inicjatywę i ją przejmuje. To jest dobry model: mężczyzna, który jest inicjatywą, i kobieta, która jest odpowiedzialnością na nią.

Powróćmy do seksu: mężczyzna ma mieć inicjatywę w zakresie współżycia. Jest to dla niego niezwykle ważna sfera życia, którą porównałbym do potrzeby rozmawiania u kobiety. Seks, tak jak i rozmowa, jest obowiązkiem w małżeństwie. Moi niektórzy koledzy mówili: Sylwek – znaczy czekać. Wokół mnie powstała fama, że bardzo jestem przeciwny współżyciu przed ślubem. Dziś mówię tak: przed ślubem NIE i nie ma o czym mówić, po ślubie TAK i jak najczęściej (oczywiście bez przesady).

Wracam do wątku, że skoro impotencja jest warunkiem do stwierdzenia nieważności małżeństwa, to każda kobieta powinna się dowiedzieć, czy jej facet nie jest impotentem. A jak to sprawdzić? Musi odczuć, że on jest w stanie współżyć. Z jednej strony więc mówimy, że nie wolno przed ślubem rozbudzać seksualnie, z drugiej jednak strony kobieta ma prawo poznać, czy on jest zdrowym mężczyzną. Z tego nie należy wyciągać wniosku, że ona musi

go sprawdzić. Nie musi się bać, że mężczyzna się podnieci. Jeśli utrzymuje się w ryzach, nic złego się nie dzieje. Uważam, że każda zdrowa kobieta się z tego ucieszy.

Następne zagadnienie, to czy rozwój relacji upoważnia nas do czegoś. Mamy prawo zupełnie inaczej traktować się na początku naszej znajomości niż na dzień przed ślubem. To jest normalny rozwój znajomości; jesteśmy coraz bardziej otwarci przed sobą, o coraz więcej rzeczach mówimy. Nie widzę niczego złego w tym, że na dzień przed ślubem narzeczona siada na kolanach swojemu chłopakowi. Byłoby dziwne, gdyby nie potrafiła tego zrobić. Nie chodzi o to, żeby obnosić się z tym i robić to w miejscach publicznych. To jest tak normalne jak to, że dzisiaj biorę na kolana moją córkę. Trzeba być uporządkowanym, żeby to spokojnie przeżywać.

Czego wolno dotknąć? To jest gorący temat – sfera intymna, nasze narządy płciowe, kobiece piersi. Nie można dać prostej odpowiedzi – „nie wolno ci”. Czy to jest chora część ciała? A jak ona pójdzie do ginekologa i on jest facetem, to jemu wolno? Jednak nie należy przesadzać w tę drugą stronę. Wskazanie o nierozbudzaniu seksualnym przed ślubem jest ciągle prawdziwe. Trzeba wykazać się rozsądkiem i odpowiedzialnością za drugą osobę.

Ja swoją córeczkę szczypię w pupę, swego syna także; ona ma 4 lata, a on 2 i nie ma w tym żadnego problemu. Gdyby to nie były moje dzieci, mógłby ktoś powiedzieć, że to jest molestowanie seksualne. Jakie molestowane, ja te pupy wielokrotnie wycierałem!?

Seks jest prostą sprawą, niestety w naszym życiu często skomplikowaną. Z definicji jest sprawą prostą, naturalną, zwykłą, po prostu fajną i taką ma być. Generalnym celem tych silnych ograniczeń w okresie przedślubnym jest przygotowanie nas do tego, abyśmy nie mieli problemu z wiernością w małżeństwie i pokusą seksu pozamałżeńskiego. Abyśmy potrafili być uporządkowanymi w tym zakresie.

Magdalena Korzekwa

Dziękuję ci za to, co teraz powiedziałeś. W tej chwili chciałabym zwrócić uwagę na fakt, że największa miłość nie jest osiągalna, jeśli nie zaprosimy do niej Kogoś większego od nas. Największa miłość, największa czystość i największa wierność, a zatem najlepsze zachowanie przykazania „Nie cudzołóż”, jest możliwe tylko

wtedy, gdy do relacji między kobietą i mężczyzną zaprosimy Tego, który sam jest Miłością, kto sam nas pierwszy pokochał i kto sam chce tego, byśmy dosłownie w każdej sferze życia przeżywali największą możliwą radość – Jego radość. A zatem nie ma pełnej czystości i pełnej radości bez Boga. Wiem, że jest Ktoś, komu zależy dosłownie na wszystkim, co robię, na każdej relacji, jaką buduję, na każdej więzi, jaka mnie dotyczy. Wiem, że jest Ktoś, komu zależy na mnie dosłownie w każdej chwili mego istnienia. To jest Ktoś, komu zależy także na mojej czystości. To jest także Ktoś, komu zależy na tym, żebym w pełnej wolności podjęła decyzję o tym, czy związę się małżeństwem z kimś czy nie, czy decyduję się kontynuować przygotowanie do małżeństwa z daną osobą, czy też się na to nie decyduję. Z tych powodów dla mnie osobiście jest niezwykle ważne to, że cała istota przeżywania mojej cielesności, całej mojej płciowości i seksualności ma najpełniejszy sens wtedy, gdy jest związana z Bogiem, który pokochał mnie pierwszy i który proponuje kobiecie oraz mężczyźnie miłość czystą aż do świętości.

Sylwester Laskowski

Mówimy o różnych rodzajach duchowości różnych stanów. Są zakonnicy i księża, też w różny sposób aktywni w świecie, są świeccy. W odróżnieniu od Ciebie, Magdo, mam to nieszczęście, że pochodzę z rozbitej rodziny. Wiele moich własnych odkryć nie było naturalne, pochodzące z domu, ze świadectwa rodziców. W różnych momentach mojego życia było mi łatwo o różne przegięcia. Gdy byłem zafascynowany jakąś drogą, jeśli w niej czegoś mi brakowało, łatwo było mi przegiąć w drugą stronę, przewartościowując jakieś idee. Był czas, kiedy uważałem, że małżeństwo to rodzaj zakonu. W pewnym sensie dalej tak uważam, nawet twierdzę, że małżeństwo to najbardziej ścisły zakon ze wszystkich istniejących. W żadnym innym zakonie nie ma tak ścisłej reguły, jaka jest i powinna być w małżeństwie. Są miejsca, gdzie nikt nie ma prawa wejść, są rzeczy, z których nikomu nie mam prawa zwierzać się, tylko swojej żonie. Nie mam też prawa mówić innym o pewnych sprawach związanych z moją żoną. Do pewnej sfery naszego życia nie powinienem nikogo zapraszać; są one z definicji małżeńskie. To było pierwsze myślenie – małżeństwo jako zakon. Z drugiego rozwinęło się myślenie, że życie duchowe małżonków powinno

przypominać życie duchowe i praktyki duchowe zakonników. Uważałem więc, że święte małżeństwo codziennie chodzi do kościoła, modli się z brewiarza i wykonuje jeszcze kilka innych praktyk, ściśle religijnych; zaczyna dzień godzinkami.

Pewnym istotnym dla mnie drogowskazem była książka Zbigniewa Nosowskiego „Parami do nieba”. Zbigniew Nosowski jest osobą ważną i cenioną w Kościele. Próba zmiany Kościoła od środka jest rzeczą bardzo trudną. Znacznie łatwiej jest stanąć z boku i powiedzieć: „Mam w nosie ten Kościół” i wystrzelić wszystkie argumenty „z grubej rury”. Zupełnie inaczej jest patrzeć od środka, kiedy wiemy, że poza Kościołem są te „grube rury i armaty” i czekają, kiedy podpalić lont. Kiedy chce się strzelić od środka, jest to znacznie trudniejsze i trzeba to czynić delikatnie. Zbigniew Nosowski pisał delikatnie, ale o sprawach wymagających ustawienia „poważnej armaty”. W historii Kościoła nieznanne były święte pary małżeńskie, dopiero Jan Paweł II w 2002 roku wyniósł na ołtarze włoskie małżeństwo – Luigiego i Marię Beltrame Quattrocchi, rodziców czwórki dzieci. Nosowski znalazł wiele par małżeńskich, w których kanonizowany był osobno mąż i osobno żona. Ich historia była w większości podobna: byli małżeństwem, rozstali się, jedno z nich wstąpiło do zakonu męskiego, drugie do żeńskiego i potem zostali świętymi. Stąd wynikało proste przesłanie: aby być świętym małżonkiem, musisz rozstać się ze swoją żoną, nie współżyć z nią. Można byłoby wysnuć wniosek, że właściwie nie ma drogi małżeńskiej ku świętości. Oczywiście Nosowski nie zgadza się z tym. Ja też nie. Znamy hasło „Ora et labora” – „Módl się i pracuj” – to jest zawołanie benedyktynów. Jestem może w tym samozwańczy, ale „zakon” Sylwestra Laskowskiego ma formułę odwrotną: „Labora et ora”. Jestem człowiekiem świeckim i moje życie polega na tym, że jestem osiem godzin w pracy, wracam i mam drugą robotę z dziećmi, z rodziną. Oni kładą się spać, a ja często jeszcze pracuję. Chodzi mi o to, że musi być w Kościele jakaś radykalna zmiana spojrzenia. Nasz Ojciec święty zrobił pierwszy wyłom, kanonizując po raz pierwszy małżeństwo.

Zakonnik nie zarabia pieniędzy, on nie musi ich zdobywać, natomiast zadaniem świeckiego jest zmieniać świat, być w świecie, pracować, działać. To jest jego główne zadanie, oczywiście w niesprzeczności z Bożymi zasadami i w posłuszeństwie Jemu. Dlatego

model duchowości świeckiej jest zupełnie inny i powinien być inny niż model duchowości zakonnej. To nie jest gorsza duchowość, to nie jest zakon z brewiarzem, godzinkami itd. Nie pomniejszając praktyk życia zakonnego, uznajmy, że to jest po prostu inny styl i sposób życia.

Był czas, a przed naszym ślubem było to regułą, że codziennie chodziliśmy razem na Mszę Świętą. Znam małżeństwa, które dalej to praktykują. Ja sam przestałem chodzić codziennie na Mszę Świętą; chodzę czasem w tygodniu, ale nie codziennie. Mnóstwo rzeczy czeka w kolejce na zrobienie przeze mnie, mnóstwo ludzi czegoś ode mnie oczekuje, również moje dzieci czekają, żebym miał dla nich więcej czasu. Aktywność w sensie bycia na Mszy Świętej w tygodniu jest jedną z tych rzeczy. Ten mój długi wywód miał na celu pokazanie, że duchowość świeckich jest, powinna i ma prawo być inna.

Magdalena Korzekwa

Dziękuję Ci, Sylwestrze, także w imieniu osób z tej grupy, którą ja reprezentuję, czyli z grupy osób stojących dopiero wobec perspektywy zawarcia małżeństwa i które nie mają jeszcze pewności, czy to powołanie zrealizują.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Osoba niezamężna i stosunkowo młody mąż dzielili się swoimi doświadczeniami. Ja chciałabym powiedzieć świadectwo naszego małżeństwa (mój mąż jest tu obecny), które w tym roku będzie obchodziło pięćdziesięciolecie. Przez te lata mieliśmy życie bardzo szczęśliwe; nasze małżeństwo jest bardzo szczęśliwe. Chciałam tu powiedzieć o pewnych sprawach, które moim zdaniem są bardzo ważne, żeby małżeństwo uczynić szczęśliwym i żeby, jeśli Pan Bóg pozwoli, dożyli tak długo w szczęśliwym małżeństwie. Nie wierzę w to, że są takie małżeństwa, które nie przeżywałyby kryzysów. W małżeństwo jest wpisane, że są takie czy inne konflikty, niezgodności czy inne spojrzenie na różne sprawy, w związku z tym kryzysy w ma-

łżeństwie są nieuchronne. Są jednak różne podejścia do kryzysu ze względu na to, że jedne małżeństwa dopuszczają rozwód, a inne uważają, że są związani na całe życie i czy będzie dobrze, czy źle, muszą trwać w małżeństwie. Na podstawie naszego doświadczenia tych 50 lat uważam, że podstawową sprawą jest niedopuszczenie myśli o tym, że się rozstaniemy, że możemy się rozstać. W związku z tym nigdy nie wchodziliśmy głęboko w kryzys, który przeżywaliśmy, bo obydwójce wiedzieliśmy, że musimy wrócić do dobrego życia, musimy wycofać się z tego kryzysu. Nie mogliśmy wchodzić w ten kryzys zbyt głęboko, bo później byłoby trudno wycofać się z niego. Te kryzysy wobec tego były u nas na tyle płytkie, mówię to szczególnie do pana Sylwestra, że przez te 50 lat nie mieliśmy ani jednego „cichego dnia”, który przedłużyłby się na drugi dzień. Gdy klękaliśmy do pacierza, wspólnie czy osobno, i mówiliśmy świadomie z pełną odpowiedzialnością „Ojcze nasz... odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”, to nie mogliśmy nie pogodzić się ze sobą. Jeżeli Modlitwę Pańską bierze się poważnie, to nie ma innej możliwości. I to byłoby jedno bardzo ważne przesłanie.

Drugie przesłanie dotyczy wzajemnego zaufania, że współmałżonek będzie nam wierny przez całe życie. Jeżeli są małżeństwa, które mają na swoim koncie jakiś „skok w bok”, to mimo że często są to potem dobre małżeństwa i dalej mogą trwać jako związek, boją się, że zawsze gdzieś tam pokutuje myśl, że na koncie ich małżeńskiego życia była zdrada. My obydwójce przez całe życie nie dopuszczaliśmy nawet myśli, żeby można było popełnić jakąkolwiek świadomą zdradę. Gwarantowało to nam niesłychany spokój w małżeństwie. Jeśli mój mąż pracował z jakimiś paniami, to ja go się pytałam, czy chociaż są ładne – w tym sensie, żeby nie psuł sobie gustu! Podobnie on mnie pytał. Nigdy nie byliśmy o siebie zazdrośni. Nie dawaliśmy sobie do tego podstaw.

Nawiążę do czułości w małżeństwie – całe życie dostaję kwiaty od mojego męża i bardzo to sobie cenię, a wszystkim panom radzę, żeby nigdy nie zapominali o kwiatkach dla swoich żon. Jest to bardzo sympatyczny dowód czułości.

Bogdan Motelski

Najpierw powiem o czymś z mojego własnego doświadczenia. W małżeństwie zawsze najlepiej się układa wtedy, kiedy każda ze



Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

stron myśli o szczęściu tej drugiej połówki. Cokolwiek robię, również dotyczy to spraw intymnych, staram się, aby moja żona była bardziej szczęśliwa i radosna. Gdy przeciwnie, mam na myśli swoją wygodę, że chcę odpocząć czy coś w danej chwili nie jest mi na rękę, to wtedy zaczynają się, chociażby drobne, problemy w naszym małżeństwie. Poza tym jeśli zawsze myśli się o tym, żeby tej drugiej osobie sprawić radość, to samemu też jest milej. To jest bardzo proste.



Bogdan Motelski (z mikrofonem)

Druga sprawa to, jak powiedziała pani Rektor, nie dopuszczamy do siebie myśli o możliwości rozwodu. To jest proste jeszcze z innej strony. Przecież dałem słowo: „Nie opuszczę Cię aż do śmierci”. Jeżeli dotrzymuję słowa, to znaczy, że szanuję swoje słowo. Jeżeli nie szanuję mojego słowa, to mówiąc komuś „przyjdę do ciebie jutro o dziewiątej”, mogę usłyszeć odpowiedź „no wiesz, może jutro w ogóle nie przyjdiesz, kto to wie?”. Natychmiast rwą się relacje, nie tylko małżeńskie, ale w ogóle społeczne. Szacunek dla człowieka musi się zaczynać od szacunku dla samego siebie i szacunku dla swojego słowa. Każdy człowiek chce być szanowany, jest to wspólna potrzeba bardzo wielu ludzi.

Agnieszka Jaworska

Obracam się w środowisku wspólnot małżeńskich. Często rozmawiamy na tematy związane z małżeństwem, a temat współżycia i zdrady małżeńskiej też się przewija. Jeśli dopuszczamy się zdrady, to trudniej jest nam w życiu i trudniej zachować się w porządku wobec drugiego człowieka. Zachowywanie czystości w relacjach fizycznych ułatwia nam zachowanie czystości w relacjach psychicznych, jak przed chwilą powiedział mój przedmówca. Jeżeli, na przykład, przeskrobał coś mój małżonek, to z uwagi na szacunek do człowieka nie będę rozmawiała na ten temat z moją mamą, na pewno nie z sąsiadką, a nawet zastanowię się, czy warto rozmawiać na ten temat z najbliższą przyjaciółką. W przeciwnym przypadku ta trzecia „wtajemniczona” osoba, spotykając się ze mną, może nawiązać do tej sprawy, chociaż my obydwójce już dawno wybaczyliśmy sobie. Różne nasze bóle, różnice zdań noszę w sobie, aż mi przejdą, gdy je sama przegryzę lub przegadam z moim mężem. Staram się nie omawiać tego z innymi osobami i myślę, że procentuje to w naszym codziennym życiu małżeńskim i w rosnącym wzajemnym zaufaniu.

Magdalena Korzekwa

Chciałabym jeszcze odnieść się do tego, o czym już wcześniej wspominałam, czyli do doświadczenia moich rodziców, którzy swoją miłością na co dzień zaskakują, czasem wręcz we wzruszający sposób szokują i którzy są dla mnie wzorem miłości małżeńskiej i rodzicielskiej. Przez całe moje życie, a mam 21 lat, nie słyszałam żadnej ich kłótni. Nie pamiętam też żadnej sytuacji, w której byliby źli na siebie. Jeśli ktoś mówi, że czułość małżeńska nie jest możliwa na co



Agnieszka Jaworska

dzień i na całe życie, to zapraszam go do mojego domu, do moich rodziców. Czuję się z tego powodu bardzo wyróżniona przez Boga i ogromnie wdzięczna rodzicom. Wynika to z ich miłości, na którą się zdecydowali w sposób czysty i nieodwołalny. Odnosząc to do mojego życia oraz do moich marzeń o małżeństwie, nie wyobrażam sobie sytuacji w małżeństwie, w której mąż „interesuje się” swoją żoną jedynie wtedy, gdy chciałby z nią współżyć. Wyobrażam sobie jedynie taką sytuację, w której współżycie jest przejawem czulej miłości okazywanej w ciągu całego dnia.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałabym dodać o przykładzie rodziców. Bardzo ważny był dla mnie i dla moich braci przykład naszych rodziców; było to małżeństwo bardzo się kochające. Moja matka zmarła mając 56 lat, czyli będąc osobą w sile wieku. Mój ojciec był człowiekiem ogromnie towarzyskim, szalenie lubianym, bardzo dowcipnym i inteligentnym. Po śmierci mojej matki był dalej rozchwytywanym towarzysko i wielbionym przez wiele pań. Pamiętam, jak kiedyś szliśmy na wycieczkę z moim ojcem i z moimi braćmi gdzieś po Tatrach. Mój ojciec powiedział mi wtedy, że nigdy się nie ożeni (mimo że był jeszcze w sile wieku mężczyzną), bo miłość ma się tylko raz w życiu. To było dla mnie niesłychane świadectwo miłości w małżeństwie moich rodziców i ich wierności sobie.

Ewa Nitecka

Pamiętam taką uwagę Ojca Pio do jednej z jego penitentek, która zastanawiała się, czy iść drogą zakonną czy małżeńską. Ojciec Pio odpowiedział jej wtedy, że klasztor to Góra Tabor, a małżeństwo to Kalwaria. Dla mnie nadzwyczaj cenne są świadectwa małżeństw, które są szczęśliwe. W dzisiejszym świecie jest tak dużo zagrożeń, poczynając od okresu przed zawarciem małżeństwa i potem w małżeństwie. Cieszy mnie to, że tak wiele osób przyszło, aby posłuchać

na temat wiernej miłości małżeńskiej. Chciałabym wiedzieć – kierując to pytanie do Pani Magdy – czy liczniejsze jest środowisko osób wśród Pani znajomych, przyjaciółek, koleżanek i kolegów, które wychowują się w szczęśliwych rodzinach, czy też osób z rodzin z trudnościami czy wręcz z rozbitych małżeństw? Czy udaje się zarażać je pragnieniem, aby one, mimo własnych doświadczeń, mogły stworzyć dobre małżeństwo?

Magdalena Korzekwa

Znam wiele osób, które wychowywały się w szczęśliwych rodzinach, ale mam też świadomość tego, że wśród dużej grupy małżeństw nieszczęśliwych czy rodzin w kryzysie te dobre nie stanowią niestety dużej grupy. Wychowywanie się w rodzinie, w której jest dużo konfliktów oraz brak dobrych wzorców w domu rodzinnym, może utrudnić zawarcie szczęśliwego własnego małżeństwa i założenie szczęśliwej rodziny, ale taka niekorzystna w punkcie wyjścia sytuacja w żaden sposób nie determinuje i nie dyskwalifikuje nikogo z młodych ludzi, którzy pragną dorastać do świętości w małżeństwie i rodzinie. Każdy z nas ma nie tylko prawo, ale i też zdolność do tego, by żyć szczęśliwie, by prowadzić życie w sposób, do jakiego powołał nas Bóg, tak jak to On dla nas zaplanował – Ten, któremu najbardziej zależy na naszym losie. Z tego powodu wielką wartość ma chociażby to spotkanie, w czasie którego rozmawiamy o tym, że warto kochać taką miłością, która jest czysta, wierna i która przynosi ogromną radość. Warto w tym kontekście odróżnić radość od przy-



Ewa Nitecka

jemności. Przyjemność potrafią przeżywać także zwierzęta. Człowiek, który jest wolny, który ma świadomość swojego istnienia i który potrafi kochać – wtedy gdy kocha, przeżywa coś nieskończenie większego od przyjemności. Przyjemność przemija, zawsze się kończy, podczas gdy radość jest trwała. Radość nie przemija także wtedy, gdy zaczynamy cierpieć, jeśli tylko nie przestajemy kochać. Radość wynika ze świadomości, że jestem kochana, że kocham i że prawdziwa miłość nigdy się nie kończy.

Anna Słomka

Jestem w małżeństwie 23 lata, mamy piątkę dzieci. Chciałabym dopowiedzieć coś jeszcze do tego, co mówił pan Sylwester o fazie przedmałżeńskiej, kiedy już jest się w narzeczeństwie, kiedy już wiadomo, że to jest ta osoba i czekamy na ślub.

W nawiązaniu do zdania z „Pieśni nad Pieśniami”, że „miłość jest jak śmierć potężna” – to jest prawda, ponieważ miłości nie można spróbować, tej prawdziwej Miłości (przez duże M), która zaczyna się w momencie, gdy jesteśmy sobie poślubieni. Ona jest wtedy społecznie potwierdzona i pobłogosławiona przez Boga. Tej miłości nie można spróbować, tak samo jak nie można spróbować śmierci. Dlatego też ci, którzy mówią, że muszą się wypróbować, mylą dwa porządki; oni chcą spróbować zupełnie czego innego, ale to nie jest miłość – to jedna rzecz. A po drugie, nawet jeśli oboje młodzi są bardzo szlachetnymi, solidnymi i porządnymi katolikami oraz bardzo starają się, żeby nie złamać szóstego przykazania przed ślubem, nie dadzą rady tego zrobić, jeśli nie zaproszą do współpracy Pana Boga. To jest moje osobiste doświadczenie. Gdy oboje proszą o tę łaskę z Nieba, to jest szansa, że się uda. Tu mogę powiedzieć, że ja z moim narzeczoną dotrzymaliśmy tej czystości, przez co później Bóg niesłychanie pewne sprawy nam uprościł, uporządkował i wręcz zagwarantował. Takie jest moje świadectwo, że bez Pana Boga nie dalibyśmy rady. Na szczęście oboje byliśmy w „Ruchu Światło – Życie”, a formacja, którą tam uzyskaliśmy, dała nam możliwość „zawieszenia się” na Panu Bogu. Jestem świadoma działania tak potężnych sił, emocji, pragnień, że młodzi ludzie muszą mieć jakiś punkt zaczepienia, ale o ten punkt trzeba się po prostu starać. A jak? Każda para musi sobie na to sama odpowiedzieć, czy przez uczestnictwo w takiej lub innej wspólnoty czy ruchu, czy też przez samodzielną modlitwę.



Anna Słomka

Nie wiem, czy jest jakiś inny sposób. W obecnym świecie, pełnym pokus na każdym kroku, w domu i poza domem, gdzie są czasopiśma, filmy, billboardy itp., jest to możliwe, ale jednak bardzo trudne. Ale jak powiedział przywołany tu autorytet: „wszystko co ma wartość, kosztuje”.

Magdalena Korzekwa

Tytułem podsumowania chcę potwierdzić, że młodzi ludzie i nie tylko – ludzie w każdym wieku! – mają marzenia, aby być kochani, aby być zaskakiwani miłością i aby osoby, które nas kochają, wyrażały nam swoją miłość w sposób największy, najsilniejszy i najpiękniejszy, w sposób czysty, czyli dostosowany od tego, jaka więź nas łączy. Te nasze marzenia „zagospodaruje” Pan Bóg, który nas pierwszy pokochał i który doskonale wie, co przeżywamy, który wie, czym się przejmujemy, który zna nasze przeżycia bardziej niż my sami. Trzecia myśl na zakończenie: miłość największa, miłość czysta, miłość, która przynosi największą radość, jest możliwa chociaż nie jest łatwa. Na pewno warto od siebie wymagać. Jeśli od siebie wymagamy wierności naszym ideałom i czystości w budowaniu więzi, to możemy być pewni tego, że będziemy kochać i będziemy szczęśliwi.

Sylwester Laskowski

Chcę podziękować za zaproszenie, Magdzie za świadectwo swojej rodziny, a pani Rektor za dobrą radę. Bezpośrednio po wyjściu stąd pojedę do kwiaciarni i kupię kwiaty swojej żonie.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Dziękuję bardzo panelistom i wszystkim, którzy wypowiedali się w dyskusji. Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia życzę wszystkim Państwu bardzo sympatycznych świąt w rodzinach, tej właśnie wzajemnej miłości, o której mówiliśmy tu tak bardzo miło. Ona sprawia, że powstaje sympatia między ludźmi i stanowi podstawę dla różnych dobrych uczynków.

Pamiętajcie Państwo, że przy wigilijnym stole jest puste nakrycie. Pamiętajcie o tym, żeby to puste nakrycie nie zostało puste. Przypomnę tu nasze świadectwo, o którym mówiłam już kiedyś na Konwersatorium. Od wielu lat spędzamy Wigilię u mojej starszej córki. Mają duże mieszkanie, więc wszyscy możemy się zmieścić. Parę lat temu przed świętami córka, idąc na zakupy do Tesco, zobaczyła człowieka, który grał na akordeonie; widziała go tam często wcześniej. Podeszła do niego i zapytała, gdzie on będzie na Wigilii. Odpowiedział, że w swoim drewnianym domku na Paluchu, czyli „podszytym wiatrem” działkowym domku letnim, a było wtedy 19 stopni mrozu. Wtedy zaprosiła go do siebie na Wigilię. Pan Gienio – Ukrainiec, obecnie nasz serdeczny przyjaciel, od 10 lat przyjeżdża do Warszawy i grając na akordeonie, zarabia na życie swojej rodziny mieszkającej na Krymie. On w chwili obecnej nocuje u nas, bo jest duży mróz i tak jest od paru lat. W tym roku pan Gienio będzie oczywiście na Wigilii u mojej córki, ale on już nie jest kimś obcym, więc trzeba było pomyśleć o następnym do „pustego nakrycia”. No i zdarzyło się tak: nasz wnuk jest obecnie na studiach we Włoszech, w Mediolanie i jednym z jego kolegów jest Japończyk mieszkający z rodzicami w Australii. We Włoszech w ciągu dwóch tygodni w czasie świąt wszystko jest pozamykane. Mój wnuk zapytał się go, czy leci do Australii. Odpowiedział, że nie, podróż jest za droga, aby lecieć na dwa tygodnie ferii. W odpowiedzi Olek zaprosił go do Warszawy, no i będziemy mieli Japończyka przy pustym nakryciu przy wigilijnym stole.

Dopisek po Świątach: Wigilia była bardzo sympatyczna, z kolędami przy akompaniamencie akordeonu pana Gienia, choinką i prezentami dla każdego. Japończyk okazał się ogromnie sympatyczny, bardzo muzykalny i starał się z nami śpiewać kolędy, czytając ich teksty. Z osobami, które wychodziły, żegnał się, mówiąc „Chwała na wysokości”. Wyjeżdżając, powiedział Olkowi, że w ciągu 23 lat swojego życia nie przeżył tak cudownych Świąt.

Spisał z nagrania Bogumił Chlebny

Cd. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Jacek Mycielski (Włochy)

Moim zdaniem, wszystko zaczyna się od myśli – trzeba je kontrolować. Niekontrolowane myśli to potem słowa, a następnie czyny. Tak więc cudzołóstwo lęgnie się przede wszystkim w myśli. Reszta jest logicznym następstwem.

Według mojego obecnego przekonania, nie tylko fakt seksu pozamałżeńskiego jest grzechem. Grzechem jest już moje przyzwolenie na okazje, jest fakt dobrowolnego bycia w miejscu i czasie sposobnym do złamania przykazania. Przekroczenie kolejnych barier jest wtedy często tylko tego konsekwencją.

W niektórych rachunkach sumienia flirty pozamałżeńskie są już zdradą. Na pewno słuszne twierdzenie, ale chyba dla prawdziwych świętych... Ten punkt jest delikatny i dyskusyjny. Może być zdradą, jeżeli jest równoczesnym przyzwoleniem na okazję. W większości jednak wypadków jest to sympatyczna rozmowa towarzyska, w której miłe słowa przekazane drugiej osobie nie mają podtekstu. Ale może ona prowadzić do „okazji”, więc byłbym z tym ostrożny.



Czy potrafię śmiać się ... również z siebie?



Cytaty

KSIĄDZ JAN TWARDOWSKI *O uśmiechu w kościele*

„W kościele trzeba się od czasu do czasu uśmiechać do Matki Najświętszej, która stoi na wężu jak na wysokich obcasach do świętego Antoniego, przy którym wiszą blaszane wota jak meksykańskie maski do skrupulanta, który ciągle dmucha spowiednikowi w pompkę ucha...”

O śmianiu się z samego siebie:

„Jeżeli potrafisz śmiać się z siebie, to najlepszy dowód, że masz poczucie humoru”

„Najpewniejszą oznaką pogodnej duszy jest zdolność śmiania się z samego siebie”

„Jeżeli potrafisz śmiać się z samego siebie będziesz miał zabawę do końca życia”

O uśmiechu i śmianiu się:

„Mówią, że najpiękniejszy uśmiech ma ten, kto wiele wycierpiał”

„Najbardziej straconym dla człowieka jest dzień, w którym się nie śmiał”

„Tylko śmiech może przybliżyć ludzi do ludzi”

„Trzeba śmiać się, nie czekając na szczęście, bo gotowiśmy umrzeć nie uśmiechnąwszy się ani razu”

„A to będę się śmiał, gdy nie zdążę ze zniszczeniem świata przed jego końcem”

BP ANTONI DŁUGOSZ *Za pokutę: uśmiech* (fragmenty)

Jeśli wychodzimy z Mszy smutni, to znaczy, że nie uwierzyliśmy w pełni w Chrystusa. A przecież większość z nas przyjęła Komunię Świętą, mamy w sercu na własność Jezusa, Boga radości!

Zawsze lubiłem żarty. W czasie wizyty Jana Pawła II w 1979 roku, kiedy mieszkałem w bloku, przyjechała do nas matka mojej bratowej. Powiedziałem rodzinie: „Mam dylemat, bo papież ma być dziś u mnie na kawie, i nie wiem, jak to urządzić: czy go wwieźć windą, żeby się zatrzymywał na każdym piętrze i błogosławił, czy może zamówić dźwig, żeby go wnieśli na balkon?”. Wszyscy się śmiali, tylko matka bratowej z przejęciem opowiadała, że u księdza Antka będzie papież na kawie... Kiedy więc ordynariusz ogłosił moją nominację na biskupa i zaprosił mnie po modlitwie na kawę, powiedziałem, że chciałbym najpierw powiedzieć o tym Mamie. Dzwonię z jego gabinetu. „Mamusiu, usiądź. Nie przejmuj się, ale zostałem biskupem”. „Nie wygłupiaj się” — parsknęła śmiechem.

Osoby głęboko wierzące nigdy nie będą ludźmi smutnymi. Św. Tomasz z Akwinu mówił, że radość i pogoda ducha są obowiązkiem moralnym chrześcijanina. Jeśli ktoś lubuje się w cierpiętnictwie, to źle rozumie misję Chrystusa.

Nasza liturgia jest radosna: „Alleluja” — radujmy się! Na moich Mszach „Alleluja” śpiewamy na melodię Cohena — i klaszczemy.

Św. TOMASZ MORUS, oczekując w więzieniu na wykonanie wyroku śmierci, modlił się tak:

„Zechciej mi dać zdrowy żołądek, Panie, a także nieco do jedzenia. Zechciej mi dać zdrowe ciało i umiejętność zachowania go. Panie, obdarz mnie zmysłem humoru, daj mi łaskę rozumienia się na żartach, ażebym zaznał w życiu trochę szczęścia, a i innych mógł nim obdarzyć”.

KONWERSATORIUM XLIV

(22 stycznia 2011)

Czy potrafię śmiać się... również z siebie?

Prowadzący: ks. Piotr Hartkiewicz, ks. Bogusław Kowalski (proboszcz parafii pw. Świętego Wincentego à Paulo w Otwocku, dziekan otwocki), Katarzyna Łaniewska (aktorka teatralna, radiowa i telewizyjna, znana jako Babcia Józia z serialu „Plebania”).

Ks. Piotr Hartkiewicz

Witam naszych dzisiejszych gości – panią Katarzynę Łaniewską i księdza Bogusława Kowalskiego w panelu spotkania. Przyznam się, że kiedy ksiądz Adam poprosił mnie o to, abym go dzisiaj tutaj zastępował, pomyślałem sobie, że to jest pierwszy dowód na poczucie humoru Pana Boga, bo jak taki poważny człowiek jak ja może prowadzić spotkanie o poczuciu humoru. Ale chwilę potem przyszła mi na myśl refleksja ojca Leona Knabita, który uchodzi za mistrza poczucia humoru, który podczas naszego ostatniego spotkania mówił, że nie możemy traktować poważnie ludzi, którzy są cały czas poważni. Myślę sobie, że to w pewnym sensie może być motto dzisiejszego spotkania, które zatytułowane jest „Czy potrafię się śmiać również z samego siebie”. Będziemy dziś zatem mówić o poczuciu humoru, jego roli i znaczeniu w naszym życiu, lecz mam nadzieję, że nasze spotkanie nie zostanie zdominowane przez poważną debatę o poczuciu humoru, ale również będzie miało nieco karnawałowy charakter, do czego serdecznie Państwa zapraszam. Nie skrywajmy naszego osobistego poczucia humoru i podzielmy się dzisiaj jakąś anegdotą ze swojego życia, czymś, co pozwoli nam się wspólnie pośmiać.



Paneliści: ks. Piotr Hartkiewicz, ks. Bogusław Kowalski
i Katarzyna Łaniewska

Poza tym, że jestem księdzem, jestem także psychologiem, z tym że bardziej zajmuję się praktyką niż teorią. Pozwolę sobie na parę słów wprowadzenia. Gordon Allport, amerykański psycholog, stworzył definicję dojrzałej osobowości. W kryteriach tej definicji znajduje się zdrowe, dojrzałe poczucie humoru, które polega na dystansie do siebie, do świata, do wydarzeń, w których uczestniczymy. Nie jest to natomiast cynizm, nie może to być kpina, nie może to być też pusta wesołkowatość. W psychologii bardzo wyraźnie określa się, że dojrzałe poczucie humoru wymaga pewnych kryteriów, które sprawiają, że ono rzeczywiście będzie dojrzałe. Nie jest ono ukrytą formą agresji, przez którą deprecjonujemy lub ośmieszamy drugą osobę lub samego siebie. Nie o takim poczuciu humoru chcemy dzisiaj mówić. Łatwo nam śmiać się z innych, a dużo trudniej – i to jest nasze dzisiejsze wyzwanie – śmiać się z siebie samego. Mam nadzieję, że będziemy sobie wzajemnie pomagać w tym, abyśmy pokonywali właśnie ten dystans do samego siebie, do tego świata, do naszego widzenia świata. Eugene Ionesco mówił, że tam gdzie brak jest poczucia humoru, tam jest obóz koncentracyjny. Abyśmy się nie znaleźli w „obozie koncentracyjnym”, życzę

Państwu dużo zdrowego, dojrzałego poczucia humoru i zapraszam do dyskusji.

Katarzyna Łaniewska

Złęłam się, że mój przedmówca zabierze mi początek. Miałam zaszczyt i przyjemność spotkania się z ojcem Leonem Knabitem. Niedawno odbyło się naukowe sympozjum w Płocku o roli rodziny, o roli babci. Ojciec Leon mówił też o starości. Czy Panu Bogu starość się udała? „Panu Bogu tak, tylko ludziom trochę gorzej.” Zapamiętałam też drugie powiedzenie ojca Leona, dlaczego kobiety żyją dłużej. Powiedział – „bo nie mają żon”. To sympozjum było bardzo ważne i naukowe ...

Im jestem starsza i bardziej maleję, tym bardziej wydaje mi się, że rośnie moje poczucie humoru. Widocznie jest jakaś proporcja w zachowaniu równowagi życiowej. Zawsze mówię, że jeśli wstanę z łóżka i mnie nic nie boli, to znaczy, że już nie żyję. A jak mnie boli, to znaczy, że muszę wstawać i iść do pracy. Jak mi ktoś mówi: „Jak Pani dzisiaj ślicznie wygląda”, to odpowiadam: „Przez okno, przez okno.” Mam naprawdę jakieś poczucie humoru na swój temat.



Katarzyna Łaniewska

Bywam w lecie często w takiej wsi pod Otwockiem, która się nazywa Glinianka. Kiedy moje koleżanki, które teraz wyjeżdżają gdzieś do Baden-Baden, na Bali, do wielkich kurortów, pytają, dokąd wyjeżdżam – odpowiadam „Do Glinianki” i dodaję, żeby pięknie brzmiało „Do Glinianka Bady, tam są moje latyfundia”. Zawsze podnoszę w ten sposób poziom swojego istnienia w świecie celebrytów.

Cóż ja mogę mówić o moim zawodzie – zawód jest dosyć śmieszny, ale jeżeli się go wykonuje dość długo i z sercem, to staje się rzeczywiście poważnym zawodem. A jeśli chodzi o stopnie naukowe, to ja nawet nie jestem magistrem. Wszyscy w tej chwili to profesorowie. Ja kończyłam Państwową Wyższą Szkołę Teatralną, natomiast teraz jest Akademia Teatralna, ale starsze pokolenie to wie, czym były takie nazwiska jak Zelwerowicz, Kreczmar, Wyrzykowski, Janina Romanówna, Jan Świdorski. To byli moi profesorowie, to byli moi koledzy, z którymi miałam możliwość zetknięcia się. Nam kiedyś w dowodzie wpisywano zawód. Mój zawód po maturze i czterech latach studiów w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej był – aktorka. A w tej chwili, jak patrzę na wiele moich młodych koleżanek, pseudokoleżanek, młodych pańienek, to zawód, który należałoby im wpisać, powinien być – gwiazda. Bo nie bardzo ten zawód jest wyuczony.

Kupuję takie dwa pisma kolorowe, z których oczywiście dowiaduję się pewnych ciekawostek „przyrodniczych” – kto z kim i dlaczego, natomiast kupuję te pisma specjalnie dlatego, że inwestuję w starość, więc rozwiązuję krzyżówki. I tak patrzę na te różne zdjęcia i mówię kiedyś do męża: „Czy mam być celebrytką czy emerytką?” Mąż spojrział na mnie wymownie, więc oczywiście to drugie – emerytką.

Mój mąż jest po wylewie, lekko pociąga nogą, ja mam lewe oko nie w pełni sprawne, więc jak sobie idziemy na spacer, mówię do niego „wiódł ślepy kulawego”. Takie zewnętrzne poczucie humoru i dystans do siebie pozwala pogodniej żyć, poza tym nie jest się takim zadufanym w sobie, że się jest najmądrzejszym, najważniejszym.

Całe życie nigdy nie chciałam grać młodszych osób od siebie. Kiedyś, jak miałam czterdzieści parę lat, dostałam propozycję roli osoby po siedemdziesiątce i pytanie, czy przyjmę. „A czy jest coś do zagrania? Jak jest, to dlaczego nie. Młoda siedemdziesiątka bardzo dobrze będzie wyglądać.” Ta lekkość jakoś mi chyba pomaga w życiu.

Teraz na starość – bo już 55 lat pracuję w zawodzie, to kawał czasu – związałam się z babcią Józią w „Plebani”. Jedenaście lat temu z wielkim lękiem podchodziłam do tytułu „Plebania”, bo był to okres, gdy wszyscy tzw. satyrycy czy tzw. pisarze starali się dopiec „czarnemu”. Powiedziano mi jednak, że w tym wypadku nie o to chodzi. Odcinków było siedemnaście. Gdy je przeczytałam, to przekonałam się, że ta babcia Józia miała za zadanie scalać rodzinę, pielęgnować tradycyjne święta, prezentować poglądy osoby może niewykształconej, ale bardzo trzymającej się ziemi i mądrej mądrością starego człowieka, którą zyskała od swojej rodziny. Poza tym moja babcia, która mnie wychowywała, nosiła takie samo imię.

W tej chwili to już oczywiście wszystko odchodzi, zmienia się. Ci, którzy nas w telewizji dopuszczają, twierdzą, że takich gospość jak ja nie ma, musi być młoda, piękna i kolorowa. Młoda już nie będę, piękna też nie, mogę się tylko ufarbować jak Wiśniewski na czerwono – mogę być jedynie kolorowa. Nasza „Plebania” się devaluuje. W tej chwili jest daleko od dawnej „Plebani”. Wymyślają, co by jeszcze było, co by ksiądz takiego jeszcze zrobił, co nie jest dobre. Niestety, nasze protesty do niczego nie doprowadzają. Najwyżej do tego, że wysyłają mnie na dwa miesiące, żebym prawnuczka wychowywała (i wtedy nie gram).

Staralam się również coś pokazywać dzieciom w „Ziarnie”, które prowadziłam przez pięć lat w redakcji katolickiej Telewizji Polskiej. Niestety, za jakieś moje podpisy nie za tymi dziennikarzami, za którymi trzeba było, kazano mi odejść, podziękowano mi. I moje miejsce objął angielski strażak, który źle mówił po polsku, ale widocznie dobrze dzieci wychowywał.

Staralam się dzieciom, jako żywy relikwiarz przeszłości, który przeżył to wszystko, mówić o wojnie, o Powstaniu Warszawskim, o rzeczach smutnych i wesołych. Współpracowałam wtedy przez pięć lat z księdzem bp. Antonim Długoszem, który nie tylko jest człowiekiem z dużym poczuciem humoru, ale ma też dużą siłę przebicia do dzieci, bo śpiewa. Ja sama jestem osobą „śpiewającą inaczej”, czyli fałszuję. W związku z tym operuję tylko słowem. A słowo zawsze teraz trudniej się przebija niż śpiew czy muzyka. Kiedyś inaczej było. Wtedy nawet mówiło się, że żelazko też ma duszę.

W moim życiu Pan Bóg mnie swoją ręką w tak różne miejsca wkładał, że te talenty, o których się mówi, które są dane i zadane – starałam się odrabiać. Ksiądz Jerzy Popiełuszko zaprosił mnie do Mszy Świętej za Ojczyznę, z czego wynikła wędrówka po całej Polsce, bo te Msze się rozprzestrzeniły. Myśmy wtedy w stanie wojennym odmawiali grania w środkach masowego przekazu, w telewizji, w radio, w filmach. Graliśmy tylko w teatrach. No i były nasze wędrówki po całej Polsce. Obliczyłam, że byłam w 460 miejscach. Jeździliśmy pociągami, ponieważ w samochodach przekłuwano nam opony. Kazikowi Kaczorowi ubecja po jednej z Mszy Świętej u księdza Jerzego podpaliła samochód, a Piotrowi Szczepanikowi, piosenkarzowi z tamtych czasów, stodołę w Falenicy, bo tam miał gospodarstwo. Koledzy przyszli do mnie z pytaniem, co mamy dalej robić. Powiedziałam, że jeśli nie będziecie tego robić, to znaczy, że oni zwyciężyli. Koledzy więc swoje dalej robili.

Poszłam z dziećmi z „Ziarna” do muzeum księdza Jerzego. Jak dzieciom można wytłumaczyć, dlaczego Polacy zamordowali polskiego księdza. Jak im to wytłumaczyć? Jak oni zobaczyli gablotę w muzeum, gdzie były kartki na żywność, jeden patrzy i mówi: „Ty, patrz, tu jest kartka na cukier”, a drugi: „Na cukierki też jest kartka!!!”. A ja im wtedy powiedziałam, że ksiądz Jerzy między innymi walczył też o to, żebyście wy mogli mieć nie jak na tę karteczkę jeden czy dwa cukierki, tylko żebyście mogli jeść – choć to nie bardzo zdrowo – ile chcecie. Dzieciaki to zrozumiały. Takie traktowanie, podejście, poczucie humoru bardzo mi w tej pracy z dziećmi pomagało.

Już za dużo mówiłam, muszę skończyć.

Głosy z sali

Nie za dużo, tylko niech pani usiądzie.

Katarzyna Łaniewska

Nie usiądę. Jak siedzę na kanapie z takimi podwiniętymi nogami, to wtedy się starzeję. I jeszcze mi mówią, że bym się wyprostowała. Jak się do kogoś mówi, to wolę na stojąco. Ja na przykład nie potrafię dla ludzi czytać poezji. Do radia można czytać poezję, wtedy ma się tego słuchacza bardzo „rozległego” – mam nadzieję – jeśli radio jest jeszcze słuchane. Natomiast jeżeli się występuje na es-

tradzie, tak jak przed Państwem, to trzeba mówić do nich. Czytać to nie. Można czytać artykuły, a i to nie wszystkie, bo nie warto.

Jestem do Państwa dyspozycji. Będę odpowiadała na wszystkie pytania, łącznie z wiekiem!!!

Moja rodzinna sytuacja jest taka. Mam córkę, mam dwóch wnuków Ewangelistów – Marka i Mateusza. Jeden jest już bardzo dorosły, ma 26 lat. Po dwóch fakultetach i przy znajomości dwóch języków, po pół roku bezrobocia znalazł pracę w Głównym Urzędzie Statystycznym za 1700 złotych!!! Wczoraj wiozł mnie do Mławy na Dzień Babci. Jeżeli jakaś babcia poza mną jest tutaj, to składam serdeczne życzenia. W szkole w Mławie dzieci zapytały mnie, o jakiej roli jeszcze marzę? Odpowiedziałam – o roli prababci.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Dziękujemy serdecznie babci Józii vel babci Kasi i prosimy o wypowiedź księdza Bogusława. Jak ksiądz Adam zaproponował mi obecność na tym spotkaniu, powiedział mi: „Nie martw się, tam będzie ksiądz Bogusław, który jest największym showmenem wśród warszawskich księży. Nic nie będziesz musiał mówić”.



Ks. Piotr Hartkiewicz (z mikrofonem), ks. Bogusław Kowalski
i Krystyna Łaniewska

Ks. Bogusław Kowalski

Proszę Państwa, ja mam prawdziwą gospodynię – panią Krysię. Pracowałem kiedyś koło Kłębowa, w takiej parafii Ostrówek. Mieliśmy dwa psy. Wróciłem do domu z Warszawy, z Kurii, a pani Krysia płacze. Gospodyni pełni taką rolę matki dla księży, którzy pracują – rzeczywiście taka dla nas jest. Płacze. Pytam: „Co się stało, co jest, pani Krysiu?” „Proszę księdza, Misiek zdechł. Misiek zdechł!! Misiek, taki stary pies – ale potem się uspokoiła – może i nie żal. Stary, gruby, żreć mu trzeba było dawać. Żadnego pożytku z niego, nawet nie zaszczekał”. Ja mówię: „To zupełnie tak, jak proboszcz”. Ona: „Oj nie, o nie, nie...” Wprowadziłem ją w ogromne zakłopotanie. Gospodynie to jest osobna kategoria, osobny rozdział.

Pracowałem też w Babcicach pod Warszawą. Mój proboszcz, który ciężko chorował, wyładował w szpitalu z ciężkim zawałem. Wrócił po trzech miesiącach. Mieliśmy dowcipną gospodynię. Chciała zażartować, czego mało nie przyplacił drugim zawałem. Podaje nam obiad. Pierwszy obiad po jego trzymiesięcznej przerwie. Podaje mi żeberka – „dla księdza wikarego żeberka, a dla księdza proboszcza – skrzydełko, bo pewnie niedługo będzie z aniołkami latał”. A proboszcz – „Widzi ksiądz, ile to trzeba w życiu znieść upokorzeń”.



Ks. Bogusław Kowalski

Ten ksiądz proboszcz, świętej pamięci Marian Kuzalski, miał wielkie poczucie humoru i taki dystans do siebie, o którym mówiła pani Katarzyna. Praktycznie stracił wzrok. Mszę świętą odprawiał z pamięci. Czytałem mu Ewangelię, on sobie przygotowywał kazanie, które wygłaszał również z pamięci. Nauczył się formularza o Matce Bożej i odprawiał Mszę Świętą pierwszokomunijną. Był taki nie za wysoki. Ja stałem obok, pomagałem mu. A on swoim chrapliwym głosem mówił. „No, witam wszystkich bardzo serdecznie, was, drogie dzieci, waszych rodziców i widzę, że mnóstwo gości w lewej nawie, w prawej nawie i pod chórem”. A do mnie cicho: „Ja na pół metra nie widzę, ale oni na pewno tam stoją”. Ja mówiłem do niego: „Księżę kanoniku, ja jednej rzeczy nie rozumiem. Liter ksiądz nie widzi, ale cyfry to ksiądz widzi i banknoty wyczuwa.” – „A to jest łaska stanu każdego proboszcza.”

Jestem przekonany, że Pan Bóg ma poczucie humoru. Spróbujmy się wczuć w sytuację cudu w Kanie Galilejskiej, gdzie Pan Jezus przemienił wodę w wino i kiedy patrzył, jak oni reagują, to nie wierzę, żeby Pan Jezus się nie uśmiechał, gdy podano dobre wino. Na pewno musiał się uśmiechać.

Mistrzem w dystansie do samego siebie był Jan Paweł II. Kilkaście lat temu byliśmy z księdzem Adamem Zelgą wraz z reprezentacją księży w Watykanie. Graliśmy tam mecz z Gwardią Szwajcarską i reprezentacją Watykanu. To był rok jubileuszowy. Po audiencji i po Mszy Świętej wychodzimy, a Papież jeszcze rzucił – sam to słyszałem – „dokopcie im”. Wtedy wygraliśmy. Następnego dnia, kiedy kardynał Szoka siedział z nim przy śniadaniu, Papież powiedział mu: „dokopali naszym”. Kardynał spokojnie opowiedział: „i to nasi, i to nasi, zostało w kościele”.

Dużo żartuję i to mnie często gubi, ponieważ w tych żartach popełniam wiele gaf. One uczą człowieka pokory wobec samego siebie. Zdarza mi się to na kazaniach, bo mówię z pamięci. Mam jakąś kartkę, jednak nie czytam, ale mówię, i kiedy towarzyszą temu emocje, to człowiek się czasem zagalopuje. Kiedyś miałem w Rawie Mazowieckiej rekolekcje, mówię: „Bracia i siostry, Pan Jezus umiera na krzyżu, a po bokach dwóch łotrów. Jeden łotr nawraca się w ostatniej chwili, a drugi łotr przybity do krzyża bije się w piersi i żałuje za grzechy.” Ludzie zaczęli się śmiać, ja się zorientowałem i dodałem: „Oczywiście w przenośni, drodzy bracia i siostry”.

Gdy towarzyszą emocje, to człowiek czasami traci kontrolę nad tym, co mówi i to jest bardzo niebezpieczne. Jeden z księży mówiąc kazanie, stwierdził: „Bracia i siostry, jeżeli uwierzycie, że Bóg może uczynić cud, to Bóg uczyni cud, ale musisz w to uwierzyć, że Bóg uczyni cud. Jak uwierzysz, to Bóg uczyni cud – nie ma cudów”.

Czasami człowiek chce kogoś pocieszyć. Pomijam już, że na kolędzie prawie każdemu księdzu zdarzało się pomylić, czy to matka i córka, czy dwie siostry – tak bywa bardzo często. Natomiast ja popełniłem znacznie większą gafę. Wchodzę do kogoś do domu i w drzwiach zamiast szyby – dykta. Młode małżeństwo, dwójka małych dzieci. Pytam: „U Państwa chyba są małe dzieci?” Odpowiadają: „tak i dlatego, proszę księdza, ciągle szyba zbita. Na razie wstawiliśmy dyktę. Bo te dzieci się ganiają, biją, ciągle biją szybę”. Postanowiłem ich pocieszyć, że bardzo podobne rzeczy dzieją się w wielu domach. „U mnie w domu było podobnie. Było nas czterech synów. Jak nie było rodziców, graliśmy w hokeja, w piłkę i ciągle też była zbita szyba. Kiedyś tata się wkurzył i powiedział, jeżeli jeszcze raz zbijecie szybę, to wam wstawię dyktę i będziecie się wstydzić, jak ktoś do nas przyjdzie”.

Zbyt późno się zorientowałem, co powiedziałem. Chciałem wybrnąć – „Widzicie Państwo, ta dykta całkiem ładna”. „Niech ksiądz da spokój, nic się nie stało”. Człowiek dostaje czasem takiego zamglenia, jak jest zmęczony.



Ks. Bogusław Kowalski (z mikrofonem), obok ks. Piotr Hartkiewicz

Kiedyś sam się przyłapałem, jak mówiłem w kościele: „Moi drodzy, wspólnie pomódlmy się słowami, które tak często odmawiała Matka Boża – Pod Twoją obronę”.

Staram się być ostrożny w konfesjonale, żeby nie załatwiać spraw prywatnych. Bywają jednak takie sytuacje, że już po spowiedzi kogoś znajomego chcę z nim coś załatwić. Tak właśnie było w Ostrówku koło Kłębowa. Wypowiadałem żonę cukiernika – cukiernika, który mi zawsze przywoził na imieniny ciasto, żebym miał do poczęstowania na plebanii i w szkole. Kiedy ją wypowiadałem i ona już odchodziła od konfesjonału, uchyliłem lufcik i powiedziałem cicho: „Pani Basiu, pani pozwoli, jeszcze dwa serniki, duży i mały”. Ona kiwnęła głową, że przekaze mężowi. Potem opowiadała mi ze śmiechem, że jeszcze dwie osoby czekały w kolejce i gdy usłyszały, co ksiądz do niej mówi, skomentowały „to za pokutę, bo nie umie piec”.

Taki dystans do samego siebie i do tego, co się robi, jest bardzo ważny. Trzeba zmiękczyć serca ludzi. Wiadomo, że księżom zarzuca się materializm, ile jest żartów na temat tacy. Kiedyś na jakimś festynie opowiedziałem o tym, jak jeden ksiądz, który znał mnie od dziecka, powiedział na moich prymicach „Drodzy goście, ja wiedziałem, że Boguś będzie księdzem, bo już gdy był małym chłopcem, jak zobaczył jakąś złotóweczkę, to już mu się ręce trzęsły”.

Kiedyś zdenerwował mnie mały dzieciak w kościele, który bawił się pieniążkiem. Turlał sobie w lewo, w prawo. Rozpraszało mnie to, nie mogłem skupić się na kazaniu. Ale jeszcze bardziej się zdenerwowałem, kiedy już po zebraniu na tacę, on dalej tym pieniążkiem się bawił.

Powiem o swojej największej gafie, jaką popełniłem. Co roku za tę gafę przepraszam panie z kółek Żywego różańca. Jakies siedem lat temu, w czasie spotkania wielkanocnego, przy jajeczku, było ze 150 pań z kółek Żywego Różańca. Chciałem być dowcipny, mówię tak: „Drogie Panie, będę was prosił za dwa miesiące, żebyście na festyn parafialny upiekły ciasto. Będziemy to ciasto sprzedawać i zarabiać pieniądze na wyjazdy wakacyjne. Ksiądz Mariusz i ksiądz Piotr zabierają dzieci w góry, a ksiądz Marek zabiera ministrantów na Mazury”. A pani Jadzia z Kółka Różańcowego pyta: „A nas kto zabierze?” Nie myśląc wiele, powiedziałem: „Was to już Pan Bóg zabierze”. Gdy zauważyłem moją gafę, pomyślałem „Ziemio, rozstap się”. Odpowiedź Pań była: „Jak ciasto, to różaniec, jak zabrać, to Pan Bóg”.

Co roku przepraszam za tę największą swoją życiową gafę. Ale takie zdarzenia uczą trochę pokory, żeby uważać na to, co się mówi.

Na przykład, jeden z moich lektorów, a są to studenci, „załatwił” mnie ze trzy tygodnie temu. Zrobił to po mistrzowsku. Chciałem być dowcipny, gdy do zakrystii przyszło ich około piętnastu i był też zespół chóralny wywodzący się z Opaczewskiej na Ochocie – „Charyzmaty”. Starsi panowie. Oni się nie zmieniają od trzydziestu paru lat, a zmieniają się tylko wokalistki. Przyjechali z nową wokalistką, bardzo sympatyczną – jakaś oazowiczka, która pięknie śpiewała. Mówię do moich lektorów: „Chłopcy, wychodzimy zaraz do ołtarza – nie wiem, jak z waszymi sprawami sercowymi, ale w tym zespole jest piękna wokalistka. Pozwalam wam na nią tylko zerknąć, jak będziemy szli do ołtarza. W czasie Mszy nie wolno wam o niej myśleć. Skupić się na ołtarzu, a potem, jak już skończymy Mszę, to będziecie sobie mogli zerknąć znowu”. A jeden mówi: „Proszę księdza, ale wszystkich to obowiązuje”.

Pewien dystans do siebie uczy człowieka choćby tego, żeby nie wstydzić się, że jest się księdzem. Sztandarową moją opowieścią jest to, że wiele lat wcześniej, nim poszedłem do seminarium, grałem w piłkę. Sześć lat trenowałem w Legii, jako mały chłopiec wychowywany na Pradze. Rodzice chcieli mnie uchronić przed gitowcami, przed złymi wpływami, więc żeby zagospodarować mi czas, zapisali mnie na piłkę. Wiedzieli, że to jest moja pasja.

Kiedy byłem już księdzem, uczniowie pytali mnie: „A ksiądz jeździ na mecze?” Odpowiedziałem: „Od czasu do czasu jeżdżę”. „A jak księdza spotkamy, to jak się mamy odzywać?” „Nie krzyczcie na pół stadionu: proszę księdza!!!, bo się będą wszyscy patrzeć! Mówcie do mnie wujku.” Kiedyś byłem ze swoim tatą na meczu i zobaczyło mnie czterech moich uczniów z Babic: „Hej, chłopaki, wujek: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Oni mnie tak zawstydzili. Czego tu się wstydzić, co tu kryć?

Zabrałem kiedyś z parafii w Raszynie na mecz na Legię dwudziestu czterech ministrantów – na taki mecz, gdzie nie ma awantur i przekleństw, mecz Legii z Pogonią Szczecin. Trzymam tych chłopaków za ręce. Dwóch ojców mi pomaga.

Idzie dwóch pseudokibiców. Jeden mówi: „Ty, popatrz, ale dzieci nabrał”. Ja się odwracam i mówię – „Panowie, to są moi ministranci”. – „A to przepraszam, to pan jest księdzem?” – „Oczy-

wiecie i za dobrą służbę zabrałem ich na mecz.” – „Dobrze, że ksiądz tak od dziecka do dobrego uczy.”

Jeszcze jeden wątek. Wychowałem się na Pradze w rejonie Bazaru Różyckiego, Szmulek. Był taki dziadek, który sprzedawał na Bazarze – starsze pokolenie to pamięta. Dziadek sprzedawał: „pańska skórka, pańska skórka”. Dwóch żulików ze Szmulek, jakby się natapirowali pod pachami – podchodzą: „Zaraz może być nie pańska”. Proszę mi wierzyć – nikt mnie tak nie utwierdził w powołaniu, jak mój kolega ze Szmulek – o pseudonimie Mgiełka. Byliśmy na pierwszym roku seminarium. Po egzaminach, w przerwie semestralnej władza dała nam tydzień wolnego. W kilku kleryków poszliśmy do kina. Wyświetlana była jakaś polska komedia. Spotykam Mgiełkę. Mam na nazwisko Kowalski, więc zawsze uchodziłem za „kowala”. Spotykam Mgiełkę – „Co się z tobą, Kowal, dzieje, coś ciebie nie widać” – mówi typowym praskim akcentem. „Wiesz, Mgiełka, w seminarium jestem”. A on na to: „Co, na księdza się uczysz?” Ja mówię – „Nie krzycz tak głośno, bo się będą wszyscy gapić”. A Mgiełka mówi: „Co się tu wstydzisz, to są bardzo inteligentni ludzie”. Ale on mnie wtedy zawstydził. Głosiłem kiedyś rekolekcje na Kawęczyńskiej, nawet prosiłem, żeby zgłosił się Mgiełka, jeżeli jest w kościele, bo nie wiedziałem, czy bym go poznał. Może go nie było, może się wyprowadził.

Jest znany, również tu na Ursynowie, serdeczny mój przyjaciel – ksiądz Piotr Pawlukiewicz. Znakomity kaznodzieja. Tam, gdzie ja jestem teraz proboszczem, on był wikariuszem w latach osiemdziesiątych. Ksiądz Prymas skierował go na studia i potem już nie wrócił do parafii. Dopiero po wielu, wielu latach wrócił, żeby głosić misje. Wychodzimy kiedyś w czasie misji, było to z osiem lat temu, i podchodzi moja parafianka, która ma trzy córki. Wprowadziła księdza Piotra w takie zakłopotanie, że on biedny nie wiedział, co powiedzieć. Taki inteligentny ksiądz, a go zatkało. Ta mama mówi: – „Księżę Piotrze, jak się cieszę, że księdza widzę! Chodźcie tutaj, dziewczynki, Anetka – ukłoń się księdzu, to najstarsza” i dalej mówi: „Anetka jest pamiątką po księdzu”. On zbaraniał. Ja mówię: „Piotrze, przyjaźń – przyjaźnią, ale ja jako proboszcz chciałbym wiedzieć, ile masz tutaj takich pamiątek”.

Ta kobieta była tak czysta, że nie zrozumiała mojej aluzji. Takie głupstwa to tylko księdzu mogą przyjść do głowy. Ona przypo-

niała księdzu Piotrowi, że jak odprawiał ostatnią Mszę Świętą, zegnał się z parafią i szedł na studia, to jeszcze ochrzcił Anetkę. Ksiądz Piotr odetchnął.

Ks. Piotr Hartkiewicz

My, księża bardzo poważnie traktujemy naszą misję, nasze kapłaństwo. Wieczne zbawienie jest bardzo poważną sprawą, ale równocześnie świadectwo księdza proboszcza pokazuje, że w tej poważnej sprawie nie może zabraknąć uśmiechu i że poczucie humoru jest ważnym elementem ewangelizacji. Mnie do tego też przekonało wspomnienie świętej Urszuli Ledóchowskiej, nazwanej apostołką uśmiechu, i jej wyznanie. Przeczytam fragment tekstu, w którym pisze: „Podaję wam formę apostołstwa, które nie domaga się od was ciężkiej pracy, wielkich umartwień i trudów, ale szczególnie dziś, w naszych czasach bardzo jest pożądane, potrzebne i skuteczne, mianowicie apostołstwo uśmiechu. Uśmiech rozprasza chmury nagromadzone w duszy. Uśmiech na twarzy pogodnej mówi o szczęściu wewnętrznym, duszy złączonej z Bogiem. Mówi o pokoju czystego sumienia, o beztroskim oddaniu się w ręce Ojca Niebieskiego, który karmi ptaki niebieskie, przyodziewa lilie polne i nigdy nie zapomina o tych, którzy mu bez granic ufają. Uśmiech na twój twarzy pozwala zbliżyć się bez obawy do ciebie, aby o coś po-



Ks. Piotr Hartkiewicz

prosić, o coś zapytać. Bo twój uśmiech już z góry obiecuje chętnie spełnienie prośby. Nieraz uśmiech twój może wlać do duszy zniechęconej jakby nowe życie, nadzieję, że nastaną lepsze czasy, że nie wszystko stracone, że Bóg czuwa” ... i tak dalej.

Z poczuciem humoru związane jest jednak pewne ryzyko. Często posługuję się żartem w mojej homiletyce. Kiedyś głosiłem rekolekcje o życiu małżeńskim i rodzinnym. I ta konferencja była okraszona różnego rodzaju anegdotami, aby urozmaicić i uplastyczyć tę treść, którą chciałem przekazać. Między innymi mówiłem o takim panu, który kiedyś się żalił, że jak się modli, to jemu do głowy przychodzą same rozebrane kobiety, jego to strasznie rozprasza i nie może się modlić. Co on ma zrobić? Przyznam się szczerze, że to pytanie mnie zaskoczyło, nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć, tak *ad hoc*. Co ja mogę wymyślić? Chyba za natchnieniem Ducha Świętego przyszło mi do głowy, aby mu odpowiedzieć: „Niech pan zacznie się modlić, żeby Pan Bóg je poubierał, przestaną Pana wtedy rozpraszać”.

Po tych rekolekcjach wychodzę z zakrystii, podchodzi do mnie jakaś pani i mówi „Proszę księdza, super rekolekcje, a najlepszy to ten dowcip o gołych kobietach”.

Ks. Bogusław Kowalski

Pozwolę sobie wejść w słowo *à propos* modlitwy. Jeden z biskupów przyjechał do parafii, było powitanie. Witająca go mała dziewczynka. Trzymała mikrofon, a w drugiej ręce kwiaty. Wręcza kwiaty, podaje katechetce mikrofon, a biskup ją głaszcze i pyta: „Dziecko, a ty się modlisz?” Ona z powrotem wzięła mikrofon i mówi: „W Imię Ojca i Syna i Ducha ... Ojciec Nasz, któryś jest w niebie ... Zdrowaś Mario, łaski pełna...” Biskup mówi spokojnie: „Już wystarczy”, ale dziewczynka: „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego...” Potem „Dziesięć przykazań Bożych”. Ruszyła matka w odsiecz biskupowi, bo знаła swoją córkę i wiedziała, że to prędko się nie skończy. Biskup ładnie się zachował, bo pozwolił jej dokończyć. Dziewczynka powiedziała jeszcze: „Główne prawdy wiary... Aniele Boży, Stróżu mój” ... Siedem minut mówiła, a na koniec „Jak się modli, to się nie przeszkadza”.

Jak ostatnio głosiłem rekolekcje na Żoliborzu na ulicy Gwiazdzistej, omówiłem między innymi takie dwa przykłady. One są śmieszne, ale jednocześnie uczą bardzo poważnych rzeczy. Właśnie

poprzez śmieszne przykłady można wbrew pozorom uczyć o ważnych sprawach. Mówiłem o tym, że Pan Bóg kocha nas bardzo indywidualnie. Pan Bóg nie kocha – jak mówili komuniści – masy ludzkiej. Pan Bóg kocha pojedynczego człowieka, który żyje we wspólnocie. I każdy chce jakoś być zauważony. Jak jest miło dziecku, gdy pamięta się jego imię. Zbierałem na tacę w Otwocku, chłopiec dał pieniądze, ja go pogłaskałem i pytam go szeptem: „Jak ty masz na imię?” – odpowiedział: „Bartek”. I ja mu taki szybki wierszyk na poczekaniu: „Niech nam żyje i podrasta mały Bartuś – chluba miasta.” A on taki zadowolony pobiegł do rodziców. Ruszyłem dalej. Pół metra dalej siedział pan, grubo po siedemdziesiątce, kiwnął na mnie, ja się nachylam, a on mówi – „A ja Zygmunt”. Zatkaną mnie. Zobaczcie, moi drodzy, jak każdy chce być dostrzeżony.

Drugi przykład. Pyta ksiądz na kazaniu: „Drogie dzieci, jak to było ze Zwiastowaniem?”. Zgłasza się chłopiec: „A ja wiem. Ze Zwiastowaniem to było tak: Anioł zeszedł z nieba i mówi, dzień dobry, Marysiu, będziesz matką Syna Bożego. Marysia odpowiedziała – nie będę. Anioł: będziesz, będziesz, i wrócił do nieba”.

Ks. Piotr Hartkiewicz

À propos Zwiastowania, przypomina mi się taka sytuacja. Byłem przez dwa lata we wspólnocie monastycznej. Kiedyś na spacerze, a było to przed świętami Bożego Narodzenia, widzę, że jedzie samochodem biskup tamtej diecezji, sam, bez kierowcy. Spostrzegając mnie zatrzymuje się, otwiera okno i mówi do mnie: „Słuchaj!!! Maryja z Józefem chodzili po Betlejem i szukali jakiegoś miejsca, Józef pukał: zróbcie coś, pomóżcie, moja żona brzemienna zaraz urodzi, a karczmarz na to: to nie moja wina, a Józef na to: moja też nie”.

Zmierzając do tego, żebyśmy pomiędzy tymi żartami jednak coś poważnego powiedzieli, trzeba stwierdzić, że poczucie humoru jest silnym narzędziem ewangelizacji. Dużym zaskoczeniem naszych czasów było odkrycie poczucia humoru u pustelników, mnichów, którzy żyli na pustyni. Był to okres wczesnego chrześcijaństwa, od drugiego do czwartego wieku. Oni uciekali na pustynię, gdzie w odosobnieniu spędzali swoje życie, a co się im zdarzyło, zapisywali. Przetrwowało wiele anegdot świadczących o wysublimowanym poczuciem humoru i żartu, z którym mamy do czynienia w przypadku osób o bardzo głębokim mistycyzmie.



Fot. 39. Ks. Piotr Hartkiewicz

Było dwóch mnichów, którzy żyli obok siebie w pustelni przez 50 lat. Któregoś dnia jeden z nich mówi do drugiego w czasie rekreacji: „My tu żyjemy obok siebie 50 lat i ani razu nie kłóciliśmy się. Pokłóćmy się raz, dla zasady”. Na to ten drugi odpowiada: „Ja nie umiem, więc jak mamy się kłócić. Powiedz mi, to spróbuję”. „Weźmy cegłę. Połóżmy tę cegłę między sobą, ja powiem, że to jest moja cegła, ty powiesz, że to jest twoja cegła i już będziemy mieli powód do kłótni”. I tak zrobili: „To moja cegła” – powiedział pierwszy. „To ją sobie weź” – powiedział drugi.

Zawsze posługuję się tym przykładem w przypadku konfliktów, które mogą się zdarzać w małżeństwie. A drugi przykład, też z życia monastycznego, kiedy jeden z mnichów mówi przy śniadaniu: „Chyba będzie dzisiaj padać!”. Na to drugi przy obiedzie mówi: „Nie wydaje mi się!”. A trzeci przy kolacji powiedział: „Panie, jak się w tej chwili nie przestaniecie kłócić, to ja wychodzę”.

Jedną z podstawowych, ale nie jedyną funkcją poczucia humoru jest zachowanie dystansu do siebie i do świata.

Katarzyna Łaniewska

Jeśli ksiądz pozwoli, to może ja się jakoś przebiję. Aktorem to właściwie kto powinien tu być? Chyba ksiądz. Ma ksiądz dziekan

zdolności niebywałe, poczucie humoru fantastyczne, tylko ja nie mogłabym być księdzem, więc nie możemy się zamienić.

Tu było tak naukowo, oficjalnie, państwo się przygotowali. Ja też odrobiłam lekcję. W ostatniej książce ksiądz Jan Twardowski, cudowny poeta, z wspaniałym poczuciem humoru, pisał, że Pan Jezus miał na pewno poczucie humoru, bo gdy powiedział do Zacheusza: „zejdź z tego drzewa, gdzie się tak wysoko wdrapał”, to zapewne uśmiechał się, albo kiedy uzdrowionemu paralitykowi powiedział: „wstań, weź swoje łożo i idź do domu” – też musiał się uśmiechać. Pokazał nie tylko cud uzdrowienia, ale i to, że człowiek musiał sam dźwigać swoje łożko na plecach i musiał posprzątać po tym cudzie.



Katarzyna Łaniewska

Na dowód, że nasz Ojciec Święty miał wielkie poczucie humoru, opowiem parę zdarzeń. Moim spowiednikiem przez wiele lat był ksiądz Kazimierz Orzechowski, wcześniej kolega po fachu, ak-

tor. Kiedyś był on bardzo blisko przy Ojcu Świętym i potem opowiadał nam dwie autentyczne anegdoty. Jedna, gdy do Watykanu, jak już Karol Wojtyła był Ojcem Świętym, przyjechał jakiś kardynał – Murzyn. Wieczór był bardzo późny. Kardynał miał pokój bardzo blisko Ojca Świętego. Ojciec Święty, gdy szedł do swego pokoju, jeszcze zapukał do księdza Dziwisza: „Stasiu, on nas nie zje?”

Druga – to jak przyszli do Ojca Świętego jacyś ludzie z bardzo ważną sprawą i mówią: „My bardzo prosimy, my damy strasznie dużo na Kościół, na wszystko, żeby w tym pacierzu można było uwzględnić »chleba naszego i Coca Coli, żeby było Coca Coli«. Ojciec Święty oczywiście się nie zgodził, a oni to podsumowali: „Wyobrażacie sobie, ile ten piekarz musiał dać?”

Jeśli chodzi o księży, to w czasie Pasterki siedzą ludzie tacy już troszkę zmęczeni po Wigilii, bo nie zastosowali się, żeby na Wigilii pewnych rzeczy nie było – czyli wódeczki. Ksiądz idzie z tacą i trąca jednego takiego, a ten odpowiada: „miesięczny”.

Sierpień jest miesiącem trzeźwości i ksiądz z ambony mówi do wiernych, że on tu ma taką książeczkę, żeby ci, co nadużywają alkoholu, wpisywali się do niej ze swoimi intencjami. I dodaje: „Ja i ksiądz wikary już wpisaliśmy się”.

To co powiem, jest autentyczne. Wiele, wiele lat temu, kiedy byłam małą dziewczynką, w co trudno uwierzyć, ale tak było, moja ciotka Cecylia Bieńkowska była przez pewien czas dyrektorem Polskiego Radia we Wrocławiu. Wtedy jeszcze wolno było transmitować Msze Święte. Kazanie było cenzurowane. Ksiądz to kazanie mówił ze studia radiowego. Oczywiście Msza Święta była nagrana wcześniej w jakimś zamku. Jesteśmy w radio z moją ciotką. Idzie audycja, potem Msza święta i dochodzi do tego, że ma być kazanie, a księdza nie ma. Ksiądz się spóźnia – nie ma księdza. Więc moja ciotka bierze tekst i zniżając głos czyta to kazanie. Błagała mnie tylko: „Nie powiedz mamie, czyli mojej babci, bo ona się strasznie zdenerwuje”. Przychodzimy do domu, a babcia mówi: „Pięknie, jak ten ksiądz dzisiaj ślicznie kazał”. A prawdziwy ksiądz, który spóźnił się do studio parę minut, rwał włosy z głowy, że kobieta mówiła kazanie.

Ks. Bogusław Kowalski

Najgorszą rzeczą dla księdza jest, gdy ludzie się śmieją, a on nie wie z czego. Nie wie, czy palnął coś, czy w jego wyglądzie jest coś

śmiesznego. Ja przeżyłem dwie takie sytuacje. Zaczynam Mszę świętą, odprawiam ją dla sióstr zakonnych – średnia wieku 70 lat. Robię wstęp, a siostrzyczki się śmieją. Ja jestem zdenerwowany, bo wcale nie chciałem żartować, mówię poważne rzeczy: „Drogie siostry, oto przeżywamy dzisiaj uroczystość Objawienia Pańskiego, czyli Święto Trzech Króli. Przybywają do Pana Jezusa, aby oddać Mu pokłon – Kajfasz, Melchior i Baltazar.” Skąd ja tego Kajfasza wziąłem?

Drugi raz, kiedy mówiłem kazanie, chłopiec w pierwszej ławce – gdy ja powiedziałem zdanie, to on kiwał głową, zgadzał się. Ja następne zdanie, a on to samo. Rozpraszał mnie ten dzieciak ogromnie, bo co ja powiedziałem, to ten kiwał głową. Przeniósłem wzrok na chór, wytrzymałem, dokończyłem kazanie. Kończy się Msza Święta, a jego mama zamawia intencję. Zdejmuję ornat i mówię do chłopca: „chodź tutaj, mały, co ty tak kiwałeś głową, jak ja mówiłem kazanie? Tak ci się podobało?” Nie proszę księdza, w ogóle nie słuchałem, tylko liczyłem żarówki w żyrandolu.



Ks. Bogusław Kowalski

Kiedy jeden z moich proboszczów mówił kazanie, ludzie się śmiali. Twierdził, że nie wie z czego, chociaż ja go podejrzewam, że

on to zrobił celowo. Mówił tak: „Bracia i siostry, byłem po koleżdzie, jaką smutną widzę sytuację: pijana synowa rzuca się teściowej na szyję i ją całuje. Jakie to smutne, ile wódki trzeba wypić, żeby teściową ucałować”.

Kiedyś poproszono mnie w szkole przed studniówką, żeby powiedzieć coś, aby uczniowie nie pili alkoholu. To jest tak niezręcznie wyjść i groźnie powiedzieć: „No, niech dowiem się, że ktoś pił – wyrzucę z kościoła”. Tak nie można – młodzież się napnie. Wtedy mi się przydał jeden z żartów. Powiedziałem tak: „Moi drodzy. Zanim złożę wam życzenia dobrej zabawy, to powiem wam historijkę. Kiedyś na Księżycu znalazło się trzech ludzi: Polak, Amerykanin i Rosjanin. Rosjanin pyta się Amerykanina:

– Skąd się tu wzięłeś na Księżycu?

John mówi: Wiesz, Sierioża, mafia mnie w Ameryce ściagała, gdybym nie uciekł, to by mnie pewnie zabili. A ty, Sierioża, skąd tu się wzięłeś?

– Słuchaj, mnie KGB ściagało. Uciekłem na Księżyc, bo by mnie załatwili.

Przechodzi Polak, taki lekko zawiany, a oni pytają:

– A ty skąd jesteś?

– Jestem z Polski.

– Skąd ty się tu na Księżycu wzięłeś?

– Z wesela wracam.

Życzę wam, panowie, panie i drodzy uczniowie, bawcie się dobrze, ale proszę nie wracajcie przez Księżyc, tylko prosto do domu”.

Opowiadałem to mojemu bratu. A on wtedy mi opowiedział, jakjechał z żoną na grzyby i na Mazurach, o czwartej rano, tankował samochód. Przy stacji benzynowej „taki”, w poluzowanym krawacie, pyta się: „Przepraszam bardzo, czy pan nie wie, gdzie tu jest w pobliżu wesela? Wyszedłem i nie mogę trafić”. To nie jest takie oderwane od życia.

Katarzyna Łaniewska

Mam także wspomnienie takiego nieporozumienia. Teściowa mówi w gronie swoich dzieci, bliskich: „ja już niedługo odejdę, nie wiem, jak to załatwić, ile za to zapłacicie, ale ja muszę być pochowana na Powązkach”. Na drugi dzień zięć przychodzi i mówi: „Mamo, nie pytaj, ile zapłaciłem, jak to załatwiłem, szykuj się na czwartek”.

Ks. Bogusław Kowalski

Pani Katarzyna podpowiada mi wątki. Nie zapomnę tej kolędy. Wchodzę do pewnego domu, jest tam mama, maleńka córeczka i czekamy na tatę. Mama mówi, że mąż jest blisko, zaraz przyjdzie. Zaskoczyła mnie ta dziewczynka, bo mówiła bardzo wyraźnie, choć miała dopiero 5 lat: „Szczęść Boże, o ksiądz proboszcz, zapraszamy!” Dom bardzo biedny, a ja nosiłem przy sobie cukierki, słodycze, czekoladę. „Masz tu od księdza proboszcza czekoladę – mówię do dziewczynki – ale nie wszystkim dzieciom daję czekoladę. Pomódl się za księdza proboszcza”. Potem się zorientowałem, że ona może jeszcze nie znać modlitw i obciąży jej sumienie i dziecko będzie przeżywało. Mówię: „Natalka, odmów taką modlitwę, jaką umiesz – za księdza proboszcza”. Ona na to: „Oczywiście, że się pomodłę za księdza proboszcza, bo właśnie nauczyłam się modlitwy: Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie”.

Katarzyna Łaniewska

Dzisiaj jest dzień dziadka. Pewnego razu dziadek mówi do swoich najbliższych: „Moi kochani, jeśli chodzi o pogrzeb, to ze mną nie będzie żadnych kłopotów, proszę mnie spalić, a moje prochy



Katarzyna Łaniewska

rozsypanie w supermarkecie”. „Dlaczego w supermarkecie?” „Będę pewny, że chociaż raz w tygodniu do mnie na pewno przyjdziecie”.

A propos zapominania. Żona przez okno wychyla się i mówi do męża: „Pamiętaj, kup masło i chleb, powtórz – masło i chleb”. Wraca i przynosi pastę do zębów, a ona pyta: „A gdzie szczoteczka?”

Najlepiej zaopatrzona apteka to jest moja w domu – jak mówi mój mąż, ale kiedyś wysłałam go do prawdziwej – „Kup mi Rutinoscorbin”. On wraca, a ja pytam: „A po coś mi Ranigast kupił?” „A co, ty chciałaś Rennie?” To jest autentyczne.

Ks. Bogusław Kowalski

Kiedyś mówiłem w kazaniu o tym, że człowiek chętnie by wskoczył na miejsce Pana Boga. Dzisiaj ludzie tak zapędzają się w swojej pysze, że nawet jedna z piosenek umieściła swoją twarz na miejscu oblicza Matki Bożej. Było to uznane oczywiście za akt profanacji. Ale jest to pewnego rodzaju znak, że człowiek chciałby zająć miejsce Pana Boga.

W filmie „Rancho” było parę genialnych scen. A jedna była ogromnie wzruszająca, gdy wikary egzaminował całą parafię i tych czterech z ławeczki pod sklepem. Chyba Solejuk mówi do Hadziuka: „Słyszałeś, co wikary mówił, że człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga – tak mówi”. „Czekaj, czekaj, Hadziuk, czy to znaczy, że Pan Bóg jest do nas podobny?” – „No tak”. – „Nie daj, Boże”. Piękna scena. Tak się wzruszyłem. Ile pokory było w tych ludziach!

Kiedy przychodzi starość, bardzo ciężko jest rozstać się z tą pierwszą linią. A przecież ta umiejętność bycia na drugim planie, przeżywanie swojego drugiego powołania, bycia babcią, bycia dziadkiem, bycia księdzem emerytem jest ogromnie wartościowa, choć niedoceniana.

Mamy te same odruchy. Proboszczowie także kurczowo trzymają się parafii i zawsze mówią, że bycie proboszczem to jest wielki krzyż, ale jak jednego kuria zdejmowała z tego krzyża, to jeszcze gwoździe zabrał.

Moi drodzy, w jednej parafii była wizytacja biskupa. Proboszcz mówi: „księżę biskupie, taki osiemdziesięcioletni człowiek chce się z księdzem biskupem spotkać, bo on ciągle ma pretensje do swoich dzieci.” Po pierwszej Mszy Świętej proboszcz prowadzi biskupa do kancelarii. Siedzą już syn, synowa i ten starszy czło-

wiek. Siadają ksiądz proboszcz i biskup. „Jakie pretensje ma tata, niech teraz powie do biskupa” – mówi syn.

– Proszę księdza biskupa, moje dzieci mnie prześladowają, to już brak słów, nie mam słów.

Tato, mówi syn:

– Masz izbę wysprzątaną?

– Nie mogę powiedzieć, mam ładną izbę.

– Dostajesz jedzenie?

– Nie mogę powiedzieć. Synowa dba.

– Opierunek masz?

– Nie, nie, tu nie mogę, księżu biskupie, powiedzieć, wszystko w porządku.

– Jak jedziemy do kościoła, zabieramy cię ze sobą?

– Właśnie, ale niech powie, proszę księdza biskupa, kto lejce trzyma?

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Boli nas to, że w kościele nie wypada się śmiać. Nie wypada pokazywać radości. Gdy nasze dziewczynki były małe, ksiądz po Mszy Świętej święcił kościół. Na szczęście nie miał takiej kropiel-



Elżbieta Mycielska-Dowgiałło i Andrzej Skoczek

nicy metalowej (zwanej mikrofonem), tylko taką zwykłą z „pędzelkiem”. Świecił na obie strony, jak zwykle z ogromną energią, w pewnym momencie „pędzelek” spadł z trzonka i poleciał w naszą stronę. My we trzy skurczyłyśmy się, a „pędzelek” przeleciał tuż nad naszymi głowami. Reakcja kościoła była podzielona. Część osób oczywiście się śmiała, ksiądz też, a część osób patrzyła zgorzozona na tych, co się śmieją. Teraz jest już lepiej, bije się brawo w kościele. Coś się zmienia, ale bardzo powoli.

Drugi przykład – po magisterium, pierwsza moja praca, zbieram materiały do pracy doktorskiej na terenie sandomierskiego. Jeździłam wtedy motocyklem. We wsi, w której kwaterowałam, był akurat odpust. To były czasy, gdy utwardzonych dobrych dróg było mało i do wsi, w której byłam, nie dochodziła żadna droga przejezdna dla autobusów. W każdym razie autobusu nie było, w związku z tym na odpust ludzie szli wiele kilometrów. Do mojej gospodyni przyszła jej matka, dobrze już starsza kobieta, która mi się przyznała, że nie jechała nigdy samochodem, pociągiem czy autobusem. Strasznie była zmęczona po tym odpuście. Zaproponowałam: „Może ja panią odwiozę?” Ku całkowitemu zaskoczeniu córki, a mojej gospodyni, zgodziła się. Wyciągnęłam motocykl, gospodyni posadziła matkę na tylnym siodełku, ułożyła jej liczne spódnice i powiedziała: „Mamo, trzymaj się mocno”. Ruszyliśmy, a ja słyszałam z tyłu wszystkie po kolei modlitwy odmawiane drżącym głosem. Po chwili jednak zaczynamy mijać sąsiadki starszej pani, które wracają do domu piechotą. Moja towarzyszka nie trzyma się mnie już tak kurczowo, a dumnie zaczyna machać do nich ręką: „Józefowa... Marcinowa... Łukaszowa...”, gdy mijamy je w pędzie na drodze. Gdy dojeżdżamy do jej wsi i zadyszana, lecz szczęśliwą zsiadam z tylnego siodełka, ona mówi: „Niech pani Pan Bóg da piętnaścioro dzieci”. Jak urodziła się nam druga córka, to powiedziałam mojemu mężowi: „No, to jeszcze trzynaście”.

Trzecia historia, którą pamiętam z dzieciństwa, to było w czasie wojny, mieszkaliśmy pod Krakowem i przyjechał do naszej parafii kardynał Sapieha, aby udzielić bierzmowania. Z wszystkich stron szły dzieci do parafii. Kardynał jechał bryczką, zatrzymał się i prosił, aby dzieci powiedziały mu coś o Panu Bogu. Dzieci odpowiedziały, że proboszcz nie pozwala z byle kim mówić o Panu Bogu.

W 1945 roku wyrzucono nas z majątku dziadków i zamieszkaliśmy w Krakowie przy ulicy Św. Jana. Moja matka mówiła, że jak któregoś dnia wyszła bardzo wcześnie z domu, to zobaczyła księdza Kardynała, jak szedł ulicą, zatrzymywał się przy samochodach stojących przy krawężnikach i pluł tak, aby ślina przeleciała nad samochodem. Jak mu się to udało, to wyraźnie zadowolony szedł dalej energicznym krokiem.

Jadwiga Jakubas-Przewłocka

Historyjka miała miejsce w Paryżu. Pewien Polak zmierzał na dworzec Gard du Nord, by wsiąść do pociągu do Warszawy. Był to postawny pan, zwracający uwagę zagipsowaną ręką na temblaku. Na dworcu spotkał swojego znajomego, który był po wypadku samochodowym. On też miał gips – na rękę i na nodze. Obydwaj poszli powoli na peron, z którego miał odjeżdżać pociąg do Warszawy. Czekają. W pewnej chwili podchodzi do nich konduktor francuski, kłania się i mówi: „Messieurs, pociąg do Lourdes odjeżdża z peronu czwartego”.



Jadwiga Jakubas-Przewłocka

Druga historia, też prawdziwa – było to na początku lat dziewięćdziesiątych. Małżeństwo wraca z Mazur do Warszawy, a już wtedy powstawały oprócz GS-ów małe restauracyjki. Po drodze zobaczyli „Zajazd Myśliwski”, więc zatrzymali się, mając nadzieję, że zjedzą coś innego niż w GS-ie. Przeczytali kartę, niestety, tylko kotlet mielony i tym podobne rzeczy, ale na dole tego jadłospisu było napisane „Kąsek Daniela”. To było coś intrygującego, poprosili kelnera, żeby im powiedział, co to jest „kąsek daniela”. Kelner zaczerwienił się, zbladł i nie mówi nic. Oni nalegają, że chcieliby wiedzieć, co to jest? Po dłuższej chwili on cichutko mówi: „Kąsek Daniela to nasza szefowa”.

Urszula Kossowska-Cezak

Chciałam powiedzieć ze swoich wspomnień dwa przypadki niezamierzonego humoru z kościoła. Jedną historię usłyszałam jeszcze w swoich studenckich czasach podczas rekolekcji akademickich w kościele Św. Anny. Ksiądz rekolekcyjista – zresztą bardzo interesujący – opowiedział nam, jak to kiedyś spowiadała się u niego starsza, bardzo prosta kobieta. I powiedział, że jak to zwykle w takich razach ona żaliła się na swoje życie, na swoją rodzinę, a na koniec powiedziała: „A niech Pan Bóg księdzu wybaczy wszystkie grzechy za to, że mnie tak cierpliwie wysłuchał”.

Podczas Mszy Świętej dla dzieci u jezuitów na Rakowieckiej ksiądz wychodzi przed ołtarz i rozmawia z dziećmi, dyskutuje, zadaje pytania, a potem dzieci podają różne intencje, w których mamy się modlić. Za rodziców, za dziadków, za chorych, za dzieci z domów dziecka, a jedno dziecko powiedziało: „pomódlmy się za Pana Boga”. Ksiądz był trochę skonfundowany, ale trzeba przyznać, że jakoś ładnie wybrnął.

Andrzej Skoczek

Pamiętam z mojej młodości taką sytuację. Profesor z laboratorium w Puławach, bardzo sympatyczny i szanowany pan, miał personel, z którym pracował. Jedna z pań, chcąc wyrazić swój szacunek do niego, powiedziała: „Panie profesorze, mieć takiego męża jak pan, to nonsens”. Ten sam profesor, patrząc na moją żonę (a miała wtedy dwadzieścia pięć lat), powiedział: „No, wie pani, ale na swój wiek, to się pani dobrze trzyma”. Aby to zakończyć, żeby

mieć do siebie pewien dystans, to powiem, co żona mi przypomina: „Wiesz, w mojej młodości to marzyłam, że będę miała męża wysokiego, bruneta i przystojnego”.



Andrzej Skoczek

Ks. Bogusław Kowalski

Jeden z moich dawnych parafian tłumaczył, że mamy wspaniałego proboszcza: „Naprawdę – mówił – nie dam na niego dobrego słowa powiedzieć”. Są takie przejęzyczenia.

Katarzyna Łaniewska

Ostatnio mój mąż zoperował sobie zaćmę na jednym oku, teraz na drugim, widzi bardzo dobrze, a ja jestem zdenerwowana – nie mam tyle pieniędzy na kosmetyczki.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Mój pomocniczy biskup, emeryt, ma z 86 lat – niedawno go spotykam i pytam się: „Co słyhać, jak się ekscelencja czuje?” Odpowiada: „Pomimo że tak dobrze wyglądam, nikt mnie nie chce do roboty zatrudnić”.

Ks. Bogusław Kowalski

Nie mógłbym wyjechać stąd, gdybym nie opowiedział tej historii. Zaczęło się dramatycznie, ale skończyło się szczęśliwie. Świętej pamięci biskup Bronisław Modzelewski lubił, jak się do niego ludzie zwracali: ekscelencjo. Nie księżę biskupie, ale ekscelencjo. Miał wizytować wiejską parafię i tam proboszcz dzieciom kładł w głowę: „Drogie dzieci, do biskupa zwracamy się ekscelencjo! Powtórzcie – ekscelencjo, ekscelencjo. No, dobrze. Po powitaniach biskup wziął małego chłopczyka: „Powiedz mi, chłopcze, dziesięć przykazań Bożych”.

Chłopiec odpowiada: „Pierwsze – nie będziesz miał bogów cudzych przede mną, ekscelencjo. Drugie – nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremno, ekscelencjo. Trzecie – pamiętaj, abyś dzień święty święcił, ekscelencjo. Czwarte – czcij ojca i matkę, ekscelencjo. Piąte – nie zabijaj, ekscelencjo. Szóste – ... A biskup: Wystarczy! Wystarczy!

Katarzyna Łaniewska

Przed laty był konkurs „na czytanie” – złoty liść dla autora, srebrny dla czytelników. W remizie odbywało się spotkanie z autorem i był na nim obecny sołtys, który niestety dał sobie trochę „w szyję” i mówił: „Witamy niestety członka Rady Państwa, niestety autora i teraz już może, zapomniałem – chwileczkę – witamy, niestety aktorkę, niestety Teatru Narodowego.” I tak to „niestety” powtarzał, a myśmy zgodnie ryczeli z tego jego „niestety”.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Takie sytuacyjne zdarzenia są zwykle najciekawsze, nie są wymyślone, nie są sztuczne. Przypomina mi się sytuacja, która zdarzyła się we Francji, był też ten sam wspomniany biskup. Może dla wyjaśnienia powiem, że zanim poszedł do seminarium, był wcześniej komikiem w cyrku, więc jemu to bardzo naturalnie wychodziło, dobrze odnajdywał się w takich sytuacjach. W czasie Mszy Świętej jest procesja z darami, po jednej stronie siedzi proboszcz, po drugiej ja siedziałem i była też wspólnota Afrykańczyków, którzy angażowali się w służbę liturgiczną. Jest zwyczaj afrykański, że w czasie procesji z darami jest taniec ofiarny. A więc te czarnoskóre parafianki przygotowały dary na procesję i niosą je, tańcząc, w nawie głównej, a biskup zwraca się do proboszcza „Jeśli zażądamy twojej głowy na misie, to dam im ją”.

Katarzyna Łaniewska

Ksiądz biskup Kusz, sławny z poczucia humoru, kiedy wizytował Dom Aktora w Skolimowie, powiedział, że jak by kardynał Macharski odszedł, to nie powiedzą, że „zasnął w Bogu”, ale „zaschnął”. Mówił, że jechał jako biskup samochodem i przed nim była siostra z jakiegoś zakonu – przełożona. Zatrzymali się. Siostra kierowca z takiego nocniczka zaczęła nalewać lejkiem coś do samochodu. Biskup mówi: „O, tym siostrom to zazdroścę dużej wiary”.

Ks. Bogusław Kowalski

Kiedy wspomniany kardynał Sapieha – nie wiem, czy to nie o nim opowiadali krakowscy księża, a on był dosyć surowy, wymagający – przyjechał na wizytację, poprosił pierwszego z brzegu chłop-



Ks. Piotr Hartkiewicz i ks. Bogusław Kowalski

ca: „Powiedz mi, co to jest Trójca Święta”. Chłopiec się zarumienił i nic. „Księżę proboszczu – mówi Kardynał Sapieha – podstawowa prawda wiary, a ten chłopiec nic na ten temat nie wie!” „Ale księżę biskupie, uczę, no, uczę, jak mogę, staram się”. Kardynał: „Trzeba umieć uczyć”. Zrobiło się przykro proboszczowi wobec całej parafii. Zdenerwował się i woła tego chłopca: „Chodź no tutaj, Boluś” i go pyta: „Siła Bogów” – a on: „Jeden, ale w trzech osobach”. „No, Księżę kardynale, trzeba umieć pytać”.

Podobnie było z księżmi po rozprawie doktorskiej: „Co sądzi ksiądz profesor na temat tego doktoratu?” „Proszę księdza, myślę, że jest to kolejny przykład wywoływania poczucia głębi poprzez brnięcie w niejasność”.

Inna sytuacja: „Chodź no tutaj, synuś – a byłeś ty na Mszy Świętej?” „Byłem.” – „A o czym ksiądz proboszcz mówił kazanie?” – „Proboszcz na kazaniu nie mówił, o czym mówił.” Albo inna odpowiedź: „A o czym ksiądz w kazaniu mówił?” – „O grzechu.” „Co ty, tak ogólnie, o grzechu?” – „Nie, no, w zasadzie był przeciw”.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Do osób obdarzonych niesłychanym poczuciem humoru należał w seminarium nasz profesor od filozofii, który niestety już odszedł z tego świata. Pamiętam, że przypadło mi w udziale zaprosić księdza profesora na nasze święcenia kapłańskie. Przygotowaliśmy zaproszenie dla profesora, ale wiedzieliśmy, że profesor nie przyjdzie. Od niepamiętnych czasów nie było go na święceniach kapłańskich. Ale mimo wszystko idę do niego, wręczam mu to zaproszenie, a on na to: „Gdybym się spóźnił, proszę zaczynać beze mnie”.

Kiedyś trzymał kluczyki do samochodu Cinquecento i pyta się, który z księży ma prawo jazdy? Mieliśmy takiego kolegę, który uważał się za wytrawnego kierowcę i on wyrwał się pierwszy. – „Księżo, w bagażniku są książki, proszę je przynieść”.

Inna historia, którą znam z opowieści i trudno mi to w tej chwili zweryfikować. To był jakiś nieracjonalny pomysł, aby profesora filozofii prosić, żeby spowiadał dzieci do pierwszej Komunii Świętej. No i te dzieci się u niego spowiadają. W pewnym momencie skończył spowiadać dziewczynkę i na koniec ksiądz profesor mówi do niej: „Bij się w piersi”. A dziewczynka mówi: „Ale ja nie mam piersi”. A profesor z całkowitą powagą pyta się: „A co masz?” Na to dziewczynka mówi rezolutnie: „Płaskie”. Ksiądz profesor: „No to bij się w płaskie”. Myślę sobie, że są takie osobowości, które nawet swoim gestem wywołują w nas uśmiech.

Ks. Bogusław Kowalski

Sposób działania katechetek, zwłaszcza siostr zakonnych, polega na tym, że one tak wyuczają te dzieci, że my potem mamy kłopot.

Wszystkiego wyuczą od A do Z, wszystkiego, nawet takich rzeczy, których w sakramencie pokuty się nie praktykuje. Klękęła dziewczynka i milczy. Podpowiadam: Przystępuję pierwszy raz do spowiedzi...” bo myślę, że załapie i pójdzie dalej. „A nie, nie, proszę księdza, ksiądz mnie teraz powinien zachęcić”. Rzeczywiście ma rację, bo tam jest: „W tych lub podobnych słowach zachęca się do spowiedzi”.

Spowiadałem na rekolekcjach, tłum ludzi: strona lewa, strona prawa, lewa, prawa. Na wieki wieków. Amen. Na wieki wieków. Amen. Na wieki wieków. Amen. Człowiek ze zmęczenia trochę działa jak automat. Podchodzi staruszka o kulach, która sama do siebie mówi: „O Jezuu! Jak mnie te kolana bolą”. A ja mówię: „Na wieki wieków. Amen”. Szczęśliwie nie usłyszała.

Poczucie humoru czasami jest problemem, może być zgubne, bo człowiek może dostać ataku śmiechu w najmniej odpowiednim momencie. Umieram z ciekawości, czy pani, pani Katarzyno, kiedyś nie dostała ataku śmiechu na scenie i ciężko było się opanować.

Katarzyna Łaniewska

Jedna z moich wspaniałych aktorskich, bardzo dawno temu w Teatrze Dramatycznym: wchodzi w „Zemście” do Rejenta jako Podstolina. Rejentem był Gustaw Holoubek. A byłam w tym czasie przewodniczącą oddziału warszawskiego Związku Artystów Scen Polskich i miałam mnóstwo różnych zebrań. Miałam powiedzieć: „otóż jestem na wezwanie w twoim domu, mój Rejencie”, a powiedziałam, „otóż jestem na zebraniu w moim domu, twój Rejencie.” On się odwrócił i powiedział „Cieszę się, że wpadłaś”. A Wiesław Gołas, który grał Papkina, uciekł ze sceny.

Miałam też drugą taką sytuację w Sali Kongresowej. W utworze Gałczyńskiego „Przez świat idące wołanie” miałam powiedzieć w końcówce wiersza słowa: Mickiewicz, Puszkina, fugi Jana Sebastiana, Notre Dame, Uspieński sobór i wieża Mariacka, a ja mówię: Mickiewicz, Muszkina i cóż mogę dalej powiedzieć – Jana Sebastiana?

Ks. Bogusław Kowalski

Zapytałem o to, ponieważ ciągle przeżywam jeden pogrzeb. Jak by to wyglądało, gdyby wikary dostał ataku śmiechu na pogrzebie? Nie życzę wam, żebyście byli w takiej sytuacji. Odprawiałem po-



Katarzyna Łaniewska

grzeb kogoś z rodziny biskupa Miziołka. Biskup Miziołek był wtedy słabiutki, miał zaniki pamięci. To było w Babcicach. Jesteśmy już na cmentarzu, śmiertelnie poważny moment i ja podaje kropidło metalowe z kuleczką biskupowi, żeby poświęcił trumnę. Wziął to kropidło, zbliżył do ust: „Niech was błogosławi Bóg Wszechmogący...” Myślał, że to bezprzewodowy mikrofon. Organista uciekł, a ja zacząłem niby kasłać, żeby ukryć ten swój śmiech, bo to było nie do opanowania. Nie życzę nikomu znaleźć się w takiej sytuacji.

Katarzyna Łaniewska

Przeżyłam też taki pogrzeb, pogrzeb Janusza Strachockiego, znakomitego aktora starszego pokolenia, który grywał bardzo szlachetnych ludzi. Na pogrzebie były przemówienia równie szlachetnych notabli artystycznych. A potem nagle wyszedł taki aktor „czwartego

planu”, trochę utykający, który nazywał się pan Bem, i mówi: „Mistrzu! Nosilem za Tobą płaszcz, nosilem za Tobą insygnia, a teraz w ukochanym przez Ciebie języku pożegnaj Cię” i zaczął mówić po łacinie. Mówił bardzo złym aktorstwem, natomiast może piękną łaciną. Staliśmy z wieńcem, świętej pamięci Andrzej Szczepkowski i pan Kazimierz Rudzki, a ja w środku. Andrzej Szczepkowski nie wytrzymał, poszedł pod mur, jak on mówił tą łaciną. Skończył. Wszyscy pozostali wytrzymali. „A teraz to samo po grecku”. Pan Kazimierz Rudzki też odszedł, zostałam sama z wieńcem.

Ks. Bogusław Kowalski

Był w Grodzisku pogrzeb młodego księdza, mojego kolegi, który miał trzy lata kapłaństwa. Inny ksiądz mówił kazanie, znany duszpasterz więziennictwa – ksiądz Jan Sikorski. Ksiądz Jan użył między innymi takich słów: „Bracia i siostry, ile razy ksiądz Tadeusz od tego ołtarza mówił do was – módlcie się, aby moją i Waszą ofiarę przyjął Bóg Ojciec wszechmogący” – a ludzie, jakby nie słuchali księdza, jak automaty odpowiedzieli: „Niech Pan przyjmie ofiarę z rąk twoich” „A wy tak odpowiadaliście za każdym razem” – ksiądz Jan wybrnął po mistrzowsku.

Mieliśmy takiego profesora w seminarium – nieżyjącego już księdza profesora Jakubca. Ksiądz Wiesław Kądziela tłumaczył mu przed Mszą świętą: „Księżo profesorze, proszę nie udzielać błogosławieństwa, ponieważ my zaraz będziemy mieć różaniec, ksiądz bez błogosławieństwa wróci, a my wychodzimy i jest wystawienie Najświętszego Sakramentu.” Ale on się zagapił i na końcu Mszy: „Niech was błogosławi Bóg wszechmogący, ups – przepraszam” i zaczął w powietrzu gestem rąk wymazywać znak krzyża.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Dowcipy, poczucie humoru, śmiech pełnią niesłychanie ważną funkcję w naszym życiu, do tego stopnia, że zauważa się następującą relację: jeśli ktoś jest w stanie śmiać się z samego siebie, to znaczy, że stał się dorosłym człowiekiem. Kiedy potrafimy z dystansem podchodzić do tego, co nam się w życiu przydarza, to znaczy, że dojrzeliliśmy, że staliśmy się dorośli. Poczucie humoru bardzo często wykorzystuje się w terapii, aby „rozbroić” różnego rodzaju trudne emocje, które są w człowieku: lęk, strach, poczucie zagroże-

nia, a także smutek. Nie bez powodu mówi się, że śmiech to zdrowie. Dodam, że z ergonomicznego punktu widzenia śmiech się bardziej opłaca niż smutek. Nie wiem, czy Państwo wiecie, że twarz człowieka, aby wyrazić grymas używa osiemnastu mięśni różnego rodzaju, a uśmiech wymaga użycia tylko czterech. Zachęcam Państwa do tego, żeby oszczędzać mięśnie, gdyż złość wymaga od nas więcej wysiłku niż uśmiech.

Katarzyna Łaniewska

Należy się bardziej śmiać, bo w naszym dzisiejszym życiu, we wszystkich tak zwanych kabaretach, tak zwanych występach – nie ma się z czego śmiać, tam ludzie rechoczą. Apeluję, nie rechoczmy, ale śmiejmy się.

Ks. Bogusław Kowalski

Ktoś mądry powiedział, że Pan Bóg dał ludziom piłkę, żeby uprawiali sport. Mówi się o roli piłki w życiu człowieka. My też możemy powiedzieć o roli humoru. Naopowiadaliśmy wiele śmiesznych, fajnych rzeczy, a to powoduje, że człowiek jak się



Ks. Bogusław Kowalski

śmieje, to nie jest taki spięty. Podziwiam panią Katarzynę, która mając ten cudowny dystans do siebie, staje się taka jednocześnie bliska dobru. Czasami ludzie są zdystansowani do świata, do rzeczywistości, ale wyczuwa się, że jest to czasem takie sztuczne, tak jak kiedyś bocian na łące pyta wróbla: „Ty, co ty jesteś za ptak?”, a ten odpowiada: „Orzeł, tylko trochę chorowałem”. Człowiekowi czasem trudno się przyznać, że jest się wróblem. Chce grać wielkiego orła, choć trochę chorował.

Ja miałem w parafii na Targówku u Chrystusa Króla takiego starszego księdza, którego baliśmy się. Był surowy, zdystansowany, żadnego uśmiechu i bardzo czuły na punkcie swojej osoby, żeby go uszanować na pierwszym miejscu. Trochę się go bałem. Kiedyś odprawiałem z nim Mszę Świętą koncelebrowaną. Miałem wtedy wyjątkowo dobry humor i mówię: „Księżę profesorze, jak ja się cieszę, że mogłem z księdzem odprawić Mszę Świętą. Na pierwszym miejscu dziękuję za to Panu Bogu, ale na drugim miejscu dziękuję bardzo księdzu”. On trochę nie dosłyszał i mówi: „Bardzo przepraszam, dlaczego mnie na drugim miejscu?”

Andrzej Dowgiałło

Uważam, że gdy ktoś ma poczucie humoru, to znaczy, że współpracuje z Duchem Świętym.



Słuchacze

Chciałem przypomnieć zdarzenie, które miało związek z Matką Różą Czacką, fundatorką zgromadzenia zakonnego i założycielką Zakładu dla niewidomych w Laskach. Któraś z sióstr nowicjuszek przychodzi i mówi: „Matko, miałam takie głębokie i wzniosłe przeżycia”. „Oj, siostró, to bardzo niebezpieczne, to może być od żołądka”.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Kiedy jestem w Polsce, to pomagam w pobliskiej parafii. Ostatnio było to w czasie Bożego Narodzenia. Koncepcja stajenki betlejemskiej była taka w tej parafii, że ołtarz był wbudowany w żłóbek, razem z zadaszeniem, na dole były figurki Świętej Rodziny, pastery i różnych zwierząt. Odprawiałem Mszę Świętą w pierwszy dzień Świąt i tuż przed błogosławieństwem naszła mnie refleksja, którą się z Państwem podzielę. Koncepcja szopki jest bardzo niebezpieczna, bo można pomylić księdza z osłem.



Ks. Piotr Hartkiewicz

Pamiętam, jak kiedyś czytałem Ewangelię we Francji. Słabo znałem wtedy francuski, wiedziałem, że inaczej się pisze, a inaczej się czyta. Przeczytałem tę Ewangelię, ona była o Marcie i Marii. Jak

skończyłem, słuchacze zaczęli się śmiać. Nie wiedziałem, z czego się śmieją. Po Mszy dowiedziałem się, że zamiast przeczytać „Maria obrała najlepszą część” przeczytałem „Maria zabrała najlepsze ciastko”. Między *part* i *pâte* jest niewielka różnica dla kogoś, kto dopiero zaczął się uczyć francuskiego.

Ks. Bogusław Kowalski

Jeden z diakonów czytał Mękę Pańską, gdzieś tam na kresach wschodnich, i on tak swojsko zaciągał. Czytał ten fragment: „I ty byłeś” – „Nie znam tego człowieka.” „I ty byłeś z nim, twoja mowa cię zdradza”.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Jeszcze powiem o tak zwanym „płytkim poczuciu humoru”, to znaczy, że łatwo człowieka rozśmieszyć. Byliśmy na pogrzebie męża siostry mojej matki. To było dobre, kochające się małżeństwo. Szliśmy razem na cmentarz z jej dziećmi, zaraz za trumną. Po pogrzebie ciotka mówi do mnie: „Nie mogłam powstrzymać śmiechu, bo na trumnie, gdzie miało być napisane imię i nazwisko zmarłego, była napisana dużymi literami cena”.

Ks. Bogusław Kowalski

Zdaję sobie sprawę z tego, co ksiądz powiedział, że nie można wszystkiego sprowadzać do chichrania się, z tym że takie oddechy humorystyczne, takie zaczerpnięcie świeżego powietrza, takie chwilowe odprężenie przydaje się w każdym wymiarze, a ludzie bardzo słuchają i potem się do tego odnoszą choćby na kolędzie.

Miałem parę lat temu kazanie, wspominałam mój dom rodzinny, o tym, że rodzice, którzy nas wychowywali – czterech synów – uwrażliwiali nas między innymi na to, żebyśmy byli gościnni. Kiedy przyjdzie ktoś do domu, a nas nie ma, to poczęstujcie choćby chlebem z masłem, czym jest. Tego wymaga gościnność. Rodzice gdzieś wyjechali na dwa czy trzy dni i zostawili nam cały garnek flaków, które bardzo lubiliśmy. Akurat przyszli wujek z ciotką. Ja patrzę na Andrzeja, Andrzej na mnie, że trzeba poczęstować. A szkoda nam było tych flaków. To jest tak jak w naszym życiu, chciałoby się coś oddać, ale też trochę zachować. Trochę tak – Panie Boże, Ci służę, ale nie do końca. Andrzej – mój starszy brat – mówi: podgrzejemy w małym rondelku. Podgrzewamy. Mówię:

- Andrzej, już gorące.
- Grzej!
- Już piana na flakach.
- Grzej!
- Już kipią.
- No to wyłącz.
- Dlaczego takie gorące? – pytam.
- Nie wiesz, jak dostaną gorące, to wujek z ciotką więcej chleba zjedzą, a mniej flaków.

Mówiłem to na Pasterce. Potem w trzech domach: „Proszę księdza, ciepłe, ale nie tak gorące”. Ludzie nawiązują bardzo do tego, co się mówi.

Remontuję kościół, bo mamy stulecie parafii. Udało mi się założyć ogrzewanie podłogowe i położyłem nową posadzkę. A wiem, że na Pasterkę przychodzą w dużej części bardziej gorliwi parafianie, ale także tzw. roczniaki, czyli ci, którzy raz albo dwa razy w roku pójdą. Nudzą się w kościele i mówią, że gdy idę do kościoła, to tam albo Pasterka, albo Rezurekcja. Wiem, że tacy przyjdą i chciałem zwrócić uwagę na tę posadzkę, więc opowiadam w ogłoszeniach (nie w kazaniu, bo nie chciałem przesadzić): „Drodzy parafianie, musiałem podsłuchać rozmowę mojego wikarego (o którym wiem, że ludzie go bardzo lubią), który tak głośno krzyczy do telefonu, że choć nie chciałem, musiałem słyszeć. Sprzeczał się z innymi wikariuszami, który lepiej z nich maluje. Jeden mówił: „Namalowałem mojemu proboszczowi góry w zimie. Myślał, że to prawdziwe, chciał zjeżdżać na nartach i się potłukł”. Drugi mówi: „A ja namalowałem mojemu morze, myślał, że to prawdziwe, chciał się kąpać i też się potłukł”. A mój wikary mówi: „A mój proboszcz mało ręki nie złamał, bo mu namalowałem na posadzce 200 złotych”.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Niestety, czas już kończyć. Bardzo serdecznie dziękuję pani Katarzynie Łaniewskiej, księdzu Bogusławowi. Gdyby był wolny etat na parafii księdza Proboszcza, to ja chętnie: proboszcz, gospodyni i wikary!

Zakończmy może nieco poważniej wypowiedzią, którą znalazłem w internecie, z encyklopedii humoru żydowskiego. Poczucia humoru od naszych starszych braci w wierze z pewnością możemy się uczyć. Humor żydowski jest niesłychanie piękny. Encyklopedia

humoru żydowskiego zauważa następującą rzecz: „Śmiejąc się z siebie samych, unika się drwin ze strony innych.” To tak jakby powiedzieć: „Nie kpij ze mnie, potrafię to lepiej od ciebie.”

Spaliliśmy tu trochę kalorii, możemy spokojnie iść na posiłek.

Spisał z nagrania Bogdan Motelski

Cd. dyskusji otrzymany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

Nad biurkiem w pokoju mojej córki znalazłam wierszyk, napisany przez anonimowego poetę. Pozwolę sobie przytoczyć poniżej oryginalną, angielską wersję, dołączając także mój polski przekład:

A smile

A smile costs nothing,
but gives much.
It enriches those who receive,
without making poorer those
who give.
It takes but a moment,
but the memory of it
sometimes lasts for ever.

None is so rich or mighty that he
can get along without it
and none is so poor but that
he can be made rich by it.

A smile creates happiness
in the home
Fosters goodness in business
and is the countersign
of friendship.

Uśmiech

Uśmiech nic nie kosztuje,
a tak wiele daje.
Wzbogaca obdarowanych,
nie czyniąc biedniejszymi
tych, którzy dają.
Trwa tylko moment,
ale pamięć o nim
czasami zostaje na zawsze.

Nikt nie jest tak bogaty ni
możny,
by się mógł obejść bez niego,
ani nie jest aż tak biedny,
aby się nim nie wzbogacić.

Uśmiech stwarza radość w
domu.
wnosi dobro do interesów
jest także znakiem przyjaźni.
Daje wytchnienie znużonym,

It brings rest to the weary,
cheer to the discouraged,
sunshine to the sad and it is
Nature's best antidote for trouble

pociesza zniechęconych,
jest promykiem słońca dla
smutnych oraz
najlepszym lekarstwem
Natury na wiele problemów.

Yet it cannot be bought, begged
borrowed or stolen, for it is
something that is of no value
to anyone
until it is given away.

Niestety, nie można go
kupić, wyżebrać,
wypożyczyć, ni ukraść,
bo jest czymś,

co nie ma swojej wartości
tak długo, póki nie zostanie
dany.

Some people are too tired to give
you a smile.
Give them one
of yours, as none needs a smile
so much as he who has
no more to give.

Są ludzie aż nadto zmęczeni,
by móc cię obdarzyć
uśmiechem.
Ty uśmiechnij się do nich,
wszak nikt tak nie łaknie
uśmiechu
jak ten, kto już nic nie ma,
aby dać innym.

Oprócz uśmiechu, istnieje także i śmiech. Głęboki, serdeczny, śmiech z zasłyszanego żartu, śmiech z niezwykłej sytuacji, śmiech z samego siebie. Śmiech jako oznaka radości. Ale także i śmiech z kogoś.

Nasze polskie społeczeństwo, w przeważającej większości religijne – katolickie, składa się z ludzi pogodnych, skłonnych do śmiechu. Jednak ze swojego doświadczenia mogę powiedzieć, że jeszcze do nie tak dawna wielu osobom trudno było okazywać prawdziwe oznaki radości. Z najwcześniejszego dzieciństwa wrył mi się w pamięć huk bomb, brzęk wypadających z okien szyb i słowa kończące każdą wspólną modlitwę: „Panie, ratuj nas, bo ginimy”. To samo wezwanie kończyło nasze modlitwy w rodzinnym domu przez całe lata późniejsze. Wówczas już nie hitlerowskie bomby robiły wyrwy w domach, ale nie mniej groźne wyrwy czy-

nione były w ludzkich duszach i sumieniach. Tym bardziej niebezpieczne, że sprytnie kamuflowane.

„Zbudujemy nową Polskę, zbudujemy taki świat,
w którym wszystko będzie lepsze, w którym nowy będzie ład.
Najpiękniejsze miasta, najpiękniejsze wsie,
zbudujemy Polskę piękną jak we śnie.”

To były radosne, porywające pieśni, śpiewane na apelach, capstrzykach, przynoszone ze szkoły do domu. Przezorni rodzice pytali jednak – a gdzie w tej „nowej Polsce” jest miejsce dla Boga?

Pan Bóg? Tak, oczywiście, może być, ale tylko w kościele. I był. Pozbawiony radości, bo w dodatku zamknięty pod magicznymi słowami łacińskich modlitw wypowiedzianych przez stojącego tyłem do wiernych kapłana, który odwracał się jedynie na „Dominus vobiscum” oraz na „Itte Missa est” (obydwa w tajemnicy przed rodzicami zabawnie przeinaczane na polski). Tak, oczywiście, były nabożeństwa majowe, były procesje w oktawie Bożego Ciała, były odpusty w okolicznych parafiach – tam religia mieszała się z folklorem – i to było w oczach władz tolerowane „opium dla ludu”.

Dlatego wyjeżdżającym do większych miast dzieciom zatroskani rodzice dawali różaniec i przestrozę – żeby oni ci tam tylko Pana Boga z serca nie wydarli! A Pan Bóg był. Stawał się coraz bliższy i coraz bardziej radosny. Przekazywany młodym ludziom przez kapłanów nowej generacji.

Słyszeliście, u Anny na wieczorowej Mszy wszyscy się za ręce trzymają.

Jak to wszyscy – cały kościół?

Tak. Nie wierzysz? Przyjdź, zobaczysz.

Był grudzień, chyba rok 1964. Koleżanka z roku (jedna z miejscowych „Krakusek”, nie z akademika) zaproponowała, że jeśli nie mam żadnych planów na najbliższą sobotę i niedzielę, mogę się z nimi wybrać do Kalwarii Zebrzydowskiej. Kiedy w piątek po południu o określonej godzinie wskoczyłam do pociągu, grupa była już prawie w komplecie. Dziewczęta i chłopcy w moim wieku – studenci z różnych krakowskich uczelni. Roześmiani, sypiący żartami jak z przysłowiowego rękawa. Rej wodził w tych żartach szczególnie jeden, troszkę, wydawało się, starszy od pozostałych.

Podróż mijąca błyskawicznie. Zapadł zimowy zmrok i ze stacji kolejowej brnęliśmy już po ciemku, rozdeptując zmieszany z bło-

tem śnieg. W dodatku zaczęło śiąpic – ni to śnieg, ni to mżawka. Nikomu nie potrafiło to jednak zepsuć humoru. Żartowaliśmy ze wszystkiego, z chlupiących butów i cieknących nosów. Roześmiana, rozbawiona grupa dotarła do klasztoru. Rozlokowani zostaliśmy w barakach. Za chwilę miała być odprawiona wieczorowa Msza Święta z Wystawieniem. Jakież było moje zdziwienie, kiedy przy ołtarzu stanął ten właśnie, nieco tylko starszy, żartowniś z pociągu. Tak, to był ks. Adam Boniecki. Zanim z roześmianego, syjącego żartami „kumpla” zmienił się w natchnionego, porywającego do modlitwy kapłana, mrugnął jeszcze porozumiewawczo w stronę tych z Wyższej Szkoły Muzycznej:

– Pamiętacie o śpiewie?

– Tak, tylko proszę nie zaczynać.

– Czasami muszę.

– To tak cichutko, bo jak już Ksiądz zacznie na złą nutę, to nic nie poradzimy.

Rozpoczęły się niezapomniane, bo niezwykle rekolekcje. Rozważania, czytania, króciutkie, parominutowe nauki – coś do przemyślenia. Nieustająca adoracja Najświętszego Sakramentu – wszystko w kompletnej ciszy. Do minimum ograniczona komunikacja – gest, mimika, dotknięcie ręki. I tak przez dwa dni... Droga Krzyżowa ze spontanicznie wypowiedzanymi rozważaniami i refren pieśni, z którą opuszczaliśmy klasztor: „Zostań, zostań wśród nas, bo już ciemno i mgła. Zostań, zostań wśród nas, tak jak byłeś za dnia”... I znowu po ciemku, w marznącym błocie wśród żartów i śmiechu, bieg tym razem z górki do stacji kolejowej w Lanckoronie. Zdążyliśmy. Pociągu jeszcze nie było. Na peronie pojawiła się kobiecina z koszem obwarzanków. Zaczęliśmy szperać po kieszeniach w poszukiwaniu złotówek, ale nie było czasu, bo nadjechał pociąg. „To ja wezmę wszystkie – powiedział ks. Adam, wsuwając zdumionej kobiecie do ręki banknot. – „Panie, to za dużo! To i z koszykiem Pan weź” – roześmiała się uradowana sprzedawczyni obwarzanków. „Koszyk odeślemy następnym pociągiem, będzie u tego pana” – ks. Adam wskazał na kolejarza dającego chorągiewką i gwizdkiem znak do odjazdu. Obwarzanków starczyło dla nas wszystkich, a nawet i dla przygodnych, zdążających do Krakowa podróżnych, którzy przyłączyli się do nas.

Tuż przed feriami świątecznymi zostaliśmy zaproszeni na spotkanie opłatkowe. Odbyło się w Kościele św. Anny. Po Mszy

Świętej do liczącego chyba z tysiąc osób tłumu studentów wyszedł Arcybiskup (wówczas nawet jeszcze nie kardynał) Karol Wojtyła, z plikiem opłatków w rękę. Podchodził do każdej osoby indywidualnie. Każdego o coś zapytał, zagadnął, złożył życzenia – nie tylko nam. Prosił także, żeby tę odrobinę opłatka i jego osobiste życzenia zawieźć do naszych rodzinnych domów, do rodziców i rodzeństwa. Pełne radości spotkanie, przeplatane żartami i śmiechem, przedłużyło się do późnych godzin. Rozchodziliśmy się i żegnali nawzajem w niezwykle radosnej atmosferze.

Dopiero ten przywieziony od Arcybiskupa opłatek rozwiał wątpliwości mojej Matki, że nie byłam pod wpływem żadnych innowierców. Bo czy to aby ten ksiądz, co takie żarty opowiada, kupuje kosz obwarzanków i który potrafi się śmiać ze swojego antytalentu do śpiewania, to nie jaki odszczepieniec. Ojciec był mniej podejrzliwy. Już samo wspomnienie Kalwarii Zebrzydowskiej, do której organizował doroczne pielgrzymki, utwierdziło go w przekonaniu, że jego córka zdąża właściwą drogą. A radość i uśmiech? Przecież dlatego był tak popularny w okolicznych wioskach naszej parafii, że wszędzie wnosił dużo radości. Zaczynając oczywiście od swojego domu.

Kiedy podjęłam pierwszą moją pracę, jako nauczycielka geografii w krakowskim „Nowodworku”, dyskutowaliśmy na radach pedagogicznych jak zachęcić młodzież do udziału w zajęciach pozalekcyjnych (kółka zainteresowań, organizacje młodzieżowe, prace społeczne itp). Jeden ze starszych (stażem i wiekiem) nauczycieli zaproponował sarkastycznie, żeby poprosić o radę Ojców Dominikanów. Ojcowie nie dają stopni, nie obniżają ocen ze sprawowania, nie dodają punktów na studia – a codziennie rano ich kościół jest pełen naszych uczniów. Tuż przed ósmą wychodzą roześmiani, weseli, odprężeni psychicznie – gotowi do podjęcia kolejnego dnia intensywnej nauki w szkole.

Proszę nie zapominać, że był to rok 1969 – wówczas Ojców o nic nie pytano. Nawet przystanek tramwajowy kazano milicjantom nazywać przy Placu „Zero, Zero” (OO) Dominikanów.

Blisko pół wieku upływa już od moich krakowskich czasów. Nie przypuszczałam wówczas, że wspomnienia tamtych zdarzeń muszą wystarczyć mi na wiele, wiele lat... Jedno jest pewne, tamte przeżycia wywarły ogromny wpływ na ukształtowanie mojej osobowości, na atmosferę w rodzinie, którą wypadło mi założyć z dala

od Polski w zupełnie odmiennych warunkach. Po raz kolejny utwierdzam się w przekonaniu, że nie wszystko zawsze musi być łatwe, ale pogoda ducha pomaga pokonywać wszelkie trudności, zarówno w domu jak i w pracy zawodowej.

Oczywiście podstawą radosnego podejścia do życia jest dzieciństwo spędzone w pogodnym domu. Nikt temu nie zaprzecza, nikt nie kwestionuje tej tak oczywistej prawdy. Niestety, ta radość rodzinnego domu jest nieraz wypaczana, szczególnie w ostatnich czasach. Cieszyć się – to znaczy mieć. Mieć coś, co jest nowsze, lepsze, niż mają inni. Na to trzeba zarobić, czyli dłużej i więcej pracować samemu, albo jak najwcześniej zachęcić dzieci do szukania pracy zarobkowej. To wszystko dla nich – po to, żeby one miały, żeby się cieszyły. Taka radość jest jednak krótkotrwała. To jest raczej namiastka radości, pogoń za czymś, co wydaje się być w zasięgu ręki – ale w rzeczywistości jest nieosiągalne, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie miał więcej, będzie posiadaczem czegoś, co wydaje się lepsze. Chyba nie tędy wiedzie droga do szczęśliwego dzieciństwa.

Kiedy na przełomie lat 1970. i 1980. przychodziły na świat i rosły nasze dzieci, zdaliśmy sobie z mężem sprawę, jakie niebezpieczeństwo nas otacza. Nie było właściwie zachcianki, której nie bylibyśmy w stanie naszym pociechom zaspokoić. Nasunęło się istotne pytanie, co zrobić, jak postępować, aby nie odebrać im radości marzeń. Odpowiedź była prosta, chociaż nie tak łatwa do wykonania – skierować marzenia na inne tory. Zminimalizować, bo wyeliminować całkowicie się nie da, chęć posiadania.

Pięcioletni syn dostał na urodziny od chrzestnego (bezdziętne, niezwykle kulturalne małżeństwo) wspaniałą zabawkę. Był to komplet samochodzików i autostrad z mostami, wiaduktami, rozjazdami i wieloma jeszcze dodatkowymi akcesoriami. Wszystko imponujące i niezbyt trudne w obsłudze. Po kilku chwilach zachwyty dzieci (cała czwórka) stwierdziły: „ale my wolimy ten pociąg, cośmy z mamą zrobili”. Powstała konsternacja, kiedy do pokoju zostały wciągnięte połączone ze sobą kartony po jajkach, z kolorowymi spinaczami od prania w roli pasażerów. Dla misiów i lalek też było tam miejsce.

Do klasy, w której uczyłam, wszedł chłopiec, aby zwrócić swojemu koledze pożyczone wcześniej pieniądze. W ręku trzymał banknot 100-dolarowy. Na moje zdziwienie oraz uwagę, że operują takimi sumami, podczas kiedy moje własne dzieci zadowolają się

paroma dolarami, nastolatek odpowiedział: „Proszę nie zapominać, że Pani może dać swoim dzieciom o wiele więcej niż pieniądze, a nasi rodzice nie. Dlatego też biorą dodatkowe prace popołudniami, żebyśmy mieli wszystko to, czego pragniemy”.

Staram się zrozumieć tych rodziców. Tłumaczę im jednak przy okazji każdego spotkania, że to nie pieniądze są najważniejsze. Każda rodzina ma wiele do przekazania swoim dzieciom. Chodzi tu szczególnie o wartości niematerialne. I tu widzę przeogromne pole do popisu dla wychowawców, nauczycieli, dla księży. Trzeba wpaść w młodych ludzi pogodę, radość życia. Czynić to trzeba na każdym kroku, nie zrażając się, że jest to tylko kropla w morzu. Wszak Matka Teresa powiedziała, że i ocean składa się z kropel.

Nie możemy zmienić ludzi, ale możemy zmienić nasz stosunek do sytuacji, w jakiej i oni, i my znaleźliśmy się, najczęściej przypadkowo.

W roku 1987, po 17 latach przyjechaliśmy do Polski. Całonocna podróż z Krakowa do Lublina była tylko trochę mniej męcząca jak ta z Sydney do Warszawy. Dzieciom chciało się pić, a czekała nas jeszcze dwugodzinna podróż autobusem. Tuż koło dworca PKS na placyku rozstawiono stragany z różnościami. Podeszłam do pierwszej z brzegu straganiarki z zapytaniem: „Co pani ma do picia?”, poprzedzonym oczywiście grzecznym „dzień dobry”. „To, co pani widzi” – odburknęła bardzo niegrzecznie zagadnięta.

– „Proszę sobie wyobrazić, że ja nie widzę” (te etykiety ani kształty butelek niczego nam nie mówiły).

– „To co, pani ślepa, czy jak ...”.

„Chodź, mam, chodź – przynagłały dzieci – wytrzymamy”. Ale ja nie dawałam za wygraną. „Proszę pani” – odpowiedziałam – „taka piękna pogoda, świeci słońeczko, na pobliskim drzewie śpiewają ptaki, a pani tak nie ma humoru. Wie pani, mam pomysł. Uznajmy tamtą rozmowę za niebyłą. Tak jak w teatrze – to była próba, a teraz zaczniemy jeszcze raz, już naprawdę. Ja podchodzę i mówię – Dzień dobry, co pani ma do picia?”

– „O, dzień dobry pani. Tutaj wszystko stoi. Jest płynny owoc, jest woda mineralna, lemoniada” – wyjaśniała zbita z tropu kobieta. Rozbawione całą sytuacją dzieci powybierały sobie napoje, a sprzedawczyni nawet nie chciała wziąć kaucji za butelki, twierdząc, że zdążymy wypić, zanim autobus nadjedzie. Mamy butelki zostawić, ona je sobie już zbierze. Odjechaliśmy, żegnani szerokim uśmiechem straganiarki z Lublina.

Do dnia ślubu naszej córki wracamy wspomnieniami nie ze względu na to, czym młodzi jechali do ślubu, jak byli ubrani, gdzie i jakie było przyjęcie – ale wspominamy najwspanialszą atmosferę samej ceremonii, którą stworzył główny celebrians – ks. Bp Antoni Długosz. Radość tamtego dnia pozwala młodej rodzinie stawić czoło wielu przeciwnościom, jakie spiętrzyły się na ich drodze. Są i będą razem. Tworzą wzorową, pogodną rodzinę. Do ich domu garną się przyjaciele i znajomi.

Jedną z najcenniejszych cech człowieka jest umiejętność śmiać się z samego siebie. Na to potrzeba jednak dużej dozy poczucia własnej wartości, aby się nie obawiać ośmieszenia. I tutaj znowu należy pomóc młodym ludziom odkryć i umocnić wiarę w siebie. Każdy człowiek ma wiele pozytywnego do zaoferowania innym. Trzeba to umieć jednak odnaleźć. Umiejętność robienia sobie żartów z własnych słabostek dopomaga w przekraczaniu barier obcości, a tym samym w zjednywaniu sobie przyjacieli.

Najczęściej ten sam człowiek, który nie potrafi się śmiać z samego siebie, wyrównuje sobie kompleksy, śmiejąc się z innych, opowiadając żarty wymierzone przeciwko narodowościom czy innym grupom osób. Australia, jako kraj wielokulturowy, absolutnie nie toleruje żadnych tego typu żartów. Opowiadanie takich żartów nie należy w towarzystwie do dobrego smaku.

Umiejętność opowiadania żartów to prawdziwy dar. Tak jak wszystko, musi jednak być stosowany z umiarem. Warto zapamiętać sobie stare polskie przysłowie: „Z żartami jak z solą, nie przesól, bo bołą.” W opowiadaniu żartów często trudnością jest bariera językowa, czasami niemożliwa do przekroczenia. Wielu żartów, szczególnie językowych, po prostu nie da się przetłumaczyć bez zgubienia puenty. Te jednak, które przetłumaczyć można, stają się bardzo popularne.

W Australii nie ma także aż tylu żartów o podłożu politycznym. To dziedzina, w której dominuje Polska. Każde zdarzenie, każde posunięcie polityków w Polsce natychmiast przedstawiane jest w formie żartu. Był to przez wiele dziesiątków lat i jest teraz bardzo pozytywny sposób reagowania na istniejącą sytuację, której nie jest się w stanie zmienić.

Żart, który da się opowiedzieć w obydwu językach, jest o polskim emigrancie, który po latach pobytu w Australii pojechał w odwiedziny do swojej wioski w Polsce. Ponieważ był właścicielem

farmy, gospodarze pytali go, ile ma ziemi, jakie duże jest jego gospodarstwo. Nie bardzo wiedział, jak akry przeliczyć na morgi czy na hektary, powiedział więc: „Wiedcie, chłopcy, jakbym tak raniutko wsiadł na konia, to bym do samego wieczora nawet połowy mojego pola nie objechał”.

– „Jom to tyż raz miał taką parszywą szkapę” – skomentował jeden z gospodarzy.

*Jaki powinien być człowiek, którego
nazywam swoim przyjacielem, i jaki ja sam
jako jego przyjaciel?*



Cytaty

BOGDAN BIAŁEK (*fragmenty z miesięcznika psychologicznego „Charaktery”*)

Najpiękniejsze pary przyjaciół, jakie znam, to Jezus i Piotr, św. Franciszek i św. Klara. Ich miłość do siebie była przepelniona przyjaźnią. Ich przyjaźń była pełna miłości. Wystrzegam się przyjaźni bez miłości. Nie cenię miłości bez przyjaźni. Miłość i przyjaźń – tak bardzo rozdzielne, tak blisko siebie trwają, przy czym większa jest przyjaźń. Już samo słowo jakże jest bogate – przyjaźń, tak blisko, że przy samej jaźni, przy najistotniejszej istocie drugiego.

KS. MAREK DZIEWIECKI. *Akceptacja czy przyjaźń* (fragmenty)

Kto z nikim nie jest w stanie rozmawiać o swoich słabościach i błędach, komunikuje światu, że nie potrzebuje przyjaciół.

Przyjaciół wie o mnie wszystko? Coraz więcej ludzi zali się na to, że nie ma przyjaciół. Mało kto z tych ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że czyni wszystko, by zbudowanie z nim trwałej przyjaźni stało się niemożliwe. Jednym z niebezpiecznych błędów w patrzeniu na przyjaźń jest przekonanie, że przyjaciel to ktoś, kto wie o mnie wszystko, a mimo to mnie kocha. Zwykle konsekwencją tego błędu jest błąd kolejny: przekonanie, że mam obowiązek mówić przyjacielowi wszystko o mnie, zwłaszcza o moich słabościach, albo że on ma prawo wręcz tego ode mnie żądać. Wtedy przyjaciel zamieniłby się w policjanta czy sędziego, który przypisuje sobie prawo rozstrzygnięcia za mnie moich spraw i oceniania mnie we wszystkim. Tymczasem mądry przyjaciel nie potrzebuje i nie chce wiedzieć o mnie wszystkiego! Chce wiedzieć tylko tyle, ile ja chcę, by wiedział. Przyjaciel to ktoś, kto potrafi mnie kochać zawsze i wszędzie niezależnie od tego, czego się o mnie dowie. Gdy dowiaduje się o mnie – ode mnie samego, od innych ludzi czy z własnej obserwacji – rzeczy dobrych, to cieszy się ze mną i mobilizuje mnie do dalszego rozwoju, a gdy dowiaduje się o moich słabościach czy błędach, to z cierpliwą miłością pomaga mi rosnąć.

Ks. MAREK DZIEWIECKI. *Przyjaźń czyli początek nieba na ziemi*
(fragment)

Przyjaźń może przybierać różne oblicza. Inne są przejawy przyjaźni między małżonkami niż na przykład między rodzicami a dziećmi, między nastolatkami czy między ludźmi u schyłku ich życia doczesnego. Jednak istota przyjaźni w każdym przypadku pozostaje ta sama. Jest nią bezinteresowna i czysta, wierna i święta, radosna i tęskniąca miłość. W przyjaźni nie ma zaborczości ani zazdrości. Przyjaciel oferuje mi całą swoją miłość, a jednocześnie pozostawia mi całą moją wolność. W chwilach moich słabości czy zwątpień przyjaciel chroni mnie nie tylko przed zagrożeniami z zewnątrz, ale też przed moją własną słabością czy bezradnością. Właśnie dlatego przyjaźń daje największe poczucie bezpieczeństwa. Przyjaciel to widzialna wersja anioła stróża. Dla przyjaciela jestem bezcennym skarbem, a on staje się dla mnie niezawodnym sejfem. Przyjaciel to sejf wyjątkowy. Zwykle sejfy chronią włożone w nich kosztowności w ten sposób, że je ukrywają, chowają przed światem, izolują. Tymczasem przyjaciel to ktoś, kto kocha mnie tak mocno i tak mądrze, że jest o mnie spokojny. Wie, że z jego pomocą poradzę sobie z całym światem. Właśnie dlatego jest sejfem, który mnie nie zamyka, ani nie straszy światem, lecz pomaga odważnie wyjść na spotkanie z tą trudną czasem rzeczywistością, w której rozgrywa się nasze codzienne życie.

KONWERSATORIUM XLV (19 lutego 2011)

Jaki powinien być człowiek, którego nazywam swoim przyjacielem, i jaki ja sam jako jego przyjaciel?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii pw. bł. Edmunda Bojanowskiego), ks. Marek Dziewiecki (psycholog, nauczyciel akademicki UKSW, doktor, rekolekcjonista, autor książek o wychowaniu), Maria Środoń (socjolog, nauczyciel akademicki UW, doktor), Mateusz Środoń (artysta plastyk, absolwent szkoły pisania ikon w Pireusie, malarz ikon), Paweł Zając (artysta plastyk, specjalista od mozaik).



Paneliści: ks. Adam Zelga, Maria Środoń, Paweł Zając,
Mateusz Środoń i ks. Marek Dziewiecki

Ks. Adam Zelga

Temat dzisiejszego spotkania dotyczy przyjaciół i przyjaźni. Jest dla każdego ogromnie ważny, bo bez przyjaciół trudno żyć. Człowiek bez przyjaciela jest skazany na samotność, a w samotności ginie. Bo jest powołany do wspólnoty.

Najtrudniejszą przygodą mojego życia jest budowa kościoła. Jestem humanistą, a kazano mi budować kościół. Więc go buduję, ale właściwie nie ja go buduję. Co tydzień, od kilku lat, zupełnie bezinteresownie przyjeżdża grupa mężczyzn, specjalistów. Jest ich ośmiu. Oprócz inspektora budowlanego, kierownika budowy, architekta, inwestora – nie chodzi tu, wbrew pozorom, przede wszystkim o mnie, przybywają po prostu moi przyjaciele. Mimo nawału pracy przyjeżdżają w poniedziałek na 13.30 z całej Warszawy, z różnych budów i biur, żeby dwie – trzy godziny, tydzień w tydzień, naradzać się, doradzać, konsultować, dyskutować... Robią to całkowicie bezinteresownie. Oni są krwioobiegiem tej budowy. Ja jestem tylko jej sercem i sternikiem. To fascynujące świadectwo przyjaźni. Przyjaźni do mnie i do Pana Boga. Kiedy będzie konsekracja kościoła, to powiem, że nie czuję się jego budowniczym. Są nimi moi przyjaciele. Tym świadectwem chciałem zacząć.

Maria Środoń

Jestem socjologiem, więc jeśli można, to chciałabym powiedzieć na początek parę słów o tym, w jakich czasach przyszło nam się przyjaźnić, to znaczy o zmianach społecznych, z którymi obecnie mamy do czynienia. Najbardziej odczuwa je młode pokolenie, które teraz wchodzi w życie, a także pokolenie trzydziestolatków. Wynikają one między innymi z tego, że mamy do czynienia z gigantyczną zmianą technologiczną. Wszyscy mamy komputery, komórki i internet. Wszystkie te wynalazki spowodowały ogromną zmianę. Niektórzy socjologowie mówią, że mamy do czynienia z zanikiem pojęcia czasu i przestrzeni w takim rozumieniu, jakie mieliśmy do tej pory, to znaczy, że przestrzeń dzisiaj to już nie jest odległość. Decyduje obecność w sieci. Są takie miejsca na świecie, które znajdują się poza siecią, mimo że są blisko nas. Równocześnie są takie, jak Hongkong, Tajwan albo inne rozwinięte państwa w Azji, które są w sieci i z którymi nasza łączność może być bardzo szybka, mimo że są bardzo daleko położone. Kiedyś przyjaźnienie się z kimś, kto mieszkał w odległych stronach, było niemożliwe. Dziś przez szybkość komunikacji przez internet jest to ułatwione.

Nam się często wydaje, że rozwój społeczny idzie równomiernie. Tak nie jest – są takie momenty w historii cywilizacji, kiedy ten rozwój jest skokowy. Tak było sto lat temu, kiedy zostały wy-



Maria Środoń, obok Paweł Zając i Mateusz Środoń

nalezione nowe środki transportu – rower, silnik itd. I teraz, od końca lat 70., znów mamy do czynienia z taką kolejną, skokową zmianą technologiczną, która się przekłada na nasze życie codzienne. Ta zmiana społeczna niepokoi socjologów. Są tacy, którzy nawet mówią, że być może mamy do czynienia z końcem naszej cywilizacji. Obserwujemy, na przykład, kryzys normatywny. Młodzież uznaje normy właściwie wyłącznie na poziomie abstrakcyjnym. Jeżeli natomiast przechodzi się do konkretnych przypadków, które młodzi ludzie mają ocenić, to okazuje się, że – po pierwsze, nie potrafią przypomnieć sobie sytuacji, kiedy złamali jakąś normę. Po drugie, kiedy oceniają jakąś konkretną sytuację, to jeśli nie dotyczy ona ich wroga, ale osoby im obojętnej bądź też przyjaciela, czy kogoś z rodziny, to okazuje się, że każdy przypadek łamania normy daje się usprawiedliwić. To są takie zjawiska, które nazywamy permissywizmem moralnym. Ponieważ socjologowie do tej pory uważali, że to, co łączy społeczeństwo, to są właśnie wspólnie uznawane normy, to rodzi się pytanie, co nas trzyma razem, jeśli uznawanie norm jest w kryzysie.

Wróćmy do zmian technologicznych. Wydawałoby się, że znaczne przyspieszenie i łatwość komunikowania się, czy to przez

internet, czy przez telefony komórkowe, powinno powodować wzrost intensywności kontaktów i być może łatwość podtrzymywania przyjaźni. Tymczasem paradoksalnie wydaje się, że razem ze zmianą technologiczną idzie w parze kompletna zmiana w relacjach ludzi między sobą. Świat kontaktów międzyludzkich, interakcji społecznych załamuje się. Młodzi komunikują się za pomocą sms-ów, a coraz częściej za pomocą portali społecznościowych. My w Polsce traktujemy to jeszcze jako mało znaczącą nowinkę. Tymczasem ci, którzy lepiej znają życie społeczne w Azji, która technologicznie bardzo nas wyprzedza, mówią, że w środowiskach młodzieży, jeżeli nie ma cię na portalu społecznościowym, to towarzysko nie istniejesz. Życie się wirtualizuje. Dlaczego? Bo życie towarzyskie za pośrednictwem komputera ma tę ogromną zaletę, że jak się znudzimy interakcją, to możemy wyłączyć nasz komputer i kropka. Socjologowie twierdzą, że konsekwencją takich zmian będzie spadek umiejętności interakcyjnych, czyli coraz mniej będziemy umieli obcować z ludźmi „twarzą w twarz”. Taka jest teraz tendencja. Pytanie, co dalej będzie się z tym działo. Te zjawiska, które obecnie obserwujemy, są bardzo niepokojące.

Drugą okolicznością, która utrudnia nam dziś przyjaźń, jest to, że żyjemy w społeczeństwie konsumentów. Zasada społeczeństwa konsumpcyjnego, jak uważa Bauman, nie polega tylko na tym, że mamy wolność wyboru i coś wybierzemy i skonsumujemy; my cały czas jesteśmy uwikłani w mechanizm kupowania – wyrzucania – kupowania – wyrzucania... Społeczeństwo konsumpcyjne to społeczeństwo totalnego nadmiaru. Socjologowie mówią, że ten mechanizm konsumpcji przenosi się na relacje z innymi ludźmi. Jest kluczem do zrozumienia tzw. wolnych związków, w których uczestniczące osoby od początku zakładają, że może dojść do zmiany partnera lub partnerki. Inaczej mówiąc, ludzie, którzy wchodzi w takie związki, od początku dają sobie prawo zrezygnowania z nich w sytuacji, w której ten związek przestaje ich satysfakcjonować. To jest taka relacja jak do przedmiotu konsumpcji, który ma nam przynosić przyjemność. W momencie, kiedy nasze buty, sweterek czy spódnica przestają nam się podobać, wyrzucamy je i kupujemy nowe. Przyjemność w naszym życiu staje się naczelną wartością, dla wielu ludzi staje się dziś najważniejszą kategorią. Życie ma nam dostarczać przyjemności. Wszystko, co sprawia jakąś trudność, jest

wyrzucane poza nawias. Podobnie jest w naszych relacjach z ludźmi. Socjologowie piszą, że to jest ten moment, kiedy z konsumenta tak naprawdę stajemy się przedmiotem konsumpcji. Ten, kto wchodzi w tak zwany wolny związek, jest zarówno konsumentem, bo on konsumuje tę drugą osobę, jak i jest też dla tej osoby przedmiotem konsumpcji. Jesteśmy więc zarówno konsumentami, jak i przedmiotami konsumpcji.

Wydaje mi się, że warto na przyjaźń popatrzeć w szerszym kontekście zmian społecznych. O prawdziwą przyjaźń trzeba często walczyć, przyjaźń niekoniecznie musi nam dostarczać samych przyjemności, nierzadko wymaga wysiłku, a zatem często będzie pod prąd trendom społecznym. Tyle chciałam powiedzieć tytułem ogólniejszego wstępu.

Ks. Marek Dziewiecki

W swojej wypowiedzi spróbuję się skupić nad tym, co jest istotą przyjaźni, niezależnie od czasu, w którym żyjemy. Charakter tego czasu natomiast sprawia, że albo nam jest trudniej albo łatwiej o tę przyjaźń. To, co powiedziała moja poprzedniczka, wskazuje na fakt, że jest nam dzisiaj trudniej budować dojrzałą przyjaźń niż w minionych dziesięcioleciach. Właśnie dlatego tym ważniejsze jest to, by rozumieć, co stanowi istotę prawdziwej przyjaźni. Im trudniej jest budować przyjaźń ze względu na dominujący typ niskiej kultury, tym lepiej trzeba wiedzieć, na czym polega przyjaźń. Wtedy możemy mieć szansę, żeby w tych nieprzyjaznych dla przyjaźni czasach stawać się przyjaciółmi i znajdować przyjaciół. Dostyc znana jest chyba sentencja na temat przyjaźni, którą wyczytałem gdzieś kilka lat temu i która mnie wzruszyła: „przyjaciół to ktoś, kto wie o mnie wszystko, a mimo to mnie kocha”. Najpierw wzruszyłem się taką definicją przyjaźni, ale po chwili pomyślałem, że skoro się tak bardzo wzruszam, to może coś tutaj nie gra. Sentencja ta dlatego tak wzrusza, że nie jest realistyczna. To nieprawda, że przyjaciel jest kimś, kto wie o mnie wszystko, a mimo to mnie kocha. Dlaczego? Dlatego, że przyjaciel nie wie o mnie wszystkiego. Przyjaciel ani nie chce wiedzieć o mnie wszystkiego, ani nie jest w stanie tego wiedzieć. Nawet gdybym chciał wszystko przyjacielowi powiedzieć, to nie jestem w stanie tego zrobić ze względów czasowych, a po drugie również dlatego, że ja sam nie wiem wszystkiego o sobie.



Ks. Marek Dziewiecki

Jest ogromnie ważne, by wyjaśnić, dlaczego owa wzruszająca definicja jest definicją błędną i groźną dla tych, którzy pragną uczyć się zasad przyjaźni. Otóż jeśli uznalibyśmy powyższą definicję za prawdziwą, to łatwo moglibyśmy wystawiać samych siebie na szantaż ze strony kogoś niedojrzałego, kto uznaje się za naszego przyjaciela. Ktoś taki mógłby powiedzieć: „skoro uważasz mnie za przyjaciela i chcesz być dla mnie przyjacielem, to w takim razie powiedz mi wszystko o sobie, o tym, co przeżywasz, o czym marzysz, czym się martwisz”. Po drugie, uznając za prawdziwą wspomnianą definicję, ja sam mógłbym szantażować samego siebie i przymuszać do zwierzenia się tej drugiej osobie dosłownie ze wszystkiego, skoro przyjaciel to ktoś, kto wie o mnie wszystko i kto ma do tego prawo. Nawet jeśli czegoś nie chciałbym powiedzieć przyjacielowi z różnych względów, to w obliczu takiej definicji przyjaźni musiałbym zmusić siebie do powiedzenia tego, co chciałbym zatrzymać dla siebie.

Dokładne zdefiniowanie przyjaźni okazuje się szczególnie ważne w relacjach dziewczyna – chłopak oraz kobieta – mężczyzna, gdyż dziewczęta i kobiety mają zwykle znacznie bogatszy sposób przeżywania siebie i świata, są znacznie wrażliwsze niż my, mężczyźni. Jeżeli przyjaciel to nie ktoś, kto powinien wiedzieć o mnie

wszystko, to w takim razie jaka jest lepsza i bardziej ścisła definicja przyjaźni? Otóż przyjaciel to ktoś, kto potrafi mnie kochać w każdej sytuacji, niezależnie od tego, czego się o mnie dowie. Warto od razu dodać, że przyjaciel potrafi mnie kochać za każdą cenę, w skrajnych sytuacjach potrafi oddać za mnie nawet życie. Potrafi kochać mnie tak mocno i wiernie niezależnie od tego, czego się o mnie dowie. Gdy dowie się czegoś negatywnego o mnie – z moich zwierzeń, z obserwacji mego zachowania czy z relacji kogoś innego, to mnie wspiera, mobilizuje do rozwoju, do pokonania słabości, do nawrócenia. Nie odwraca się wtedy ode mnie, nie gorszy się, nie wpada w panikę. Pomaga mi wyjść z problemu, ze słabości, z kryzysu. Gdy natomiast dowiaduje się o mnie czegoś dobrego, to ogromnie się cieszy, okazuje mi swoją radość i dumę ze mnie. Pomaga mi trwać na tej dobrej drodze. Pomaga, gdyż wie, że trzeba mieć więcej siły po to, by trwać w dobru, niż by uwalniać się od zła.

Przyjaźń między ludźmi dojrzałymi to najpiękniejszy sposób bycia razem. Dlaczego dodaję, że chodzi tu o ludzi dojrzałych? Otóż dlatego, że przyjaźń to miłość wzajemna, dwustronna. Na przykład, wielu rodziców bardzo mądrze kocha swoje dzieci. Można powiedzieć, że rodzice są przyjaciółmi dla swoich dzieci, ale te dzieci nie są jeszcze przyjaciółmi dla rodziców, zwłaszcza małe dzieci. One są na razie głównie konsumentami miłości rodziców. Na początku jest to miłość w jedną stronę. Przyjaźń tym się różni od innych form miłości, że jest wzajemna. W przyjaźni zakłada się, że obie strony są dla siebie nawzajem przyjaciółmi. Oczywiście owo założenie nie oznacza, że obie strony mają identyczny poziom rozwoju czy cechy osobowości. Nie istnieją przecież dwie identyczne osoby. W przyjaźni jest natomiast tak, że istnieje wyraźna symetria w poziomie dojrzałości. W jednej dziedzinie ja mogę być dojrzałszy od mojego przyjaciela (na przykład w dziedzinie emocjonalnej czy intelektualnej), ale w innej dziedzinie jest odwrotnie (na przykład w dziedzinie wrażliwości czy ofiarności). Przyjaciele uczą się od siebie wzajemnie czegoś pozytywnego i dlatego rosną nie tylko we wzajemnej przyjaźni, ale także w swojej osobistej dojrzałości. Powtórzę, że przyjaźń to najpiękniejszy sposób bycia razem dojrzałych ludzi, w dojrzałej miłości. Właśnie dlatego Jezus powiedział do swoich uczniów, gdy osiągnęli wysoki stopień dojrzałości: „już nie nazywam was sługami, ale przyjaciółmi”. Przyjaźń to

maksimum tego, co można osiągnąć w świecie wzajemnych relacji międzyludzkich. To wyjątkowo dojrzała, wzajemna miłość.

Mateusz Środoń

Nawiążę do pierwszej definicji przyjaźni, o której mówił ksiądz Marek. Osobą, która wie o nas wszystko, a mimo wszystko nas kocha, jest Pan Jezus.

Mówiąc o przyjaźni, chciałbym posłużyć się przykładem. Chcę powiedzieć o przyjaźni do nas Pawła Zająca, siedzącego tutaj obok nas. Może pokrótce powiem o cechach, które trzeba mieć, żeby się przyjaźnić. Od razu muszę zaznaczyć, że cechy te ma Paweł. Nasza przyjaźń zaczęła się w Grecji, gdzie byłem przez rok w szkole pisania ikon. Wcześniej słabo znaliśmy Pawła. Przed samym wyjazdem spotkaliśmy go u rodziców Maryjki i zaprosiliśmy, żeby przyjechał do nas do Grecji. Paweł przyjął nasze zaproszenie i przyjechał. Pamiętam taką sytuację: Paweł, prosto z lotniska, wchodzi do naszego mieszkania, a tam na sztaludze stała ikona. Pracowałem właśnie nad twarzą jednego ze świętych ascetów. Paweł patrzy na nią i mówi: „to jest okropne, strasznie mi się nie podoba; na czarno trzeba to zamalować”. Brzmi to może przerażająco, ale w rzeczywistości Paweł potrafił powiedzieć to tak, że czułem, że jest to szczerze. Właśnie z Pawłem przyjaźń polega na tym, że ma on dar mówienia wprost i nierozważania. W ten sposób powiedziana prawda nie niszczy, ale buduje.



Mateusz Środoń (z mikrofonem)

Druga rzecz, która kojarzy mi się z pierwszym pobytom Pawła u nas w Grecji, to moment, kiedy szliśmy razem na Akropol. Był piękny, słoneczny dzień, jakaś wczesna wiosna. Mieliliśmy z Maryjką pomysły, co mu pokażemy tego dnia. Idziemy szybkim krokiem, a Paweł idzie spokojnie i często przystaje. My troszkę nerwowo patrzymy na zegarki. A on: „zobaczcie, tu jest tak pięknie”. My patrzymy, rzeczywiście. Stoimy i nerwowo myślimy, że nie zdążymy zwiedzić Akropolu. Paweł na to: „nie szkodzi, tu jest pięknie”. On uczył nas takiego zwolnienia. Uczy nas cały czas. W moim przekonaniu Paweł jest bardzo bogaty w człowieczeństwo i tym człowieczeństwem dzieli się z nami, swoimi przyjaciółmi.

Paweł Zając

Ktoś mi kiedyś powiedział: „dlaczego ty wszystkim mówisz to, co o nich myślisz? Nie będziesz miał żadnych przyjaciół, wszyscy się poobracają! To jest straszne”. Ja odpowiedziałem: „tak, masz rację, dlatego ci, których mam za przyjaciół, są prawdziwymi przyjaciółmi. Bo ci, którym to przeszkadzało, to przestali być moim przyjaciółmi. I nawet nie zaczęli. I to jest pewna gwarancja przyjaźni, że się mówi szczerze, a nie pochlebia”. Co innego jest życie towarzyskie, a co innego jest przyjaźń, to trzeba bardzo wyraźnie różnić. Maryjka mówiła, że jak kogoś nie ma na fecebooku, to nie istnieje. Ale to dotyczy życia towarzyskiego. Natomiast przyjaźń jest to coś zupełnie innego. Według mnie przyjaźń to jest zdolność do identyfikacji z drugim człowiekiem. Nie empatii, bo empatia pozwala nam zrozumieć drugiego człowieka, ale wcale nie musimy się z nim identyfikować. W tym też jest, jak ksiądz Marek powiedział, wmieszana miłość. Jeżeli dziecko się przewróci i płacze, a matka biegnie je podnieść, to ona właściwie robi to dla siebie, ją tak samo boli to, co boli jej dziecko. Ona ratuje swój ból, a nie zdaje sobie sprawy, że jednocześnie ból dziecka. Tak samo jest w przyjaźni, że my się identyfikujemy z przyjacielem. Jego zmartwienia są naszymi zmartwieniami, jego radości są naszymi radościami. My, pomagając przyjacielowi, pomagamy sobie. Nie zdajemy sobie sprawy, że nie ma rozróżnienia, on ma kłopot, to jest mój kłopot i ja muszę ten kłopot rozwiązywać.

Poza tym jest jeszcze jedna sprawa. Do tego trzeba mieć pewną psychikę. Czasami ludzie mówią, że mężczyzna nie może się przy-



Paweł Zając, obok Mateusz Środoń

jaźnić z kobietą, zawsze jest gdzieś jakiś podtekst erotyczny. Nie, dla jednych tak jest, jak mówią, ale dla drugich to nie ma znaczenia. Jedni i drudzy są zupełnie inaczej ukształtowani, to, co dla pewnych ludzi jest oczywiste, dla drugich jest w ogóle nie do zrozumienia.

Chciałbym powiedzieć parę słów o sobie, przedstawić się. Jestem starym kawalerem, jedynakiem, czyli jestem taki samotny teoretycznie. Istnieją jednak cztery rodziny, między innymi tu obecni Maryjka i Mateusz, które uważają mnie za członka swojej rodziny. Więc ja zupełnie nie odczuwam tej samotności. Może stało się tak dlatego, że nie miałem rodzeństwa, a bardzo chciałem je mieć jako dziecko, dlatego „wczepiałem się” w różnych ludzi. Niektórzy odpadali, ale zawsze ktoś zostawał. Z biegiem lat doszlusowywali młodzi. Maryjka i Mateusz nie są moimi najmłodszymi przyjaciółmi. Przyjaźnię się też z małżeństwem, które pobrało się kilka miesięcy temu. Ona ma 26 lat, a jeszcze ma siostrę siedemnastoletnią, która ciągle do mnie mailuje, bo mieszkamy daleko. I przedstawia mi wszystkie swoje problemy. Ja jej jak umiem, pomagam. To jest przyjaźń. Ona teraz u mnie była, miała pracowite popołudnie. Planowała powrót do Poznania wieczorem, kiedy jest straszny tłok, no to wstałem rano, poszedłem kupić jej bilet, żeby miała miejscówkę. Stwierdziłem, że właściwie nie robię tego tylko dla niej, ja to robię również dla siebie, bo bym nie wytrzymał cały

dzień myśleć, że ona będzie na stojąco jechała z Warszawy do Poznania. To jest pewna cecha charakteru.

Mam znajomego, który ma żonę, piątkę dzieci i nie wie, ile ma wnuków. Z żoną jest „rozstany”, bo ani rozwiedziony, ani w separacji. Dzieci widuje bardzo rzadko, mieszkają w innych krajach. On mieszka w Polsce. Jest zupełnie sam, jeszcze ma siostry i brata, czyli teoretycznie powinien być powiązany wieloma więzami z innymi ludźmi. Natomiast jest sam. Nawiązaliśmy kontakt, bo mi jest go strasznie żal. Odwiedzam go bez powodu. On nie jest moim przyjacielem, bo się z nim nie identyfikuję. Uważam, że wszystko to, co zrobił lub czego nie zrobił, to przez brak umiejętności identyfikowania się z żoną, z dziećmi czy z wnukami.

Ktoś mi powiedział: „jak mówisz o przyjaźni, to musisz powiedzieć o wierności”. Myślę, że problem wierności podobny jest jak w mechanice śrubki i nakrętki. Nie ma dobrych śrubek, nie ma dobrych nakrętek, jest tylko problem, żeby do siebie pasowały. Jeżeli przyjaciele do siebie pasują, to zostaną na całe życie. Jeżeli do siebie nie pasują, to nie jest przyjaźń, tylko jakiś przypadek, iluzoryczna przyjaźń, która potem się rozpada. Nie trzeba mieć pretensji do nikogo, że nie jest wierny, jest tylko nieodpasowany.

Ks. Adam Zelga

Kilkanaście lat temu, z dnia na dzień, dowiedziałem się, że tata ma raka płuc i trzeba go operować. Rozpocząłem pielgrzymkę po Warszawie, aby znaleźć torakochirurga. Wtedy byłem świeżym Warszawiakiem, więc nie bardzo sobie mogłem poradzić. Poruszyłem wszystkie sprężyny, którymi dysponowałem, jednak niczego mi się nie udawało załatwić. Przypomniał mi się wtedy lekarz, z którym znałem się z pielgrzymek na Jasną Górę. Razem chodziliśmy tam z dziesięć razy. Pojechałem do niego. Usiedliśmy, on zrobił kawę, a ja mówię: „Wiesław, słuchaj, taka i taka sprawa, tata musi mieć operację, ja nikogo nie znam”. On na to: „Wiesz, kiedyś byłem na zjeździe chirurgów i tam jedliśmy kolację z torakochirurgiem z okolic Warszawy, i on powiedział, że jeżeli będzie kiedyś jakaś potrzeba pomocy, to żeby przyjechać do niego”. Następnego dnia ten lekarz z pielgrzymki wziął bezpłatny urlop, pojechał ze mną i załatwiliśmy ten szpital. Oto piękne świadectwa przyjaźni.

Ks. Marek Dziewiecki

Nawiążę teraz bezpośrednio do tytułu naszego spotkania, który brzmi: Jakie cechy powinien mieć przyjaciel? Jakie cechy powinien mieć każdy z nas, jeśli chce stawać się przyjacielem dla innych? Najpierw kilka krótkich sentencji mojego autorstwa na temat, co to znaczy być przyjacielem. Oto niektóre z moich osobistych definicji: przyjaciel to widzialna wersja Anioła Stróża. Albo: przyjaciel to ktoś, kto nie opuści mnie nawet wtedy, gdy ja opuszczę samego siebie. Albo też: przyjaciel to ktoś, dla kogo moje przeżycia są ważniejsze, a przynajmniej równie ważne, jak jego własne. Przyjaciel to sejf, który mnie chroni przed światem, ale nie zasłaniając mnie przed nim fizycznie, lecz umacniając mnie tak bardzo, że nie boję się wyjść na spotkanie z twardą rzeczywistością. Przyjaciel to ktoś, przy kim w żadnej sytuacji nie boję się żyć.

Sejfy chronią skarb przez to, że go zamykają, fizycznie odgradzają, oddzielają od otoczenia. Tymczasem przyjaciel chroni mnie nie w taki sposób, że zamyka mnie w sobie czy że zasłania mnie przed światem. Przeciwnie, swoją mądrą obecnością, dojrzałą miłością, swoimi trafnie dobranymi słowami i czynami tak bardzo mnie umacnia, że mogę wyjść na spotkanie z otaczającym światem i dobrze sobie poradzić. Otóż żeby mieć takiego przyjaciela, żeby ktoś mógłby być dla mnie takim przyjacielem, to trzeba być człowiekiem z najwyższym znakiem jakości, z Bożym znakiem jakości! To znaczy, że trzeba być człowiekiem o bardzo bogatym człowieczeństwie i wysokim stopniu rozwoju. Przyjaźń wymaga od ludzi największego poczucia własnej godności, największej dojrzałości, największej bezinteresowności, największej siły, równowagi psychicznej i emocjonalnej, pięknych i mądrych wartości.

Przyjaciel to z definicji człowiek prawy, kochający, uczciwy i wierny. Ko może być aż tak dojrzały? Szukając odpowiedzi na to pytanie w perspektywie Biblii, gdyż antropologia biblijna jest najbardziej realistyczna i całościowa, stwierdzamy, że jest to ktoś, kto odkrył, że jest kochany przez Boga, że jest kochany nieodwołalnie i mądrze. Bóg nas kocha bezwarunkowo, ale nas nie rozpieszcza. Nie myli miłością z naiwnością, z tolerancją czy akceptacją. Gdy błądzimy, wtedy Bóg nie przeszkadza nam ponosić konsekwencji naszych błędów czy słabości. Bóg kocha mnie w każdej sytuacji. Gdy czynię coś szlachetnego, wtedy wspiera mnie i cieszy się, a gdy



Ks. Marek Dziewiecki

błądzą, wtedy nie przeszkadza mi ponosić konsekwencji moich błędów. Dzięki takiej mądrej miłości mam szansę na to, by się zastanowić i by się zmieniać. Przyjaciół to ktoś, kto odkrył, że jego pierwszym i niezawodnym przyjacielem jest Bóg. To przyjaciel, który daje mi prawdziwą wolność. Mogę Go nawet śmiertelnie skrzywdzić, gdy przyjdzie do mnie w ludzkiej naturze, ale nie jestem w stanie zabronić Mu, by mnie kochał. Nie jestem w stanie zakazać Bogu miłości do mnie. Mogę wyrzucić Boga z mojego życia, mogę Boga zabić w moim życiu, a On i tak pozostanie ze mną, gdyż jest takim przyjacielem, dla którego jestem bezcennym dzieckiem. Boga stać na przyjaźń zupełnie bezinteresowną i o tym wiem. Wiem też, że Bóg jest takim przyjacielem, który potrafi połączyć miłość szalenie ofiarną z miłością niezwykle mądrą, czyli okazywaną w sposób dostosowany do mojego zachowania tu i teraz. Przyjaciel to, po pierwsze, ktoś, kto wie, że ma przyjaciela większego od siebie. Wie też, że jeśli kiedyś sam znajdzie się w kryzysie i będzie mu trudno być dla mnie przyjacielem, to pójdzie do Boga o pomoc. Po drugie, przyjaciel to ktoś, kto uczy się miłości od Boga, czyli od swojego najlepszego przyjaciela.

Przyjaciel jest ambasadorem Boga dla mnie. On uczy mnie kochać tak, jak Bóg jego i mnie pierwszy pokochał. Przyjaciel to, po trzecie, ktoś, kto się nieustannie rozwija. Skoro Bóg nas stworzył na swoje podobieństwo, to nigdy nie będę tak podobny do Niego, żeby nie móc być podobny jeszcze bardziej. W obliczu Boga i w odniesieniu do Jego miłości wszyscy jesteśmy w wieku rozwojowym.

Przyjaciół to ktoś, kto żyje w obecności Boga, kto się rozwija i kto chce się rozwijać bez granic. Po czwarte, przyjaciel wie, że jest bezcenny, że jest skarbem w oczach Boga i sam siebie ceni, szanuje swoją godność i nie ukrywa tego. Jest kochany przez Boga nad życie i w związku z tym wie, że Bóg nie traktuje go jak swojej własności, którą dowolnie zarządza, lecz jak drogocenne dziecko, które rozumie, kocha i uczy kochać. Przyjaciel wie, że mnie kocha, ale wie też, że nie jestem jego własnością. Także w przyjaźni powinniśmy strzec własnej wolności i autonomii. Przyjaciel zna swoją wartość i dlatego potrafi dostrzec oraz szanować moją wartość – także wtedy, gdy odkrywa moje słabości i ograniczenia, czy też swoje słabości i ograniczenia. Przyjaciel wie, co może, a czego nigdy nie powinien mi ofiarować. Może mi ofiarować swój czas, siły, zdrowie, a w skrajnych przypadkach nawet życie doczesne. Tak uczynił wielki przyjaciel robotników – ksiądz Jerzy Popiełuszko.

Powtórzmy: przyjaciel może mi ofiarować czas, siły i życie doczesne. Natomiast dojrzały przyjaciel nie ofiaruje mi nigdy tego, co pozbawiłoby go godności i zdolności do tego, by mógł kochać. Gdyby nawet ktoś kochał mnie dosłownie nad życie, to – jeśli jest człowiekiem dojrzałym – nie ofiaruje mi swojej wolności, nie poświęci mi swojej czystości, swojej wiary, swojej świętości, swojego trwania na drodze do zbawienia. Tego mi nie ofiaruje, ponieważ szanuje swoją godność i kocha samego siebie dojrzałe. Nie roztrwoni swojej godności i tego, co w nim najcenniejsze i co pozwala mu kochać. Gdyby chłopak dziewczynie lub dziewczyna chłopakowi ofiarował czy ofiarowała tej drugiej osobie swoją czystość, godność, wolność, świętość, swoje trwanie na drodze zbawienia, to w tym momencie ktoś taki stałby się sam zraniony, popadłby w kryzys, nie byłby już w stanie pozostać dla mnie przyjacielem. Jeżeli ty, niedojrzały przyjacielu, żądasz ode mnie czegoś niedojrzałego, a ja bym ci to dał, to w tym momencie przestaję być twoim przyjacielem, w ogóle przestaję być zdolnym do tego, by kochać. Sam jestem w takiej sytuacji poraniony, potrzebuję pomocy, wszystkiego mi się w życiu odechciewa. Zwłaszcza to widać u kobiet. Zatem przyjaciel to ktoś, kto ceni swoją godność i wie, że nie wolno mu próbować kochać czy być przyjacielem za cenę własnej godności czy własnego zbawienia.

Po piąte, przyjaciel to ktoś mądry, rozumny. To ktoś, kto odróżnia dobro od zła – co jest nieraz trudne. Jeżeli jednak ma ewange-

liczną hierarchię wartości i jest mądry, ma inteligencję moralną, to sobie poradzi. Po szóste, przyjaciel to ktoś wolny od uzależnień, czyli to ktoś obliczalny w swoich zachowaniach w odniesieniu do samego siebie i do innych ludzi. Po siódme, przyjaciel ma świadomość zranienia. On też jest dzieckiem grzechu pierwotnego i ponosi konsekwencje tegoż grzechu. W związku z tym to ktoś czujny i ktoś, kto ciągle wymaga od siebie nawrócenia. Im bardziej kocha, im bardziej jest przyjacielem dla mnie i dla siebie, tym bardziej ma świadomość, że ma szansę stawać się jeszcze większym przyjacielem. Ostatnią, ósmą cechą przyjaciela jest to, iż ma świadomość, że jest powołany do świętości. Prawdziwy przyjaciel chce być świętym i chce pomagać mi w dorastaniu do świętości. On wie, że do Nieba idzie się parami.

Podsumujmy, przyjaciel to ktoś, kto wie, że jest zaprzyjaźniony z Bogiem, że Bóg jest jego największym przyjacielem. To ktoś, kto się uczy przyjaźni do mnie od samego Boga. Po trzecie, to ktoś, kto nieustannie się rozwija, gdyż wie, że dzisiejszy rozwój wystarczy mu najwyżej na dzisiaj, ale nie na jutro. Po czwarte, to ktoś świadomy swojej godności, kto nawet przyjacielowi nie poświęci swojej wolności czy czystości, gdyż gdyby coś takiego poświęcił, to nie byłby już zdolny do przyjaźni. Po piąte, przyjaciel to ktoś niezwykle mądry, zwłaszcza mądry w odróżnianiu dobra od zła. Po szóste, to ktoś wolny, nieuzależniony. Po siódme, to ktoś świadomy swoich zranień, słabości, grzeszności i dlatego nieustannie pracuje nad swoim nawróceniem. Po ósme, to ktoś, kto dąży do świętości.

Po opisaniu wymienionych cech, do których ja też dążę, podam krótkie świadectwo o jednej z moich przyjaźni. Mam sporą grupkę dobrych przyjaciół, jestem zaprzyjaźniony z kilkoma rodzinami, których członkowie są dla mnie co najmniej tak samo ważni, jak moja własna rodzina. Do moich przyjaciół jestem gotów w każdej chwili jechać choćby na koniec świata, jeśli by zawołali o pomoc. Wspomnę tu o mojej przyjaźni z pewnym księdzem, który nazywa się Don Francesco Boesso i jest proboszczem w parafii koło Rovigo, w północnych Włoszech. Poznałem go na drugim roku moich rzymskich studiów. Pojechałem wtedy odwiedzić pewną siostrę zakonną, która ze mną studiowała, gdyż jej tata był ciężko chory. Poprosiłem ją, by spytała swojego proboszcza o to, czy mogę u niego zanoć. Okazało się, że proboszcz się z tego wręcz cieszy, bo jest

sam na parafii i liczy na moją pomoc w najbliższą niedzielę, gdy w jego parafii będzie I Komunia Święta. Z dworca kolejowego odebrał mnie brat owej zakonnicy i zawiózł mnie do szpitala, do swego ciężko chorego taty. Wieczorem zaprowadził mnie na plebanię. Zadzwoniłem do drzwi. Wyszedł ktoś o takiej powierzchowności, że już w progu mnie przestraszył. Był to proboszcz, lat około 45, nieco podobny do Frankensteina z filmów grozy. Popatrzył na mnie srogo, więc już w drzwiach pomyślałem: „Boże, zaraz stąd wyjadę”. Don Francesco zaprowadził mnie do przygotowanego dla mnie pokoju, a w czasie kolacji oznajmił mi, że jutro jedną Mszę mam odprawić, a w czasie drugiej i trzeciej mam spowiadać. To była ostatnia niedziela Adwentu. W czasie kolacji oglądaliśmy dziennik telewizyjny. Podano między innymi wiadomość o kolejnych porwaniach. Był to grudzień 1983 roku, kiedy to porwania we Włoszech były niemal codziennością. A ksiądz Francesco: „ja bym nigdy nie zapłacił okupu, gdyby ktoś mi porwał kogoś z moich bliskich”. Odpowiedziałem: „a ja bym oddał wszystko, żeby tylko ratować tych, których kocham”. Wydawało mi się, że zupełnie nie pasuje do don Francesco i że różni nas niemal wszystko.

A jak się potoczyły dalej nasze losy? Otóż dziś jesteśmy ogromnie zaprzyjaźnieni. Don Francesco był już wielokrotnie w Polsce, a ja regularnie bywam u niego. W pewnym momencie zachwyił mnie wręcz sobą. Przekonałem się, że pod niezbyt miłą i niezbyt pociągającą powierzchownością kryje się człowiek niezwykle głęboki, szlachetności, wielkiego serca, miłości, delikatności, czułości. Wiedział, że jestem z Polski i że mam trudności, by płacić za studia. Gdy odjeżdżałem, dał mi prezent. Była to suma pieniędzy wystarczająca na to, bym mógł opłacić kolejny semestr. Wręczył mi pieniądze bez koperty i powiedział: „wiesz, że jestem niewychowany”. On nie przejmował się drobiazgami. Stopniowo zacząłem poznawać go coraz lepiej. Widziałem, że bardzo kocha swoich parafian, że jest dla nich od świtu do nocy. Kupił nawet furgonetkę po to, aby przywozić i odwozić dzieci chodzące do przedszkola parafialnego. Mówił mi: „kiedy poznam te dzieci i kiedy się z nimi zaprzyjaźnię, jeśli nie przez te dwa, trzy lata, gdy chodzą do przedszkola?”. Okazało się, że don Francesco nosi w sobie niezwykle piękny świat wewnętrzny. Promieniuje z niego szlachetność, delikatność, wierność w przyjaźni. Mało kto z parafian wiedział o tym. Musiał być ktoś blisko niego, żeby się nim zachwyć.

Opowiem jeszcze jeden epizod. Kilka lat temu byłem u don Francesco w czasie świąt Wielkanocnych. W telewizji pokazano wtedy w Wielkim Tygodniu film o Marii Goretti. To była premiera telewizyjna tego filmu. Ku mojemu zdumieniu don Francesco, którego uważałem za największego twardziela, płakał w czasie tego filmu jeszcze bardziej niż ja. Gdy jest mi z jakiegoś powodu ciężko, gdy jestem bardzo zmęczony, gdy coś po nocach muszę pisać, gdy nie mam chwili wytchnienia dla siebie, prowadząc rozmowy czy rekolekcje, to sobie myślę, że don Francesco od świtu do nocy haruje i już odzyskuje radość życia. Przyjaciół to ktoś, kto dodaje mi siłę i entuzjazmu już przez sam fakt, że istnieje.

Maria Środoń

Tak jak mówiłam na początku, przyjaźń nie zawsze jest przyjemnością. Wydaje mi się, że z przyjaźnią jest podobnie jak z małżeństwem. W pierwszych latach czerpiemy z niego przede wszystkim przyjemność. Podobnie z przyjaźnią. Ale potem pojawia się wysiłek budowania tej relacji. Bardzo często jest to wyzwanie w sytuacji, kiedy nasz przyjaciel się zmienia albo robi rzeczy, których my nie akceptujemy. To są bardzo trudne sytuacje, kiedy musimy towarzyszyć komuś, musimy lub chcemy, bo czujemy się zobowiązani jako jego przyjaciel do wierności, do nieporzucania go, gdy błądzi. W tym świetle pięknym dla mnie świadectwem przyjaźni była reakcja środowiska „Więzi” w sytuacji, kiedy okazało się, że ich asystent kościelny i bardzo bliski przyjaciel ks. Czajkowski był współpracownikiem SB. Nie zostawili go samego w tej sytuacji. My, jako otoczenie, często oczekujemy potępienia grzechu i zostawienia winnego samego sobie i przez to pokazanie otoczeniu, że nie akceptujemy jakiegoś zachowania. Tymczasem wydaje mi się, że rolą przyjaciela w takiej sytuacji jest powiedzenie: „ja tego nie akceptuję, ale ty jesteś moim przyjacielem i ja czuję się za ciebie odpowiedzialny”. Środowisko „Więzi” w ten sposób się zachowało. Wzięli ks. Czajkowskiego na rodzaj rekolekcji, gdzie codziennie odprawiał dla nich Mszę, gdzie całymi godzinami rozmawiali z nim o tym, co się stało, próbując mu pomóc zaakceptować to, co on próbował wyprzeć z pamięci. To są bardzo trudne sytuacje. To jest taka cecha, którą bym chciała aby miał mój przyjaciel – wierność, a przy tym też szczerłość, pozwalającą na powiedzenie: „ja nie akcep-



Maria Środoń, obok Paweł Zając

tuję twojego zachowania, nie akceptuję tego, że np. zostawiłeś żonę, ale jesteś moim przyjacielem i ja nie chcę zrywać z tobą kontaktów, tylko chcę ci pomóc, gdy się w życiu pogubiłeś”. To jest trudne, jest nam łatwiej w takiej sytuacji albo udawać, że wszystko jest w porządku, albo zupełnie zerwać stosunki.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Od jakiegoś czasu coraz więcej osób bierze udział w naszych Konwersatoriach drogą korespondencyjną. Wczoraj dostałam bardzo interesującą wypowiedź z Australii od nauczycielki geografii, matematyki i języka angielskiego na temat przyjaźni. Napisała o wzroście przyjaźni w małżeństwie. Małżeństwo jest polem dla przyjaźni. Czytając jej świadectwo, pomyślałam sobie, że w tej chwili otaczają nas zewsząd informacje o rozwodach i rozpadzie małżeństw. Z drugiej strony, mamy co rusz zaproszenia na jubileusze pięćdziesięciu lat małżeństwa. My tych ludzi znamy, wiemy, że to są szczęśliwe małżeństwa, które te pięćdziesiąt lat przeżyły wspólnie.

Na czym to polega? Właśnie na przyjaźni. Nasza korespondentka z Australii właśnie o tym pisze, że wraz z latami małżeństwa wzrasta przyjaźń z wszystkim cechami, o których mówił ksiądz Marek. Przyjaźń, która jest formą najwyższej sympatii do tego drugiego człowieka, największej miłości. Pomyślałam sobie, że właściwie trzeba by wydać książkę zawierającą wspomnienia małżeństw, które mają czterdzieści lat lub więcej na swoim koncie. Dlaczego im się to udało? Jak oni to zrobili, że przeżyli wspólnie tyle lat? Może wspomnienia takie pozwolą wyjść z kryzysów innym małżeństwom i pokażą im drogę uratowania swojego małżeństwa.

Anna Banach

Jestem małżonką swojego męża od ponad 35 lat, więc już mam pewne doświadczenie. Nasze małżeństwo zaczęło się właśnie od przyjaźni. Było zafascynowanie wspólnie spędzonym czasem, sprawy związane z wychowywaniem dzieci, pracą zawodową, ale cały czas w tle była przyjaźń. Nasze małżeństwo miało swoje wzloty i upadki, lepiej lub gorzej nam się momentami wiodło, ale zawsze byliśmy razem i zawsze umieliśmy się zrozumieć i z najgorszych



Anna Banach

opresji wychodziliśmy obronną ręką. Bardzo jestem szczęśliwa w naszym małżeństwie i jestem przekonana, że będziemy razem do końca naszych dni. To dzięki przyjaźni, która daje zrozumienie i siłę. Dlaczego tak bywa, że małżeństwa się rozchodzą? Ja myślę, że jedną z przyczyn jest brak porozumienia na płaszczyźnie przyjacielskiej i koleżeńskiej. Zaczyna się od „konsumpcji” tej drugiej osoby, o czym mówiła pani Maria. Ta konsumpcja może mieć różny charakter. Może być związana z tym, że jeden od drugiego czerpie swoją siłę. Może to być konsumpcja czysto fizyczna, może być materialna, może być każda inna. Jak się ta konsumpcja kończy, to kończy się to, co jest najistotniejsze w takich związkach i zostaje pustka. Może zabrakło czasu lub chęci do tego, żeby stworzyć inną płaszczyznę, płaszczyznę głębokiej przyjaźni. Wierzę w to, że jeżeli dwoje ludzi nie tylko się kocha, ale też ma ze sobą relacje przyjacielskie, to wyjdą z najgorszej opresji. To jest jedna kwestia.

Natomiast druga kwestia, do której chciałam przy okazji nawiązać, to idealne cechy przyjaźni, o których mówił ksiądz. Pomyślałam wtedy, że ja już nigdy taka nie będę, ja taka nigdy nie byłam i nie znam takich ludzi, więc jest to chyba czysta teoria. Ja myślę, że to, o czym ksiądz mówił, to jest przyjaźń najwyższych lotów, w praktyce mało znana. Dlatego chcę powiedzieć: nie szukajmy ludzi idealnych wokół siebie, popatrzmy na ludzi z przychylnością, po przyjacielsku. Postarajmy się zobaczyć i docenić ich życzliwość w stosunku do nas, ich otwartość. Nie szukajmy przyjaciół idealnych, bo pewnie w takim codziennym życiu ich nie znajdziemy. Popatrzmy, jak dużo jest przyjaźni wśród młodzieży, wśród dorosłych, ludzi wykształconych i ludzi bardzo prostych, którzy nie myślą o przyjaźni najwyższego lotu. Oni po prostu z serca dają. Dla mnie przyjaźń jest tym, co jest dawane z serca na różnym poziomie, na poziomie intelektualisty, ale również na poziomie prostego człowieka, który pomoże drugiemu w potrzebie, nie tylko swojemu przyjacielowi, ale też innemu potrzebującemu. Na tej bazie nawiązują się nowe relacje, które przekształcają się w przyjaźń. Rozejrzyjmy się wokół siebie i popatrzmy na potencjalnych przyjaciół od tej prostej, codziennej strony.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Współprowadzimy od lat trzydziestu spotkania – rekolekcje dla małżeństw i dla narzeczonych. Uderzyło nas kiedyś świadectwo

jednej z par narzeczeńskich. Dotyczyło konieczności budowania przyjaźni od samego początku w małżeństwie. Narzeczeni mówili nam, że myślą o ślubie, ale nie wiedzą, gdzie będą mieszkali. Rodzice narzeczonej mają dom i rodzice narzeczonego też mają dom. Jedni i drudzy marzą, żeby młoda para zamieszkała z nimi i narzeczeni wiedzą, że oba małżeństwa rodziców rozejdą się, jeżeli oni nie zamieszkają z nimi. Całe ich małżeńskie życie było nastawione na dzieci, a nie na siebie, na budowanie relacji między sobą.

My mówiliśmy narzeczonemu, że nie ponoszą odpowiedzialności za swoich rodziców, równocześnie zwracaliśmy im uwagę, aby od samego początku małżeństwa budowali przyjaźń między sobą, nie tylko relacje swoje do dzieci, bo wtedy jak dzieci wyjdą z domu, to zostanie pustka. Zostaną dwie obce sobie osoby.

Urszula Kossowska-Cezak

Z ogromnym zainteresowaniem wysłuchałam wystąpienia pani Marii, w którym nam tak pięknie zarysowała, jak w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat następuje ewolucja relacji międzyludzkich. Chciałam dać dwa przykłady, które ilustrują, jak ta zdolność do przyjaźni zmienia się z latami. Otóż przez kilka lat tutaj, w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin prowadziłam zajęcia na wydziale turystyki i były to zajęcia troszkę nietypowe. Były one nazwane poprawnością językową; chodziło w nich o to, żeby studentów zmusić do formułowania swoich myśli na piśmie, co naprawdę z roku na rok przychodzi coraz gorzej i coraz gorszym językiem. W ramach tych zajęć dawałam im do pisania małe wypracowania na 100 słów, to jest mniej więcej kartka z zeszytu. Między innymi każdego roku dawałam wypracowanie na temat „Mój najlepszy przyjaciel”. Jakie to były wypracowania? Dziewczeta zwykle wskazywały na inne dziewczeta, chłopcy na chłopaków, ale wśród tych wypracowań znajdowały się też niezwykle interesujące. Mianowicie, na każdym roku było kilka wypracowań o tym, że moim najlepszym przyjacielem jest moja mama. Znakomicie, że mama jest najlepszym przyjacielem, ale jak się ma lat 20-22 to rzeczą naturalną jest, że pojawia się potrzeba również innych przyjaźni. Tych przyjaźni, jak widać u tych ludzi nie było. Ale to jest jeszcze pół biedy. Proszę państwa, było w wypracowaniu: „Moimi najlepszymi przyjaciółmi są książki i w ogóle nie lubię ludzi”. Było kilka wypraco-



Urszula Kossowska-Cezak (stoi tyłem po prawej stronie)

wań: „Moim najlepszym przyjacielem jest mój pies”. I tu opisywane były uroki tego psa. Szczytowym jednak przegięciem było wypracowanie: „Moim najlepszym przyjacielem jest mój samochód”.

Chciałam też dać przykład ze swojego życia. Maturę zdawałam już 55,5 lat temu. W zeszłym roku święciliśmy 55-lecie matury. Został zorganizowany uroczysty obiad, na którym spotkały się dwie równoległe klasy. Było nas ponad 30 pań (bo szkoła była żeńska) i relacje między nami były tak żywe, jak byśmy rozstały się poprzedniego dnia. Moja klasa przez 55 lat co roku spotyka się na „andrzejkach” i zawsze przychodzi kilkanaście osób. Mamy piękny zeszyt, w którym są wpisywane nazwiska mężów, imiona dzieci. Teraz już są wpisywane imiona wnuków i, niestety, w niektórych przypadkach już data śmierci. Na pogrzebach spotyka się nas też duża grupa. Może ktoś powiedzieć, że niekoniecznie jest to przyjaźń, może jest to tylko dobra znajomość. Ale tym niemniej jest to coś, co naprawdę sobie bardzo cenimy.

Jak się spotykamy z kolegami ze studiów albo z tymi kilka lat ode mnie młodszymi, z którymi pracuję razem w jednym zakładzie na Uniwersytecie, to ciągle mamy wiele wspólnych wspomnień i przeżyć z wyjazdów terenowych. A teraz, jak mam do czynienia ze studentami na specjalizacji, to oni nawet nie wszyscy wiedzą na-

wzajem, jak się nazywają. Uważam, że jest to niesłychanie smutne. Wydaje mi się, że potrzeba przyjaźni w człowieku zawsze tkwi i chyba człowiek nigdy się jej nie wyzbędzie. Jeżeli mamy przyjaciół, to z całą pewnością powinniśmy to sobie cenić.

Maria Środoń

Chciałabym powiedzieć na temat relacji rodziców z dziećmi. Jest taka pani profesor Hanna Świada-Zięba, która od wojny bada kolejne pokolenia młodzieży, więc ma szerokie, przekrojowe spojrzenie. Od kilku lat zaznacza się pewien fenomen, nie obserwowany wcześniej, który polega na tym, że mamy do czynienia z pierwszymi pokoleniami, które nie wchodzi w konflikt pokoleń z rodzicami. Każde pokolenie, jak mówi pani profesor, ma taki temat dyżurny, o którym mówi w wywiadach czy w ankietach. Jak się rozmawiało kiedyś z młodzieżą, to tematem dyżurnym był konflikt z rodzicami, że rodzice są straszni. Dzisiaj młodzież mówi, że rodzice są fajni, że rodzice są ich przyjaciółmi. Właśnie to jest zasadnicza różnica w stosunku do wcześniejszego pokolenia (teraz tematem dyżurnym stały się pieniądze, odniesienie do nich – czy podporządkowują życie sukcesowi finansowemu, czy wręcz odwrotnie – to jest taki temat, przez który młodzież się definiuje). Brak



Maria Środoń obok ks. Adam Zelga

konfliktu pokoleń z jednej strony brzmi optymistycznie, z drugiej jednak jest niepokojący, bo psychologicznie konflikt pokoleń może mieć rolę takiego „odcinania pępownicy”. Jest uciążliwy dla rodziców, ale powoduje, że dziecko określa swoją własną tożsamość, granice własnej niezależności i intymności.

Obecnie sama obserwuję wśród trochę starszych znajomych albo wśród naszych rówieśników, którzy mieli wcześniej dzieci, że panuje znaczący stopień ingerencji rodziców w życie ich dzieci. Jak dzieci w podstawówce kłócą się ze sobą, to już tego samego dnia po południu matki omawiają te konflikty przez telefon, przywiązując do tego znaczną wagę. Nie rozumieją, że konflikt dziecka nie jest taki sam w swoim charakterze jak konflikty dorosłego. Dziecko dzisiaj pokłóci się z koleżanką, a następnego dnia będzie z nią w najlepszej przyjaźni.

Jeśli zaś chodzi o przyjaźnie w szkole, to wiele osób, które mają dzieci w gimnazjum lub w liceum, mówi, że jak się wejdzie na przerwę do szkoły, to widać dzieci, które nie rozmawiają ze sobą, tak jak to było kiedyś, ale stoją pojedynczo pod ścianami, trzymają komórki, wysyłają sms-y lub na nich grają. Nie budują więzi koleżeńskich.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Na szczęście nie jest to zjawisko powszechne. Cała piątka naszych wnuków przeszła przez Szkoły Przymierza Rodzin i, mimo że uczą się już w innych szkołach czy są na studiach, mają wszyscy szerokie grona przyjaciół wywodzących się z „przymierzowych” kolegów.

Barbara Sielczak

Mam 54 lata i szesnastoletniego syna, więc tematy poruszone tutaj są mi bardzo bliskie i ogromnie aktualne. Odniosę się do wypowiedzi pani Marii. Mój syn jest bardzo barwną postacią, równocześnie dobrze ułożonym dzieckiem. To jest dziecko późnego rodzicielstwa, wymodlone u Maryi, wymodlone, bo choruję przewlekle na chorobę, przy której nie rodzi się dzieci. Dostałam tę łaskę, ale najpierw musiałam dostać krzyż, który niosę i bardzo dziękuję codziennie Maryi za ten krzyż, bo mam dzięki niemu mojego Jaś-



Barbara Sielczak

ka. Chciałam się odnieść do spraw konfliktów. Te konflikty są, tylko po prostu rodzice są dzisiaj inaczej do nich przygotowani dzięki wykładom, dzięki pismom, literaturze, również dzięki internetowi i wymianie zdań między rodzicami. To nie jest tak, że młodzież jest niekonfliktowa i że oni wypierają z siebie ten konflikt czy też my nie chcemy go widzieć. On jest, tylko staram się przygotować do tego konfliktu. Wiem, że on ma 16 lat, że się w nim bardzo dużo dzieje, że on ma metr dziewięćdziesiąt, że jeszcze rośnie, że muszę spełnić wiele jego oczekiwań i czasem przyjąć „boksy”.

Na macierzyństwo czekałam 13 lat, więc na wiele spraw patrzę inaczej niż matki, które ominęło to bolesne doświadczenie. Chciałam bardzo podziękować księdzu, ogromnie się utożsamiam ze wszystkim, co ksiądz przepięknie mówił. To był balsam dla mojego serca, dla mojej duszy. W mojej kuchni wisi oprawiona teza: życie to łąka, której barw dodają przyjaciele.

Elżbieta Pierścionek

Miałam w życiu dużo szczęścia, że trafiałam na osoby, które okazywały się godne przyjaźni. Do dziś mam dwie przyjaciółki z lat szkolnych, z którymi przyjaźnimy się cały czas. Trwa to już ponad 50 lat. Jakoś tak się ułożyło, że wszystkie trzy mamy mężów,

nie zazdrościmy sobie, nie plotkujemy na nich, jesteśmy z nich dumne, każda na swój sposób. Czerpiemy z siebie, jesteśmy dla siebie wsparciem, dajemy sobie dużo. Mamy dla siebie czas. Uważam, że przyjaźń głównie polega na tym, żeby nie odmawiać przyjaciółce czasu. To nie znaczy, że muszę godzinami z nią plotkować, ale wtedy, kiedy zadzwoni, zestawić patelnię z ognia i przynajmniej przez 3 minuty posłuchać, o co chodzi. Dłuższą rozmowę odłożyć na potem, jeśli można, a jeżeli nie, to poświęcić te 10 minut. Nigdy nie wysyłamy do siebie sms-ów, zawsze składamy sobie życzenia, albo bezpośrednio albo przez telefon. Spotykamy się rzadko, 2-3 razy w roku i spotykamy się też albo we trzy, albo we dwie, albo one we dwie. Wiemy o tych spotkaniach, nie relacjonujemy później między sobą, o czym rozmawiałyśmy. Po prostu mamy pełne do siebie zaufanie. Ponieważ temat jest wart wiersza, a moje wiersze takie są „kawa na łąkę”, więc pozwolę sobie przeczytać krótki wiersz pt. „U Wedla”. Tam najczęściej się spotykamy, na godzinkę, na półtorej.

U WEDLA

Jestem wdzięczna losowi
za przyjaciółki, które mi dał
odkąd pamiętam
zawsze ku pomocy
Czym sobie zasłużyłam?
Każda oryginalna, stylowa, nobliwa,
serdeczna na każdy czas.
Jak ulał pasują do siebie,
bo tak bardzo pięknie się różnią,
nawet czekoladę zamawiają każda w innym kolorze.
Pierwszą damą jest skoczna zgrabnica
Zawsze – po, w trakcie lub przed – daleką podróżą.
Druga, to z nitek i z kłębków potargany fizyk,
Paralelnie – poeta.
A trzecia – zwyczajnie na szczęście.
Trzy damy z epoki
Pik i Kier i Karo,
nikomu nie dadzą zrobić się na szaro.

Mateusz Środoń

W nawiązaniu do którejś wypowiedzi skojarzyło mi się pytanie, gdzie się zaczyna przyjaźń i co powinno być fundamentem takiej relacji. Kiedy jesteśmy młodzi, spotykamy się z różnymi ludźmi, kogoś zaczynamy lubić, ktoś nas interesuje, z kimś chcemy spędzać czas. Jest w tym też taki poziom estetyczny – np. ideał czarnowłosej kobiety (śmiech). Były takie momenty w moim życiu, kiedy istniało pewne niebezpieczeństwo, że za tym ideałem podąży moja realność, ale Anioł Stróż jakoś czuwał. W przypadku Maryjki natomiast pierwszym momentem, kiedy poczułem, że coś nas łączy, że to jest ktoś naprawdę interesujący, była dyskusja z dosyć ekscentrycznym przyjacielem naszych rodziców, który mieszka w górach nad Ochotnicą. Jest to fizyk, który wyniósł się z Krakowa i zamieszkał samotnie właśnie tam, na szczycie. Ma bardzo specyficzne poglądy. Sympatyczny, ciekawy człowiek, w jego głowie dużo się zawsze działo. Z grupą przyjaciół – młodzieży byliśmy wtedy w sąsiedztwie. Przyszedł do nas i rozpoczęła się rozmowa, która po pewnym czasie zesłała na pojęcie Boga i pytanie, kim jest Bóg. On mówił o swoim przekonaniu, że pogląd, iż Bóg jest miłością, jest nieprecyzyjny – mówił, że Bóg jest przede wszystkim mądrością. Ja się po prostu zagotowałem. Czułem, że to jest wbrew mojemu głębokiemu przekonaniu. Podobną reakcję zobaczyłem u Maryjki. W tej dyskusji, w ferworze oponowania przeciwko poglądom tego starszego, bardzo sympatycznego zresztą człowieka, zobaczyliśmy siebie nawzajem jako mający w tak głębokich kwestiach jakąś wspólną bazę, wspólne myślenie, wspólne postrzeganie rzeczywistości. Dla mnie to było bardzo ważne. Oczywiście była jeszcze długa droga do małżeństwa, ale dziś jestem wdzięczny Opatrzności, że w ten sposób pozwolił nam siebie zobaczyć.

Ks. Marek Dziewiecki

Jedna z moich zaprzyjaźnionych rodzin to rodzina wyjątkowo szczęśliwa, w której mąż kocha żonę, żona męża, dzieci kochają rodziców i siebie wzajemnie. Tam każdy kocha każdego. W rodzinie tej każdy czuje się bezpieczny. Dorosła córka dużo opowiada o tych jej kolegach, z którymi nie jest związana emocjonalnie, mniej zaś mówi o tych, którzy stają się dla niej emocjonalnie ważni. Rodzice tych córek pozostawiają im całkowitą wolność. Tak bardzo je ko-



Ks. Marek Dziewiecki, dalej siedzą Mateusz Środoń, Paweł Zając, Maria Środoń i ks. Adam Zelga

chają i tak świetnie wspierają je w rozwoju, że wiedzą, iż one doskonale poradzą sobie w każdej sytuacji. Niczego im nie doradzają, ani nie sugerują. Jeżeli one o coś wprost pytają, to też nie dają im gotowej odpowiedzi, tylko wyrażają swoje opinie. To jest wielka miłość, połączona z wielką mądrością, zaufaniem, szacunkiem.

Najszczęśliwszy na ziemi jest ten człowiek, dla którego najbliższymi przyjaciółmi są Bóg i współmałżonek. Nawet najbardziej kochający się małżonkowie nie wystarczą sobie nawzajem, gdyż nie są bogami, ale w kontekście relacji międzyludzkich ich przyjaźń jest najsilniejsza, na pierwszym miejscu. Małżeństwo to najwspanialsza przyjaźń, jaka jest możliwa między kobietą i mężczyzną. Małżonkowie potrzebują przyjaźni także z innymi ludźmi, ale każda taka przyjaźń jest mniejsza niż przyjaźń ze współmałżonkiem.

Wzorem przyjaciela jest Jezus, który kocha wszystkich, ale każdemu okazuje miłość w inny sposób, gdyż każdy z nas postępuje inaczej. Gdy Jezus spotykał ludzi szlachetnych, to ich wspierał; gdy spotykał błędzących, to okazywał im miłość twardą, upominał ich i wzywał do nawrócenia. Gdy spotykał krzywdzicieli, to się przed nimi bronił, by nie stali się jeszcze większymi krzywdzicielami, a gdy spotykał ludzi przewrotnych, faryzejskich, to ich pu-

blicznie demaskował. Przyjaciół to ktoś, kto – jak Jezus – ma pełny repertuar sposobów komunikowania miłości: potrafi wspierać, potrafi upominać, potrafi stawiać wymagania. A wszystko to czyni z miłości i z miłością.

Głos z sali

Chciałabym opowiedzieć o przyjaźni, która mnie się zdarzyła. Jest to przyjaźń – a właściwie była, bo już niestety nie żyją – z moimi teściami. Weszłam w tę rodzinę w bardzo trudnym momencie, bo moi teściowie stracili wówczas córkę i być może moja osoba była na początku taką zastępczą córką i na tym się zrodziło przywiązanie do mnie czy przyjaźń. Nieważne, w każdym razie ta przyjaźń rzeczywiście się rozwinęła i trwała do końca ich życia. Najpierw dość wcześnie odeszła teściowa, z którą moje relacje były od początku dużo lepsze niż z teściem. Został nam pod opieką tata, bo to był dla mnie rzeczywiście od początku tata, chociaż niekoniecznie na początku mojego małżeństwa. Jako żona syna mojego teścia byłam w pełni zaakceptowana, ale z latami również z moim teściem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Koniec jego życia to było zamknięcie pięknej przyjaźni między nami. Dla mnie to było wielkie szczęście, że tak rozwinęły się nasze wzajemne stosunki. Bardzo to wpływało na nasze małżeństwo i wpływa w zasadzie do tej pory, mimo że został nam obecnie tylko jeden rodzic – moja mama, która nie jest osobą łatwą charakterologicznie. Przeszła w życiu bardzo dużo, była też w obozie koncentracyjnym. Jest osobą, tak jak wspomniałam, trudną, a mimo to mój mąż potrafi jej okazać bardzo dużo przyjaźni i pomocy, jakby to, co ja mogłam przekazać swoim teściom, w tej chwili wracało do mnie właśnie od mojego męża. Przyjaźń jest ważna nie tylko między małżonkami, ale również jest bardzo cenna z teściami.

Spisała z nagrania Agnieszka Nisztor

Cd. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

„Od fałszywego przyjaciela zachowaj mnie Panie, bo od wroga się sam obronię”

Wydawałoby się, że w tym staropolskim przysłowiu ukryty jest absurd. Bo jeśli fałszywy – to nie można go nazwać przyjacielem. Okazuje się jednak, że można. Wszak fałszywy to niekoniecznie obłudny i przewrotny. Przyjaciół fałszywy to także niewłaściwy, nieodpowiedni, chociaż żeby się o tym przekonać, potrzeba nieraz bardzo dużo czasu.

Przyjaciół prawdziwy to ktoś, kto nie zdradzi, kto pomoże, na kogo można liczyć. To ktoś, kto doradzi, jak postąpić, szczególnie wtedy, kiedy zdarzy nam się stanąć na rozdrożu. Ktoś, kto potrafi spojrzeć bardziej obiektywnie na problem, z jakim się borykamy. Ktoś, kto podsunie, podpowie, wskaże inne rozwiązania, być może takie, o jakich my nawet nie pomyśleliśmy.

Tak powinno być. A jak jest w rzeczywistości? Ileż to razy się zdarza, że właśnie najbardziej zaufany przyjaciel podpowie niekorzystne rozwiązanie, popchnie na złą drogę. Będzie miał wpływ na decyzję, która w negatywny sposób może wpłynąć na całe życie człowieka. Chodzi tu przede wszystkim o decyzje natury etycznej i moralnej. Coś ty, głupia? Nie bądź naiwna. Nie bądź niedzisiejsza! Wszyscy tak robią! Spytaj się. Jest tylko jedno wyjście. Raz podejmij decyzję! Niestety, są to najczęściej decyzje nieodwracalne.

Znam przypadek, kiedy dwudziestoparoletnia dziewczyna zwierzyła się najlepszej przyjaciółce, że jest jeszcze dziewicą. Trochę starsza od niej przyjaciółka bardzo się tym przejęła. Napominała koleżankę, że musi „to” zrobić jak najprędzej, bo późniejszy partner będzie się śmiał, że jej nikt nie chciał. Znam inny również drastyczny przypadek, kiedy młoda dziewczyna zwierzyła się najlepszej przyjaciółce, że jest w ciąży. Tamta dała jej tylko jedną radę – usunąć! Zaprowadziła ją nawet do lekarza, z którego usług sama podobno kilkakrotnie korzystała. Jako rezultat tamtej tragedii ta obecnie dorosła już kobieta ma za sobą nieudane małżeństwo – niestety, nie może mieć dzieci.

Szkodliwa rada niekoniecznie musi być udzielona przez złą wolę takiego przyjaciela. On może naprawdę być przekonany o swojej

racji. Zdarza się, że mając za sobą podobne doświadczenie, podświadomie, albo nieraz nawet celowo, próbuje zaprzyjaźnioną osobę nakłonić do takiego samego postępku. Jest to swojego rodzaju samousprawiedliwienie się. Jeśli wiele osób tak robi – nawet najgroźniejszy występki można uznać za normę. Nic bardziej błędnego! Sidła fałszywego przyjaciela najgroźniejsze są dla ludzi młodych.

Zdobywając samodzielność, dzieci powoli wymykają się spod skrzydeł rodziców. Coraz większy wpływ na ich zachowanie zaczynają mieć koleżanki i koledzy. Spośród nich wyłonią się ci, których wkrótce będą mogli nazwać przyjaciółmi. Oni się liczą. Liczy się ich opinia. Dlatego właśnie dobór odpowiedniego towarzystwa dla dzieci powinien być sprawą największej wagi. Nastolatkowi przyjaciel nie można narzucić. Można jednak i należy zadbać o to, z kim nasze dzieci będą utrzymywać kontakt. Pilnie obserwować, kim są ich koledzy i koleżanki, z kim zaczynają się przyjaźnić. Każda obawa, każdy niepokój ze strony rodziców powinien być okazją do serdecznej rozmowy – i to od najwcześniejszych lat życia dziecka.

Czy wobec tego rodzice mogą być przyjaciółmi swoich dzieci? Psychologowie różnie wypowiadają się na ten temat. Jednak prosta logika podpowiada, że nie. Rola rodziców jest zupełnie inna. Na pewno w relacji rodzice – dzieci powinna obowiązywać życzliwość i szczerłość, nie może jednak być tam partnerstwa, bo obydwie strony nie są równe. W przyjaźni natomiast partnerstwo jest nieodzowne. Rodzice ponadto powinni mieć autorytet, podczas gdy jednostronny autorytet w przyjaźni nie jest wskazany.

Przyjaźń między młodymi ludźmi stwarza solidną podstawę do powstania miłości. Trwa to nieraz długo i zdarza się, że zaprzyjaźnione osoby takiej zmiany nie dostrzegają. Czasami potrzeba jakiegoś znaczącego wydarzenia, aby sobie to uświadomić. Może to być, na przykład, obawa utraty bliskiej osoby, aby dostrzec, że to już nie tylko przyjaźń, ale miłość wyrosła. Może także zaistnieć sytuacja odwrotna. Szalona, młodzieńcza miłość powoli w trakcie trwania małżeństwa przeradza się w przyjaźń. Jest to niezwykle pozytywne zjawisko. Przyjaciele nigdy się nie znudzą w swoim towarzystwie, nigdy jedno drugiego nie zdradzi, nie wykorzysta przyjaźni do egoistycznych celów – i to będzie mogło zapewnić trwałość małżeństwa.

Jeśli tak jest, to dlaczego tyle zawartych z miłości małżeństw ulega rozpadowi? Co stoi na przeszkodzie wytworzeniu się między

małżonkami przyjaźni? I tutaj znowu należałoby wrócić do wychowania. Dzisiejsze społeczeństwo nie zna słowa „naprawić”. A jeszcze nie tak dawno naprawiało się wszystko – nie tylko żelazko, buty u szewca czy wykrecony przez wiatr parasol. Nabijało się tuszem wypisany długopis, łapało się oczka w pończochach, były punkty reperacji radioodbiorników, telewizorów itp. Obecnie sytuacja się zmieniała. Pokolenie naszych dzieci jest pokoleniem wyrzucającym. Nie opłaci się reperować. Nie działa? – wyrzucić i kupić nowe. Na to potrzebne są pieniądze, stają się one nie tylko nieodzowne, ale często leżą u podstawy tworzących się konfliktów, rozpadu przyjaźni i małżeństw.

Przytoczony przykład można zastosować jako analogię do sytuacji życiowych. Jeśli przyjaciel spowszednieje, to zamiast starać się poszukać czegoś wspólnego, aby tę przyjaźń ożywić – lepiej poszukać kogoś nowego. Podobnie jest i w małżeństwie. Wiele osób nie dopuści do wytworzenia się przyjaźni ze współmałżonkiem. Nieprzygotowani do rozwiązywania problemów, znają tylko jedno wyjście – rozjeść się. Usłudni przyjaciele pomogą, podsuną nawet prawnika, który im samym pomógł. Poszukać kogoś nowego. Ale znowu bez żadnej pewności, że już na stałe. Sytuacja najczęściej się powtarza.

Parę dni temu uczestniczyliśmy z mężem w bardzo przyjemnym spotkaniu towarzyskim. Niektóre z kilkudziesięciu osób znałam, ale nie wszystkie. Znalazłam się w grupie pań, które – jak to często bywa – rozmawiały o swoich mężach, nazywanych modnie partnerami. Rozmowa toczyła się po angielsku. „Mój partner jest fantastyczny, tylko ma dziecko ze swojego pierwszego małżeństwa i to często powoduje konflikty” – powiedziała jedna. „Mój ma dwoje z pierwszego i na szczęście nie ma dzieci z drugiego małżeństwa” – dodała druga. „No i co, jak sobie radzisz?” – pytały słuchaczki. „O, lepiej nie mówić” – odpowiedziała zagadnięta. Po dłuższej chwili narzekań na dzieci z pierwszych i drugich małżeństw swoich partnerów, dodałam i ja swoje „trzy grosze”: „Mój mąż ma czworo dzieci z pierwszego małżeństwa”. Zaniemówiły. „I jak sobie radzisz?” „Doskonale” – odpowiedziałam. „To już dorośli ludzie. Uwielbiam ich, a oni mnie cenią, poważają i mam nadzieję, że kochają”. Były zdumione. Dopiero po chwili jedna z pań, która nas dobrze znała, wybuchnęła śmiechem: „Słuchajcie, to jest ich pierwsze małżeństwo. I to są ich dzieci”.

Żart się udał. Nie przypuszczałam jednak, że dalsza rozmowa będzie dotyczyć naszego małżeństwa. To, że jesteśmy blisko 40 lat małżeństwem, było dla większości zdumiewające. Nie macie problemów? Nie znudziliście się sobą? Nie było tak, że chciałybyś się rozejść? – to tylko niektóre z pytań. Większych i mniejszych problemów życie stwarza wiele. To jest nie do uniknięcia, jednak nie muszą one być powodem do rozejścia się. O znudzeniu nie może być mowy. Mąż to mój najlepszy przyjaciel. Oczywiście, nie jest to taka sama przyjaźń, jaka łączyła nas za czasów studenckich, bo i my jesteśmy inni po latach.

Przyjaźń nie jest czymś statycznym. Ona się może i powinna zmieniać wraz z upływem czasu. Powinna rosnać wraz z duchowym wzrostem człowieka. Jeśli chodzi o dobór przyjaciół, to można byłoby tutaj zacytować słowa św. Teresy z Avili: „Wspaniałym środkiem, aby cieszyć się życiem, jest przyjaźń z przyjaciółmi Boga”. A co w przypadku, gdy nasi przyjaciele nie są przyjaciółmi Boga? – chciałoby się zapytać. Wówczas można sobie przypomnieć, że na każdym z nas spoczywa obowiązek pracy misyjnej. Nie na wyspach, nie gdzieś na końcu świata – ale wśród swoich: w pracy, w towarzystwie, czasem nawet w rodzinie. I to nie głoszeniem wielkich słów, ale przykładem.



*Czy przeżyte cierpienie ubogaciło mnie
wewnętrznie?*



Cytaty

BENEDYKT XVI. *Dlaczego cierpimy (Cierpienie jest wpisane w naturę ludzką, fragmenty).*

Możemy starać się ograniczyć cierpienie, walczyć z nim, ale nie możemy go wyeliminować. Właśnie tam, gdzie ludzie, usiłując uniknąć wszelkiego cierpienia, starają się uchylić od wszystkiego, co może powodować ból, tam, gdzie chcą zaoszczędzić sobie wysiłku i bólu związanego z prawdą, miłością, dobrem, staczają się w życie puste, w którym być może już prawie nie ma bólu, ale coraz bardziej dominuje mroczne poczucie braku sensu i zagubienia. Nie unikanie cierpienia ani ucieczka od bólu uzdrawia człowieka, ale zdolność jego akceptacji, dojrzewania w nim, prowadzi do odnajdywania sensu przez zjednoczenie z Chrystusem, który cierpiał z nieskończoną miłością. (...)

(...jest miarą człowieczeństwa, fragmenty)

Zasadniczo miarę człowieczeństwa określa się w odniesieniu do cierpienia i do cierpiącego. Ma to zastosowanie zarówno w przypadku jednostki, jak i społeczeństwa. Społeczeństwo, które nie jest w stanie zaakceptować cierpiących ani im pomóc i mocą współczucia współuczestniczyć w cierpieniu, również duchowo, jest społeczeństwem okrutnym i nieludzkim. Społeczeństwo nie może jednak akceptować cierpiących i wspierać ich w cierpieniu, jeśli nie są do tego zdolne jednostki. Co więcej, jednostka nie może akceptować cierpienia drugiego, jeśli ona sama nie potrafi odnaleźć w cierpieniu sensu, drogi oczyszczenia i dojrzewania, drogi nadziei. Zaakceptować drugiego, który cierpi, oznacza bowiem przyjąć na siebie w jakiś sposób jego cierpienie, tak że staje się ono również moim. (...)

LEO MAASBURG. MATKA TERESA. *Cudowne historie (Cierpienie i śmierć, fragmenty)*

W jednym z filmów Matka Teresa pytana o to, czy możliwe jest zrozumienie cierpienia odpowiada: „Cierpienie samo w sobie nie ma wartości, ale cierpienie, w którym łączymy się z cierpieniem Chrystusa,

ma olbrzymie znaczenie. Cierpienie, które jest zadośćuczynieniem, ofiarą, ma niezwykle głęboki sens. Jeżeli przyjmujemy cierpienie jako dar od Boga, nabiera ono niesłychanie głębokiego znaczenia. Cierpienie takie stanowi naprawdę najpiękniejszy sposób wzrastania w świętości i upodabniania się do Jezusa”.

Owa perspektywa dotyczy nie tylko wielkiego cierpienia, straty, która jest dla nas trudna do zniesienia. Możemy przyjmować ją w całym naszym życiu, ofiarując Bogu trudne drobne sprawy w szkole, pracy i rodzinie. Przykład: Matka Teresa bardzo nie lubiła znajdować się w centrum uwagi. Jeszcze bardziej nie lubiła być fotografowana. Gdy jednak nie dało się tego uniknąć, zawierała - jak sama to określała - „umowę z niebem”. Prosiła, aby za każde zdjęcie, które jej robiono, Jezus uwolnił jedną duszę z czyśćca i przyjął ją do nieba. W ten sposób z uciążliwych sesji zdjęciowych potrafiła uczynić ofiarę. Gdy Matka Teresa składała w jakimś miejscu wizytę, jeszcze na pasie startowym lub w hali przylotów często ustawiano podest dla oczekujących fotoreporterów. Ledwo znajdowała się w zasięgu obiektywów, następowała prawdziwa eksplozja fleszy. Gdy trwała ona bardzo długo, Matka Teresa stwierdzała z filuternym uśmiechem: „Już wystarczy, czyściec jest już pusty”.

Kiedyś z szelmowskim mrugnięciem oznajmiła, że inflacja tak wzrosła, że treść umowy uległa zmianie: „Teraz za każde robione mi zdjęcie z czyśćca do nieba muszą być uwalniane dwie dusze!”

(Duchowa matka Misjonarek Miłości, fragmenty) Oddając się całkowicie Jezusowi, Matka Teresa wcielała w czyn zasadę, zapisaną w statucie jej zgromadzenia – prawdziwe oddanie polega między innymi na tym, by „przyjmować z Jego rąk to, co nam daje, dawać to, co nam odbiera, a obie te rzeczy czynić z pogodnym uśmiechem”. Przynależność do Jezusa oznaczała dla Matki Teresy i jej siostr przyzwolenie Mu na posługiwanie się nimi, jak tego tylko zapragnie, bez konieczności pytania ich o zgodę.

Konsekwencją owego pełnego miłości zaufania i całkowitego oddania jest pogoda ducha. Jeżeli wypływa ona z tego źródła, stanowi owoc działania Ducha Świętego i jest znakiem rozpoznawczym Królestwa Bożego. Pogoda ducha stanowi sieć miłości, którą możemy zarzucić na połów dusz. Siostra promieniująca pogodą ducha ewangelizuje bez słów. „Siostra pełna pogody ducha” powiedziała kiedyś Matka Teresa – „jest niczym promień Bożej miłości, promyk nadziei wiecznej radości, płomień żarliwej miłości”.

KONWERSATORIUM XLVI (19 marca 2011)

Czy przeżyte cierpienie ubogaciło mnie wewnątrznie?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii im. bł. Edmunda Bojanowskiego), Magdalena i Piotr Konczewscy (rodzice rodziny wielodzietnej), Krzysztof Ziemic (dziennikarz, prezenter Wiadomości w TVP1).

Ks. Adam Zelga

Dzisiejsze Konwersatorium jest spotkaniem niezwykłym, które wiąże się z okresem liturgicznym przeżywanym przez Kościół, przez chrześcijan – Wielkim Postem.

Witam państwa Konczewskich, Magdę i Piotra. Złożą oni niezwykle świadectwo, jak na drodze piękna ich wspaniałej rodziny stanął krzyż. Przepraszam, że będę trzymał się tej konwencji religijnej... Bardzo serdecznie witam pana Krzysztofa Nicieję. Pan



Paneliści: ks. Adam Zelga, Magdalena i Piotr Konczewscy oraz Krzysztof Ziemic

Krzysztof został wypisany ze szpitala, ponieważ jest ciężko chory i szpital nie miał odwagi prowadzenia dalszej terapii (wypowiedź pana Krzysztofa została doślana po Konwersatorium i jest dołączona na końcu tekstu). Witam Pana Krzysztofa Ziemca, który w życiu przeżył ogromny dramat, przeszedł przez próbę wielkiego cierpienia w wyniku rozległego poparzenia i długiego leżenia w szpitalu.

Leo Benhaacker, były trener reprezentacji Polski w piłce nożnej, cytował powiedzenie o jasnej i ciemnej stronie księżyca. Może to metafora życia: jasna i ciemna strona? Potem pomyślałem, że jest to może również metafora Boga. Mistycy, którzy w jakimś wymiarze nieomal dotknęli bezpośrednio Boga, mówią że On jest jasnością, ale nader często jest i ciemnością. Taką jasnością, że nam ludziom jawi się ona jako ciemność. To znaczy, że ciemność stanowi wartość, że jest czymś cennym. Może dlatego Polacy, dzięki takiej intuicji, z narzekania uczynili kult. My narzekamy, ciągle kultywujemy tę ciemną stronę. Do tego nadaje się nasza historia. W chwilach wielkich sukcesów były ciągle wojny, jakieś Chocimie, Kircholmy, jakieś Kłuszyny, Grunwaldy, ciągle przemarsz wojsk. A poza tym powstania, rozbiory, katastrofy i ciągle zaborczy sąsiedzi – po dzień dzisiejszy. Mimo to trwamy i z tego, co trudne, uczyniliśmy coś cennego, wartość. Nie trzeba tego koniecznie negocjować. Taki jest paradoks cierpienia.

Przed chwilą dostałem od Pani rektor książkę Tadeusza Pieńkowskiego pt. „Zbrodnia katyńska”. Autora znamy z jednego z Konwersatoriów, poświęconego przebaczeniu. Swoją książkę o zbrodni katyńskiej kieruje do młodzieży. Całe życie poświęcił on badaniu tej zbrodni, w sposób bardzo dokładny i szczegółowy. Można sądzić, że pan Tadeusz wie chyba wszystko, albo prawie wszystko, o Katyniu.

Zaryzykuję tezę, że nie byłoby 1980 roku i wolności Polski, odzyskanej w sposób pokojowy, gdyby nie Katyń, gdyby nie ofiara tamtych ludzi. Postawię drugą tezę, która zabrzmiałaby jeszcze bardziej prowokacyjnie – nie byłoby beatyfikacji Jana Pawła II tak szybko, gdyby nie ofiara tych „96” z katastrofy smoleńskiej. Taki, moi drodzy, bywa paradoks cierpienia. Jesteśmy uprawnieni, a nawet zobowiązani do takiej refleksji, do szukania sensu w tak tragicznych wydarzeniach. Są jednak ludzie, którzy tego sensu nie widzą. Katastrofa się wydarzyła. Ktoś był winny, ktoś był niewinny. Tylko to jest ważne.

Pytanie o sens tragicznych wydarzeń należy postawić Panu Bogu. Dla chrześcijan mogą one stać się dotknięciem, wejściem czy udziałem w męce i krzyżu Chrystusa. I to może prowadzić do zmartwychwstania. Powiedziałbym, że w krzyżu jest zawarty imperatyw zmartwychwstania. W krzyżu Chrystusa zawarta jest konieczność, zapowiedź, wewnętrzne zobowiązanie do zmartwychwstania, niejako przymus zmartwychwstania.

Kiedy spotykamy się z ludźmi z pogranicza światopoglądu chrześcijańskiego, nie można ich traktować z uśmiechem, tylko z pełną powagą. To, co najciekawsze w polskiej kulturze, dokonywało się często gdzieś na pograniczu, na kresach. Każde pogranicze jest ciekawe. W tych dwóch różnych podejściach musimy szukać sensu.

Piotr Konczewski

Wstęp księdza zmusza mnie do jeszcze większej pokory w tym, o czym będę mówił. Chciałem wytłumaczyć, jakie my, jako małżeństwo, mamy kompetencje, aby siedzieć w panelu tego spotkania. Jest nią wydarzenie, jakie przeżyliśmy w małżeństwie. Przedstawił nas ksiądz jako rodzinę wielodzietną, ale my jesteśmy normalną rodziną, tylko że mamy dość dużo dzieci. Mamy ich dziesięcioro. Nie różnimy się wiele od innych rodzin.



Piotr i Magdalena Konczewscy

Na wstępie chciałem powiedzieć o tym wydarzeniu, które nas tutaj sprowadza i później je krótko skomentować. Kilka lat temu doświadczyliśmy mocnego doświadczenia cierpienia. Cierpienia o tyle ciężkiego, że niedotyczącego nas samych, ale naszego dziecka, małego dziecka. To była dziewczynka, miała na imię Maria i była naszym szóstym dzieckiem. W wieku czterech lat zachorowała na nowotwór mózgu, który nie dawał żadnych pozytywnych rokowań. Wiadomo było, że idziemy w jednym kierunku. W tym dramacie urodził nam się syn. Byliśmy w takiej sytuacji, że z jednej strony patrzyliśmy na chorobę i umieranie naszej córki, a z drugiej strony doświadczyliśmy tego, że rodzi się nowe życie, nowe dziecko. Byliśmy trochę rozdarci, ale może to taka symbolika między krzyżem a zmartwychwstaniem. Przez te trzynaście miesięcy choroby naszej córki, która przeszła cały cykl terapeutyczny, od ciężkiej operacji przez chemioterapię i radioterapię, stanęliśmy w miejscu, kiedy Pan Bóg zaprosił nas do akceptacji albo odrzucenia. Ja osobiście miałem takie doświadczenie, że Pan Bóg mi mówił: Oto stoi przed tobą wydarzenie. Możesz je przyjąć, a ja będę ci w nim towarzyszył, ale możesz je odrzucić. Czułem ogromną wolność, że Pan Bóg nie zrzuca na mnie jakiejś ogromnej cegły, która wali mnie w głowę i nie wiem, co robić, ale czułem Jego obecność i możliwość wyboru. Otrzymałem łaskę, która nie jest zupełnie uzasadniona, nie wynikała z moich uczynków, z mojej wcześniejszej wiary czy z moich religijnych doświadczeń. Otrzymałem ją, żeby zaakceptować, że jest to trudne doświadczenie, które przekracza moją egzystencję, moje plany, moją miłość do mojego dziecka, moje marzenia o jej życiu. Czułem, że w tym obecny jest Pan Bóg i że w tej czarnej dziurze, w krzyżu, w tym miejscu, gdzie człowiek jest kompletnie bezradny, jest przybity, przywiązany, nie może się ruszać, nie ma pomysłu, jak coś zrobić, że w tym zaczęło pojawiać się światło. Musiałem zostawić swoją pracę, swoją karierę zawodową, swoje pieniądze, swój święty spokój, swoje przyzwyczajenia, swoją potrzebę odpoczynku. Nie był to heroizm, to była łaska, że Pan Bóg pozwolił mi tego doświadczyć. Wspierany również przez ludzi mogłem wejść w to doświadczenie. Mogłem spędzać z moją córką trzynaście, piętnaście godzin, tyle ile było trzeba, asystując jej w szpitalu, będąc z nią, robiąc to, co mogłem zrobić, czyli być blisko niej. W końcu nasza córka umarła w domu. To też była łaska, że spotkaliśmy lekarza, który powiedział,

że szkoda ją męczyć tymi szpitalnymi przeżyciami, otoczeniem, lekami, lekarzami, ciągłym stresem, i zabraliśmy ją do domu. Umierała powoli, spokojnie. Rodzeństwo starsze i młodsze służyło jej, opiekowało się nią. Odeszła jednej sierpniowej nocy.

Chciałbym skomentować to wydarzenie nie w sensie intelektualnym, ale z mojego własnego doświadczenia, które jest zawarte w tytule tego Konwersatorium: „Czy cierpienie uszlachetnia”. Może państwo słyszeli, że ksiądz Tischner, bardzo cierpiąc pod koniec życia, zapisał gdzieś na kartce, że cierpienie nie uszlachetnia. I w tym trzyczłonowym tytule – „cierpienie”, „uszlachetnia” i jakiś łącznik między tymi dwoma częściami tytułu – ja nie mam kompletnie problemu, żeby akceptować cierpienie. Cierpienie jest po prostu częścią życia człowieka, immanentną jego częścią, każdego dnia spotykamy się z cierpieniem. Trzeba jednak powiedzieć, że zbyt często cierpienie ograniczamy do bólu fizycznego. Taka jest kultura w świecie, taki jest przekaz medialny, że nie trzeba cierpieć: „Apap i po bólu”. Unikać bólu, unikać cierpienia. Zawarte jest w tym pewne nadużycie, bo samo cierpienie fizyczne, ból, wydaje się rzeczą trudną, ale jest do zniesienia, można sobie z nim poradzić. Można się znieczulić i w tym kierunku idzie propozycja kultury współczesnej. Znacznie trudniejsze – a przeżywałem to bardzo mocno – jest poczucie cierpienia psychicznego, duchowego, tego, że staję wobec jakiegoś wydarzenia, horyzontu, którego nie rozumiem, nad którym nie mam żadnego panowania. Ono jest dawane z zewnątrz. Pracowałem przez wiele lat z osobami, które są chore psychicznie, i wiem, że jest to ogromne cierpienie, które jest trudne do znieczulenia. W gruncie rzeczy największym, najtrudniejszym cierpieniem jest poczucie braku sensu cierpienia. Myślę, że mówił o tym również Ksiądz Adam, że bez odniesienia cierpienia do jakiejś wertykalnej relacji do Kogoś, kto jest powyżej, do Kogoś, kto jest obecny, nie ma ono sensu. Nieważne jak On ma na imię, gdy człowiek staje wobec takiego cierpienia totalnego, które może zabijać, może być czymś nie do zniesienia.

Mam pewien problem z członem drugim, że uszlachetnia, że czyni dobro. Myślę, że cierpienie może dawać człowiekowi większą wrażliwość, może dawać większą otwartość na drugiego człowieka, może leczyć go z egoizmu, egocentryzmu, zajmowania się wyłącznie sobą, co jest jeszcze posiewem grzechu pierworodnego, aby być w centrum świata. Cierpienie może uczyć człowieka mądrzej je znosić i

uczyć się, jak być bardziej męznym. Takie jest założenie tego słowa – uszlachetnia. Może, ale nie musi. To jest propozycja, wyzwanie, skierowane do nas zaproszenie. Byłem świadkiem cierpienia, które zabijało ludzi, widziałem w szpitalu małżeństwa, które się rozpadają, mężowie uciekali od swoich żon, uciekali od swoich dzieci. Mogę sobie wyobrazić, że człowiek, który nie ma relacji z Bogiem, może nie być w stanie stanąć wobec cierpienia z jego akceptacją. Wtedy ono może go zabijać. Cierpienie wcale może nie być tym, co uszlachetnia, może być tym, co niszczy. Myślę, że w jakimś sensie to, czego doświadczali ludzie w Auschwitz czy gułagach, było właśnie czymś takim. Granica śmierci stała się dla mnie czymś takim, że widzę sens tego wszystkiego. W moim doświadczeniu było bardzo ważne, że codziennie rano wstawałem do spotkania z cierpieniem, że codziennie rano przeżywałem to od początku. Moje pytanie było: jaki jest sens? I otrzymywałem odpowiedź poprzez łaskę Boga: jest sens. Nie musisz go rozumieć, bo twoja głowa nie jest tak wielka, żebyś go rozumiał, ale jest sens, jest Bóg, który to przygotował.

Trzecim członem jest ta relacja między cierpieniem a szlachetnością, uszlachetnieniem, byciem lepszym. Tutaj też mam problem, czy jest to następstwo czasowe, czy jest jakiś związek przyczynowo-skutkowy. W moim przypadku w wyniku cierpienia inaczej patrzę na życie. Nasze starsze dzieci, które bardzo ofiarnie asystowały nam w całym tym procesie, mówiły mi, że teraz patrzą na życie zupełnie inaczej, chciałoby się powiedzieć lepiej, mądrzej, głębiej, szlachetniej. Były też takie dni, kiedy pytałem się o sens życia i nie mogłem zobaczyć tego, że jest lepiej, że łatwiej to znoszę. Miałem kryzysy, zwątpienia. Ta relacja między cierpieniem a byciem lepszym, szlachetniejszym – w sensie znoszenia cierpienia – nie jest automatyczna, jest tym, czym jest wiara. Jest zaproszeniem Pana Boga, w którym człowiek może mieć wolę odpowiedzieć: tak, niech się stanie, niech się dzieje. Ale zawsze spotyka się z pokusą, by zwątpić, zgorszyć się cierpieniem drugiego człowieka, małego, niewinnego dziecka. Ta relacja nie jest więc automatyczna, jest właśnie niezwykłą tajemnicą Pana Boga, w której człowiek otrzymuje łaskę i przez cierpienie wchodzi w świat zmartwychwstania, czegoś zupełnie innego, czegoś, czego nie może sobie wyobrazić, czego nie można przewidzieć. Ja tego dotknąłem przez życie i śmierć mojej córki.

Magdalena Konczewska

Mogę powiedzieć, że naprawdę jestem Panu Bogu wdzięczna, że dał nam takie doświadczenie, mimo że wydawało mi się niezwykle trudne przeżyć śmierć własnego dziecka. Ale to było niezwykle, że Pan Bóg był cały czas obecny w nas, w tym wydarzeniu. Nie miałam takiego dnia, żebym myślała, co będzie dalej, co będzie jutro. Każdego dnia cieszyłam się, że mogę być z naszą córeczką, że mogę jej towarzyszyć, opiekować się nią. Najważniejsza w tym wszystkim była relacja z Panem Bogiem, że On dał mi wielką łaskę. Dał mi łaskę znosić to wszystko i jeszcze widzieć w tym dobro. Z tego wynikało wiele dobra w naszym życiu, przede wszystkim dla naszego małżeństwa. Pan Bóg bardzo nam pomagał w naszym małżeństwie, myślę, że dał nam to wydarzenie, żeby zjednoczyć nasze małżeństwo. Myślę również, że Bóg dał nam to wydarzenie – ludziom, którzy jesteśmy w Kościele – aby je przeżyć, dał nam się bardzo modlić w tym czasie, dał nam ludzi dookoła, którzy się z nami modlili, którzy nam bardzo pomagali w najprostszych działaniach: robieniu zakupów, obiadów, przewożeniu. I to było niezwykle, że takie cierpienie niesie tyle dobra i że tego dobra człowiek nie zatrzymuje tylko dla siebie, rozlewa się ono również na innych ludzi, można się było nim dzielić. I to nie wypływało ze mnie, ale od Pana Boga, On mi dawał to wszystko. To jest niezwykle i jestem Mu za to bardzo wdzięczna. Chrześcijaństwo jest wartością ze względu na drugiego człowieka. Ci, co są w Kościele, mają pomagać tym, którzy nie znają Boga. Nie wiadomo, dlaczego Bóg wybrał tych do Kościoła, a innych nie. To jest Jego tajemnica. Cierpienie jest też tajemnicą. Nie musimy wszystkiego rozumieć, wystarczy, że Pan Bóg daje łaskę, że człowiek to wszystko znosi i może widzieć w tym jakieś dobro. Ja tego doświadczyłam bardzo wyraźnie. I mówiąc teraz o cierpieniu, widzę, że cierpienie jest nieodłączne w naszym życiu. Widzę, jak cierpienie przywołuje mnie do Boga. Wszystkie cierpienia, jakie mam w moim małżeństwie czy z moimi dziećmi, a doświadczam różnych cierpień w moim życiu, są po to, aby przybliżyły mnie do Pana Boga. Bóg woła mnie, abym się do Niego uciekała poprzez modlitwę. Kiedy to robię, to Bóg daje mi akceptację, pozwala mi akceptować różne wydarzenia w moim życiu. Uczy mnie pokory wobec drugiego człowieka, bo każdy człowiek ma pychę w sobie, którą musi zobaczyć i uświadomić ją sobie. W ten sposób Pan Bóg woła ludzi do



Magdalena i Piotr Konczewscy

siebie. Na pewno niektórzy z nich są poza Kościołem i jest im trudniej, ale Bóg daje im możliwość spotkania ludzi, którzy są w Kościele, którzy mogą świadczyć o tym, że jest Bóg, i że pozwoli im przejść przez śmierć, nawet przez śmierć swojego dziecka. Przejść przez śmierć i zmartwychwstać. Potem człowiek może żyć normalnie. Jest Bóg, który naprawdę kocha każdego człowieka.

Krzysztof Ziemięć

Chciałem przeprosić za spóźnienie, ale cały czas jestem w biegu. Za dużo rzeczy dzieje się. Dużo czasu spędzam również na pracy społecznej. Ciężko pogodzić pracę, dom i takie spotkania, jak to dzisiejsze. Bardzo chciałem tu przyjść. Dziękuję za zaproszenie. Nie chcę się wymądrzać. Nie jestem ekspertem w poruszonym temacie. Nie jestem ani filozofem, ani teologiem. Jestem normalnym, zwykłym człowiekiem, który na swoim koncie ma jakiś taki, nienajładniejszy zakręt życiowy, z którego udało mi się wyjść. I jak czasami sięgam pamięcią, zastanawiam się, co mi pomogło. To jest dobre pytanie, co mi pomogło, co dało mi siłę, żeby przejść przez to wszystko, żeby to wszystko przeżyć, wstać i pójść do przodu, zdobywać kolejne szczyty. Tak to dzisiaj widzę, że coś, co było potencjalnym złem, w moim przypadku obróciło się w absolutne dobro, bo

tak dużo, ile osiągnąłem w ciągu ostatnich miesięcy czy roku, to wcześniej nie było mi to dane. Cytując tytuł mojej książki „Wszystko jest po coś”, myślę, że może to właśnie było po to, żebym odzyskując nowe życie, odzyskał nowe siły. Nie wiem.



Krzysztof Ziemięc

Trzeba zacząć od opisu wypadku, który przeżyłem, bo nie wszyscy o nim wiedzą. Był to pożar w moim domu, niedaleko od tego miejsca, w którym się znajdujemy, może 200-300 metrów, przy ulicy Cynamonowej. To był letni wieczór i nic nie zapowiadało tragedii ani jakiegokolwiek przykrego zdarzenia, kiedy nagle w naszym mieszkaniu pojawił się pożar, w mieszkaniu normalnej rodziny, czyli to pokazuje, że wcale nie trzeba być meliniarzem, żeby zaproszyć ogień. Zastanówmy się, jak często mamy w domach otwarty ogień w postaci kuchenki gazowej, a nie mamy żadnej gaśnicy. W każdej szkole, biurze, sklepie, hotelu, w kinie, w teatrze muszą być gaśnice i bez tego straż pożarna w ogóle nie przyjmie budynku, nie podpisze jego odbioru. Nie pozwoli, żeby tam ktokolwiek wchodził. Zupełnie inaczej w naszych mieszkaniach. My nie musimy, ale apeluję, opierając się na własnym doświadczeniu, żeby gaśnicę posiadać, bo czasami może nam ona uratować życie.

W czasie, kiedy udało mi się uratować rodzinę, ja sam zostałem bardzo mocno poszkodowany, bo byłem bardzo mocno poturbowany i miałem ponad 40% powierzchni ciała zniszczone przez płomień. Jest to ból, są to po prostu tortury, tak jakby najpierw kogoś żywcem opiekać na rożnie, a potem w szpitalu jest jeszcze gorzej, bo kiedy przychodzi zmiana opatrunku, to tak naprawdę czuje się człowiek obdzierany żywcem ze skóry. Przynajmniej raz dziennie, czasami nawet dwa. Ktoś, kto miał opatrunek na ranie, wie, co to jest zrywanie opatrunku, jak to boli. Ja byłem zabandażowany od czubka głowy do małego palca u stopy, czyli właściwie całe moje ciało to była jedna wielka rana i tę ranę trzeba było codziennie z tych bandaży odwijać. Równocześnie pamiętam doskonale jedną rzecz, kiedy przyjechała najpierw straż pożarna, a potem pogotowie i kiedy mnie znosili do karetki w noszach łupkowych, żeby nie zniszczyć kręgosłupa, pamiętam jak dziś, że czułem wtedy, może ksiądz Adam mi powie dlaczego, wewnętrzny spokój, nawet nie byłem zdenerwowany. Może nie czułem, bo byłem w szoku, ale może dlatego, że wiedziałem, że nade mną czuwa Najwyższy Reżyser i ma dla mnie jakieś inne zadania i że mam jeszcze wiele do zrobienia. Nie wiem i być może nigdy się na tym świecie tego nie dowiem, pamiętam jednak, że byłem naprawdę wyjątkowo spokojny. Pamiętam, że byłem jeszcze w stanie dowcipkować z pielęgniarkami w karetce. Oni nawet się dziwili, że pacjent w takim stanie może jeszcze gadać i obracać to w dowcip.

Prawdziwa męczarnia zaczęła się dopiero w szpitalu i wtedy zaczynało do mnie powoli, powoli docierać, co tak naprawdę się stało, i że właściwie cudem zostałem na tym świecie. Potem po dwóch lub trzech tygodniach dowiedziałem się od żony, że tak naprawdę dwa razy dostałem nowe życie. Pierwsze, kiedy uratowałem się w mieszkaniu z tego ognia piekielnego, a drugie w szpitalu, kiedy nie zaraziłem się sepsą. W sytuacji zniszczenia skóry i ogromnych obszarów świeżych ran na całym ciele zagrożenie jest ogromne. Myślę, że bardzo pomagała mi wola walki, którą w sobie miałem, chęć przeżycia, może zadanie, które stało przede mną, bo ja tak naprawdę jeszcze nie wiedziałem, co mam przed sobą do wykonania. Wola podjęcia tego zadania w moim organizmie, a przede wszystkim w sercu i głowie była jednak tak duża, że znalazłem w sobie sporo siły, żeby to wszystko przełamać. Być może pomógł mi też fakt, że ani pielęgniarki, ani lekarze, ani żona nie mówili mi o tym, że zagraża mi śmiertelne nie-

bezpieczeństwo, ale rzeczywiście tak było. Przez dwa lub trzy tygodnie nie działał na mnie żaden antybiotyk, miałem codziennie gorączkę powyżej 40°C. Dzisiaj często zadaję sobie pytanie: skąd we mnie było tyle siły? Myślę, że siłą zasadnicza jest nasza relacja z Górą. Tego typu ciężkie sytuacje rodzinne, kryzysowe, zdrowotne to jest dla nas egzamin, egzamin z dojrzałości człowieka, ale również z dojrzałości chrześcijańskiej, na ile my jesteśmy związani z Bogiem i na ile ufamy Mu, na ile jesteśmy w stanie zawierzyć Mu nasze życie, a na ile jest to tylko takie rytualne, coniedzielne, czasami świąteczne.

Cała ta sytuacja była dla mnie bardzo znaczącym egzaminem. Ten spokój w karetce, a później ta siła przetrwania to było oddanie się Bogu, chociaż ja nie mówiłem tego wprost nikomu, że co będzie, niech będzie. Bałem się. Oczywiście, że się bałem i śmierci, i choroby, ale równocześnie z drugiej strony miałem poczucie jakiegoś bezpieczeństwa, że to, co się stanie i tak będzie dla mnie najlepsze. Oczywiście, to nie jest tak, że musimy się poddać i nie walczyć. Są takie sytuacje w naszym życiu, kiedy poznajemy siebie i kiedy widzimy, na ile to, co wyznawaliśmy do tej pory w słowach, możemy teraz dokonać w czynie. Proszę mi uwierzyć, tak jak z tą karetką, może nie wiedziałem, co mnie jeszcze czeka, ale wiedziałem, że Ktoś nade mną czuwa na samej górze. W szpitalu jedna z siostr powiedziała mojej żonie, że jest ze mną kiepsko, i spytała, co według żony da mi więcej sił. Żona odpowiedziała, że sporo siły czerpię z niej, ale ona już goni resztkami energii. Na głowie mojej żony było spalone mieszkanie i dzieci. To były wakacje, początek wakacji. Ona była sama i nie wiedziała, co robić, nie jadła, nie spała. I mówiła siostrze, że już nie ma siły. Siostra powiedziała jej wtedy, że woda z Lourdes może postawić mnie na nogi. Na pewno wiele osób roześmiałoby się na taką propozycję. Woda jak woda, górską, ze źródła, można pójść na Gubałówkę czy wyżej w Tatry i takiej wody zaczerpnąć ze strumyka. Proszę uwierzyć, że w ciągu dwóch godzin ktoś z naszych znajomych dał znać, że ma wodę z Lourdes w domu, bo ktoś z rodziny był z pielgrzymką i na pamiątkę przywiózł do domu flakonik. Stał gdzieś w kącie, taki niepotrzebny. Jak żona rozesała wici, to natychmiast ta osoba się zjawiła i przyniosła ten flakonik. Pamiętam jak dziś, że piłem tę wodę, ani się nie śmiejąc, ani nie mając specjalnej nadziei. Po prostu poddałem się tej terapii, tak jak wierny poddaje się Bogu i jego woli. Następnego dnia albo po

dwóch dniach wszystko minęło. Temperatura spadła, minął kryzys. Ktoś może powiedzieć, że może wreszcie zaczął działać antybiotyk, może siła woli, może tak miało być, może woda, a może wszystko razem. Nie wiem, ale rzeczywiście tak się stało, że jeżeli chodzi o mój organizm, to wszystko zaczęło wracać do normy. Już wiedziałem, że żadna bakteria mnie nie zabije, choć ból i cierpienie nie ustawało, każdego dnia był nawet większy, mimo morfiny, którą brałem. Nie wiele mi ona pomagała. Do tego dochodził również ból psychiczny. Cały dzień się bałem, że zaraz po mnie przyjdą, trochę jak w celi, gdzie się czeka na karę śmierci, przyjdą i zaczną mnie obierać ze skóry. Sam nie wiem, co było gorsze, sam moment kiedy zdierano opatrunki, czy moment oczekiwania jak na kulkę w łeb. Tak to wtedy odbierałem. Ale zawsze kiedy miałem kryzys, myślałem sobie: „stary, młodzi chłopcy w czasie wojny, w katowniach gestapo wytrzymywali, po wojnie w katowniach UB też wytrzymywali, nie wydając nikogo, dlaczego ty masz nie wytrzymać czegoś, co jest zwykłą czynnością leczniczą w szpitalu, pod opieką, a nie pod pejczem i knutem”. Więc dałem radę.

Jeżeli wracam do odpowiedzi na pytanie, co mi dało siłę, to na pewno dało mi ją silne zawierzenie Bogu wszystkich spraw oraz, bez wątpienia, obecność bliskich, żony, dzieci, świadomość, że są ze mną, że mnie nie zostawiają, że jestem dla nich ważny i potrzebny. Ważna była też dla mnie świadomość więzi, którą dawali mi koledzy z pracy. Przez pierwsze dni nie byłem w stanie się nawet przewrócić, najmniejszy ruch był związany z potwornym bólem. Przez parę tygodni w szpitalu leżałem nieruchomo i patrzyłem w sufit. Nikogo nie chciałem widzieć ani nic czytać, słuchać radia, oglądać telewizji, korzystać z telefonu, nic.

Kiedy było już trochę lepiej i poprosiłem o telefon, odebrałem wtedy wiele sms-ów. Płakałem ze szczęścia. Pisali ludzie, o których zapomniałem, że gdzieś się kiedyś spotkaliśmy, pisali ludzie, o których myślałem, że się nie lubimy. Wszyscy dawali mi sygnały otuchy, wsparcia, pomocy w modlitwie, pomocy fizycznej czy materialnej. W takich momentach człowiekowi wszystko się sypie, nie ma nic, ani mieszkania, ani pracy, ani zdrowia. To świadectwo kolegów z pracy, którzy potem odwiedzali mnie w szpitalu i mówili: „Jeszcze trochę poleżysz, ale my już czekamy na ciebie. Twój fotel czeka, nie jest zajęty, jak tylko wrócisz, ruszymy, jesteś nam potrzebny, bez

ciebie jest jakoś kulawo”. To były bardzo ważne sygnały. One dodawały mi energii. To było dla mnie więcej niż antybiotyk. Myślę, że w takich sytuacjach wsparcie duchowe jest nie do przecenienia.

Niestety, nie odebrałem go od kapelana szpitalnego. Być może, miał za dużo pracy na głowie lub za dużo pokoi do odwiedzenia, ale wpadał jak po ogniu i natychmiast wychodził, nie było czasu na modlitwę, na zastanowienie się, nie było czasu na rozmowę, na wsparcie. Pierwszego dnia, jak do mnie przyszedł rankiem, spytał się, co się stało. Jak się dowiedział, chciał mi dać ostatnie namaszczenie. Może miał rację, ale chory w takim stanie ostatnią rzeczą, jaką chciałby dostać, to ostatnie namaszczenie, bo odbiera to jak niemalże wyrok śmierci.

Ks. Adam Zelga

To jest sakrament chorych.

Krzysztof Ziemięć

Ja wiem, ale...

Ks. Adam Zelga

W swoim myśleniu nie kieruje się Pan teologią rzymskokatolicką, tylko mentalnością rzymskich katolików.

Krzysztof Ziemięć

...i mentalnością chorej osoby, która jest trochę zagubiona. I to jest tak, przychodzi ksiądz i mówi:

– Jesteś poparzony, jesteś wierzący? To dostaniesz ostatnie namaszczenie.

– To ze mną już tak krucho?

– Nigdy nic nie wiadomo.

Brzmiało to tak, jakbym wieczorem już miał umrzeć

Ks. Adam Zelga

To, niestety, był rutyniarz. Ręce opadają, jak się coś takiego słyszy.

Krzysztof Ziemięć

Chcę powiedzieć, że gdybym nie miał innego wsparcia, to może byłby to taki moment, kiedy bym powiedział: „Nie, kurczę, to

wszystko, w co wierzyłem do tej pory, nie ma sensu”. Tak jak powiedziałem, to był egzamin z mojej wiary.

Ks. Adam Zelga

Gdyby mi Pan zadał pytanie „Czy tak ze mną krucho?”, to bym odpowiedział: „Nie, tylko Pan Bóg chce sakralizować Pana cierpienie”.

Krzysztof Ziemic

Ale tego nie usłyszałem. Potem zrobił mi krótką spowiedź, bardzo krótką, tak że gdybym był nawet największym grzesznikiem, to bym przeszedł.

Ks. Adam Zelga

To już dobrze.

Krzysztof Ziemic

Są takie sytuacje w życiu, które stawiają nas przed jakimś rodzajem komisji egzaminacyjnej. Na pytanie „czy taki ksiądz jest w stanie zmienić moje całe dotychczasowe życie, czy nie?”, odpowiedziałbym „Na szczęście nie”.

Na szczęście miałem wsparcie duchowe również od innych księży, których poznałem wcześniej i przychodzili do mnie. Miałem go również od znajomych, kolegów. Mógłbym wymienić całą listę osób.

Wracając do cierpienia i zmagania się z nim, zdaję sobie sprawę, że dzięki mojej woli życia i dzięki znacznemu mojemu udziałowi w rehabilitacji nie jestem dziś człowiekiem, który jeździ na wózku inwalidzkim. Wiem, co mówię, bo widziałem ludzi znacznie młodszych ode mnie, którzy absolutnie nie chcieli podjąć wysiłku psychicznego i fizycznego, aby po takim wypadku, podobnym do mojego, mogli dojść do zdrowia.

Najgorsze, oprócz ran, które się jednak stopniowo goją, są tzw. bliznowce. Miałem całe ciało poparzone. Bliznowce miałem wszędzie. Powodują one przykurcze, które postępują. Jeżeli nie robi się intensywnych ćwiczeń, to po jakimś czasie tego już się nie rozerwie. Równocześnie ostra rehabilitacja działa cuda. Doświadczyłem tego sam. Widziałem też starszych ludzi, którzy po wylewach dochodzili do siebie, nawet po dwóch miesiącach intensywnych ćwiczeń z



Krzysztof Ziemięc

gumką i piłeczką. Warunek podstawowy – musimy chcieć. Jeśli widzimy w naszej głowie sens tego, co robimy, to naprawdę jesteśmy w stanie osiągnąć szczyty. Ja robiłem wszystko, co mi nakazywano i doszedłem do prawie całkowitej sprawności. Spotkałem jednak ludzi, którzy nie chcieli nic robić, którzy nie widzieli sensu dalszego życia: facet trochę starszy ode mnie, samotny, z amputowaną jedną nogą, mieszkający ze starymi rodzicami na wsi, i drugi, młody człowiek, dwudziestoparoletni, który zaparł się, że nie i nie, żadnych ćwiczeń, tylko leży. Dziś więc jeździ na wózku, nie jest w stanie ruszać nogami, ma takie przykurcze, że nawet operacyjnie nic nie da się zrobić. Wiele zależy od nas. Oczywiście ta reżyseria płynie z samej góry, ale jest margines, gdzie my możemy z naszym życiem zrobić, co chcemy.

Czułem opiekę Bożą oraz miałem świadomość i przekonanie, że skoro przetrwałem, przeżyłem, to muszę teraz coś z tym życiem zrobić, tzn. jest to po coś. Ja do dziś nie wiem, po co tak naprawdę to było. Nie wiem, nie jestem w stanie odpowiedzieć, ale czasem właśnie na takich spotkaniach myślę, że może po to, żebym mógł się tym wszystkim podzielić z tymi, którzy chcą się ze mną spotykać.

Wiem też, że książka, którą napisałem, czyni wiele dobrego, bo dostaję listy od ludzi, którzy ją przeczytali, i jak piszą, mocno ją przeżyli i zmienili swoje życie. Część osób pisze mi, że gdyby wcześniej o tym wiedzieli, to być może ich życie wyglądałoby inaczej. Na przykład, pisze żona, że więcej czasu poświęciłaby choremu mężowi, który byłby teraz w lepszym stanie.

Kiedy przyszedłem po roku od wypadku na wizytę kontrolną, lekarz, który mnie badał, powiedział: „To pan jeszcze żyje?” „A czemu?” „Człowiek z takimi obrażeniami nie miał prawa przeżyć”. A ja przeżyłem. Może właśnie po coś? On mówi: „Dziękuję za to, co pan robi”. „A co ja takiego robię? Przecież ja nic nie robię.” To był jeszcze taki czas, że nie pracowałem, bo nie byłem w stanie. A on mi mówi: „Za to, co pan robi, że czasami pana wypowiedź jest w gazecie albo czasami pojawia się pan w telewizji. To co pan mówi, dochodzi, dociera do ludzi. Pan jest takim łącznikiem między nami, lekarzami, a pacjentami. Gdyby to, co pan powiedział, powiedział lekarz, to mało. Który pacjent by lekarzowi uwierzył, bo pacjent często myśli, że lekarz tak mówi, żeby mówić, bo jest lekarzem. A jeśli mówi to człowiek, który sam to przeszedł i wie, co to ból i cierpienie, i mówi o tym ludziom, to pacjent odbiera to zupełnie inaczej, niż gdybym to ja mówił”.

Jeszcze parę słów na koniec. Każdy ból jest do zniesienia. Ten ból, którego doświadczałem, jest w skali różnych bólów na trzecim albo drugim miejscu. Jest więc dość silny. Każde cierpienie jest do przejścia, tylko musimy sobie uświadomić, po co i dlaczego ono jest. To po pierwsze. A po drugie, że nawet w najtrudniejszym momencie cierpienia potrafimy znaleźć w sobie takie wielkie pokłady siły i mocy, których normalny, zdrowy człowiek nie jest w stanie w sobie odnaleźć. Tylko trzeba wiedzieć, jak ten klucz do tego można znaleźć.

Na koniec jeszcze nie moje słowa, tylko papieża Jana Pawła II, który w filmie dokumentalnym „Szukałem Was” Jarosława Szmidta mówi, że cierpienie i ból to nie jest żadna kara za grzechy, tylko jest to pewnego rodzaju łaska, która na nas spływa. Musimy to sobie uświadomić. Ja wiem, że jest to trudne. Gdyby mi się nie udało przejść przez ból i cierpienie, to pewnie dzisiaj bym tak nie mówił. Nie wiem. Ale ponieważ mi się to udało, zdałem sobie sprawę, że ból i cierpienie namacalnie zbliża nas do cierpienia Chrystusa, pozwala zobaczyć podwaliny naszej wiary i sens tego wszystkiego wo-

kół nas i doświadczyć, że wszystko jest po coś. Dzięki temu jesteśmy w stanie, tak sobie myślę, przejść różne zakręty łatwiej niż osoby, które nie mają w sobie wiary w Boga.

Dyskusja

Wacław Cieplucha

Znacznie trudniejsze od cierpienia fizycznego jest cierpienie psychiczne. Przytoczę słowa, które kiedyś usłyszałem w pewnym wiejskim kościółku w czasie stanu wojennego. Słowa te może są znane niektórym z państwa: „Niczym Sybir, niczym knuty, gdy w narodzie duch zatruty, to największy z bólów ból”. W istocie rzeczy o nic innego naszym okupantom (hitlerowcom i komunistom) nie chodziło. Zabić ducha w narodzie, a wszystko inne jest już stosunkowo łatwe do zrobienia. A więc wiedza i jeszcze raz wiedza. Bądźmy silni duchem.



Wacław Cieplucha

Elżbieta Mycielska-Dowgiało

Myślę, że każdy z nas ma na swoim koncie jakieś sytuacje związane z cierpieniem, które w danym momencie przekraczają jego możliwości zrozumienia. Z mojego doświadczenia, ratunkiem w takiej sytuacji jest zawierzenie Panu Bogu, że rzecz, która się zdarza, która nas dotyczy, naszych bliskich, można przeżyć, gdy się wierzy, że coś z tego dobrego wyniknie, jakaś wartość. Chociaż w danej chwili człowiek tego nie widzi.

Powiem, że w swoim życiu parę razy taką sytuację przeżyłam i wtedy absolutnie nie widziałam, jaki cel ma to zdarzenie. Dopiero później, z perspektywy czasu zobaczyłam, że z tego wyrosła jakaś wartość, której nie mogłam wcześniej przewidzieć. Również śmierć najbliższych, na przykład mojej matki, 56-letniej wówczas osoby, było dla mnie wielką tragedią. Opiekował się nią w cudowny sposób mój młodszy brat i jak widziałam go wcześniej i potem, to był inny człowiek. Ogromnie dojrzał w tym okresie. Podobnie nasz ojciec, dla którego śmierć mojej matki była nieopisaną tragedią, po jej śmierci zmienił się. Stał się jakby bardziej samodzielny i więcej wymagający od siebie samego. Z tej naszej rodzinnej tragedii wyrosły owoce trudne wcześniej do przewidzenia.

Elżbieta Pierścionek

Ja chciałam podzielić się z Państwem dosyć świeżym bólem. Wspominałam na poprzednich Konwersatoriach, że Bóg mnie zektnął z młodą, samotną osobą, która zmagająca się z nowotworem twarzy. Z uwagi na odległość (mieszkała w Mławie) w ostatnim okresie wspomagałam ją raczej duchowo, trochę materialnie, mniej fizycznie. Nasza znajomość trwała sześć lat. Teraz Marzenka zmarła. Umierała bardzo dzielnie, heroicznie, w strasznym osamotnieniu. Nowotwór – wiadomo, że to okropne cierpienie. Dodatkowo tragiczne jest to, że zostawiała niespełna czteroletnie dziecko, zupełnie samo na tym świecie, bo ojciec się do niego nie przyznał. Przeżywałam z nią te ostatnie dni bardzo emocjonalnie. Zmarła 6 stycznia i do dziś nie mogę dojść do siebie, bo cały czas jeszcze o tym myślę i przeżywam. I ta moja bezradność, która jest ciągle obecna, jeszcze nie daje mi się pogodzić z tą sytuacją. Chciałam dodatkowo powiedzieć, że jej życie ułożyło się w taki sposób, że ona od Boga odeszła, może niezupełnie, ale nie współpracowała z Bogiem. Mimo to

przyjmowała słowa nadziei, modlitwy, błaganie o cud. W ostatnim okresie nie mogła już prawie mówić, ale wysyłała dużo sms-ów. Chciałam przeczytać Państwu jeden z ostatnich jej sms-ów, który myślę, że otwiera jej drogę do nieba, drogę do Boga.



Elżbieta Pierścionek

Zanim go jednak przeczytam, chcę powiedzieć, że w sierpniu, kiedy Marzenka miała jeszcze nadzieję, że przeżyje, że Bóg da jej zdrowie, poprosiła mnie, też sms-em, żeby przesłać jej modlitwę do patrona od spraw beznadziejnych, św. Tadeusza Judy. Miałam z tym niezły kłopot, bo w żadnej książeczce nie było tej modlitwy. Poszłam do księdza, a byłam akurat na wakacjach, który obiecał, że przyniesie na następną niedzielę, bo przy sobie jej nie ma. W kolejną niedzielę przeproszał mnie, że nie znalazł, równocześnie ktoś słyszający naszą rozmowę powiedział, że on się często modli tą modlitwą i że mi ją udostępni. Przepisałam ją i wysłałam Marzence. Była bardzo wdzięczna i od tego dnia modliła się do św. Tadeusza Judy.

Teraz przeczytam sms: „Nie wiem, co Bóg planuje, ale ja mam już tylko krwawą galaretę zamiast połowy twarzy i szyi. Nie mogę już nawet wstawać. Koleżanki przyniosły mi kawałek relikwii, szaty Ojca Pio w obrazku. Modlę się o cud, ale nie wiem, czy mam żyć czy odejść. Chciałabym jeszcze Panią zobaczyć”.

Już nie dane nam było się zobaczyć tu na ziemi, ale może kiedyś spotkamy się tam... zdrowe, wesołe i szczęśliwe.

Ks. Adam Zelga

Pozwolę sobie uzupełnić wypowiedź pana Krzysztofa o świadectwo pani ordynator jednego z oddziałów internistycznych. Kiedy umierał Jan Paweł II, i było to publicznym świadectwem, powiedziała, że chciałaby podziękować Papieżowi, że upublicznił proces swej choroby, swego odchodzenia. Teraz inaczej rozmawia się jej z ludźmi, którzy przychodzą do umierających bliskich.

W najbliższych dniach wybieramy się parafianami na film „Szukałem was”, w którym pan Krzysztof jest lektorem.

Krzysztof Ziemicz

Jestem w tym filmie narratorem. Niektórzy myślą, że ja jestem tym, który swoim głosem oplata całość. Nie, jestem tylko dziennikarzem, który prowadzi kamerę po tych miejscach, gdzie Jan Paweł II był, spotykał się z ludźmi, mówił do nich. Konkretnie są to miejsca, które Jan Paweł II zmienił, szczególnie zmienił. On zmienił cały świat, ale my, Polacy, często o tym zapominamy, skupiając się głównie na Polsce czy krajach ościennych. Zapominamy, że Jan Paweł II zmienił Europę Zachodnią, która była u progu ogromnej laicyzacji. Tam Kościół naprawdę stał nad przepaścią. Jan Paweł II zmienił Amerykę Południową, obalił, bez użycia siły i pieniędzy, tamtejsze reżimy. Zmienił tam też Kościół, któremu groziły niebezpieczeństwa teologii wyzwolenia. Odnosił też wiarę w Afryce, która dziś tam kwitnie. Zwykła niedzielna Msza Święta w Afryce wygląda tak, jak u nas nie wygląda żadne misterium. Używając języka telewizyjnego, to jest show. Ludzie tańczą, śpiewają, modlą się całym sobą. Myślę, że w dużej części jest to dzieło Jana Pawła II, ponieważ Papież był niezwykle orędownikiem wplatania w liturgię elementów miejscowych kultur. Myślę, że była to bardzo mądra i odważna sprawa. W filmie pokazana jest Msza Święta ze śpiewami, tańcami, modlitwą całym ciałem i procesją z darami, w której ci biedni ludzie niosą to, co mają najcenniejszego. A jak my wyglądamy na tym tle z naszymi drobnymi złotówkami?



Krzysztof Ziemiec, obok Magdalena i i Piotr Konczewscy

Ks. Adam Zelga

Chciałem dodać jeszcze jedno: Christoforos znaczy „niosący Chrystusa”. To nasi dzisiejsi paneliści. Wypowiedź pana Krzysztofa Ziemca była wstrząsająca, ale bardzo radosna, optymistyczna.

Marzena Pfeffer

Mam nadzieję, że moje świadectwo też będzie, w tym duchowym znaczeniu, optymistyczne. Chcę powiedzieć o mojej mamie, która zmarła. Miała bardzo ostre zapalenie trzustki, ogromnie cierpiała. Lekarze początkowo nie rozpoznali choroby, nie zdawali sobie sprawy z jej cierpienia i nie podawali jej morfiny. Ból był taki, że chociaż była to osoba wierząca, marzyła o śmierci. Idąc do szpitala, powiedziała, że bardzo boi się cierpienia i że chce je oddać Matce Bożej. Wierzę głęboko, że te dwa czy trzy dni straszego bólu, który przeżyła (potem była już morfina, potem śpiączka), zapewniły jej miejsce u Matki Bożej. Odeszła 13 października, w święto Matki Boskiej Fatimskiej. To nie był przypadek. Tego dnia, kiedy ona umierała, czytałam o objawieniach fatimskich, a nasi przyjaciele, którzy tego dnia byli w Fatimie, modlili się za nią. Kiedy Msza Święta się skończyła, ona właśnie zmarła. Mam nadzieję, że tych parę dni bólu zapewniło jej miejsce u Pana Boga i że jest teraz szczęśliwa.

Krzysztof Ziemic

Chciałbym nawiązać do Pani wypowiedzi. Kiedy już mogłem przyjmować w szpitalu gości, bardzo często przychodzili do mnie koledzy i koleżanki z pracy i mówili: „Krzysiu, jest tylu łapserdaków na świecie, tylu złych ludzi i im się nic złego nie dzieje, a ty, w sumie taki porządny gość, i taka tragedia. Zobacz, jak to jest, że nie o oni, ale ty”. Ja nigdy w ten sposób nie myślałem. Zadawałem sobie pytanie, że skoro ja i udało mi się to jakoś przetrwać, to dlaczego zostałem wybrany właśnie ja. Dlaczego Bóg wybrał mnie na ten egzamin. Czułem się w jakiś sposób namaszczoney. W głowie osoby wierzącej te wszystkie sprawy jakoś się układają.

Zrobiłem to samo, co wspomniana przez Panią osoba. Jak tylko odzyskałem przytomność w szpitalu, ofiarowałem moje cierpienie nieżyjącemu już od 10 lat mojemu ojcu, który bardzo cierpiał, bo umierał na raka. Chłop jak dąb, zdrowy, nigdy na nic nie narzekał, a tu rak w ciągu niecałego roku go zwałił. Ponieważ zawsze po śmierci ojca miałem takie przeczucie, świadomość, że chyba nie jest do końca tam, gdzie ja bym chciał, żeby był, więc tak jak ta Pani ofiarowałem całe swoje cierpienie w intencji mojego taty. Mam nadzieję, że jakoś mu pomogłem i kiedyś będzie tam, gdzie ja bym chciał, żeby był. To chyba pokazuje, że ludzie, którzy mają inną wrażliwość, potrafią sobie te sprawy zupełnie inaczej wytłumaczyć i ułożyć w głowie. Nie na zasadzie: „Patrz, to ten pijak powinien tu leżeć, a nie ty”.

Piotr Konczewski

Chciałem wrócić do tego, co mówili moi poprzednicy, że cierpienie bardzo „woła” ludzi. Myśmy też mieli takie doświadczenie, bo gdy umierała nasza córka i urodził się nam syn, a Magda była w szpitalu, to na wiele godzin przyjeżdżała do nas dość odległa kuzynka. Przyjeżdżała robić nam obiady, opiekowała się naszymi dziećmi. Widziałem, jak wokół tego naszego cierpienia pojawia się taka otoczka, że Pan Bóg posyła od razu ludzi, którzy pomagają to cierpienie jakoś akceptować, rozumieć, dają taka aureolę wokół tego wydarzenia.

Krzysztof Ziemic

Słyszałem takie powiedzenie, że Pan Bóg dla cierpienia wybiera tylko tych ludzi, których naprawdę kocha i co do których ma jakiś plan.



Piotr Konczewski

Bogdan Motelski

Powiem o doświadczeniu, które fizycznie nie dotyczy mnie osobiście. W czasach studenckich odwiedzałem pewną osobę na neurochirurgii po bardzo ciężkiej operacji. Ponieważ przychodziłem tam przez długi czas, widziałem wiele cierpiących osób. Widziałem też człowieka, który klęcząc na korytarzu, walił głową w podłogę z powodu bólu, mimo że dostawał maksymalną dawkę morfiny. Następna dawka byłaby śmiertelna. Zastanawiałem się, po co było mi to oglądać, to dla mnie było bez sensu. Kilka lat później mój ojciec zachorował na raka i po krótkim czasie zmarł. Nie był operowany. I okazało się, że ja już byłem do tego przygotowywany. Nie trzeba szukać sensu w cierpieniu, bo to może mieć znaczenie dla kogoś zupełnie innego.

Ks. Adam Zelga

We współczesnej kulturze, w bełkocie medialnym, boli sterowanie człowiekiem w kierunku ukochania swojego „ja”, podsycanie ludzkiego egoizmu. Okazuje się, że w sytuacji kiedy „ja” niknę, ginę, to jedyna szansa przetrwania jest, gdy obok „ja” pojawi się „ty”, poja-

wi się drugi. Nagle okazuje się, że jesteśmy otoczeni wianuszkiem kochających ludzi. Pojawiają się koledzy z pracy, są jakieś sms-y, telefony. Oni po prostu są. Wtedy właśnie „przekierowuje” się spojrzenie z „ja” na „ty”. „Ja” nic nie znaczę, w rozmaitych sytuacjach po prostu się rozsypię, ale ważniejsze jest „ty”. Trzeba zabiegać o drugiego, muszę mieć z nim relację, bo jak nie będę jej miał, to „ja” się go nie nauczę. Muszę chodzić na nabożeństwo Drogi Krzyżowej od młodości, bo gdy przyjdzie doświadczenie mojego „ja” w takim wydarzeniu, nagle okaże się, że obecność przy człowieku, który umierał, a ja uważałem, że jest to bez sensu i „po co ja na to patrzę”, może okazać się zbawienna. Tu chodzi o dostrzeżenie w drugim człowieku zwyczajnej ludzkiej godności. Więc nie „ja”, tylko „ty”.



Sluchacze

Magdalena Konczewska

Mówiliśmy tutaj o różnych przyczynach cierpienia: o śmierci, chorobie, opuszczeniu, samotności. Wielkim cierpieniem może być także brak przebaczenia. Nie wiem, czy ktoś z państwa miał takie doświadczenie – niemożności przebaczenia drugiemu, komuś bliższemu. Jest to straszne cierpienie, jeżeli w relacjach z drugim człowiekiem nie ma zgody i nie ma przebaczenia.

Ks. Adam Zelga

Śp. ksiądz Bozowski, znany warszawski kapłan, prowadził w seminarium rekolekcje przed święceniami i opowiadał historię, którą dobrze zapamiętałem. Rzecz dzieła się 17 września 1939 roku. Ks. Bozowski był wtedy we Francji i za chwilę, ubrany w ornat, miał wychodzić odprawić Mszę Świętą. W tym momencie dotarła do niego informacja, że wojska sowieckie zaatakowały Polskę od wschodu.

Ksiądz Bozowski opowiadał nam o tym, co się wówczas wydarzyło, jako o jednym z największych zwycięstw swego życia. Mówił, że przez długą chwilę nie był w stanie wyjść ze Mszą Świętą, bo wiedział, że będzie musiał powiedzieć słowa „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. W końcu po tej walce wewnętrznej otrzymał łaskę, zupełnie irracjonalną, sam nie wie skąd, która pozwoliła mu na refleksję, co będzie, jeśli wyjdzie z nienawiścią. Wyszedł i odprawił tę Mszę Świętą z przebaczeniem.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Na Uniwersytecie miałam szefową, która była osobą ząną, ale trudną. Kiedyś prowadziliśmy praktyki studenckie w terenie, na których byliśmy tak podzieleni, że każdy z asystentów prowadził swoją grupę studencką. Bardzo dobrze pracowało mi się z moją grupą i gdy studenci poprosili mnie o dodatkowy wyjazd w teren, żeby jeszcze coś zobaczyć, zbadać, zgodziłam się wspólnie z nimi pojechać. Po powrocie moja szefowa zmyła mi głowę. Nie pomagało tłumaczenie, że było to już po zajęciach. Uważałam, że jest to absolutnie bezpodstawne i niesprawiedliwe w stosunku do mnie. Rzecz się zakończyła wraz z praktykami, ale żal pozostał.

Byliśmy później na wakacjach w sandomierskiem i w parafii była organizowana krótka pielgrzymka do sanktuarium Matki Boskiej. Byliśmy znani w tej wsi, bo przyjeżdżaliśmy od kilku już lat na wakacje do chałupki niani naszych dzieci, więc ludzie prosili, żebyśmy szli z nimi na tę pielgrzymkę. W czasie pielgrzymki przyszła mi nagle do głowy myśl, że muszę coś zrobić z tą moją relacją z szefową. Po pielgrzymce napisałam do niej list, w którym wyjaśniłam wartość tego dodatkowego wypadu w czasie praktyki. List starałam się napisać w tonie przyjaznym. Mimo że nie dostałam żadnej na niego odpowiedzi, ani pisemnej ani słownej, to odczułam wyraźny jego efekt. Stosunki nasze uległy wyraźnej poprawie. To jest drobny przykład, ale pokazuje, jak ważne jest przebaczenie.

Ks. Adam Zelga

Pani Rektor prosiła, żebyśmy na zakończenie pomodlili się. Żeby to była modlitwa o zdrowie za wstawiennictwem ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego i żeby ją ofiarować za pana Krzysztofa Nicieję z wdzięcznością, że był z nami.



Krzysztof Nicieja (siedzi w ostatnim rzędzie)

Boże w Trójcy Świętej Jedyny, Ty w swojej niewypowiedzianej dobroci powołujesz ciągle nowych apostołów, aby przybliżali światu Twoją Miłość. Bądź uwielbiony za to, że dałeś nam opatrznosciowego Pasterza Stefana Kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Tysiąclecia. Boże, źródło wszelkiej świętości, spraw, prosimy Cię, aby Kościół zaliczył go do grona swoich świętych. Wejrzyj na jego heroiczną wiarę, całkowite oddanie się Tobie, na jego męstwo wobec przeciwności i prześladowań, które znosił dla imienia Twego. Pomnij, jak bardzo miłował Kościół Twojego Syna, jak wiernie kochał Ojczyznę i każdego człowieka, broniąc jego godności i praw, przebacząc wrogom, zło dobrem zwyciężając. Otocz chwałą wiernego Sługę Twojego Stefana Kardynała, który wszystko postawił na Maryję i Jej zawierzył bez granic, u Niej szukając pomocy w obronie

wiary Chrystusowej i wolności Narodu. Ojczyźnie nieskończenie dobry, uczyni go orędownikiem naszych spraw przed Tobą. Amen.

Błagam Cię, Boże, pokornie, udziel mi za wstawiennictwem Stefana Kardynała Wyszyńskiego tej łaski, o którą Cię teraz każdy z nas szczególnie prosi. Prosimy zwłaszcza, żebyś był z panem Krzysztofem Nicieją, który żyjesz i królujesz na wieki wieków. Amen.

Spisał z nagrania Łukasz Bujak

Cd. dyskusji uzyskanej drogą korespondencyjną

Krzysztof Niciejka (Warszawa)

Najpierw dały znać o sobie niewielkie dolegliwości brzucha. Kto by tam zwracał uwagę, tym bardziej, że raz było gorzej, a raz zupełnie dobrze. Intensywna praca, obowiązki domowe nie skłaniały do zajęcia się poważnie niewielkimi bólami. Aż „niewielkie bóle” przestały ustępować. Już przed pójściem na badania kontrolne zakładałem, że może to być rak. Wstępna diagnoza była bardzo niepokojąca. Coraz bardziej oswajałem się z myślą, że jestem poważnie chory. W końcu najgorsze przypuszczenia się potwierdziły: złośliwy nowotwór jelita. Z pełnym zaufaniem oddałem się w ręce lekarzy. W oczekiwaniu na operację, od stycznia do kwietnia, przechodziłem chemioterapię i radioterapię. W maju niespodziewanie ląduję w szpitalu na ostrym dyżurze, z całkowitą niedrożnością jelit.

I tutaj zaczynają się moje zmagania z bólem. Przestaję przyjmować jakiegokolwiek pokarmy i napoje. Pozostają tylko kroplówki. Bardzo szybko tracę na wadze. Z trudem poruszam się o własnych siłach. W takich okolicznościach muszę dotrwać do swojej planowej operacji w innym szpitalu, czyli około 10 dni. Czy wytrzymam? Ja tak. A mój brzuch?

I od tego momentu ból staje się dla mnie czymś nierozłącznym, nierozzerwalnym, nieustępującym. Stał się częścią mnie. Ból całą uwagę każe skupić na sobie!

Chwila retrospekcji. Parę lat temu bardzo zbliżyłem się do Boga. Czułem, że muszę radykalizować swoją postawę. Odejść od po-

wierzchności, przyzwyczajęń, rutyny, miałkości. Była to moja odpowiedź Panu Jezusowi. Po Mszy Świętej z modlitwą o uzdrowienie, z moją prośbą o wyzwolenie z nałogu papierosowego, wiedziałem, że już nigdy nie zapalę papierosa. To był cud. Nie miałem żadnych skutków ubocznych, czułem się wolny po latach nieskutecznych zmagani i prób porzucenia tego zgubnego nałogu. Zacząłem się zmieniać. Moje życie zaczęło się zmieniać. Z wdzięcznością stałem blisko Boga.

Kiedy leżałem na łóżku szpitalnym, na początku dopadała mnie myśl o własnej wyjątkowości. Na świecie jestem tylko ja i mój ból. Przychodziły myśli z pretensjami, niezgodą, frustracją i beznadzieją. Czułem jednak bezcelowość i bezsens takiego myślenia. Wtedy ulgę przynosiła mi myśl o dramatach innych. Łagry, obozy koncentracyjne, ubeckie piwnice. Myśląc o tym, nie dawałem sobie uprawnień do uzalania się nad sobą. Ja, będąc w bezpiecznym miejscu, pod opieką lekarzy i pielęgniarek, leżałem w czystym i ciepłym łóżku.

I w takich chwilach otwiera się miejsce na dziękczynienie i wdzięczność Bogu.

Zostawały jeszcze samotne, nieprzespane z bólu noce. Wydawało mi się, że jestem blisko granicy ludzkiej wytrzymałości. Wtedy przypominałem sobie słowa księdza, mojego kierownika duchowego: „Z drugiej strony krzyża, obok Chrystusa jest puste miejsce. Ono czeka na ciebie.” Zrozumiałem, że tamte słowa dotyczyły tej sytuacji. Dostałem zaproszenie na krzyż i przyjąłem je. Całe cierpienie powierzyłem Jezusowi, a im większego bólu doświadczałem, tym większe miałem zaufanie, że to, co przeżywam, ma sens.

Myślę, że Pan Bóg przygotował mnie do tej sytuacji: poprzez rodziców, księży, ludzi, których postawił na mojej drodze. Jestem im za to wdzięczny.

Doczekałem do operacji. Na drugi dzień po raz pierwszy od dwóch tygodni nie czułem żadnych dolegliwości (byłem pod wpływem silnych leków przeciwbólowych). Towarzyszyła mi ulga, radość i wdzięczność. Źródło bólu zostało usunięte, ale nowotwór okazał się nieoperowalny.

Wiedziałem, że rozpoczął się kolejny nieznany okres rekonwalescencji, a potem okres zdrowienia i oczekiwania na wielką niewiadomą. Zostałem „zdyskwalifikowany” z dalszego leczenia i wypisany ze szpitala pod opiekę hospicjum.

W moim życiu zmieniło się wszystko. Pogodzenie się z utratą zdrowia, pracy, było bardzo trudne, ale zacząłem dostrzegać też coś innego. Tytułowe „ubogacenie wewnętrzne”. Umocniły się moje relacje z Panem Bogiem. Na wiele trudnych pytań znajduję teraz odpowiedź. Bardzo na korzyść zmieniły się moje relacje z moją żoną. Dawno nie byliśmy sobie tak bliscy.

Widzę też dużą zmianę na korzyść w zachowaniu u mojego syna.

Bardzo sobie cenię odnowienie dawnych znajomości. Doświadczam dużego ciepła i wsparcia, a przede wszystkim cenię sobie zapewnienie o modlitwie. Jestem pewny, że nie są to gesty bezowocne. A za pomoc materialną brak mi słów wdzięczności.

Jestem pod troskliwą opieką pielęgniarki i pani doktor z hospicjum. Z każdej strony płyną do mnie pozytywne sygnały. Z każdej strony czuję wsparcie. Jakże jestem tym zbudowany.

Teraz inaczej przeżywam chorobę, chociaż dalej towarzyszą mi ból, troska o rodzinę, zmagania z własnymi słabościami. Wiem już, że z tego doświadczenia może również wypływać dobro.

Krzysztof Nicieja zmarł 5 czerwca 2011 r. Pamiętajmy o Nim w naszych modlitwach (przyt. red.).

Monika Gnatowska (Warszawa)

Bogu nie stawia się pytania: dlaczego?
 Każdy z nas ma swoje doświadczenia
 I nieraz to, co obrażony i pokrzywdzony,
 uważał za krzywdę, okazało się później
 nieprzewidzianą łaską dla niego.
 Zaufanie mądrości Bożej
 Jest najważniejsze

(KS. JAN TWARDOWSKI)

Każdy z nas w swoim życiu doświadczył cierpienia. Jedni stracili bliską osobę w wypadku lub w wyniku jej ciężkiej choroby, inni w wyniku kataklizmu stracili dorobek swojego życia, a może są i tacy, którzy nie zaznali ciepła w rodzinnym domu.

Cierpienie może być większe lub mniejsze zależnie od materii, której dotyczy, ale zawsze jest doświadczeniem dla człowieka. Sene-

ka powiedział: „Drzewo niesmagane wiatrem rzadko kiedy wyrasta na silne i zdrowe”. Ludzką rzeczą jest to, że płaczymy wtedy, jesteśmy zniechęceni, myślimy, że nie podołamy tej sytuacji. To są odczucia ludzkie i trudno wymagać, aby np. strata kogoś bliskiego wypełniała nas radością.

Przychodzi jednak czas na pogodzenie się z tym, czego nie możemy zmienić. Jest to trudne, ale musimy pamiętać, że nie jesteśmy sami. Wydaje mi się, że ludzie wierzący łatwiej przyjmują cierpienie, bo identyfikują się z cierpiącym Chrystusem. Jest też takie cierpienie, które jest łaską, chociaż w chwili, gdy go doświadczamy, zupełnie nie zdajemy sobie z tego sprawy. Cierpienie ma bowiem moc oczyszczającą i często jest właśnie takim zakrętem w życiu dla wielu z nas.

Każdy z nas na pewno potrafi wskazać przykład człowieka, który doświadczył cierpienia i który wyszedł z tej sytuacji mocniejszy niż przedtem. Ja pamiętam, że parę lat temu czytałam reportaż o dziewczynie, u której w szkole średniej wykryto raka. Niestety, trzeba było amputować nogę, wypadły jej włosy, ale Dominika nie poddała się. Najpierw sama wyzdrowiała, a później już jako wolontariuszka wspierała innych w powrocie do zdrowia lub była przy nich do końca ich dni. Zaczęła też studia na pedagogice, by w przyszłości pomagać chorym dzieciom. Lekarz w szpitalu, w którym Dominika była wolontariuszką, powiedział, że ona ma coś, czego nawet on nie ma. Ona przyjdzie, pokaże się, opowie o sobie i potrafi rozbudzić w młodych ludziach chęć do walki z chorobą, wiarę w to, że będzie dobrze. Dominika tak podsumowuje swoje doświadczenie: teraz żyję pełnią życia i potrafię je smakować. To cierpienie nie tylko odmieniło ją, ale przez to cierpienie rozlało się morze dobra na innych.

Ja także w swoim życiu miałam szczególne doświadczenie, które nauczyło mnie wytrwałości i samozaparciu. Urodziłam się z czterema punktami w skali Apgar, później wykryto u mnie wodniaki, które w porę zoperowano, miałam też lekki niedowład prawostronny. Właśnie przez to miałam trudności w nadążaniu w przepisywaniu z tablicy. Ciągłe z czymś nie zdążałam, co nie wynikało z lenistwa, ale z obniżonej sprawności. Dziecko jednak bardzo przeżywa pierwsze szkolne niepowodzenia, było mi przykro i czułam się z tym źle.

Pod koniec szkoły podstawowej trzeba było dokonać wyboru co do dalszej szkoły. Byłam w dużej rozterce, z jednej strony bardzo

chciałam uczyć się w technikum, a z drugiej nie wiedziałam, czy podołam jeszcze szybszemu pisaniu. Na szczęście w szkole średniej dzięki mojej determinacji tak wyćwiczyłam rękę, że nie tylko nadążałam za rówieśnikami, ale zaczęłam odnosić sukcesy w konkursach i na olimpiadach. Po jednej z nich (olimpiada religijna) kapłan zaproponował mi przygotowanie młodzieży do bierzmowania. Byłam szczęśliwa, że wreszcie moja praca została doceniona, a ja nie czuję się wyalienowana.

To doświadczenie niewątpliwie miało i ma wpływ na moje życie. Przede wszystkim mam bardzo pozytywne myśli, na temat osób niepełnosprawnych i uważam, że trzeba im stworzyć jak najlepsze warunki do pracy i nauki. Każdemu należy się szacunek, bo wszyscy jesteśmy dziećmi Boga.

Urszula Kossowska-Cezak (Warszawa)

Refleksja „niepoprawna politycznie”

Podczas Konwersatorium wysłuchałam wstrząsających świadectw cierpień, które nieoczekiwanie zrodziły dobro. Opracowując tekst wypowiedzi do druku pod względem językowym (wiadomo – żywy, mówiony język rządzi się innymi prawami niż tekst pisany), zetknęłam się z nimi ponownie. Wtedy to wyraźnie nawiedziła mnie refleksja, która już niejasno plątała mi się po głowie podczas Konwersatorium: czy każde ludzkie cierpienie rodzi dobro? Czy każdy po przeżytym cierpieniu staje się lepszy, głębszy duchowo, bardziej wrażliwy? Gdyby każde cierpienie tak wzbogacało wewnętrznie człowieka, największymi dobroczyńcami ludzkości byłiby najgorsi zbrodniarze, gdyż, zadając innym cierpienia, dawaliby cierpiącym niepowtarzalną okazję stania się lepszymi, głębszymi, mądrzejszymi.

Zdrowy instynkt mówi nam jednak, że tak nie jest! Żaden przyzwoity człowiek nie przyczynia cierpień innym (również zwierzętom), cierpiącym w miarę możliwości pomaga, a sam cierpień unika – i nikt nie ma mu tego za złe. Gloryfikowanie cierpienia jako takiego jest naiwnością lub cynizmem. Jeśli zaś czasem z wielkiego cierpienia wynika dobro, to już jest tajemnica Pana Boga, której człowiek nie jest w stanie przeniknąć. Może tylko z pokorą pochylić głowę. I to tyle w związku z tym, co było na Konwersatorium.

A teraz o tym czego nie było – a szkoda, bo może dyskusja potoczyłaby się w innym kierunku. Otóż była mowa o cierpieniach

związanych z wydarzeniami losowymi – chorobą, śmiercią bliskich, nieszczęśliwym wypadkiem. Nie było natomiast ani słowa o cierpieniach psychicznych, jakie zadaje jeden człowiek drugiemu.

Mam tu na myśli cierpienia ludzi odrzuconych, upokarzanych, wzgardzonych, zniewolonych, traktowanych instrumentalnie, poddanych przemocy innego człowieka, często zresztą człowieka najbliższego. Ten nawet może nie być świadomy zadawanych przez siebie cierpień, a jeśli próbuje się mu to uświadomić, to nie rozumie i nie przyjmuje tego do wiadomości, bagatelizuje – że niby o co chodzi? Jest to sytuacja znana z wielu małżeństw. Bywa i tak, że cierpienia są zadawane z pełną świadomością, w przekonaniu, że przyniosą dobre owoce. To sytuacja, w której rodzice brutalnie ingerują w życie dzieci, na przykład w sprawie wyboru zawodu lub małżonka. Bywa też i tak, że człowiek zadaje cierpienia drugiemu, traktując go instrumentalnie, jako środek prowadzący do celu, zupełnie się z nim nie licząc. „Szczytowe osiągnięcie” w tej mierze stanowi postępowanie osławionego Fritzla, ale i w codziennym życiu iluż możemy spotkać szefów bezwzględnie „używających” swoich pracowników. Myślę, że tego rodzaju cierpienia nie dają żadnych szans na jakiegokolwiek „ubogacenie wewnętrzne”, podobnie jak cierpienia Żyda prowadzonego do gazu na Majdanku. Takie cierpienia psychiczne bywają straszne, mogą człowieka tylko zniszczyć, niekiedy śmiertelnie. Bo czymże jest samobójstwo, jeśli nie skutkiem cierpień już nie do wytrzymania? A z ilu ludzi dręczonych i upokarzanych w dzieciństwie wyrastają potwory, które potem przez całe życie mszczą się na innych za swoje dawne cierpienia?

Nie należy więc głosić pochwały cierpienia, bo z niego dobro może wyniknąć, ale wcale nie musi. Głośmy pochwałę miłości bliźniego, miłosierdzia, wrażliwości i empatii. Nie zapobiegniemy chorobom, wypadkom ani klęskom żywiołowym, ale przynajmniej powinniśmy się starać, aby nie być jeden drugiemu katem.

*Czy doceniam otrzymane błogosławieństwo
i czy nie skąpię go innym?*



Cytaty

Ks. ALFONS JÓZEF SKOWRONEK *Niekończące się błogosławieństwo*
(fragmenty)

Wniebowstąpienie jest świętem błogosławieństwa, ostatnim aktem danym Kościołowi do oglądania Jezusa. (...) Błogosławieństwo Aaronowe, które po dziś dzień kapłan często wygłasza na zakończenie Mszy Świętej: „Niech cię Pan błogosławi i strzeże. Niech Pan rozpromieni oblicze swe nad tobą, niech cię obdarzy swą łaską. Niech zwróci ku tobie oblicze swoje i niech cię obdarzy pokojem” (Lb 6, 24-26). (...) Czyńcie również i to na Moją pamiątkę! Wy, błogosławieni, podawajcie dalej to, co otrzymujecie! W każdym końcowym błogosławieństwie Mszy Świętej ożywia się na nowo pożegnalny ów gest ręką. Są ludzie, którzy w dzień powszedni przychodzą na nabożeństwo „tylko” po to, ażeby umocnieni wkroczyć mogli w nowy dzień tygodnia.

U Łukasza Jezus zachowuje swój gest błogosławieństwa aż do tego momentu odejścia. Od uczniów nie odwraca się nagłym ruchem. Nie kieruje się energicznym krokiem ku wyjściu. Pozostaje zwrócony do nas. Błogosławiąc, skinięciem dłoni daje nam znak, że jest z nami, przerzuca ku nam pomost. Błogosławieństwo jest niezwykle głębokim gestem komunikacji – niejako niewidzialną wstęgą między tym, który błogosławi, i tym, który błogosławieństwo przyjmuje. Ów ruch ręki jest wielce obiecujący i uczniowie go rozumieją. Tych, których błogosławi, Jezus nie pozostawia samych i zdanych na swój los. Błogosławieństwo trwa i na nich spoczywa. W geście tym dokonuje się samoudzielenie się.

(...) Niekiedy bolejemy, że żegnając się, nie wpadło nam do głowy coś wznioślejszego, głębszego i bardziej osobistego do powiedzenia ponad ograniczony repertuar zdawkowych banałów: Żyj! Do następnego razu! Daj o sobie znać! Cześć!

I właśnie dlatego ryty aranżowane u progu, na zakręcie, nie powinny nigdy zaginać:

– ujmujący gest matki, która odprawia swe dzieci w codzienny dzień do przedszkola lub szkoły, kreśląc na czole znak krzyża, ów znak nadziei, że nastąpi dobre i zdrowe widzenie się;

– kojący i uzdrowicielski dotyk między małżonkami i u chorych: uścisk ramion, pocałunek, przelotny całus warg, ale i znaczne na czole błogosławieństwo!

– duszpasterzom znana jest prośba wielu podróżujących i turystów o błogosławieństwo na drogę. W Anglii na wjazdach na mosty często widnieje modlitewny łaciński napis: „Domine, dirige nos!” – „Panie, prowadź nas!” Naśladujmy tę piękną bożą formułę życzenia szczęścia: znacmy sobie nawzajem na czole ślady bliskości Chrystusa! Wtedy spłynie na nasze ciało szczęśny ślad nieba, na tę ziemię. Albowiem Bóg obiecuje nam nowe widzenie się. Niebo jest zaś miejscem, gdzie znów się zobaczymy u Boga i w Bogu.

W tym miejscu nie mogę sobie odmówić zrelacjonowania zdarzenia, jakie od kilku lat powtarza się w kościele, w którym co niedzielę sprawuję Eucharystię. Uczestniczą w niej także młode matki i ojcowie przychodzący z ich przedszkolnymi pociechami. Przyjmując Komunię Świętą, trzymają je za rączkę i chowają za siebie. Zacząłem te dziewczynki i chłopców wyławiać z tego ukrycia i podawszy rodzicowi Hostię, jąłem pochylać się nad każdym z nich, kreśląc mu na czole znak krzyża. Z początku gest ten przyjmowano z pewnym zadziwieniem, lecz niedługo niewyszukany ten ryt tak się zadomowił, że stał się stałym elementem przy rozdzielaniu Komunii Świętej Maluchy podchodzą z rodzicami i często z uśmiechem na ustach pokazują swe nowe zabawki.

KS. HENRYK ROMANIUK *Błogosławieństwa – życzenia szczęścia*
(fragmenty)

Już w Psalmach 1 i 128 spotykamy „szczęśliwego człowieka”, który znalazł swoje miejsce na Bożych drogach w prawości i pokoju. Szczególnym przykładem zachęty do szczodrości są słowa Apostoła: „Więcej szczęścia jest w dawaniu, aniżeli w braniu” (Dz 20, 35b; por. Tb 12, 8), którymi św. Paweł zwraca się do przebiterów w Milecie. Ten agrafon biblijny (słowa Jezusa zapamiętane tylko w tradycji ustnej, niezapisane) oddaje ducha Błogosła-

wieństw obecnego i w innych pouczeniach: „Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie!” (por. Mt 10, 8b). Zasadę radosnego czynienia dobra, która stanowi literacką klamrę dla Kazania na Górze, znajdujemy w Złotej Regule: „Wszystko, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie! Albowiem na tym polega Prawo i Prorocy” (Mt 7, 12). Niech Apostoł Narodów pomaga nam w modlitewnym wspinaniu się na Górę Błogosławieństw: „Radujcie się zawsze w Panu!” (por. Flp 4, 4-9). Tam jest szkoła prawdziwego szczęścia człowieka.

Czyż nie są jakimś potwierdzeniem nowego polskiego odczytania Jezusowych Błogosławieństw papieskie słowa z Gliwic? „Dzisiaj zwracam się jeszcze raz do wszystkich moich rodaków w Ojczyźnie. Budujcie przyszłość narodu na miłości Boga i braci, na poszanowaniu przykazań Bożych i na życiu łaski. Szczęśliwy jest bowiem człowiek, szczęśliwy jest naród, który ma upodobanie w Prawie Pana”. Po niewiele lat taka wizja życia znowu wydaje się niektórym jakoś niepraktyczna, oderwana od rzeczywistości walki o zysk i zamknięta we wspomnieniach pobożnych wzruszeń. Przecież to jest program dla Polski, dla konkretnych Polaków i dla całego społeczeństwa, dla którego Jan Paweł II jeszcze coś znaczy. Mówił on pod koniec XX wieku, zaczynając w Gdańsku swoje pielgrzymowanie: „Dzisiaj potrzeba światu i Polsce ludzi mocnych sercem, którzy w pokorze służą i miłują, błogosławią, a nie złorzeczą, i błogosławieństwem Ziemię zdobywają”. Owi „potrzebni ludzie serca” to my, świadkowie tamtych dni, i ci, którzy rodzą się i dorastają, przez nas wychowywani na szczęśliwych ludzi. Czyż oni nie należą do „pokolenia JP2”?

(...) Potrzeba może Polakom jakiejś nowej „koronki Błogosławieństw”, nowej pobożności ludzi szczęśliwych inaczej, niż malują to ekrany telewizorów i reklamy na ulicach naszych miast. Niech to będzie forma pierścieni z perłami, czy wianuszków z paciorkami, by powtarzać Błogosławieństwa w cichej zadumie i w czasie publicznych modłów. Można ustanowić nabożeństwo Błogosławieństw, rodzaj nowenny z przykładami z katalogu nie tylko polskich świętych, by w nim wychowywać ludzi do szczęśliwego człowieczeństwa, pogodnego chrześcijaństwa. Te modlitwy zaprowadzą nas przed ołtarz, do przyjęcia Komunii Świętej, na święto odnowionego przymierza: „Błogosławieni, którzy są wezwani

na ucztę Godów Baranka” (Ap 19, 9). Nakarmieni tak cudownie jak nad brzegami Genezaret i w jerozolimskim Wieczerniku, przeżyjemy w Polsce jedność ludzi pojednanych w Chrystusie. Błogosławieni Polacy, szczęśliwi chrześcijanie. Tego pragnął i tego nam życzył szczęśliwy jako na ziemi tak i w niebie – tak wierzymy – Sługa Boży, Papież z Polski.

KONWERSATORIUM XLVII (16 kwietnia 2011)

Czy doceniam otrzymane błogosławieństwo i czy nie skąpię go innym?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii pw. bł. Edmunda Bojanowskiego), O. Wojciech Jędrzejewski OP, Jan Szubski (absolwent SGGW, prowadzący własną firmę), Dorota Szubska (pedagog, logopeda i reedukator), Zenon Kosicki.



Paneliści: ks. Adam Zelga, Dorota i Jan Szubscy, Zenon Kosicki
i O. Wojciech Jędrzejewski

Ks. Adam Zelga

Współczesna kultura, współczesny świat jest skupiony na sobie, na „ja”. Mówienie, że człowiek potrzebuje obecności drugiego, potrzebuje jego „łaski”, jego błogosławieństwa, wsparcia, życzliwości, nie jest, być może, do końca zrozumiałe. Stąd

dzisiejszy temat. Biblia przedstawia nam bardzo prostą drogę życia: „tak” i „nie”, czarno – białe barwy. Psalm mówi o wyborze „błogosławieństwa lub przekleństwa”. Propozycja biblijna jest bardzo radykalna: tak – nie. Chodzi zatem o radykalne świadectwo owemu „tak”. Jak to możliwe? Czy jest możliwa realizacja Ewangelii w życiu prostego, szarego „zjadacza chleba”? Jak realizować drogę propozycji Pana? Tak, jest to możliwe, bo On powiedział: „Ja jestem z wami aż do skończenia świata”.

Dorota Szubska

Jestem w małżeństwie aż od 18 lat albo dopiero od 18 lat, mamy troje dzieci, albo pięcioro, bo dwoje jest w niebie. Są tu z nami dwie córki, a syn jest teraz na rekolekcjach ze swoją klasą z Przymierza Rodzin. Zostaliśmy zaproszeni, żeby dać świadectwo na temat błogosławieństwa. W moim życiu błogosławieństwo było i jest obecne dzisiaj. Kiedy byłam jeszcze w szkole, uczestnicząc w życiu kościoła, w katechizacji, błogosławieństwo było obecne w moim życiu w naturalny sposób. Przyjmowaliśmy je na końcu każdej Mszy Świętej, a także jak ksiądz chodził po kolędzie i błogosławił całą rodzinę i nasz dom. Również błogosławieństwo stało się dla mnie bardziej obecne i bardziej uświadomione, kiedy mogłam przyjmować je także od mojego ojca, który nas błogosławił, gdy byliśmy dziećmi. Znaczenie tego błogosławieństwa przyjmowanego z rąk ojca zrozumiałam znacznie później. Błogosławił nas w niedzielę podczas wspólnej modlitwy. Dzisiaj cieszę się, że możemy błogosławić nasze dzieci.

Błogosławieństwo przyjmowane od Ojca w niebie za pośrednictwem kapłana jest dla mnie czymś szczególnie ważnym, bo Bóg przez to błogosławieństwo daje mi pewność, że nie pozostawia mnie samej tu na Ziemi, z kłopotami, z problemami, z trudnymi sytuacjami, że jest obecny, że chce to moje życie prowadzić. To wcale nie znaczy, że jeśli ja przyjmę błogosławieństwo, to w moim życiu nie będzie problemów, żadnych kłopotów, cierpienia, ale że w tych cierpieniach, kłopotach jestem umocniona właśnie przez to błogosławieństwo. Myślę, że nikt z nas nie jest pozbawiony cierpienia w swoim życiu. Jakie by ono nie było, to świadomość, że jest to błogosławieństwo, pomaga w życiu, umacnia. Na co dzień pomaga mi świadomość, że nie jestem w kłopotach pozostawiona sama so-



Dorota Szubska

bie, że mogę zwracać się do Boga o błogosławieństwo, o pomoc. Chciałabym teraz oddać głos mojemu mężowi, który jako ojciec rodziny błogosławi nasze dzieci.

Jan Szubski

Historia moja i Doroty, z którą znaleźliśmy się z widzenia przed małżeństwem trochę więcej niż 7 lat, była podobna. W mojej rodzinie zawsze w niedzielę rodzice zapraszali nas na poranną modlitwę, podczas której mogliśmy czytać Słowo i rozmawiać z rodzicami. Podczas tej modlitwy był taki ważny moment, kiedy ojciec kładł ręce na głowie dzieci i błogosławił je. Kiedy dzisiaj, z perspektywy czasu, patrzę na siebie jako na wtedy niegrzecznego i krnąbrnego chłopaka, który buntował się, dlaczego w niedzielę, przecież jest tyle ciekawych rzeczy do zrobienia – wiem, jakie to było ważne. Na szczęście posłuszeństwo względem ojca decydowało o tym, że siadałam razem przy stole – fizycznie, bo psychicznie niekoniecznie byłem obecny. Kiedy przyszło dojrzewanie, wzrastanie, mogłem patrzeć na to wydarzenie jako na łaskę, którą dostałem od Pana. Nie wiem, co bym robił i kim byłbym dzisiaj, gdyby nie tamte wydarzenia. Jestem dzisiaj przekonany, że Pan Bóg mi błogosławi,

mam na to wiele dowodów w codziennym życiu – przez moje doświadczenia w prowadzeniu firmy, jak i życie w rodzinie. Robimy tak samo, jak było w naszych domach rodzinnych, też modlimy się razem z dziećmi. Mogę własnymi rękoma błogosławić dzieci, nie jako ja, ale wierzę głęboko, że Pan Bóg im błogosławi, nie moją siłą, ale Jego, żeby przeżywać kolejne tygodnie. Zawsze w niedzielę, kiedy jest ogólne błogosławieństwo dzieci: „Niech Cię Pan Bóg błogosławi, strzeże i doprowadzi do życia wiecznego” – kiedy kreślę znak krzyża na ich czołach, jest to szczególny moment. Specjalne błogosławieństwo jest zawsze 1 stycznia. Czytamy wtedy werset z księgi liczb i jest to pełne błogosławieństwo na cały rok. Pewnych rzeczy uczymy się. Dzieciaki nie chcą iść spać, jeśli nie dostaną krzyża na czoło. Czuję, że Pan Bóg daje im łaskę, że rozumieją, że to ważne. Także jest naszym zwyczajem znak krzyża, kiedy zostawiamy dzieciaki pod różnymi szkołami, jako błogosławieństwo na ten konkretny dzień, na wydarzenia, które ten dzień przyniesie.



Jan i Dorota Szubscy

Zenon Kosicki

Żyjemy w małżeństwie od 10 lat, mamy dwoje dzieci, syn i córka, trzecie „w drodze”. Właśnie dlatego nie ma tu mojej żony, że musi leżeć. Czytając cytat, przygotowany na dzisiejsze konwersatorium, chcę powiedzieć, że u nas zaistniała podobna sytuacja. W pa-

rafii pojawił się ksiądz, który zaczął błogosławić dzieci. Moja najstarsza córka, kiedy widzi, że ten ksiądz udziela Komunii, to „ciągnie” mnie, żeby dostać krzyżyk na czoło. To błogosławienie dzieci jest dla nich wielką frajdą. Kiedy ksiądz udziela Komunii dorosłym, to przy tym błogosławi dzieci. U nas w domu my błogosławimy dzieci i one nawzajem błogosławią nas. To jest nasz taki normalny rytuał, kiedy idziemy spać czy gdy wychodzę do pracy.



Zenon Kosicki

Chciałbym jeszcze powiedzieć o braku błogosławieństwa, podzielić się historią, jakiej sam doświadczyłem. W swoim życiu niestety nie doświadczałem błogosławieństwa od swoich rodziców. Wręcz przeciwnie, wiem, że kiedy ja się począłem, to mój tata nie był zadowolony z tego powodu. Kiedyś Pan Bóg na modlitwie dał mi zobaczyć tę scenę. Kiedy już mieszkałem poza domem i przyjechałem do domu, zapytałem mamę o tę sytuację. Jak to było rzeczywiście, kiedy mama powiedziała mojemu tacie, że ja zostałem poczęty (jestem najmłodszym, czwartym z kolei dzieckiem). Usłyszałem wówczas od niej słowa, które dał mi Pan Bóg poznać, te same,

które usłyszałem w trakcie modlitwy. To był dla mnie duży szok. Wtedy też zrozumiałem, dlaczego przez długie lata żyłem w poczuciu, że jestem niepotrzebny na świecie, że czułem się taki trochę do niczego. Wydaje mi się, że te słowa mojego ojca, to, że odrzucił mnie, przeklął, odcisnęły piętno na moim życiu. To spowodowało, że zawsze byłem takim, który dużo słuchał, patrzył na innych, mało dawał z siebie i zawsze był „jakby z tyłu”, wycofany. Myślałem wtedy – po co mam się odzywać, kiedy inni są mądrzejsi. Czułem się przez to trochę inny. Pan Bóg mnie w końcu z tego wyprowadził. Bardzo ważny był moment, kiedy ja mogłem mojemu ojcu wybaczyć, wybaczyć z serca. To przekleństwo w tym momencie straciło swoją moc. Doświadczyłem uczucia, że Pan Bóg mnie chciał, zaplanował, ukochał od samego początku, poczułem się potrzebny na świecie. To było dla mnie bardzo ważne doświadczenie.



Zenon Kosicki siedzi między O. Wojciechem Jędrzejewskim
a Janem Szubskim

Chcę też powiedzieć o innym wymiarze błogosławieństwa, co jest związane z moim przyjacielem, który był podobny do mnie, tylko powiedziałbym, jeszcze bardziej wycofany niż ja. Jego przekleństwo polegało na tym, że jego tata nigdy nie dopuszczał go do żadnych działań wspólnych. Kiedy były jakieś prace w gospodar-

stwie, jego ojciec mówił mu: ty temu nie podołasz, nie potrafisz, nie nadajesz się. Te słowa okazały się bardzo silne. To był człowiek w gorszej sytuacji niż ja, którego jeszcze było mniej widać. I myśmy się spotkali, być może dlatego, że podobieństwa się przyciągają. Pamiętam, jak on był mi bardzo wdzięczny, kiedy go słuchałem. Po raz pierwszy pewnie ktoś go wysłuchał, miał dla niego czas, uważał, że to jest wartościowe, co on mówi. Nasza przyjaźń jakiś czas trwała, w tym czasie dzieliliśmy się naszym doświadczeniem. Modliliśmy się razem, żeby słowa jego taty, wiele razy wypowiedziane, przesłały mieć znaczenie, żeby Pan Bóg to przemienił. Dzisiaj mogę powiedzieć, że po 12 latach od tamtej modlitwy to jest zupełnie inny człowiek, jest księdzem zakonnikiem, jest bardzo aktywny, udzielający się, nie ma problemów z kontaktem z innymi ludźmi. Jest to moje doświadczenie, że można znaczenie błogosławieństwa poznać przez jego brak. Można doświadczyć czegoś odwrotnego, jeśli nasze życie nie było błogosławione, nie było przyjęte, kochane tak, jakbyśmy chcieli. Dla Pana Boga to nie jest problem. Problem jest taki, że jeśli ja uwierzę w przekleństwo, to ono ma niestety nade mną władzę. Jeśli ja je oddam Ojcu w Niebie, to on może to zmienić. Moja obecność tutaj, fakt, że mogę o tym mówić, jest dowodem, świadectwem, że przekleństwo mojego ojca zostało złamane i że w moim dzisiejszym życiu jest obecne błogosławieństwo.

O. Wojciech Jędrzejewski

Pochodzę z zakonu, który jako swoją formułę przyjął trzy słowa: *laudare* (uwielbiać), *benedicere* (błogosławić) i *praedicare* (przepowiadać, głosić). Zakon Braci Kaznodziejów zrodził się z troski o ludzi odchodzących z Kościoła, o ludzi, którzy czuli się zdradzeni przez Kościół. Jakie były realia historyczne powstania Dominikanów? Gdy rodziła się herezja manicheizmu, papież Innocenty III wysłał swoją armię do małego miasteczka, gdzie parę tysięcy osób zostało zamordowanych w kościele Św. Marii Magdaleny. Opisał to zdarzenie legat papieski Arnaud Amaury, opat z Cîteaux. 22 lipca 1209 zdobyto Béziers, zamieszkane przez katolików i katarów. Doszło wówczas do wyjątkowo drastycznych wydarzeń. W kościele św. Marii Magdaleny wyrżnięto w pień 7000 ludzi, w tym kobiety i dzieci. Na ulicach miasta zabito i okaleczono dalsze kilka tysięcy. Arnaud zdał Innocentemu III następującą relację: „Dzisiaj,



O. Wojciech Jędrzejewski

Wasza Świątobliwość, dwadzieścia tysięcy mieszkańców wydano mieczowi, niezależnie od posady, wieku czy płci". Niezwykle smutne i upokarzające dla Kościoła zdarzenie.

W tym samym czasie Bóg wzbudza w Św. Dominiku charyzmat głoszenia słowa Bożego, który wyrasta z dwóch źródeł.: pierwszym jest uwielbienie Boga, odkrycie Jego miłości, Jego piękna, o którym pragnie się śpiewać, drugim zaś postawa *benedicere* (błogosławić). To spojrzenie na ludzi pełne życzliwości, w którym widzi się nie wrednych, paskudnych odstępców, ale ludzi pozbawionych Ewangelii w wyniku zaniedbań samego Kościoła. Papież mówił wtedy, że biskupi byli jak „nieme psy”. Proboszczowie nie mogli, według prawa kościelnego, głosić kazań, z czym wiązał się fakt, że całe rzesze ludzi nie słyszało Ewangelii.

Dominik rozpoczyna swoją postugę kaznodziejską w taki oto sposób: napotyka orszak papieski, wracający „na tarczy” z miasta, z którego ludzie ich przegnali, mówiąc: „Skoro przyjechaliście potępić nas i nakazać nam powrót do Kościoła, to nie chcemy z Wami rozmawiać”. Dominik poleca, aby orszak papieski odprawił swoje bogate powozy, całą świtę i wrócił razem z nim, aby rozmawiać z odstępcami. Pierwszą noc Dominik spędza w karczmie, gdzie całą noc rozmawia (prawdopodobnie nie tylko przy wodzie)

z właścicielem karczmy – heretykiem, który nad ranem decyduje się na powrót do katolicyzmu. To jest postawa, którą Dominik przekazał zakonowi i jest ona podstawą głoszenia Ewangelii. Oto reguła św. Dominika: jeśli nie szanujesz ludzi, którym głosisz Ewangelię, jeśli ich nie lubisz, jeśli w twoich oczach nie są nic warte, zasługują na potępienie i sformatowanie, nie zabieraj się do głoszenia. Formułę *Laudare, benedicere, praedicare* rozumiem więc następująco: głoś Ewangelię tylko wówczas, kiedy jesteś zachwycony Bogiem i człowiekiem. Oczywiście możesz widzieć w człowieku kogoś, kto błądzi, poszukuje, niech jednak, pomimo swych upadków, pozostanie zawsze kimś wartościowym w twoich oczach.

Biblijna idea błogosławieństwa bierze się z Księgi Rodzaju. Wtedy to „Bóg widział, że to, co uczynił, było bardzo dobre”. Bóg patrzył na rzeczywistość, na świat i widział, że jest dobra. Kiedy Żydzi życzą sobie błogosławieństwa, to mówią: „Niech Pan rozpromieni nad tobą swoje oblicze. Oby ci dane było zobaczyć spojrzenie Boga, w którym On, patrząc na ciebie, widzi z dumą swojego syna, swoją córkę”.

Drugi moment idei błogosławieństwa polega na tym, że Bóg bardzo chce umocnić to, co w tobie jest najlepsze: dać ci siłę, żebyś rozwinął swój potencjał. To są te dwa elementy biblijnie rozumianego błogosławieństwa. Radość i pragnienie, żeby przekazać siłę – konkretną energię, która będzie pomagała w rozwoju człowieka.

Bardzo mnie zachwyca ów pomysł Pana Boga na kaznodziejstwo, które wtedy w XIII wieku było szczególnie potrzebne z racji wielkiego głodu Słowa. Piękne jest to, że charyzmat głoszenia Słowa został wzbudzony z podwójnego zachwyty nad Bogiem i człowiekiem. Ten, który głosi – kaznodzieja – przychodzi z wielką wiarą w człowieka, aby pomóc mu zobaczyć coś, czego on pragnie (choć z różnych przyczyn od tego się oddala). Kaznodzieja przychodzi, aby umacniać, aby odbudować w człowieku nadzieję. To jest właśnie kaznodziejstwo przeniknięte duchem błogosławieństwa.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Mówiliśmy o różnych formach błogosławieństwa w rodzinach, jak jedzie się w daleką podróż, czy zwyczaj, że żegnamy się, wsiadając do samochodu, albo kreślimy znak krzyża na czole dzieciom czy komuś wychodzącemu z domu.

Chciałam powiedzieć o dwóch innych formach błogosławieństwa. Jedną charakterystyczną formą dla wschodniej Polski jest ta, której doświadczamy tam, gdzie mamy działkę i gdzie jesteśmy zaprzyjaźnieni z rodziną, która mieszka niedaleko nas. Jak wyjeżdżamy, to często tam wstępujemy, żeby się pożegnać. Wtedy gospodyni – właścicielka domu wychodzi przed bramę i jak my wyjeżdżamy, kreśli w powietrzu znak krzyża, żebyśmy szczęśliwie dojechali do domu. Jest to bardzo sympatyczny zwyczaj i bardzo go sobie cenimy.

Drugą formą błogosławieństwa może być przekazana życzliwość, np. uściska się kogoś czy choćby powie coś miłego drugiej osobie. Jesteśmy tutaj pośrednikami w przekazywaniu Bożej miłości do człowieka, sympatii i życzliwości.



Andrzej Dowgiałło, za nim siedzi Anna Ciepiela

Andrzej Dowgiałło

Przekazanie życzliwości jest ważne, bo pomaga innym, ludzie jej potrzebują, niechęć i nienawiść szkodzi im. Ma to swoje odzwierciedlenie w łacińskich określeniach *benedico* i *maledico*, czyli dobrze mówię, dobrze życzę i źle życzę, złorzeczę komuś.

Elżbieta Pierścionek

Chciałam podzielić się z Państwem zdarzeniem z mojej parafii. Otóż ksiądz proboszcz, tu obecny ksiądz Adam Zelga, odkąd buduje kościół, zamawia na Niedzielę Palmową palmy gdzieś na wsi pod Warszawą i zachęca parafian, żeby je kupowali, a pieniądze z ich sprzedaży przeznaczają na fundusz budowlany. W ubiegłym roku przypadkowo znalazłam się w pobliżu budowy, kiedy zajęła furgonetka wypakowana po brzegi palemkami. Słyszałam rozmowę telefoniczną kierowcy z księdzem Adamem, który mówił, że jest gdzieś daleko, że inni księża też są nieuchwytni i zaproponował, żeby te palmy przywieźć następnego dnia. Kierowca miał niewesołą minę. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że aby wywiązać się na czas, jego żona, która jest na bezpłatnym urlopie macierzyńskim, przez całą ostatnią noc wiązała te palemki i tak bardzo cieszyła się na te pieniądze, które jej on przywiezie. Zapytałam, ile czasu jechał. Odpowiedział, że trzy godziny, bo to wprawdzie nieco ponad 100 km, ale był duży korek. Zadzwoiłam do księdza Adama i zaproponowałam, że wyłożę ze swoich pieniędzy, żeby tego pana dwa razy nie fatygować, a palemki złożymy w kruchcie. Ksiądz był nieco zaskoczony, ale chętnie przystał na takie rozwiązanie. Pojechaliśmy do banku, pobrałam odpowiednią kwotę pieniędzy i przekazałam uradowanemu kierowcy. „Niech pani Bóg błogosławi – usłyszałam na pożegnanie – opowiem wszystko żonie, to będzie się za panią modliła”. Proste słowa, ale jakże wspaniałe. Ksiądz Adam oddał mi całą kwotę banknotami dziesięciozłotowymi. Były to dwie całkiem spore paczki. „Niech pani przeliczy, żebym nie zwrócił za mało.., a zresztą, jeśli nawet, to niech Pan Bóg pani wynagrodzi” – zażartował jak zawsze.

Codzienne zakupy, te za gotówkę, robię w osiedlowym sklepiku „U Zbyszka”. Za którymś tam kolejnym razem, kiedy regulowałam należność dziesiątkami, pani Agnieszka zainteresowała się: „Skąd pani ma tyle tych dziesiątek? Czy to aby prawdziwe pieniądze?” –

śmiała się. Sama się dziwię: mam je i mam, chyba mi się rozmnożyły, bo one z kościoła, z tacy i pobłogosławione.

O. Wojciech Jędrzejewski

Mogę trochę rozszerzyć biblijne pole znaczenia błogosławieństwa. Przenieśmy się oczami wyobraźni w ten moment, kiedy ojciec – starzec błogosławi swojego syna. Co tam tak naprawdę się dzieje? On mówi całym sobą: „Chciałbym ci przekazać to, co mam najlepszego. Ten rodzaj doświadczeń, który stał się moim udziałem, który umocnił moje serce. Było wiele doświadczeń, które mnie osłabiły, ale tego nie chcę ci przekazywać. Było mnóstwo przeżyć, które mnie wewnętrznie przeobraziły, wypełniły światłem, siłą, wielką ufnością, którą pokładam w Bogu. I to wszystko pragnę ci dać”.

Kiedy Patriarcha wyciąga prawicę (a prawica jest symbolem siły, mocy), to ów gest staje się znakiem – pragnieniem, aby tę energię przekazać.

Dla mnie jest niezwykle, że ten przekazujący błogosławieństwo starzec nie chce pouczać, mówić, jakie błędy zrobił, a co udało mu się pozytywnego osiągnąć. Nie, on pragnie przekazać tę realną siłę, która zrodziła się z owych błogosławionych, dobrych, ożywiających doświadczeń, które dane mu było przeżyć. Jako wierzący Żyd, widzi za nimi Boga, Źródło życia.

Jednym z biblijnych obrazów, który mówi o błogosławieństwie Boga, jest wizja rwącego strumienia, który wypływa spod progu świątyni (Ez 47,1nn). Ów strumień ożywia te wszystkie miejsca, przez które płynie. Przy jego brzegach rosną drzewa, a gdy wpływa do słonych wód, one zostają uzdrowione. Każdy z nas miewa takie doświadczenia, kiedy dane jest nam wkroczyć i poczuć siłę takiego strumienia. Jest nim miłość, troska o kogoś, odpowiedzialność. To są te przeżycia, które nas zmieniają, które nas umacniają, dają życie, gdziekolwiek sięgamy po tę energię.

Marzena Pfeffer

Błogosławieństwo *Urbi et orbi* (miastu i światu) udzielane przez Ojca Świętego i odmawianie razem z nim w niedzielę modlitwy Anioł Pański jest dla mnie ogromnie ważne, daje mi siłę na cały nadchodzący czas.



O. Wojciech Jędrzejewski

Bogdan Motelski

Powiem o różnych formach błogosławieństwa w rodzinie. Jedno może być udzielane w imieniu Boga przez księdza przychodzącego po kolędzie, inne przez rodzica, który będąc w łączności z Bogiem błogosławiąc, przekazuje dobre życzenia od siebie i od Boga jednocześnie. To nie musi być błogosławieństwo w formie krzyża. Wystarczy pomyśleć, że błogosławię tobie, i położyć rękę na głowie dziecka i pogłaskać je. Jest to błogosławieństwo z miłości. Z mojego doświadczenia wynika, że może być to ważne nawet dla dorosłych dzieci. Mam córki, które już piszą magisterium, a mimo tego przychodzą wieczorem, żeby je pobłogosławić na dobranoc.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Powiem o jeszcze innej formie błogosławieństwa, które otrzymuję drogą korespondencyjną. Opracowane teksty konwersatoriów rozsyłam obecnie do około 500 osób w Polsce i na świecie. W zamian otrzymuję wiele listów z podziękowaniami i zapewnieniem o modlitwie, czasem wyrażone słowami, które wzruszają i do głębi poruszają. Myślę, że dzieło, które trwa już prawie sześć lat, nie by-

łoby możliwe bez tego typu wsparcia. Odbieram je jako formę błogosławieństwa.

Ks. Adam Zelga

Rzeczywistość i potrzeba błogosławieństwa bierze się z Objawienia Bożego i natury człowieka. Potrzebujemy, żeby inni się nam „udzielali”, dawali siebie. Przed chwilą pan Zenon mówił o nieobecności ojca w jego życiu. Inny ojciec pozbawiał syna kontaktu ze sobą, pozbawiał go udziału we wspólnej pracy, w dobru, które ojciec wytwarzał na potrzeby rodziny. Moje doświadczenia są podobne. Mój tata ciągle przekazywał mi: „Ty temu nie podołasz, tego nie załatwisz, odejdz”. To strasznie boli. Lekcja dzisiejszego spotkania wskazuje, że trzeba pozwalać innym, by czerpali z tego, co ja mam, co potrafię i żeby pokazać, że ja chcę udzielać się innym i dawać. To podstawowa zasada antropologii chrześcijańskiej: błogosławić, pozwalać z siebie korzystać. W relacji ja – ty ważniejszy jest „ty” – drugi człowiek. Dramat współczesności polega na skupieniu się na „ja” i zapominaniu, że istnieją inni, że w relacjach ważniejszy masz być „ty”. Inaczej się odhumanizujemy i odejdziemy od Pana Boga.

O. Wojciech Jędrzejewski

Z mojego rodzinnego domu nie wyniosłem świadectwa błogosławieństwa. Mój ojciec był często nieobecny i w związku z tym wchodziłem w dojrzewanie, w swoją dorosłość w takim poczuciu, że muszę czerpać ze swoich własnych zasobów. Ma to też pewne plusy. Pan potrafi błogosławić również na przeklętej ziemi.

Czułem, że komunikaty, które otrzymywałem od rodziców, były przeniknięte lękiem: „Co z ciebie wyrośnie?” Potem był czas, kiedy zdawałem sobie sprawę, że te lęki tkwiły we mnie i wysysały ze mnie siłę, wierę, że mogę podołać różnym zadaniom, trudnościom, przeszkodom, że moje życie może być czymś obiecującym. W chwili, kiedy zdałem sobie z tego sprawę, zacząłem zapisywać myśli, które się pojawiały, myśli deprymujące, np. „ty zawsze wszystko spieprzysz”. Zapisywałem je i potem z wielką ekspresją kartkę gniołem i wyrzucałem do śmietnika. I mówiłem z naciskiem: „nieprawda!” Była to forma mojego zmierzania się z brakiem dobrej energii, z brakiem zaufania pokładanego we mnie. Oczywiście potem sobie uświadomiłem, że ta postawa nieumiejęt-

ności dania nadziei i siły wynikała z niedojrzałości moich rodziców. Bardzo prosiłem Pana Boga o łaskę wybaczenia im i tak się stało. Zrozumiałem, że oni też weszli w swoją dorosłość „na rezerwie”. W ich „banku” było niewiele dobrych doświadczeń. To jest ogromny dramat, że te złe doświadczenia przekładają się z pokolenia na pokolenie. W niektórych rodzinach przekazuje się bardzo niewiele dobrych doświadczeń. Odpowiedzialność za innych wyraża się w tym, żeby nie obdarzać innych swoim „niedomiarem”, tylko tak przyjąć swoje życie, tak coś z nim zrobić, żeby mój syn czy córka (w moim przypadku moje dzieci duchowe), do których będę mówił, mogli wziąć coś pozytywnego ode mnie. Trzeba powstrzymać ten pochód przekleństwa, ten brak, tę pustkę, który wysysa siły i radość życia.

Zenon Kosicki

Wypowiedź, jaką usłyszałem przed chwilą od Ojca Wojciecha, przypomniała mi jeszcze jedną sprawę, o której chciałbym powiedzieć. Pracuję w dużej firmie motoryzacyjnej jako menadżer. Pracują w niej głównie mężczyźni, wielu z nich takich typu „macho”. Mam z nimi codzienny kontakt, aby rozwiązywać różne problemy, jak w normalnej działalności firmy. Dla mnie było dużym zaskoczeniem, jak działa błogosławieństwo. Ponieważ sam doświadczyłem, że Pan Bóg jest dobry i mnie kocha, staram się tym swoim doświadczeniem dzielić z innymi. Jestem życzliwie nastawiony do innych, co nie znaczy, że czasem ktoś mnie nie zdenerwuje, nie jestem także wolny od negatywnych emocji, np. wobec przełożonego, ale doświadczam również tego, że we wszystkich sytuacjach, kiedy odwołuję się do Pana Boga, doświadczam zwycięstwa. Po pierwsze, potrafię przejść ponad sobą samym, ponad swoimi emocjami, ponad tym, że mam ochotę czasem kogoś skrzywdzić, a również, z drugiej strony, gdy wpuszczam w ten „kanał pracy” zwykłej mojej działalności to moje błogosławieństwo, to rzeczywiście się ono rozszerza. Nieraz ludzie, którzy przychodzą do mnie po pomoc, z jakimś problemem, mówią po naszej rozmowie, że doświadczyli po raz pierwszy, że byli w stanie rozwiązać problem bez emocji, bez niepotrzebnych nerwów, bez szukania winnych.

Panuje taka tendencja w myśleniu ludzi: „ja jestem najważniejszy i moje musi być na wierzchu”. Staram się myśleć inaczej. Najważniejszy jest problem, który trzeba wspólnie rozwiązać, a nie szu-

kanie winnych zaistniałej sytuacji. Jeżeli będziemy się „kopać po kostkach” i szukać winnego, to nigdy nie dojdziemy do żadnego porozumienia. Ta metoda, którą zaczerpnąłem z tego, że sam doświadczałem Bożego przebaczenia, sprawia, że dużo rzeczy dobrych udaje mi się zrobić w firmie. Mało tego. Ludzie, którzy często są oskorpupieni, mają opinie twardzieli, którzy lubią wszystkie sprawy rozwiązywać siłowo, nagle odkrywają siebie. Pokazują, że nie są tacy silni, jakby się to wydawało. Mało tego, często okazuje się, że sami potrzebują wsparcia, żeby ktoś im powiedział dobre słowo, żeby ich ktoś zauważył. Okazuje się, że nikt im tego wcześniej nie mówił, takie zwykłe błogosławieństwo w codzienności. Wystarczy, że powiem: „Dziękuję ci, świetnie to zrobiłeś, zawsze mogę na ciebie liczyć, na twoją pomoc”. Na początku mnie to dziwiło, że takie zwykłe słowo sprawia, że ludzie otwierają serca, otwierają się też różne możliwości załatwienia z nimi spraw. Moja refleksja jest taka, że jeśli nie słyszymy dobrych słów, pomocnych, to będziemy się zamykać. W mikroklimacie mojej firmy doświadczam, że jeśli się nie otworzymy na drugiego człowieka, nie spróbujemy dać mu szansy (bo on zachowuje się w sposób, który nam nie odpowiada), to nie zobaczymy, jak działa błogosławieństwo, jak poszerza się jego krąg.

Jan Szubski

Chcę powiedzieć nieco więcej o mojej rodzinie, w której miałem szczęście mieć takiego ojca. Jestem pierworodny, jest nas troje. Relacje z moim ojcem to długa historia. Będąc w domu, często nie mogłem się z nim dogadać. Trzaskanie drzwiami i różne awantury działały się w moim domu i właśnie w tej sytuacji Pan Bóg dawał to błogosławieństwo, przez takiego ojca, jakiego miałem. Dzisiaj mogę być mu wdzięczny, bo on nie miał tej łaski błogosławieństwa w swoim domu. Jego dzieciństwo było bardzo skomplikowane. On z tym wszedł w małżeństwo, z którego Pan Bóg powołał mnie do życia. Do dzisiaj poznaję mojego ojca. Pan Bóg chce nam błogosławić w takim domu, w jakim nas stawia.

Ważne jest rozpoznawanie Jego woli na co dzień, w pracy i w rodzinie oraz szukania tych błogosławieństw nawet tam, gdzie wydaje się nam po ludzku, że ich nie ma. Prowadziłem holenderską firmę i musiałem z dnia na dzień zrezygnować z pracy ze względu na różne sprawy, które nie podobały mi się w działalności tej firmy.

To była bardzo trudna decyzja, ale czułem, że to jest zgodne z wolą Bożą. Z dnia na dzień straciliśmy środki na utrzymanie. Dzisiaj z perspektywy czasu, mimo że wtedy wydawało mi się inaczej, uważam, że powinienem być wdzięczny za ten moment. Gdybym wówczas nie zrezygnował z pracy, okoliczności nie zmusiłyby mnie do szukania jakiegokolwiek innego środka dla utrzymania rodziny. Musiałem wtedy założyć własną firmę i dzisiaj mogę powiedzieć: „Dzięki Bogu mamy to wszystko, o czym marzyliśmy od 15 lat”. Mieszkamy od pół roku we własnym domu. Dla mnie jest to ewidentny dowód Bożego błogosławieństwa. Z sytuacji dla mnie bardzo trudnej Pan Bóg wyprowadził ogromne dobro. Dzieci, a właściwie dzisiaj już młodzież, może powiedzieć, jakim jestem ojcem, na pewno nie idealnym.

Patrząc na mojego ojca, na jego historię, kim jest, kim był, doceniam błogosławieństwo, że mnie Pan błogosławił jego rękami. Patrząc na moją historię, wiem, że przeze mnie też Pan Bóg działa.

Magdalena Gołdanowska

Kiedy byłem małą dziewczynką, dziadkowie zabierali mnie do kościoła. Niekoniecznie mi się to podobało, niezupełnie rozumiałam znaczenie błogosławieństwa. Natomiast po wielu latach, kiedy jestem mamą i mam swoje dzieci, a moi dziadkowie już nie żyją, odkryłam, że to błogosławieństwo mi wiele dało.

Chcę powiedzieć też, że kiedyś z moim dzieckiem jechałam dużą windą i mój syn zaczął zadawać mi pytania: „Mamo, czy tu zmieściłby się Spiderman?” „Mamo, czy zmieściłby się tu Batman?” Kiedy mu odpowiedziałam, usłyszałam następne pytanie: „A czy tu zmieściłby się Pan Jezus?” Nie ukrywam, że zdziwiłam się, ale jednocześnie ucieszyłam się, że Pan Jezus jest w kategorii najważniejszych bohaterów dla mojego dziecka. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, jak wytłumaczyć, że to nie jest cielesna osoba, ale że na pewno zmieści się w windzie razem z nami.

Mam też pytanie związane z moim zainteresowaniem historią Polski pogańskiej. Wiadomo, że często chrześcijaństwo było wprowadzane siłą, podobnie jak i ustrój polityczny. Czy wiadomo, jak wówczas wyglądało kaznodziejstwo i błogosławieństwo? Czy zakony powstawały w tym samym czasie, czy dopiero później, po wprowadzeniu chrześcijaństwa?



Magdalena Gołdanowska

O. Wojciech Jędrzejewski

Jak każda wielka idea, jej wprowadzanie odbiegało często od ideału. Dlatego było niezwykle istotne, żeby przekaz Ewangelii dokonywał się w atmosferze wielkiej życzliwości do człowieka, żeby był jak najbardziej indywidualny. Kiedy Dominik znajdował się w mieście, w którym bardzo wiele osób wybrało religię manichejską, wdawał się w długie debaty z przywódcami duchowymi ludzi z tego miasta. Dokonywała się debata na słowa, na argumenty. To było absolutną nowością w ówczesnym świecie. W duchowości dominikańskiej jest niezwykle zaufanie do ludzkiego umysłu, do siły rozumu. Trzeba podawać argumenty, apelować do rozumu, do tej możliwości, jaką człowiek posiada – rozeznawania, myślenia, rozpoznawania. Jest to najlepsza częśćka duchowości dominikańskiej, która przez różne zawirowania historii przetrwała i ciągle jest obecna. Kiedy rozmawiam z katechetami, na katechezie podstawą jest otwarte wejście w dialog, rozmowę. Nie chodzi tu tylko o dzieci, ale też o dojrzewające osoby, że nie jest to komunikat z góry, tylko wej-

ście w rozmowę, konfrontację z tym, co ja wiem, co jest istotne, z tym, co mi proponujesz. Powiem o sytuacji, która mnie spotkała jeszcze podczas studiów. Jednego wieczoru siedzieliśmy sobie z takim hippisem, on pił cały czas piwo i pytał mnie: „Jak to jest z tym Pismem Świętym, dlaczego Kościół tak się przyczepił, że tylko on jeden dobrze je interpretuje?”. Ja starałem się przywołać najlepsze myśli i przytoczyć najlepsze znane mi argumenty w tej rozmowie. On po godzinie słuchania beknął, dokończył piwo i powiedział: „Stary, nie przekonałeś mnie, ale już mi się nie chce rozmawiać”. To mnie zastanowiło. Dlaczego wchodzę w taką rzeczywistość, która nie jest oczywista dla innych, dla moich rozmówców, nawet dla ludzi wierzących, którzy są w kościele. Wtedy dotarło do mnie, że to, co mogę zrobić najuczciwszego, to tak samego siebie przekonać, żeby argumenty, które będę podawać, czy mój sposób myślenia o chrześcijaństwie był żarliwym świadectwem, że mówię o tym, o czym jestem sam przekonany. Kiedy przygotowuję kazanie, staram się siebie samego przekonać i mówić o tym, co do mnie dotrze.

Ks. Adam Zelga

Świat wciąż zafascynowany jest rozumem. W oświeceniowym „myślę, więc jestem” tkwi podstawowy błąd, bo przecież bardziej „jestem”, kiedy kocham. Gdy o. Wojciech przygotowuje kazanie, szuka odpowiednich argumentów rozumowych, wnika w racje tych, do których będzie mówił, widać, że ich kocha. W tym zderzeniu „myślę” czy „kocham, więc jestem” stanowczo broniłbym tej drugiej tezy. Ona ujawnia głębiej prawdę o człowieku.

Jako katecheta pokazywałem chrzest jako sakrament, akt religijny. Zastanawiałem się nad wiarą tych, którzy przyjęli chrzest w 966 roku. Oczywiście, metody były różne. Abstrahując od tego, ciągle mnie fascynuje i pytam sam siebie, jaka była wiara Mieszka I? Jak ona się rodziła? Jaka była wiara Bolesława Chrobrego? Jak ją przyjmowano? Podoba mi się saga Antoniego Gołubiewa „Bolesław Chrobry”, w której pokazuje on, jak chrześcijaństwo z trudem przecierało sobie drogę, jak wchodziło, jak trafiało na te pogańskie dusze. Nie znam słowiańskiej mitologii, więc trudno mi z panią Magdaleną polemizować. Jednak to, co mnie dzisiaj, prawie 60-lata, najbardziej fascynuje w chrześcijaństwie, to fakt, że kiedy szukam odpowiedzi na problemy ludzi i moje własne, najbardziej ra-

cjonalne odpowiedzi znajdują właśnie w chrześcijaństwie. Być może jest to świadectwo wiary, a nie racji, ale to są właśnie racjonalne argumenty. Cały czas zastanawiam się, dlaczego Jezus zbawił świat przez krzyż. Myślę, że dlatego, że życie jest często bardzo okrutne – właśnie trzeba było to pokazać przez krzyż. I jeszcze – człowiek może przejść przez takie życie godnie, jak Jezus. On doszedł do końca. To bardzo racjonalne. A dalej idzie za tym przesłanie nadziei – zmartwychwstanie. Nie umiem w moim życiu odnaleźć innego rodzaju błogosławieństwa niż to chrześcijańskie.

Wydaje mi się, że jednym z tematów na Konwersatoria w przyszłym roku, który tu pojawił się w różnych wypowiedziach, jest ojcostwo i macierzyństwo. Pamiętam z dzieciństwa, kiedy wychodziłem do szkoły, mama stawiała mi krzyżyk na czole. Jest w nas potrzeba udzielania się i nie lękajmy się udzielać siebie innym. Przez to błogosławieństwo udzielamy się, mamy odwagę dawać z siebie to, co najlepsze.

Dorota Szubska

Błogosławieństwo rodziców dla narzeczonych przed ślubem jest akceptacją ich związku nie tylko przez Pana Boga, ale i przez rodziców. Jeśli otrzymuję błogosławieństwo od Pana Boga, to znaczy, że nie zostaję sama w moim związku. To daje wielką siłę bycia w małżeństwie, przebaczenia sobie nawzajem, wspierania się. Wiem od par, które nie otrzymały błogosławieństwa od rodziców, że bardzo to przeżywały. Było ono dla nich bardzo ważne i potrzebne. Błogosławieństwo rodziców jeszcze przed ślubem pokazuje, że oni akceptują nas, że chcą uczestniczyć w naszym dalszym życiu, że będą nas wspierać w trwaniu razem, wspierać w przebaczeniu. Pamięć o tym błogosławieństwie wspiera nas, kiedy mamy wątpliwości, czy trwać w małżeństwie czy nie lepiej żyć samemu i bez wielu problemów iść przez życie.

O. Wojciech Jędrzejewski

Byłem bardzo szczęśliwy, kiedy dostawałem habit, a mój ojciec przyjechał, przytulił mnie i powiedział: „Synu, jestem z Ciebie dumny”. To było piękne błogosławieństwo.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Wraz z mężem prowadzimy od przeszło 30 lat rekolekcje dla par małżeńskich. Wśród nich są też takie, które przeżywają głębokie kryzysy. Na te rekolekcje przyjeżdżają z myślą, żeby ratować swoje małżeństwo. Często są to małżeństwa z ogromnymi kłopotami, które doprowadziły je już do złożenia papierów rozwodowych. Na rekolekcje przyjeżdżają jak po ostatnią deskę ratunku. Na końcu tych rekolekcji jest błogosławieństwo par. Jest niezwykle, jak te małżeństwa, właśnie te z największymi kłopotami, mocno przeżywają to błogosławieństwo. Mamy doświadczenie, co się dzieje z tymi małżeństwami później, jaka jest siła tego błogosławieństwa. Wiele z nich pozostaje w związku od wielu lat i są szczęśliwi.

Andrzej Ciepela

Mówicie Państwo wszyscy o błogosławieństwie, jakby to było tu i teraz. Jest tak dlatego, że jego owoce ciągle trwają. Ja pamiętam, jak moja mama mnie błogosławiła, kiedy wychodziłem do szkoły, stawiała mi krzyżyk na czole. Jej już teraz nie ma, a jej błogosławieństwo cały czas mi towarzyszy. To tak jakby dać komuś kapitał, bogactwo. To właśnie jest moje bogactwo, moja siła. Dobre błogosławieństwa, które w życiu dostałem od mamy, od księdza, którego szanuję i lubię, to kapitał, który zostaje na całe życie. Ja teraz przekazuję błogosławieństwo moim dzieciom. One też z tego kapitału będą kiedyś korzystały.

Monika Ciepela

Tu było wiele razy podkreślane, że błogosławieństwo to dawa nie siebie. Nikt jednak nie zwrócił uwagi, że czasem za błogosławieństwem nic nie idzie, że jest to tylko pusty gest, a strona obierająca nic nie dostaje. Trzeba być szalenie ostrożnym, żeby udzielane przez nas błogosławieństwo nie było tylko pustym gestem, ale było związane z naszą wiarą. To nie powinna być manifestacja, nie może być w tym geście fałszu. Świecki gest zyczliwości, przytulenia może w wielu wypadkach być bardziej odpowiedni.



Andrzej Ciepela

Anna Słomka

Przy okazji różnych spotkań opłatkowych, w miejscach czasem przypadkowych, kiedy nie zna się bliżej ludzi i nie wiadomo, czego im życzyć, to zawsze życzy się zdrowia – bo zdrowie jest najważniejsze. To jest trudne dla osób, które tego zdrowia nie mają. Albo też życzy się dużo pieniędzy. Często także życzy się spełnienia wszystkich marzeń, chociaż wiadomo, że to niemożliwe. Dla mnie te szablonowe życzenia wydają się puste i bardzo mi nie odpowiadają. Tu kieruję pytanie, jak przekazywać sobie życzenia, żeby nikogo nie urazić, nie przestraszyć, a jednocześnie być sobą, nie udawać kogoś, kim się nie jest. Coraz częściej myślę, że trudno jest znaleźć złoty środek. Czy wchodzić w relacje, jeśli ktoś sobie ich nie życzy?

Jeśli mamy z własnych domów złe wzorce, albo nie mamy żadnych, to jakże trudno sobie radzić. W naszych rodzinach mówiło się tylko o złych rzeczach, natomiast kiedy ktoś zrobił coś dobrze, to było pomijane milczeniem. To odbiera pewność siebie i trudno z tego wyjść. Obydwoje z mężem stanowimy zaporę dla tych złych wzorców poprzednich pokoleń – nie tylko rodziców, ale i dziadków, a może i pradiadków. Mówimy temu stop, ale to wymaga nieustannego starania, bo ani mnie, ani mojego męża tego nie na-



Monika Ciepela (z mikrofonem)



Anna Słomka

uczono, ale na szczęście już od paru lat to potrafimy. Mówimy naszym dzieciom, kiedy są dobre: „Super wypadłaś”. Mamy nadzieję, że poniosą dalej to nasze błogosławieństwo.

Magdalena Gołdanowska

Uważam, że nie można obwiniać swoich rodziców, trzeba ich po prostu kochać, a nie mieć do nich pretensje. Można im jedynie współczuć, że byli ubodzy w wiedzę, w uczucia. Kiedy to zrozumiałam, zaczęłam normalnie funkcjonować.

Spisała z nagrania Ewa Smolska

Cd. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

„God Bless you, have a Happy Easter” – Niech cię Pan Bóg błogosławi, wesółych Świąt Wielkanocnych, powtarzają koleżanki z mojego pokoju nauczycielskiego, kiedy się żegnam z nimi przed jesiennymi feriami. Ferie te wypadają zawsze około Świąt Wielkanocnych. Nie byłoby w tym pożegnaniu nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że wypowiadają je przedstawicielki nie tylko różnych kościołów, ale nawet religii. Jedna jest wyznania anglikańskiego, druga grecko-ortodoksyjnego (raczej niepraktykujące), trzecia jest Żydówką, czwarta wyznawczynią hinduizmu, piąta to muzułmanka. Szóstą jestem ja, katoliczka.

Nieraz w rozmowach wspominam, jak modliliśmy się w Nowej Hucie wśród murów budowanego kościoła, pod gołym niebem, w deszcz, mróz i zawieruchę, aby z błogosławieństwem Bożym, uczynionym ręką kapłana stawiać czoła wyzwaniom kolejnego tygodnia. Z tamtych czasów utkwił mi w pamięci urywek Psalmu: „Bo skorośmy się tutaj zgromadzili, to strzeżmy się wszystkiego, co nas rozdziela”. I to właśnie przyjęliśmy jako dewizę współpracy w tak zróżnicowanym kulturowo i religijnie środowisku, w jakim przyszło nam tutaj egzystować.

Takie wzorce staraliśmy się wpoić dzieciom. Kiedy córka i synowie, jeden, drugi i trzeci, już jako młodzi dorośli, opuszczali ro-

dzinny dom, na drogę otrzymywali nasze błogosławieństwo oraz posag katolickiego wychowania. Wiedzieli, że nie zawsze musi być łatwo i że trzeba przede wszystkim wymagać od siebie. A co najważniejsze, nie wolno nigdy przejść obojętnie wobec potrzebującego człowieka.

W ubiegłym roku w grudniu, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, Piotr czekał na nowojorskim lotnisku, aby dostać się na Święta do Polski. Śnieżyca i mróz paraliżowały komunikację. Wiele połączeń zostało odwołanych. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego z liczącego paręset osób tłumu jego wybrała obca kobieta i zwróciła się z zapytaniem, czy on może mówić po rosyjsku. Odpowiedział, że owszem, uczył się kiedyś rosyjskiego, jako hobby w Australii, nie wie, czy potrafiłby mówić biegle, ale z pewnością rozumie. Kobieta poprosiła, żeby był jej tłumaczem. Ona jest Ukrainką i nie zna dobrze angielskiego. Pokazała na pakunek, mówiąc, że musi to zabrać do samolotu, ale obawia się, że jej nie będą chcieli przepuścić z tym bagażem. Na zapytanie, co to jest, kobieta z płaczem wyjaśniła, że wiezie prochy swojej matki, która zmarła w Stanach, ale chciała, by ją pochowano na ukraińskim cmentarzu.

Piotr opowiadał nam, że wykorzystał nie tylko doskonałą znajomość angielskiego, ale swoją elokwencję oraz wszystkie umiejętności argumentacji i perswazji, a także empatii – aby przekonać urzędników na lotnisku, że urna z prochami zmarłej matki nie musi być poddawana dodatkowym, mogącym nawet trwać kilka dni badaniom i że kobieta może tę urnę zabrać ze sobą do samolotu.

Kiedy w Warszawie zbliżali się do wyjścia, Ukrainka po raz wtóry odnalazła go w tłumie, tym razem, żeby mu podziękować: „Niech Pan Bóg panu błogosławi. Może i Pan kiedyś znajdzie się w potrzebie...”

Tydzień pobytu u rodziny w Polsce minął szybko. Powtórnie znalazł się na lotnisku. Pogoda nie tylko się nie ustatkowała, ale było nawet gorzej. Po wylądowaniu w Nowym Jorku pasażerowie przez parę godzin nie mogli opuścić samolotu z powodu śnieżycy. W końcu znalazł się w taksówce. Zapłacił za kurs i walcząc z wichurą oraz śnieżycą, dotarł do drzwi swojego mieszkania... żeby się przekonać, że zginął mu paszport i inne ważne dokumenty. Wybiegł z powrotem na ulicę. Skąd tu wziąć taksówkę? Na szczęście ktoś właśnie przyjechał. Taksówkarz w pierwszej chwili nie chciał

jechać na lotnisko, ale kiedy się dowiedział, o co chodzi, postanowił pomóc.

Wyjechali na czteropasmową autostradę. Piotrowi wydawało się, że daleko przed nimi widzi samochód podobny do taksówki, którą przyjechał z lotniska. Poprosił kierowcę, żeby przyspieszył. Kiedy jadąc z prędkością ponad 100 km zrównali się z tamtą taksówką, poznał, że to ten sam kierowca. Zaczął dawać mu znaki. Tamten nieco zwolnił i otworzył okno. Piotr przypomniał, że jechał z nim i powiedział mu o swoim problemie. Taksówkarz popatrzył – tak, na podłodze leżały dokumenty. Zjechali do najbliższego miejsca, gdzie można się było zatrzymać. Piotr odebrał zgubę. Obydwaj taksówkarze nie mogli wyjść z podziwu – pan ma nad sobą Boże błogosławieństwo, zgodnie orzekli.

*Czy Dekalog stosuję w życiu w całości,
czy wybiórczo?*



Cytaty

BENEDYKT XVI *Przykazania Boże pomagają odnaleźć prawdziwe życie*, 18. 03. 2007 (fragment)

W Ewangelii (w przypowieści o synu marnotrawnym) występują trzy osoby: ojciec i dwóch synów. A za tymi osobami kryją się dwie znacznie różniące się od siebie wizje życia. Obydwaj synowie żyją spokojnie, są dosyć zamożnymi rolnikami, mają więc z czego żyć, sprzedają dobrze swoje plony, ich życie wydaje się dobre.

A jednak młodszemu synowi to życie powoli zaczyna wydawać się nudne, niezadowolające; uważa, że tak nie może wyglądać całe życie – codziennie wstawać, nie wiem, może o szóstej, następnie zgodnie z tradycją Izraela modlić się, czytać Biblię, potem iść do pracy i na koniec znowu się modlić. I tak dzień za dniem. Myśli sobie: ależ nie, życie to coś więcej; muszę wybrać inne życie, w którym będę naprawdę wolny i będę mógł robić, co mi się podoba; życie wolne od tej dyscypliny i norm zawartych w przykazaniach Bożych, w poleceniach ojca. Chcę być sam i mieć całe życie tylko dla siebie, z całym jego pięknem. A teraz to tylko praca i praca...

Postanawia więc zabrać swoją część majątku i odejść. Ojciec jest człowiekiem pełnym szacunku i wspaniałomyślnym – szanuje wolność syna. On sam musi ułożyć sobie życie. I – jak mówi Ewangelia – syn odjeżdża w dalekie strony. Prawdopodobnie dalekie w sensie geograficznym, bo pragnie zmiany, ale także dalekie duchowo, bo chce żyć zupełnie inaczej. Teraz myśli o jednym: być wolnym; robić, co się chce; obywać się bez norm tego dalekiego Boga; nie być niewolnikiem dyscypliny domowej; robić to, co wydaje się piękne, co się podoba; korzystać z całego piękna i pełni życia.

Na początku – można przyjąć, że trwało to kilka miesięcy – wszystko układa się gładko: wydaje mu się piękne, że wreszcie odnalazł życie, czuje się szczęśliwy. Ale potem, powoli, również tu zaczyna odczuwać znudzenie, również tu wszystko jest zawsze takie samo. I na koniec pozostaje coraz bardziej niepokojąca pustka. Coraz żywsze staje się poczucie, że to jeszcze nie życie, więcej, pośród tego wszystkiego życie coraz bardziej się oddala. Wszystko staje się

puste: również i teraz jest niewolnikiem robienia tego samego. W końcu wyczerpują się pieniądze i młodzieniec odkrywa, że jakość jego życia jest niższa od jakości życia świętych.

Zaczyna się wówczas zastanawiać i zadaje sobie pytanie, czy to była rzeczywiście droga życia: wolność pojmowana jako robienie tego, na co mam ochotę, życie tylko dla siebie; czy też może byłoby lepiej żyć dla innych, wносить wkład w budowę świata, w rozwój wspólnoty ludzkiej... I tak zaczyna się nowa droga, droga wewnętrzna. Chłopiec zastanawia się i rozważa te wszystkie nowe aspekty problemu, zaczyna dostrzegać, że był o wiele bardziej wolny w domu, będąc współwłaścicielem, przyczyniając się do budowy domu i społeczności w komunii ze Stwórcą, znając cel swego życia, odkrywając, jakie plany miał w stosunku do niego Bóg. Na tej wewnętrznej drodze, w tym procesie dojrzewania nowej wizji życia, młodszy syn wyrusza, również w sensie dosłownym, by rozpocząć na nowo swoje życie, ponieważ zrozumiał już, że wybrany kierunek był pomyłką. Mówi: muszę ponownie wyruszyć w drogę z nowym pomysłem; muszę zacząć jeszcze raz.

I przychodzi do domu ojca, który nie ograniczał jego wolności, by sam zrozumiał głęboko, co znaczy żyć i co znaczy nie żyć. Ojciec z miłością bierze go w ramiona, wyprawia mu ucztę, która może być początkiem nowego życia. Syn pojmuje, że właśnie bez pracy, pokory i codziennej dyscypliny nie ma prawdziwego święta i prawdziwej wolności. Wraca więc do domu wewnętrznie dojrzały i oczyszczony. Zrozumiał, co znaczy żyć. Z pewnością również w przyszłości jego życie nie będzie łatwe, znów przyjdą pokusy, ale jest już w pełni świadomy, że życie bez Boga szwankuje: brakuje tego, co istotne, brakuje światła, brakuje odpowiedzi na pytanie: dlaczego? brakuje sensu ludzkiego istnienia. Zrozumiał, że Boga możemy poznać jedynie na podstawie Jego słowa. (My chrześcijanie możemy dodać, że o tym, kim jest Bóg, dowiedzieliśmy się od Jezusa, w którym ukazało się nam rzeczywiście oblicze Boga). Młodzieniec pojmuje, że przykazania Boże nie są przeszkodą dla wolności i pięknego życia, ale wskazują drogę, którą należy iść, by odnaleźć życie. Pojmuje, że również praca, dyscyplina oraz działanie nie dla siebie, ale dla innych poszerza horyzont życia. Właśnie trud, jakiego wymaga praca, nadaje życiu głębię, bo wtedy odczuwamy zado-

wolenie, że przyczyniliśmy się do rozwoju tego świata, w którym rośnie wolność i który staje się piękniejszy.

Nie chciałbym teraz mówić o drugim synu, który pozostał w domu, ale w jego reakcji, podyktowanej zazdrością, widzimy, że w głębi serca on również myślał, że być może byłoby znacznie lepiej w pełni korzystać z wolności. On również w swoim sercu musi „powrócić do domu” i zrozumieć na nowo, czym jest życie; zrozumieć, że można prawdziwie żyć tylko z Bogiem, z Jego słowem, we wspólnocie własnej rodziny, pracy, we wspólnocie wielkiej rodziny Bożej. Nie chcę teraz omawiać tych szczegółów: niech każdy z nas na swój sposób zastosuje tę Ewangelię do siebie. Sytuacja każdego z nas jest inna i każdy ma swój świat. Dotyczy to jednak nas wszystkich i każdy z nas może dotrzeć – swoją wewnętrzną drogą – do głębi Ewangelii.



KONWERSATORIUM XLVIII

(20 maja 2011)

Czy Dekalog stosuję w życiu w całości, czy wybiórczo?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii pw. bł. Edmunda Bojanowskiego), Adam Pietrzak (wiceprezes Stowarzyszenia Przymerze Rodzin), Irena i Jerzy Grzybowscy (liderzy krajowi Stowarzyszenia Spotkania Małżeńskie)

Ks. Adam Zelga

Bardzo serdecznie gratuluję pani Rektor. Szkoła Wyższa Przymerza Rodzin uzyskała w tegorocznym ogólnopolskim rankingu Szkół Wyższych „Rzeczpospolitej” i „Perspektyw” pierwsze miejsce w grupie uczelni licencjackich. To dowód kapitałnej pracy, ogromnie mozolnej, cierpliwej. Można ją porównać do pracy nad naszymi Konwersatoriami. Pani Rektor sześć lat temu wpadła na ten pomysł, potrafiła zgromadzić odpowiednich ludzi i pobudzić w nich masę życzliwości dla dzieła. Dzięki wysiłkowi wielu osób ukazują się co roku kolejne tomy książki „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”.

Dzisiejsze Konwersatorium dotyka sprawy wolności. Jan Paweł II „wolność” uczynił jednym ze sztandarowych pojęć pontyfikatu. Spojrzenie biblijne na to zagadnienie może składać się z dwu części: wolność w ujęciu Starego i Nowego Testamentu oraz różnice między nimi. Dekalog składa się z nakazów i zakazów ze słowem „nie”. Oby nasze spotkanie pomogło odkryć rzeczywistość, która ukrywa się za tym małym słowem „nie”. Dekalog niesie bardzo pozytywne przesłanie, wzywające do korzystania z naszej wolności w pełni. Jak to wygląda w praktyce – mam nadzieję, że rozjaśnią zaproszeni goście.

Adam Pietrzak

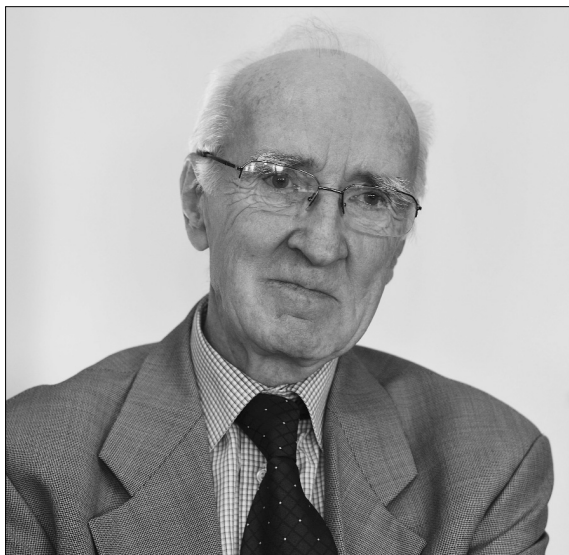
Dzisiejszy temat jest bardzo trudny, trudny dla naszych sumień, nawet dla wyjaśnienia tego, o czym chcemy mówić. Nie jest to żadna nowość, nie jest to przypadłość XXI wieku, w tym celu



Paneliści: ks. Adam Zelga, Jerzy Grzybowski i Adam Pietrzak

wystarczy spojrzeć do Pisma Świętego. W Nowym Testamencie jest taki fragment, w którym Pan Jezus tłumaczy nierozzerwalność małżeństwa, na co apostołowie odpowiadają Mu, że jak tak ma się sprawa z małżeństwem, to lepiej się nie żenić.

Rozumienie Bożego Prawa i trudności w jego przestrzeganiu – Prawa objawionego nam w Starym i potwierdzonego, a nawet rozszerzonego i wypełnionego w Nowym Testamencie – jest sprawą dość trudną dla naszej natury, skrzywionej grzechem pierworodnym. To pytanie, które jest tematem naszego dzisiejszego rozważania, jest napisane w pierwszej osobie: „czy ja?” Chciałbym być rzecznikiem naszych wspólnych sumień i jeśli pytamy się, czy przestrzegamy jednakowo wszystkich przykazań, to chciałbym, żeby każdy z nas zauważył, jak reaguje na grzechy cudze, na grzechy ludzi, o których się dowiadujemy. W tej wizji odkrywam inną reakcję wobec człowieka, który zabił bądź ukradł, a który jest nam przedstawiany z wyraźną dezaprobatą lub zgorszeniem, a powszechnie znacznie słabszym potępieniem w stosunku do człowieka, który kolejny raz zdradza swoją żonę czy od niej odchodzi. W tym drugim przypadku wykazujemy dużo wyrozumiałości. Ilustracją tego jest obecnie powszechne naruszanie szóstego przykazania „nie cudzołóż” oraz to, że – jak mówią statystyki – jest w Polsce około 60 tysięcy rozwodów rocznie. My żyjemy obok, mówimy „to



Adam Pietrzak

nie nasza sprawa”, więcej – aprobujemy tych ludzi towarzysko, ostracyzm wobec tych ludzi nie istnieje. Kiedy byłem młody, to było tak, że ciocia mówiła do Edzia: „z tą panią do mnie nie przychodź, to nie jest twoja żona, a mój dom nie jest domem schadzek”. Dzisiaj zaś często się słyszy, że „ta kolejna jest dużo ładniejsza od poprzedniej” i „dobrze wybrałeś”. Jest to swego rodzaju przyzwolenie na przekraczanie norm wyznaczonych nam przez Pana Boga.

Chciałbym zacząć od pierwszych przykazań Dekalogu, gdyż są one traktowane przez nas dość luźno, tak jakbyśmy nie mogli przeciwko nim zgrzeszyć. Przyjrzyjmy się więc pierwszemu przykazaniu („Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”). Tak często zamiast wierzyć w Boga, wierzymy w to, co nam przekazują media, na przykład dzisiaj są pełne przepowiedni o końcu świata. Taką wiarę mamy często przy czytaniu horoskopów, od których wielu ludzi zaczyna lekturę gazet. Tłumaczą wprawdzie, że to tylko zabawa, że oczywiście w to nie wierzą, ale lepiej na wszelki wypadek to wiedzieć. To jest tak troszkę jak z czarnym kotem lub z przesadą mówiącym o tym, że jak się czegoś zapomni, to trzeba wrócić do domu i koniecznie usiąść, bo jak nie, to się coś złego nam przydarzy.

Któryś z teologów mądrze powiedział, że w każdym człowieku poziom jego religijności jest *constans*, czyli jest wartością stałą. Im

więcej tego „czarnego kota” w nas, tym mniej jest miejsca dla Chrystusa. Jest taki kanał telewizyjny, w którym występuje wróżka, która stawia karty tarota i ma bardzo dużo pytań telefonicznych i cieszy się dużą oglądalnością. Coraz częściej spotykamy także ogłoszenia o wrózkach. Ludzie, deklarujący się jako katolicy, chodzą do nich, wierząc im i płacąc za to ciężkie pieniądze, nie zdając sobie sprawy, że jest to przecież naruszenie pierwszego przykazania.

Miałem przyjaciela, ojca Placyda Galińskiego, który był opatem tynieckim. On mi kiedyś powiedział, że jest „zlewem parafialnym”. Taka jest między innymi funkcja kapłana, że w konfesjonale wylewa się brudy. On pewnie wiedziałby więcej na temat, jak mało ludzi zdaje sobie z sprawę, że narusza podstawowe przykazanie miłości Boga: „Będiesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całym swoim umysłem, całą swoją mocą...”, że tam nie ma miejsca na tego „czarnego kota”, bo serce jest wypełnione Bogiem, miłością do Niego. Miłość do Pana Boga wyraża się w pragnieniu wypełniania Jego woli.

Mamy ogromną tolerancję wobec proponowanego nam przez świat sposobu na życie, w którym zamieniamy Boga prawdziwego, Boga miłującego i miłosiernego na te wszystkie przesady różnego rodzaju. Pan Bóg dał nam nakaz przestrzegania Dekalogu nie po to, by nas dręczyć, nie po to, by nam utrudnić życie, lecz żeby wskazać nam drogę do szczęścia i świętości. Tutaj odwołam się do św. Jakuba, który tak mówi w Piśmie Świętym: „Choćby ktoś przestrzegał całego Prawa, a przestąpił tylko jedno przykazanie, ponosi winę za wszystko”. To jest tak, jakbyśmy szli drogą wyznaczoną przez drogowskazy i zbczyli na kuszącym nas wskazaniu, żeby pójść inną drogą. Jeżeli zbczymy na nią, nie dojdziemy do celu, który sobie początkowo obraliśmy. Jeżeli „zejdziemy” na którymkolwiek z przykazań, to na końcu tej drogi, na którą zbczyliśmy, może nie być drzwi z napisem „niebo”. W tym zakresie Pan Bóg dał nam wolność. Możemy wybrać tę lub inną drogę.

Z tą wolnością szczególnie dużo kłopotów ma młodzież. Rozmawiam z nią na forum „Porozmawiajmy o wierze” na Opoce i tam często padają takie pytania: „Dlaczego Bóg miłosierny, wszechmogący, który wszystko wie, nawet to, że zgrzeszę, pozwala mi na to, dlaczego nie zrobił tak, żebym nie musiał grzeszyć albo nie mógł zgrzeszyć?” Bo Pan Bóg nie chce mieć w niebie cyborgów, którzy

przyszli tam, bo nie mają innego wyjścia, tak zostali zaplanowani, tylko chce zaludnić niebo ludźmi, którzy przychodzą z miłości do Niego, bo wybrali w sposób wolny tę drogę i miłość do Boga. Takich ludzi chce mieć Pan Bóg w niebie. Myślę, że na Sądzie Ostatecznym Pan Bóg, broniąc nas przed oskarżycielem, którym jest szatan, nie mając już argumentu, zapłacze: „Umarłem za ciebie na krzyżu, a twój wolny wybór jest taki, że nie chcesz być ze mną”.

Aby być wolnym, trzeba odwagi. Nie ma wolności bez odwagi. Ktoś, kto nie jest odważny w sytuacjach, które tej odwagi wymagają, jest w niewoli u tych, których naciskom ulega. Męstwo, które jest jednym z darów Ducha Świętego, dodaje siły do pokonania trudności i wytrwania w dobrem.

Drugie przykazanie mówi o tym, żeby nie używać imienia Pana Boga nadaremno („Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno”). Mamy takie zachowania, przyzwyczajenia, że czasem nam się wyrывa „o mój Boże”, „o Jezu” itp. Nie powinno się tak mówić z szacunku do imienia Bożego. Jednak znacznie poważniejsze naruszenie drugiego przykazania, które jest często przez nas niezauważane, jest wtedy, kiedy mąż zostawia żonę lub żona męża. Przecież w czasie ślubu wypowiedali słowa: „Ślubuje ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz, że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy Jedyny i wszyscy Święci”. Mało komu przychodzi do głowy, że łąmiąc to uroczyste ślubowanie, użył imienia Pana Boga nadaremno i naruszył drugie przykazanie.

Często nie zdajemy sobie sprawy, że Imię Boże wyrażane jest nie tylko w słowach, ale również w znakach i symbolach różnego rodzaju. W krzyżu najmocniej. Ile osób, zupełnie nie dlatego, że chce bluźnić, tylko dlatego, że nie rozumie tego symbolu, wieszają sobie na przykład kolczyk z krzyżykiem na uchu. To jest naruszenie drugiego przykazania, bo jest to używanie imienia Bożego nadaremno, które jest zapisane w tym krzyżu. Warto, robiąc rachunek sumienia, zastanowić się, czy właściwie i w pełni rozumiemy przykazania Dekalogu. Prośmy Ducha Świętego o dar rozumu, dar rozumienia Dekalogu.

Jerzy Grzybowski

Temat konwersatorium został postawiony bardzo osobiście, więc i ja odpowiem osobiście i szczerze: Dekalogu nie stosuję w całości, tylko wybiórczo, bo jak pisze św. Paweł w liście do Rzymian (Rz 7,15-19) „Nie rozumiem bowiem tego, co czynię, bo nie czynię tego, co chcę, ale to, czego nienawidzę – to właśnie czynię. Jeżeli zaś czynię to, czego nie chcę, to tym samym przyznaję Prawu, że jest dobre. A zatem już nie ja to czynię, ale mieszkający we mnie grzech (...) Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, a czynię to zło, którego nie chcę”. Dlaczego tak się dzieje? Bo jesteśmy słabi, bo był grzech pierworodny – pierwsze nieposłuszeństwo.



Jerzy Grzybowski

W ramach przygotowania do tego Konwersatorium obejrzałem w domu fragmenty cyklu „Dekalog” Kieślowskiego. Scenariusz tego cyklu na pierwszy rzut oka luźno wiąże się z poszczególnymi przykazaniami, ale zachęca do zastanowienia się nad nimi. Patrząc i na ten film, i na sytuacje, z którymi się na co dzień spotykam, widzę, że po prostu nie potrafimy w wielu sytuacjach odnieść życia codziennego do przykazań, uwspółcześnić ich, rozszerzyć

kontekstu. Nauczyliśmy się w szkole, na szkolnej katechezie, tych dziesięciu zdań i dlatego tak często dzisiaj powtarzamy, że jesteśmy OK, bo „przecież nikogo nie zabiłem, niczego nie ukradłem, żyję w wierności z własną żoną.” A potem usprawiedliwienie, relatywizacja: „dzień święty święcę, właśnie robimy rodzinnego grilla” itd. Katechetyczna wersja Dekalogu, której się uczymy, jest pozbawiona współczesnego wątku kulturowego, sytuacyjnego. Wiele sformułowań Dekalogu rozwiniętych określeniami odnoszącymi się do ówczesnych wydarzeń, bardzo ważnych komentarzy, zostało w wersji katechetycznej usuniętych. Słusznie je usunięto, ponieważ dotyczyły tamtych sytuacji, ale równocześnie brakuje nam bardzo tego komentarza w odniesieniu do dzisiejszych sytuacji życiowych, chociażby na przykład „Nie kradnij” w kontekście praw autorskich czy oszustw podatkowych. Zauważmy związek „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu” z niejedną dyskusją sejmową. Zauważmy próby relatywizacji przykazania „Nie zabijaj” w związku z aborcją, eutanazją czy problemem „*in vitro*”. Nie mamy świadomości, że zabić można słowem, że można ukraść komuś jego dobre imię, że można w cudzych publikacjach coś zmienić i bez powołania się na źródło wydrukować jako swoje. Wszystko są to wykroczenia przeciwko Dekalogowi. Nie mamy też świadomości, że istnieją bożki w naszym życiu, „bogi cudze przede Mną”. Może to być samochód, komputer, pieniądze, kariera, gry hazardowe, pornografia i wiele innych. Wydaje mi się, że Kościół za mało w nas budzi świadomość ich istnienia w naszym życiu.

Dekalog w coraz mniejszym stopniu jest punktem odniesienia naszych wyborów moralnych, brak nam właśnie tej zdolności odniesienia ich do Pana Boga, bo kierujemy się własnym „widzi mi się”. Relatywizujemy przykazania – „tak, ale...”. Jest napisane „Nie pożądaj żony bliźniego swego”, ale usprawiedliwiamy się, że dopiero teraz przeżywamy prawdziwą miłość, a wszystko to, co było wcześniej, to były pomyłki, to było „nie to”. Te pomyłki to w rzeczywistości było to, że mąż i żona, mający często bardzo odmienne osobowości, nie potrafili prowadzić dialogu: nie potrafili wysłuchać, zrozumieć się nawzajem, przebaczyć sobie. Nie zdajemy sobie też sprawy, że jedna nieprzemyślana decyzja, jeden błąd, jedna słabość, jedno przekroczone przykazanie ciągnie za sobą ciąg często nieodwracalnych zdarzeń, w których już tylko dalej zabijam

słowem, mówię fałszywe świadectwa, żeby utrzymać się na powierzchni i nie utonąć. Jest to efekt domina. Karmimy się dalej drobnymi kłamstwami, mówieniem za plecami i dajemy sobą manipulować. Wszystko dlatego, że nie potrafimy odnieść naszego postępowania do Dekalogu bądź go naginamy, albo udajemy, że nie słyszymy i świadomie „zapominamy”. Często zdaje nam się, że nie mówimy „fałszywego świadectwa przeciw nikomu”, ale po prostu „powtarzamy to co ktoś nam o kimś powiedział”. Nie widzimy w tym nic złego, wręcz fascynujemy się takimi plotkami. Tłumaczymy sobie, że to nie jest żadne wykopywanie kogoś, podważanie jego autorytetu, to jest tylko walka o prawdę. Z czasem może do nas dojść, że tę prawdę właśnie niszczyliśmy.

W naszej pracy w Spotkaniach Mażeńskich spotykamy ludzi, którzy właśnie, niby w trosce o prawdę, w trosce o miłość skomplikowali swoje życie, odchodząc od przykazań. Odeszli od jednego, a to pociągnęło za sobą odejście od innego. Niezachowane np. „Nie cudzołóż” pociąga za sobą niezachowanie „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił”.

Dekalog to nie jest zbiór oderwanych przepisów. To jest system powiązanych ze sobą wartości, system całościowy, spójny i jeżeli nie zachowuję jednego przykazania, to najczęściej pociąga za sobą niezachowanie innych.

Jak reagujemy, widząc cudze grzechy, o czym mówił wcześniej Adam Pietrzak? Jak ja na to reaguję? Pamiętam o słowach Pana Jezusa „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem”. Dlatego w stałej drodze do mojego Ojca staram się wsłuchiwać w Jego przykazania, starać się je rozumieć w kontekście współczesnego życia i jego zagrożeń. Nie potępiam osoby, rozumiem, jak bardzo uwikłała się w różne sytuacje. Reaguję wtedy, gdy widzę, że jest jej z tym źle, że szuka wyjścia, wyplątania się z jakiejś matni. Jeżeli tego wyjścia jeszcze nie szuka, to próżne byłoby moje pouczenie.

Adam Pietrzak

Powiedziano tu ogromnie ważną rzecz, że nie rozumiemy przykazań Bożych. Jezus Chrystus w Kazaniu na górze przyszedł, żeby wypełnić pismo. „Wypełnić” to nie znaczy spełnić, lecz żeby coś co, jeszcze nie było pełne, dopełnić. W Kazaniu na górze Jezus

Chrystus „dopełnia” Prawo Starego Testamentu poprzez komentarz, żeby przykazania były lepiej rozumiane. Przy szóstym przykazaniu (Mt 5, 27-28) Chrystus mówi: „Słyszeliście, co powiedziano: Nie cudzołóż! A Ja wam powiadam: Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa”.

Ważne jest, żeby zrozumieć, że przykazania dotyczą każdego z nas, a nie tylko niektórych. Przykazanie szóste, tak jak i przykazanie dziewiąte („Nie pożądaj żony bliźniego twego”) jest często w powszechnym odbiorze odnoszone tylko do osób związanych węzłem małżeńskim. Osób będących w wolnych związkach one, w ich przekonaniu, nie dotyczą.

Przykazanie piąte „Nie zabijaj” rozumiemy w sposób oczywisty: „nikt nie wyszedł ode mnie z siekierą w plecach”, „nikogo nie zabiłem”, „nawet muchy nie zabiłem”. A Chrystus mówi (Mt 5, 21-22) „Słyszeliście, że powiedziano przodkom: Nie zabijaj. A Ja wam powiadam: każdy, kto się gniewa na swojego brata, podlega sądowi. A kto by mu rzekł: Bezbożniku (najcięższe oskarżenie u Izraelitów), podlega karze piekła ognistego”. Przykazanie piąte nie dotyczy tylko morderstwa, ale też zabijania słowem, zabierania godności człowieka, zadawania tak zwanej śmierci cywilnej. Pytamy „jaka jest Pańska godność?”, pytając o nazwisko. W obozach koncentracyjnych zabierano nazwisko, a dawano numer. Pozbawiano człowieka godności. Tej godności można pozbawiać w różnoraki sposób. Jesteśmy mistrzami w pozbawianiu godności własnych dzieci, przez nieroztropne i niemądre ich wychowanie.

A przykazanie czwarte („Czcij ojca twego i matkę swoją”) – często ludzie młodzi nie wiedzą, jak przestrzegać tego przykazania. Pytają mnie często: „Jak mam czcić swojego ojca, który bije moją matkę? Jak mam go czcić?” Trzeba tu odróżnić słowo szacunek od czci. Szacunek jest naszą odpowiedzią na wartości etyczne. Ojciec, który się upija, bije matkę, zachowuje się niegodnie i nie jest wart naszego szacunku, ale jest godzien czci. Cześć jest dziękczynieniem Bogu za dar życia. Bóg dał mi życie, posługując się tą parą ludzką, tą matką i tym ojcem. Ktoś, kto nie szanuje życia, nie przestrzega czwartego przykazania.

Kiedyś leżałem w szpitalu z człowiekiem chorym na chorobę Bürgera. Leżał tam już dziewięć miesięcy. Amputowano mu kolejno jedną nogę, potem drugą. Leżał pełen pokory. Mówił, że bardzo



Adam Pietrzak

grzeszył w swoim życiu, że nie będzie nam tego opowiadał, ale ma stale ogromne wyrzuty sumienia. Był na ogół pogodny. Płakał tylko, kiedy wspominał swoją córkę. Mieszkała opodal tego szpitala, nie dalej niż 100 metrów. W ciągu dziewięciu miesięcy pobytu jego w szpitalu była tylko raz. Nigdy nie miała dla niego dobrego słowa, modlitwy, czy też zwykłej ludzkiej troski o swojego ojca, niezależnie od tego, że niewart był szacunku w sensie etycznym. Jeśli rozumiemy właściwie czwarte przykazanie, to nie będziemy zapominać w modlitwie o kimś, kto upada, kto znalazł się na samym moralnym dnie czy leży w rynsztoku. Pan Jezus umarł również za niego, a Miłosierdzie Boże otwarte jest dla wszystkich. Przykazanie czwarte jest często wykorzystywane do szantażowania uczuciowego dzieci przez rodziców.

Chciałbym powiedzieć o zdarzeniu, które jest stale we mnie żywe i ciągle mnie porusza. Pewna kobieta, która po urodzeniu dziecka zachorowała na stwardnienie rozsiane, wkrótce musiała przesiąść się na wózek inwalidzki, bo choroba poczyniła tak rujnujące postępy. Jej dziecko poszło w tym roku do szkoły. Teściowa mieszka gdzieś na Mazurach i nie akceptuje synowej, która jeździ na

wózku. Ktoś, kto jeździ na wózku, nie powinien być jej synową, żoną dla jej syna, „który jest wspaniały”. Ona nigdy nie dzwoni ani do syna, ani do synowej. Nigdy z nią nie rozmawia. Nawet jak syn dzwoni, to ona nigdy nie pyta, jak się synowa czuje. Kiedyś zadzwonił syn do matki, zaczął z nią rozmawiać i zapytał: „Co u Ciebie, mamo?” „O nie, nie, nie mówmy o tym – odpowiedziała, – ja tu się nie liczę. To nieważne”. „Ale co takiego się stało?” „Nie, nie mówmy o tym”. „Ale powiedz, mamo”. „Wieszałam wczoraj firanki i spadłam ze stołka, ale nic się nie stało”. Nie mogąc nic z niej wydusić, wsiadł w samochód i pojechał na Mazury. Tam stwierdził, że rzeczywiście matce nic się nie stało. Czy musiała mu mówić, że spadła ze stołka, aby budzić jego niepokój?

Mój ukochany autor, obecnie często wydawany, ojciec Anselm Grün, benedyktyn, napisał w jednej z książek, że jeżeli matka samotna prosi cię, żebyś przyszła, bo tęskni bardzo za tobą i chciała by cię widzieć, a ty jesteś umówiona na ten dzień i na tę godzinę do teatru ze swoim mężem, to idź do teatru, bo to jest w tej chwili ważniejsze. Ona musi sobie poradzić z tą tęsknotą, do której ma prawo, ale nie może cię zniewalać tym swoim pragnieniem zobaczenia ciebie. Nie możesz być u niej w niewoli. Rozumienie czwartego przykazania pozwala na właściwe rozumienie relacji z rodzicami. Uczy wolności wobec swoich rodziców, których mamy kochać, czcić, nigdy ich nie opuścić, ale też nie być przez tę miłość zniewoleni. To bardzo ważne. Niestety, nigdy nie słyszałam w homiliach właściwej interpretacji. Wiele natomiast razy słyszałam, że ksiądz, mówiąc o czwartym przykazaniu, zaczynał mówić o czci, a kończył o szacunku. Czcić trzeba zawsze, bo nie jest powiedziane „czcij ojca swego, jak on się dobrze prowadzi”, tylko „czcij ojca swego i matkę swoją” bez innych warunków. Mało tego, to jest jedyne przykazanie z obietnicą „a będzie ci się dobrze powodziło”.

Jerzy Grzybowski

Odniosę się do pewnych doświadczeń ze Spotkań Małżeńskich, którymi od wielu lat zajmujemy się z moją żoną, tu obecną Ireną. Podstawowe pojęcie, które wytycza kierunek Spotkaniom Małżeńskim, to dialog. Nie jesteśmy oczywiście autorami pojęcia dialogu, ale nadaliśmy temu pojęciu pewną bardzo konkretną, dosyć specyficzną definicję. Jest to rozmowa czy refleksja, w której staram się

bardziej słuchać, aniżeli mówić, bardziej rozumieć, niż oceniać, bardziej dzielić sobą, aniżeli dyskutować, a nade wszystko przebaczać. I to ma swoje odniesienia w relacjach małżeńskich, w relacjach z innymi ludźmi i przede wszystkim w relacjach z Panem Bogiem. Trzeba to odnieść przede wszystkim do samego siebie, wsłuchać się w siebie i próbować siebie zrozumieć. Również do wszystkiego z otaczającej rzeczywistości trzeba podchodzić z takim nastawieniem. Podobnie do nauki Kościoła, żeby starać się nie oceniać, że na przykład Dekalog jest niedzisiejszy, nie relatywizować go, mówiąc „tak, ale...”, lecz starać się zrozumieć, że w nim jest prawda, która przynosi dobro i najważniejsze rozwiązania. Aby do tego dojść, muszę oczyścić siebie z własnych pomysłów, swojego własnego kombinowania, rozumienia i dotrzeć do tego, co naprawdę kryje się w danym przykazaniu i dokonać wyboru. Warto starać się wniknąć w siebie i usłyszeć tę prawdę, czasem zakopaną gdzieś głęboko w sobie na dnie, która jest mi często niewygodna, trudna, którą chciałbym czasem pominąć. Ale to ona właśnie jest tym drogowskazem do życia szczęśliwego.



Jerzy Grzybowski, obok Adam Pietrzak

Adam Pietrzak

Św. Jakub w trzecim rozdziale swojego listu pisze „Niech zbyt wielu z was nie uchodzi za nauczycieli, moi bracia, bo wiecie, iż tym bardziej surowy czeka nas sąd”. To do nas! Pamiętajmy, że nie powinniśmy pouczać, bo sami jesteśmy grzeszni. W czwartym rozdziale św. Jakub pisze: „Bracia, nie oczerniajcie jeden drugiego. Kto oczernia brata swego lub sądzi go, uwłacza prawu i osądza prawo. Skoro zaś sądzisz prawo, jesteś nie wykonawcą prawa, lecz sędzią. Jeden jest prawodawcą, a drugi sędzią, w którego mocy jest zbawiać lub potępiać. A kimże Ty jesteś, byś sądził bliźnich?” Ósme przykazanie („Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu”) nawiązywało do prawa mojżeszowego, które obowiązywało w judaizmie, a które mówiło, że na świadectwie dwóch świadków opiera się prawo, dowód przeciwko oskarżonemu. Pamiętajmy wszyscy sąd nad Chrystusem, kiedy fałszywi świadkowie zeznawali i Go oskarżali.

Wystarczy otworzyć radio, aby dowiedzieć się różnych rzeczy o osobach, o których niekoniecznie chcemy wiedzieć, a które niekoniecznie są pochlebne. Myślę sobie tak: „znów jestem tutaj sędzią i, Panie Boże, odpuść. Niech mi Pan Bóg tego nie policzy”. Ale jak patrzę na ludzi, którzy przed chwilą wypowiadali bardzo niepochlebne, niesprawdzone, a czasem nawet sprawdzone, ale niepochlebne sądy o bliźnich i zaraz idą do Stołu Pańskiego, to myślę sobie „Mój Boże”. Staram się nie osądzać ich, ale mam wrażenie, że chyba nie bardzo zrozumieli, o co tutaj chodzi, bo nawet mówienie prawdy ale złej prawdy o drugim człowieku nie jest konieczne. Niekoniecznie cały Ursynów musi wiedzieć, że Kowalski pije i bije żonę. Dajmy mu szansę na to, żeby się nawrócił. Pan Jezus powiedział (Mt 18,15-17): „Jeśliby zaś zgrzeszył przeciwko tobie brat twój, idź, a upomnij go w cztery oczy. I gdyby cię usłuchał, pozyskasz brata twego. Ale jeżeli ciebie nie usłucha, weźmij z sobą jeszcze jednego albo dwóch, aby na zeznaniu dwóch albo trzech świadków opierała się wszelka sprawa. A jeżeliby ich nie usłuchał, powiedz Kościołowi. A jeżeliby i Kościoła nie usłuchał, niech ci będzie jako poganin i celnik”. Miłość bliźniego domaga się tego, żeby mu pomóc, a nie żeby roznosić o nim prawdziwe, ale niepochlebne informacje. Myślę, że w tym względzie możemy mieć najwięcej do wyrzucenia sobie, ponieważ grzechy „długiego języka” nie znają

zadośćuczynienia. Święty Filip Neri, znakomity spowiednik, ale też bardzo dowcipny kapłan, kiedyś spowiadał kobietę z grzechów obmowy. Powiedział jej: „Teraz przerwiemy spowiedź. Pójdiesz na rynek, kupisz kurę w piórach i idąc do mnie oskubiesz ją, rzucając pióra za siebie”. Po jakimś czasie kobieta wróciła do konfesjonalu z oskubaną kurą. Święty Filip Neri powiedział jej wtedy: „To teraz pozbieraj wszystkie te pióra, które rzucałaś za siebie, idąc do mnie”, a ona na to: „Ależ ojcze, tego się nie da zrobić!” – „No widzisz, z tym wszystkim, co powiedziałaś na bliźnich, też już nic się nie da zrobić, tego się po prostu nie da naprawić” Obciążamy swoje sumienie i łamiemy obowiązek miłości bliźniego tylko dlatego, żeby się okazać lepszymi, bo często rozmowa dwóch pań, które obmawiają sąsiadkę, jest przeplatana słowami: „Ja, proszę pani, to nie tak. Moje dzieci to są znacznie zdolniejsze”. Tego typu rozmowy są tylko po to, aby wykazać, że mój dom, mój mąż, ja sama jestem znacznie lepsza od tych Kowalskich, którzy mieszkają tuż obok.

Mój przyjaciel ks. Biskup Dembowski kiedyś mi powiedział: „Adasiu, nie każdy musi ci się podobać, nie każdy musi budzić w tobie uczucia zachwytu. Ta sąsiadka, która mieszka naprzeciwko, która zamiata ci śmieci pod twoją słomiankę, nie musi być przez ciebie lubiana, ale spójrz na nią w taki sposób, mówiąc: „Panie Boże, daj mi dostrzec w niej dobro”. I to jest najlepsze lekarstwo na to, żebyśmy mieli życzliwy stosunek do bliźniego i żebyśmy powściągali język wtedy, kiedy diabeł nam podsuwa myśl, żeby powiedzieć o nim coś złego. W życiu społecznym grzech ten, lub ta straszliwa wada, szerzy się w sposób zastraszający i odnosi ogromne sukcesy. Bardzo chętnie nadstawiamy ucha, żeby się dowiedzieć czegoś złego o kimś, prawdziwego lub nieprawdziwego, ważne, żeby to było atrakcyjne. Pisma ilustrowane, których wiele jest w każdym kiosku, pełne są takich wymyślonych historyjek obciążających ludzi.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałabym nawiązać do dwóch wypowiedzi. Po pierwsze, do krzyżyka w uchu. Wyobraźmy sobie człowieka, który jest głęboko

wierzący, który chce pokazać innym, że krzyż jest dla niego bardzo ważnym symbolem i uważa, że jeżeli będzie nosił krzyżyk na piersi, to nikt tego nie zauważy, więc wczepia go w ucho. Oczywiście jest to bardzo wyjątkowa sytuacja i może trudna do wyobrażenia, ale podejście ludzi jest różne i może takie być. Jednak na miejscu tego człowieka musimy wziąć pod uwagę również sprawę drugą. Czy wczepiając krzyżyk w ucho, nie gorszymy tym kogoś innego. Tego nie wolno nam robić. To jest jedna sprawa. Z drugiej strony, gdy widzimy w tramwaju lub autobusie u kogoś wspomniany krzyżyk w uchu (lub coś innego, co nas gorszy), to nie starajmy się go natychmiast oceniać, bo nie wiemy, jaka jest jego motywacja.

Druga sprawa, którą chciałam poruszyć, to kwestia miłości bliźniego. W życiu spotykamy ludzi, którzy nas denerwują, nie wiadomo z jakich przyczyn. Trudno nam z nimi rozmawiać, przebywać, wszystko nas w nich irytuje. I co my, wierzący i praktykujący katolicy mamy z tym fantem zrobić. Powiem, jak ja się z tym staram uporać. Oczywiście jest podstawowa sprawa, żeby nie żywić tej niechęci, nie podsycać jej. Nie myśleć o tym, co zrobić, aby on się ode mnie odczepił lub nawet o tym, jak mu zrobić jakąś przykrość. Jeżeli znam takiego człowieka, to staram się robić mu różne dobre rzeczy, zależne od sytuacji: powiedzieć mu coś miłego (zupełnie świadomie), uśmiechnąć się, poczęstować herbatą, służyć pomocą itp. Nagle po takich miłych gestach widzimy, że ten człowiek wcale nie jest taki zły, jak nam się początkowo wydawał i będzie mi łątwiej „miłować tego bliźniego jak siebie samego”.

Bogdan Motelski

Mam parę luźnych uwag.

Było wcześniej powiedziane, że wypełniamy wszystkie dziesięć przykazań, aby dążyć do świętości. To jest oczywiście nasz cel. Młody człowiek jednak mówi – potem będzie świętość, potem o nią zadbam. A teraz chcę być szczęśliwy. Nasuwa się pytanie – czy spełniając przykazania, mam być nieszczęśliwy?

Druga sprawa jest taka – nasza natura i nasza cywilizacja skłaniają nas, aby być raczej wesołym niż radosnym. Obśmiać wszystko, niż głęboko przeżywać. Żyjemy i myślimy płytko, po łebkach.



Bogdan Motelski

W nawiązaniu do godności człowieka – jak idziemy do urzędu, słyszymy pytanie: „jaki jest twój pesel?” Nikt nie pyta o imię i o nazwisko. Ja jako osoba nie jestem interesujący. Ważny jest tylko mój pesel.

Wiele się koło nas dzieje, w co zostajemy wciągani tak mimochodem. Na przykład, znalazłem w internecie bardzo ciekawe informacje, newsy. Powstaje pytanie, czy jeżeli zapoznam się z treścią tego newsa, czy to będzie dla mnie ważne, czy to mnie jakoś ubogaci? Można się dowiedzieć z pism naukowych, na przykład medycznych, o jakieś chorobach psychicznych. To jest ciekawe, ale czy akurat ja muszę to wiedzieć? Lekarz powinien to wiedzieć, lekarz psychiatra powinien to wiedzieć, ale czy ja to muszę wiedzieć? Czy mnie to buduje?

Zwracam uwagę na to, że ludzie bez zastanowienia noszą jakieś pierścionki, amulety i inne przedmioty przynoszące „szczęście”. Wierzą w te przedmioty, a równocześnie mienią się chrześcijanami. Jak ich zapytać, dziwią się: w czym problem? Problem w tym, że nie myślimy. Żyjemy płytko, po łebkach.

Andrzej Dowgiałło

Chciałbym dodać, że według niektórych dawnych i współczesnych autorytetów prawo zawarte w Dekalogu ogranicza ludzką wolność i modne obecnie prawa człowieka (prawa kobiet, dziecka, mniejszości itp.), ale wiem, że ograniczenia te skierowane są ku mojemu pożytkowi.

Zacytuję bliskie mi fragmenty książeczki „Dziesięcioro przykazań” Tadeusza Żychiewicza, autora niegdysiejszej „Poczty Ojca Malachiasza” w „Tygodniku Powszechnym”. Człowiek respektujący przykazania jest szczęśliwszy w życiu od takiego, który uważa, że mu wszystko wolno. Dobrą analogią jest respektowanie kodeksu drogowego. Mogę na siłę wyprzedzać pod górę lub na zakręcie na ciągłej linii, nawet może się to wielokrotnie udać, ale czy zawsze? Mogę lekceważyć zalecenia lekarza, prowadzić niezdrowy tryb życia, niemądrze się odżywiać i palić jak smok, ale jak długo?

Świat byłby miejscem o wiele bardziej dorzecznym, gdyby owe dziesięć Bożych przykazań było zachowane. Świat bez kłamstw, oszustw, kradzieży, przemocy i wszelkich krzywd, które człowiek czyni drugiemu, z całą pewnością nie byłby przeciwny mojemu dobru, wolności i godności. Przy tym jestem naprawdę istotą wolną i zawsze mogę powiedzieć „nie” autorowi instrukcji obsługi, lekarzowi, a nawet samemu Bogu, ale czy dobrze na tym wyjdę? Szkoda mi różnych znajomych osób, które na propozycje dekalogu odpowiadają buntem, bo sam nigdy nie czułem się przygnieciony ciężarem przykazań.

Adam Pietrzak

Kiedy przyjechał Ojciec Święty w 1991 roku i mówił o przykazaniach Dekalogu, jechałem do Olsztyna, aby go posłuchać. Wszyscy mi mówili: „wariat, jedź do Olsztyna samochodem, będzie szedł 20 km na stadion”. Wjechałem do środka miasta, gdzie były puste parkingi. Pomyślałem, kto chce dziś słuchać o Dekalogu?

Zbigniew Witecki

Zgadzam się z tym, co było powiedziane, że w powszechnym myśleniu nas, chrześcijan (nie mówię oczywiście o ludziach niewierzących), to rozumienie Dekalogu jest niesłychanie płytkie i powierzchowne. Często słyszy się zarzuty, że Dekalog jest niedzi-

siejszy i że nie ma nic wspólnego ze współczesnymi realiami. Nie ma przecież nic w Dekalogu, czy wolno mi nie płacić abonamentu telewizyjnego, czy na przykład wolno mi ściągać nieopłacone pliki, gry, filmy, muzykę? Powszechny argument, który się słyszy – że przecież wszyscy tak robią, niczego nie wyjaśnia, nie rozstrzyga.



Zbigniew Witecki

Podam przykład, który dał mi wiele do myślenia i ustawił moje życie. Było to w czasach PRL, kiedy telefon był niedoścignutym marzeniem. Załatwiałem wraz z grupą innych osób rekolekcje i trzeba było wykonać parę telefonów, żeby załatwić transport oraz ustalić jeszcze jakieś sprawy z prowadzącymi. Jedyna możliwość stanowił telefon na pocztce. Niestety, tam była zawsze ogromna kolejka i wykonanie dziesięciu telefonów było nierealne. Jedną z koleżanek pracowała wtedy w urzędzie gminy, więc ją spytałem: „Słuchaj, ja wpadnę do ciebie, załatwimy tych parę telefonów i będziemy mieli sprawę z głowy”. A ona na to: „Dobrze, ale ja za te telefony zapłacę”. Ja się zdziwiłem: „Jak to?” A ona na to: „Ja za wszystkie rozmowy telefoniczne, jeśli nie są służbowe, płacę sama. Mimo że nikt mnie nie kontroluje, zwracam pieniądze.” Muszę

przyznać, że było to dla mnie ogromne zaskoczenie, jak ta młoda dziewczyna podchodzi poważnie do przykazania „Nie kradnij”.

Ksiądz Adam wspomniał o rozszerzeniu Dekalogu w Nowym Testamencie. Większość z nas chrześcijan uważa jednak, że jest bez grzechu, bo: „przecież nie zabiłem, nie kradnę, Imienia Boskiego staram się nie używać, żony nie zdradzam itd.” Jeżeli jednak rozszerzymy Prawo Boże o osiem błogosławieństw, które przekazał nam Chrystus, to wtedy również Dekalog zaczyna całkiem inaczej brzmieć. A jak jeszcze do tego byśmy dołożyli Pawłowy hymn o miłości (1 Kor.13), wstawiając w miejsce słowa „miłość” swoje imię, to dopiero wtedy Prawo Boże inaczej by smakowało i wyglądało („Miłość cierpliwa jest” – jestem cierpliwy; „Miłość łaskawa jest” – jestem łaskawy i dalej: nie zazdroszczę, nie działam obłudnie, nie nadymam się, nie łaknę czci, nie szukam swego, nie wpadam w gniew, nie pamiętam urazy, nie cieszę się z niesprawiedliwości, ale współweselę się z prawdy. Przep. red.). Wtedy też nasze życie byłoby inaczej przeżywane.

Jacek Żurek

Wypowiedzi prelegentów były bardzo stanowcze, proste i surowe. Myślę, że nasz stosunek do dziesięciu przykazań zależy od czasów, w których żyjemy. To jest nieuniknione. Słyszeliśmy tu gromy na przesady, astrologię, jako sprzeczne z jednym lub dwoma Bożymi przykazaniami. W dawnych czasach, także wśród bardzo pobożnych ludzi, w pobożnych środowiskach, nasza wiara w astrologię i horoskopy nie kłóciła się z przykazaniami Bożymi. Na przykład na dworze Zygmunta III Wazy, który był władcą bardzo chrześcijańskim, żyli oficjalnie także astrologowie i wykładali horoskopy. Po prostu wierzono, że gwiazdy mają wpływ na ludzkie życie, stąd to powiedzenie „urodzony pod dobrą lub złą gwiazdą.” To się nie kłóciło z przykazaniami, uznawano to za pewną rzeczywistość, tak jak dzisiaj uznaje się wpływ księżyca, wpływ klimatu, pogody itd. Tę wiarę w horoskopy w gruncie rzeczy obaliło Oświecenie, które mimo że było niechętnie i wrogie Kościołowi, ale poprzez różnego rodzaju odkrycia naukowe uczyniło tę wiarę bezprzedmiotową.



Jacek Żurek

Drugi przykład. Jaki był, w rozumieniu chyba wszystkich wiernych chrześcijan – poczynając od tych bardzo skromnych, nieuczonych, a kończąc na koronowanych głowach, czy osobach duchownych łącznie z papieżami – stosunek do sakramentów, a szczególnie sakramentu spowiedzi? Sobór trydencki w XVI wieku postanowił, że każdy chrześcijanin, każdy katolik powinien raz w roku spowiadać się u swojego proboszcza. Oczywiście co najmniej raz, a jeśli częściej, to dobrze, aczkolwiek ta częsta spowiedź aż do XIX stulecia, jeśli chodzi o ludzi świeckich, była trochę podejrzana w oczach duchowieństwa. Często mógł się spowiadać ksiądz, zakonnik, ale niekoniecznie świecki. Podobnie było z lekturą Pisma Świętego.

Nasuwa się pytanie, co zachęcało do spełnienia nakazu corocznej spowiedzi, a wiadomo, że gros ludzi żyło na wsi, w małych wspólnotach wiejskich, w parafiach. Czy chodziło o to, żeby rzeczywiście pójść się wyspowiadać do proboszcza, czy decydował lęk przed ostracyzmem społecznym, a nawet jakimiś gorszymi konsekwencjami. Jeśli ktoś, na przykład, nie bywał na niedzielnej Mszy Świętej, to mogło dojść do tego, że taką osobę zakuwano w dyby w czasie Mszy przed kościołem, tak żeby wszyscy widzieli, że ten nie chodzi na Mszę i jaka kara może takiego człowieka spotkać.

Nasze czasy, wydaje się, są daleko bardziej wymagające pod względem moralnym i duchowym. „Postęp” ułatwia nam codzienne bytowanie, codzienną egzystencję, nasze życie społeczne, ale jednocześnie jakoś nam utrudnił, można powiedzieć, życie duchowe. Przez zwiększone wymagania.

To był pewien przytyk do tych ostrych sądów, które usłyszeliśmy, broń Boże, nie znaczy to, że były one niesłuszne czy nieprawdziwe.

Mało jestem gramotny, ale widzę problem tak. Prawda i bogactwo Dekalogu dlatego biją, że, przy jego dosłownej niezmienności i surowej sprawiedliwości, może zawierać w sobie i godzić poglądy nawzajem sprzeczne. Ten paradoks chrześcijanin pojmie tylko (?) dzięki przykazaniu miłości. Przemija postać tego świata, a my wraz z nią i wraz z naszym rozumieniem jego praw oraz istoty. Bolesław Chrobry zdejmował głowy tym, co składali obiady bogom w świętych gajach. Czy był bardziej rozumny i pobożny od Zygmunta Wazy, stawianego przez papieży i Piotra Skargę za wzór monarchy chrześcijańskiego, który mógł radzić się nadwornych astrologów, a w każdym razie popierał gorąco alchemików? A może za lat pięćset nasi potomkowie będą mówili z uśmiechem o pokoleniu, które wierzyło w siłę sprawczą chromosomu iks czy igrek? Ludzkość, zapewne od czasu, gdy skierowała oczy ku niebu, wierzyła, że drogą człowieka mogą kierować gwiazdy. Przeszliśmy wiek pary i elektryczności, dzieciństwo racjonalizmu, a nauka dziś – o paradoksie – odkrywa coraz więcej niewzruszonych (?) praw natury, które odrzucają optymizm sprzed lat stu, wskazując na coraz głębsze determinizmy rządzące naszym życiem. Czy kłóć się one nieodwracalnie z prawdziwą, żywą wiarą?

Wyobrażam sobie taką sytuację. Pewnej pobożnej duszy czarny kot zabiegł drogę. Starła się ona, jak mogła, temu zapobiec, ale nie wyszło. Modli się zaś tak: „Boże, widziałeś, że użyłam rozumu, Twego bezcennego daru, by zapobiec złu. Wszyscy wiemy wszak, co znaczy, gdy czarny kot przeleci nam przed nosem. Nie udało się, trudno. Nie cofnę się, choć spotka mnie nieszczęście, bo Ty prowadzisz Swoimi drogami czarnego kota i Ty postawiłeś go na mej drodze. Widać, choć to niepojęte, taka jest Twoja święta wola”.

I jeszcze jedno. Tomasz z Akwinu zwalczał – słusznie – pogląd, jakoby demon mógł zapłodnić czarownicę, gdyż było to niezgodne z Bożym nauczaniem o stworzeniu człowieka i świata. Dopuszczał

jednak myśl, zgodną i z dzisiejszym nauczaniem Kościoła, że sukub, istota niematerialna, może dokonywać czynów o charakterze materialnym.

Adam Pietrzak

Chciałem zwrócić uwagę na to, co jest w Dziejach Apostolskich opisane o Zesłaniu Ducha Świętego w dzień pięćdziesiątnicy. Żydzi, usłyszawszy szum, zbiegli się i słyszeli przemawiających Apostołów, każdego w swoim języku, i pytali, co to ma znaczyć. Jedni mówili, że: upili się młodym winem i wtedy wystąpił Piotr, który powiedział: „Niemożliwe jest upić się młodym winem, jest przecież dopiero trzecia godzina”. Według tamtego sposobu obliczania czasu była 9 rano. Niemożliwe było, żeby ktoś o 9 rano był pijany. To był argument, który miał przesądzić, że to, co mówiono o Apostołach, jest bez sensu. Czy w dzisiejszych czasach ten argument mógłby funkcjonować? Widać w tym znak czasu. Ten nasz rygorizm moralny nie wszędzie jest jednakowo stosowany i ulega też zmianom w czasie. Równocześnie jednak współczesny człowiek i Kościół prowadzony przez Ducha Świętego coraz więcej rozumie.

Jerzy Grzybowski

Wróć do tych astrologów, o których mówił pan Jacek. Także za Bolesława Chrobrego były jeszcze święte gaje, ale równocześnie chodziło się już na Mszę świętą. Składało się ofiary bożkom tak na wszelki wypadek. Wiara chrześcijańska wzrastała na gruncie pogańskim. Być może dziś – patrząc ogólnie na społeczeństwo – jesteśmy bliżej tej Prawdy niż za czasów Bolesława Chrobrego i Zygmunta III Wazy, choć mieliśmy i w tamtych epokach Świętych Braci Męczenników, dwie Święte Jadwigi, Królewicza Kazimierza i inne wielkie postaci, które z wróżbiarstwem miały niewiele wspólnego. Wiara w astrologię i wróżki kłóci się z wiarą w Pana Boga i przykazaniem „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”. Być może dzisiejsze czasy są bardziej wymagające pod względem moralnym i duchowym niż poprzednie epoki. Osobiście nie traktuję tego jednak jako utrudnienia, ale jako swego rodzaju oczyszczanie widzenia Prawdy. Warto też zauważyć, że to, co jest naprawdę wartościowe, na ogół nie przychodzi łatwo, kosztuje trochę wysiłku i pracy nad sobą. Niestety, jednak i w dzisiejszych cza-

sach wróżbiarstwo i astrologia mają się nienajgorzej. Także kwestia praktyk religijnych coraz bardziej przechodzi z płaszczyzny obyczajowej, kulturowej na grunt dojrzałej wiary.

Ks. Adam Zelga

Jeżeli współczesne czasy są wymagające wobec duchowości, a sprawy wiary zostały bardziej oczyszczone, co między innymi zawdzięczamy jasnemu promykowi Oświecenia – bo ma też ono ciemny promyk, to chwała Bogu. To oczyszcza, ułatwia wiarę. Słowa pana Jacka wyprowadziły naszą dyskusję na ciekawsze tory.

Mam od siebie taką uwagę. Do niedawna w niektórych częściach Polski chodzący po kołędzie ksiądz sprawdzał kartki od świątecznej spowiedzi. Mnie złością te kartki, ale... W konfesjonale mam nieraz taką świadomość, że ktoś nigdy by nie przyszedł do spowiedzi, gdyby nie te kartki. To są dobre spowiedzi. Bo jak już ktoś dostanie tę kartkę, żeby być ojcem chrzestnym, to waha się – iść, nie iść... Jak już w końcu się zdecyduje, to są to dobre spowiedzi – dzięki tej kartce. Ja nie daję kartek. Pytam: „Pójdiesz do spowiedzi?” – patrząc w oczy. Głupio mi te kartki dawać. Ale – z drugiej strony – pewien ksiądz mówił na nie „błogosławione kartki”. Tak wygląda rzeczywistość, w której jesteśmy zanurzeni. Nie jest taka jednoznaczna, jakby to wynikało z wypowiedzi moralistów.

Irena Grzybowska

Chciałam zwrócić uwagę na pewne całościowe ujęcie dotyczące Dekalogu. Dziesięć przykazań poprzedza preambuła, która mówi nam o czymś bardzo ważnym: „Słuchaj, Izraelu. Jam jest Pan Bóg twój, który cię wywiódł z ziemi Egipskiej, z domu niewoli.” Jest to zdanie, które rzuca nam światło na całość tych 10 zdań, przykazań – „Słuchaj, Izraelu” to jest skierowane do nas, bo my jesteśmy Izraelem. Jesteśmy zobowiązani, żeby Stary Testament odczytywać w świetle Nowego. Do nas jest wezwanie „Słuchaj.” „Słuchaj Boga” jest wezwaniem najbardziej podstawowym i to, co w tej chwili robimy, to staramy się wsłuchiwać w to, co Pan Bóg przez te 10 przykazań do nas mówi. Mam wrażenie, że w tej chwili wykonujemy to polecenie. „Słuchaj, Izraelu, jam jest Pan Bóg twój...”, to jest też wezwanie do tego, żebyśmy zrozumieli, że Pan Bóg nas wywiódł z niewoli. Przez chrzest wyzwolił nas z niewoli grzechu. Jest to wspa-

niała zapowiedź tego, że te wskazówki, które dostajemy w 10 przykazaniach, są możliwe do wykonania, gdyż Pan Jezus nas zbawił. Inaczej byłyby nie do wykonania, tak jak święty Paweł mówił: „Nie jestem w stanie tego wykonać.” Tylko dzięki pomocy Jezusa będziemy mogli wykonać przykazania, sami nie potrafimy, nie damy rady. Każdy z nas tego doświadcza. Jest to możliwe przez przebaczenie.



Irena Grzybowska (z mikrofonem)

Chciałabym poruszyć jeszcze jedną sprawę. Chodzi o ocenę różnych zachowań. Te zachowania pojawiają się z różnych motywów: czy noszenie kolczyka w uchu jest przejawem lekceważenia, czy apostołstwa – mogą być różne oceny, ale jeżeli nie wypływają z mojej życzliwości wobec drugiego człowieka, to i tak nic nie pomogą, niczego nie zmienią, do niczego dobrego nie doprowadzą. Tylko ta miłość, która kieruje oceną, która kieruje zachowaniem, która jest motywem myślenia, postępowania, tylko ona może do dobrego doprowadzić.

Adam Pietrzak

Chciałbym dodać jeszcze jedną rzecz do tego tła dekalogowego i nawiązać do wskazań ewangelicznych Jezusa Chrystusa. W Starym Testamencie było powiedziane: „Świętymi bądźcie, bo Bóg, bo Ojciec wasz jest święty”. Jezus Chrystus przyszedł i powiedział: „Świętymi bądźcie tak, jak Ojciec wasz jest święty”. Zapytali go: „Pokaż nam Ojca”, a on powiedział: „Każdy kto Mnie widzi, widzi Ojca.” Wystarczy spojrzeć na życie Jezusa Chrystusa, na to, co się z nim działo od urodzenia, żeby znaleźć drogę do świętości. Trzeba się tylko zapatrzeć, zapaść się w kontemplację, żeby zobaczyć prawdziwego Jezusa Chrystusa, który nam pokazuje drogę ku zbawieniu. Trzeba brać przykład z Jezusa Chrystusa, z Jego życia, bo On po to przyszedł. Żeby nam dać świadectwo tego, jak żyć, aby wkroczyć do świętości.

Jerzy Grzybowski

Na zakończenie nawiążę do słów św. Pawła: „Wszystko mi wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść.” Możemy sobie życzyć, abyśmy potrafili w tym słuchaniu siebie mieć taką refleksyjną postawą wewnętrzną, która pozwoli nam odnajdywać w naszym życiu to, co przynosi korzyść. Mam takie swoje określenie na dziesięć przykazań, że one są dla nas jak banda stadionu, która chroni nas od wypadnięcia z gry, czyli ze szczęśliwego życia.

Ks. Adam Zelga

Bardzo lubię na ślubach małżeńskich powiedzieć kazanie o tym, czym się różni przykazanie miłości w Starym i Nowym Testamencie. W Starym Testamencie brzmi: „Miłujmy bliźniego, jak siebie samego”, a Chrystus mówi: „Miłujmy się wzajemnie jak Ja was umiłowałem”. Zachęcam wszystkich państwa do kontemplacji Chrystusa, także z punktu widzenia słów św. Pawła: „Wszystko przynosi korzyść, jeżeli jest w Chrystusie”.

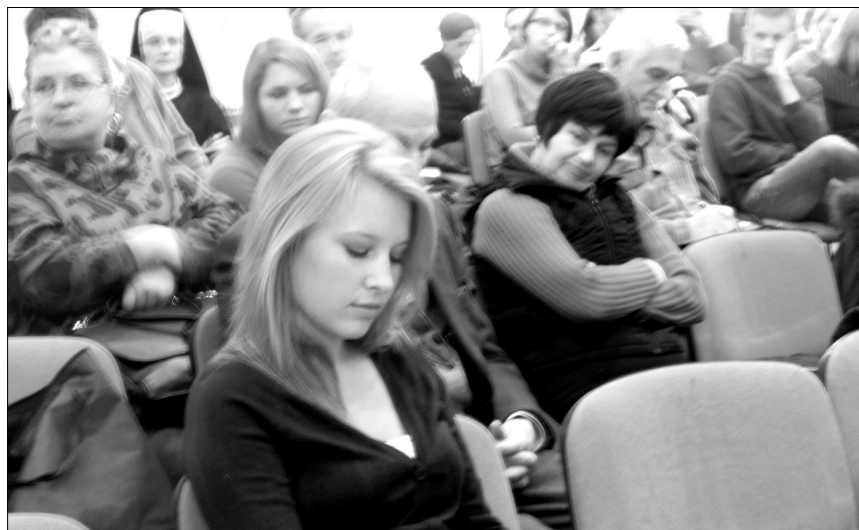


Słuchacze

Elżbieta Mycielska-Dowgiało

Przykazanie miłości Bożej jest powiązane z miłością bliźniego („a bliźniego swego, jak siebie samego”). Chrystus mówi nam (Mt 25, 31-45): „łaknąłem, a nakarmiliście mnie, pragnąłem, a daliście mi pić, gościem byłem, a przyjęliście mnie, nagim, a przyodzialiście mnie, chorym, a nawiedziliście mnie, więźniem byłem, a przyszliście do mnie”.

Myślę, że słowa Chrystusa niepokoją sumienia każdego z nas: czy dostrzegam naszych sąsiadów na klatce schodowej lub w sąsiednim domu i czy potrafię świadczyć im pomoc choćby życzliwym słowem, czy pożyczę pieniądze komuś, kto naprawdę ich w danym momencie potrzebuje, choć mam świadomość, że może ich nigdy nie dostanę z powrotem, czy odwiedzę kogoś samotnego lub zaproszę go do domu, mimo że jest to dla mnie uciążliwe, czy zmówię dziesiątek różańca za kogoś, kto mnie o to prosił? A z trudniejszych rzeczy: czy przyjmę do rodziny dziecko, które z jakichś względów potrzebuje naszej pomocy, czy zaopiekuję się starszą, samotną osobą, która mieszka po sąsiedzku, czy udzielę pomocy osobie, która jej potrzebuje natychmiast? Sytuacji takich jest ogromna różnorodność, jak różnorodne są ludzkie życia. Każdy je zna z własnego doświadczenia i wie, co z nimi zrobił. Czy zrobił wszystko co mógł?



Joanna Perkowska, która spisywała tekst z nagrania

Na zakończenie szóstego rocznego cyklu Konwersatoriów życzę szczęśliwych i radosnych wakacji i zapraszam na kolejne spotkanie, które odbędzie się w trzecią sobotę października. Dziękuję również serdecznie wszystkim tym, którzy wraz ze mną tworzą to wspólne dzieło – kolejne tomy książki „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”.

Nie wyobrażam sobie, aby bez tej grupy wspomniałych, ofiarnych osób, z naszym kochanym księdzem Adamem na czele, było to możliwe.

Spisała z nagrania Joanna Perkowska

„Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”

Spis treści

Tom pierwszy, 2005/2006

- I **Czy angażować się w politykę** – ks. Adam Zelga, Jacek Cichocki
- II **Jak pogodzić rolę ojca, matki z karierą zawodową?** – ks. Adam Zelga, Anna i Łucjan Sokołowski
- III **Czym dla współczesnego człowieka jest modlitwa?** – ks. Adam Zelga, Magda i Wojtek Wicher, Jacek Grabowski, Maks Pudłowski, Ania Poglód
- IV **Wolontariat – służba potrzebującemu** – ks. Adam Zelga, Janina Fabisiak, Iwona Iwińska, Małgorzata Wielopolska
- V **Czym we współczesnym świecie jest jałmużna?** – ks. Adam Zelga, s. Małgorzata Chmielewska, Janina Ochojska, ks. Mieczysław Jaworski
- VI **Czym jest dla mnie post i wyrzeczenie?** – ks. Adam Zelga, ks. Krzysztof Sielski
- VII **Sport w przesłaniu Ojca świętego** – ks. Adam Zelga, Robert Korzeniowski
- VIII **Odpowiedzialność – jak ją rozumiem?** – ks. Adam Zelga, Sławomir Ratajski, Ryszard Szaniawski, Jacek Waksmundzki

Tom drugi, 2006/2007

- IX **Prosta droga w chaosie dzisiejszego świata** – Adam Pietrzak, ks. Józef Maj, Robert Tekieli, Marcin Jędrzejczak
- X **Czy małżeństwo katolickie jest przeżytkiem?** – ks. Adam Zelga, Anna i Krzysztof Łoskotowie, Agnieszka i Sławomir Jaworscy
- XI **Czy rodzina może obronić ład społeczny?** – ks. Adam Zelga, Jolanta i Tadeusz Epszteiniowie, Maria i Jerzy Berlińscy, Krystyna i Grzegorz Styczkowie

- XII **Jakie wartości wynieśliśmy z domu rodzinnego?** – ks. Adam Zelga, Paweł P. Piotrowicz, Aleksander Ciepela, Jerzy Górski, Zofia Epsztejn, Filip Osmański, Łukasz Pilch
- XIII **Prawda i kłamstwo w naszym życiu** – ks. Adam Zelga, Ewa i Maciej Bednarkiewiczowie, Tomasz Terlikowski, Marian Wiśniewski
- XIV **Co dziś dla nas znaczy „dzień święty święcić?”** – ks. Adam Zelga, Irena i Maxymilian Byliccy, Agnieszka i Jan, Maria Jackowscy, Andrzej Ciepela
- XV **W czym wyraża się współczesny patriotyzm?** – ks. Adam Zelga, Anna Radziwiłł, Izabela Dzieduszycka, Tomasz Borecki, Maciej Dąbski
- XVI **Nasz stosunek do innych ludzi: życzliwy, obojętny, czy wrogi?** – ks. Adam Zelga, Krzysztof Dowgiałło, Grzegorz Nurkiewicz, Jacek Waksmundzki

Tom trzeci, 2007/2008

- XVII **Czy byliśmy kochani w dzieciństwie i jak to wpływa na nasze dorosłe życie?** – ks. Piotr Hartkiewicz, Krystyna Dylik, Sabina Zalewska
- XVIII **Nagroda czy kara są ważniejsze w wychowaniu?** – ks. Adam Zelga, Róża Piwoni-Cieślińska
- XIX **Czy puste nakrycie przy wigilijnym stole jest dla nas wyłącznie symbolem?** – ks. Zdzisław Wojciechowski, Anna Grocholska, Maria Górka-Zabielska
- XX **Jaki według ciebie powinien być proboszcz w twojej parafii?** – ks. Adam Zelga, ks. Tadeusz Aleksandrowicz, Teresa Kapela, Anna i Łucjan Sokołowscy, Krzysztof Olęcki
- XXI **Co dla nas znaczy przykazanie „nie kradnij”?** – ks. Adam Zelga, ks. Piotr Hartkiewicz, Maria Rotkiel
- XXII **Czy potrafimy przyjmować dary z wdzięcznością?** – ks. Piotr Hartkiewicz, Grzegorz Gruca

- XXIII **Jakie znaczenie ma dla mnie cisza?** – ks. Adam Zelga, s. Stella Drużdżel, Wojciech Brański, Krystyna Dolebska, Jerzy Rakowicz, Andrzej Lipski
- XXIV **Jaką wartość ma dla mnie dane słowo?** – ks. Zdzisław Wojciechowski, Piotr Bejnarowicz, Jacek Krawczyk, Franciszek Podlacha, Jacek Waksmundzki

Tom czwarty, 2008/2009

- XXV **Czy jestem świadomym członkiem społeczeństwa obywatelskiego?** – ks. Adam Zelga, Dorota i Jacek Cichoccy, Rafał Miastowski, Krzysztof Zanussi
- XXVI **Czy starość Panu Bogu się udała?** – ks. Adam Zelga, Wiesław Chrzanowski, Krystyna Długosz-Kuczabowa, Izabela Dzieduszycka
- XXVII **Czy oferta handlowa zabija w nas ducha świętowania (mieć czy być)?** – ks. Adam Zelga, Aleksandra Siewko, Krzysztof Tyszowiecki, Mikołaj Wróblewski, Marek Łuszczyna
- XXVIII **Czy potrafię w pełni zaufać Bogu i ludziom?** – ks. Adam Zelga, ks. Tomasz Bieliński, Maria Berlińska
- XXIX **Czy to co robię uważam za swoją misję?** – ks. Adam Zelga, Robert Kościuszko, Grzegorz Polak, ks. Tomasz Szyszka
- XXX **Jak wpływa na mnie posiadanie władzy i/lub sławy?** – ks. Adam Zelga, Marek Kamiński, Rafał Muchacki, Przemysław Babiarez, Dariusz Kowalski
- XXXI **Czym mnie wzbogaca sport i turystyka?** – ks. Adam Zelga, Jerzy Engel, Ewa Twarowska, Jarosław Prugar, Tomasz Leżajski, Krzysztof Wojtkowski
- XXXII **Moja droga do Pana Boga** – ks. Adam Zelga, Monika i Krzysztof Oczkowscy, Zenon Kosicki, Małgorzata Bালিকা, Jarosław Babiński

Tom piąty, 2009/2010

- XXXIII **Czy potrafię dostrzec ludzi słabszych od siebie (starych, chorych, dzieci...)?** – ks. Adam Zelga, Paweł Wdówik, Krystyna Mrugalska, Rafał Strent, Jarosław Kalinowski
- XXXIV **Co dla mnie znaczy Boży nakaz: Czyńcie sobie Ziemię poddaną?** – ks. Adam Zelga, Andrzej Zalewski, Tomasz Borecki, Joanna Angiel, Iwona Waksmundzka
- XXXV **Kto jest dla mnie autorytetem i dlaczego?** – ks. Zdzisław Wojciechowski, Franciszek Kampka, Małgorzata i Jacek Grabowscy, Maciej Dąbski, Anna Ciepela.
- XXXVI **Co dla nas znaczy fragment Modlitwy Pańskiej: Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom?** – ks. Adam Zelga, Rafał Wieczyński, Sebastian Domagała, ks. Włodzimierz Kwieciński, Tadeusz Pieńkowski
- XXXVII **Czy wiara w Boga ma wpływ na moje codzienne życie?** – ks. Adam Zelga, Jakub Papierski, Monika Nagórko, Leszek Marks
- XXXVIII **Czym jest dla mnie i jaka powinna być praca zawodowa, społeczna, domowa itp.?** – ks. Adam Zelga, Maria i Witold Płotczykowie, Tomasz Berent, Andrzej Ciepela
- XXXIX **Czy jestem szczęśliwa/y i czy potrafię dzielić się moim szczęściem z innymi?** – ks. Adam Zelga, Zofia Zielińska, Ewa Błaszczak, Paweł Szczęsny
- XL **Czy liczę się z drugim człowiekiem, czyli miłość bliźniego w praktyce?** – ks. Adam Zelga, Zdzisław Bielecki, Alojzy Witeska, o. Benedykt Malewski, s. Kazimiera Fleran

Tom szósty, 2010/2011

- XLI **Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną – co to znaczy w moim życiu?** – ks. Adam Zelga, ks. Eugeniusz Guździol, Radosław Pazura, Dorota Kaczmarowska

- XLII **Jakie są dla mnie granice kompromisu?** – ks. Adam Zelga, Andrzej Mastalerz, Andrzej Filipiak, Jerzy Kijowski, Krzysztof Haman
- XLIII **Co dla mnie znaczy przykazanie >Nie cudzołóż? <** – ks. Adam Zelga, Sylwester Laskowski, Magda Korzekwa
- XLIV **Czy potrafisz śmiać się... również z siebie?** – ks. Piotr Hartkiewicz, ks. Bogusław Kowalski, Katarzyna Łaniewska
- XLV **Jakim powinien być człowiek, którego nazywam swoim przyjacielem i jakim ja sam jako jego przyjaciel?** – ks. Adam Zelga, ks. Marek Dziewiecki, Maria i Mateusz Środoń, Paweł Zając
- XLVI **Czy przeżyte cierpienie ubogaciło mnie wewnątrz?** – ks. Adam Zelga, Magdalena i Piotr Konczewscy, Krzysztof Ziemięc
- XLVII **Czy doceniam otrzymane błogosławieństwo i czy nie skąpię go innym?** – ks. Adam Zelga, o. Wojciech Jędrzejewski OP, Jan i Dorota Szubscy, Zenon Kosicki
- XLVIII **Czy Dekalog stosuję w życiu w całości, czy wybiórczo?** – ks. Adam Zelga, Adam Pietrzak, Irena i Jerzy Grzybowski

Tom siódmy, 2011/2012

- XLIX **Czy Jan Paweł II miał wpływ na moją twórczość?** – ks. Adam Zelga, Małgorzata Ajnenkel, Andrzej Horubała, Jerzy Derkacz, Krzysztof Osman
- L **Wyznawane wartości i ich realizacja w moim codziennym życiu** – ks. Adam Zelga, Justyna Cyran-Waksmundzka, Maria Łubowicz, Jarosław Świdorski, Paweł Wilski, Michał Grodzki
- LI **Jakie są moje możliwości zwyciężania zła dobrem?** – ks. Adam Zelga, s. Małgorzata Chmielewska, Elżbieta Strzałkowska, Elżbieta Wydra

- LII **Czy potrafię kształtować w sobie charakter, silną wolę i świadczyć o tym innym?** – Andrzej Dowgiałło, Jan Wilczak, Aleksander Ciepela
- LIII **Czy i jak strapionych pocieszam?** – ks. Adam Zelga, ks. dr Jan Sikorski, Adam Pietrzak, Maciej Syka
- LIV **Wierność w małżeństwie – jak ją rozumiem?** – ks. Piotr Hartkiewicz; Karol i Katarzyna Wyszyńscy, Dominika Figurska i Michał Chorosiński, Anna i Krzysztof Łoskotowie
- LV **Czy słucham głosu sumienia?** – ks. Włodzimierz Kwieciński, Zofia i Sławomir Ratajscy, Alicja i Peter Węgorzewscy-Whiskerd
- LVI **Czego szukam i do czego dążę w życiu?** – Teresa i Marek Stankiewiczowie, Anna i Maciej Srebro, Konrad Falkowski

Tom ósmy, 2012/2013

- LVII **Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie** – ks. Adam Zelga, Maria Płotczyk, Wojciech Puzyna, Andrzej Skoczek
- LVIII **Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni** – ks. dr Henryk Małecki, Adam Pietrzak, Joanna Krupska, Kazimierz Szałata,
- LIX **Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię** – ks. Adam Zelga, Karolina Pietruk, brat Kazimierz Dmitrzak, Alojzy Witeska, Małgorzata Jabłońska, ojciec diakon Wojciech Mojecki
- LX **Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyчени** – ks. Adam Zelga, Izabela Szwarocka, Jerzy Wratny, Zdzisław Bielecki
- LXI **Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią** – ks. Adam Zelga, brat Mirosław Kruk, Joanna Trzcionka, siostra Małgorzata Ochęduszek, Anna Niepiekło

- LXII **Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą** – ks. Adam Zelga, Jadwiga Puzynina, s. Kazimiera Fleran, Paweł Zuchniewicz
- LXIII **Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazywani synami Bożymi** – ks. Adam Zelga, Andrzej Szpor, ks. dr Paweł Wojtas, Maja Komorowska, Anna Słomka
- LXIV **Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie** – ks. Adam Zelga, Emmanuel Hakizimana, Halina Bortnowska, Krzysztof Dowgiałło, siostra Rafaela (Urszula Nałęcz)

Tom dziewiąty, 2013/2014

(w roku bł. Edmunda Bojanowskiego tematy spotkań zostały poświęcone jego przesłaniu)

- LXV **Czy praca u podstaw ma dziś znaczenie w kształtowaniu tożsamości narodowej?** – ks. Adam Zelga, Kazimierz Adamaszek, Anna i Piotr Goławscy
- LXVI **Czy potrafię rozmawiać z trudną młodzieżą lub z młodzieżą w tzw. trudnym wieku?** – ks. Adam Zelga, s. Jolanta Głapka, ks. Wacław Pokrzywnicki, Alicja i Krystyn Nawroccy
- LXVII **Czy jestem zaangażowanym członkiem Kościoła Katolickiego i jak to realizuję mimo trudności?** – ks. Adam Zelga, Waldemar Bieniak, Tatiana Cariuk, Magda Korzekwa, Aleksander Ciepiela
- LXVIII **Czy rozumiem i doceniam wartość Mszy świętej i jakie widzę możliwości w doksztalcaniu się w tym zakresie?** – ks. Jarosław Piłat, Maria Pieńkowska, Zbigniew Wittecki, Alicja Dyrda, Sebastian Tull, Mirosława Misiejuk, Joanna Żywot
- LXIX **Jakie widzę możliwości wykorzystania wartości religijnych jako sposobu kształtowania sumień?** – Agnieszka Jac-

- kowska, Joanna Jackowska, Maciej Srebro, Andrzej Srebro, Anna Słomka, Bogna Słomka, Katarzyna Gromelska
- LXX **Czego oczekuję od oświaty w zakresie kształtowania godności człowieka?** – ks. Adam Zelga, Maria Łubowicz, S. Katarzyna Szulc, Alicja Siemak-Tylikowska, Ewa Jurewicz, ks. Michał Jabłoński, Dariusz Wasik
- LXXI **Czy doceniam wartość męskiej przyjaźni w wychowaniu chłopców i jak ją realizuję?** – ks. Adam Zelga, Maciej Górski, Ojciec Tomasz Rojek OP; Adrian Anczarski, Szymon Fulara
- LXXII **Czy doświadczyliśmy cudów we własnym życiu?** – ks. Adam Zelga, Maria Preisner, Stanisława Augustyn; Krzysztof Żurowski, S. M. Loyola Opiela, S. Jolanta Głapka

Tom dziesiąty, 2014/2015

- LXXIII **Czy widzę władzę jako służbę?** – Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, Maciej Trybulec, Elżbieta Piórkowska, Jerzy Szyszko, Wojciech Zabłocki, Paweł Zalewski.
- LXXIV **Moje powołanie – jak je rozumiem i realizuję?** – ks. Adam Zelga, s. Leonarda Brzozowska, Ewa Cygańska, Ewa Ślizień-Kuczapska, Lech Królikowski.
- LXXV **Czy tradycyjne zwyczaje dnia Wigilijnego, Bożego Narodzenia i Święta Trzech Króli są dla mnie ważne i dlaczego?** – Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, Magdalena i Mateusz Dembińscy, Małgorzata i Jan Żaryn, Joanna Puchalska.
- LXXVI **Czy sumienie w zawodzie uważam za zbędny balast czy czynnik rozwoju?** – ks. Adam Zelga, Bogdan Chazan, Michał Otrębski, Witold Kołodziejski.
- LXXVII **Jak rozumiem odpowiedzialne rodzicielstwo?** – ks. Tadeusz Bożełko, Marta i Andrzej Witeccy, Joanna i Mariusz Dzieciątko, Barbara i Grzegorz Cieślik, Maria i Lech Łubowicz.

- LXXXVIII **Jakie są moje uzależnienia i jak z nimi walczę?** – ks. Tadeusz Bożelko, Artur Groszek, Jacek Racięcki.
- LXXXIX **Czy opieka nad chorym człowiekiem jest wzajemnym obdarowywaniem?** – ks. Adam Zelga, s. Teresa Tochydłowska, Barbara Kowalska.
- LXXX **Czy biorę odpowiedzialność za Kościół i jak ją realizuję?** – ks. Adam Boniecki, Jacek Waksmundzki, Joanna Świącicka, Marek Cichucki, Grzegorz Polak

Tom jedenasty, 2015/2016

- LXXXI **Jak być w mediach świadkiem wiary?** – ks. Adam Zelga, Przemysław Babiarz, ks. Henryk Drozd, Paweł Lisicki, Tan Turnau
- LXXXII **Wrażliwość na potrzeby bliźnich. Jak realizuję miłosierdzie w swoim życiu?** – Grzegorz Polak, Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, Zbigniew Kaliszuk, o. Hubert Matusiewicz, Renata Trzeszczak, Elżbieta Byrtek
- LXXXIII **Kim jest dla mnie uchodźca, bliźnim czy zagrożeniem?** – ks. Adam Zelga, o. Mariusz Batuzi, o. Zygmunt Kwiatkowski, Shadi i Lady Kassis, Zeinab Hashmat-Makowska
- LXXXIV **Fair play w moim życiu. Czy uczciwość popłaca?** – ks. Adam Zelga, Dorota i Jacek Cichoccy, Jerzy Engel, Małgorzata Ludwikowska, Grzegorz Polak
- LXXXV **Jak rozumiem feminizm?** – ks. Adam Zelga, Aneta Gawkowska, Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, Zofia Ratajska, Biruta Przewłocka-Pachnik
- LXXXVI **Polsko, co zrobiłaś ze swoim chrztem? Jak to widzisz?** – Grzegorz Polak, Iwona Waksmundzka, Krzysztof Zanussi, Marek Barański, Tadeusz Wyszomirski
- LXXXVII **Czym jest dla mnie praca społeczna i jak ją realizuję?** – ks. Adam Zelga, ks. Kardynał Kazimierz Nycz, Jacek Waksmundzki, Maria Środoń, Marta Bejnar-Bejnaro-

wicz, Adam Wiśniewski, Szymon Fulara, Ignacy Dembiński

- LXXXVIII **Podziały społeczne – czy mam na nie wpływ? Czy działam na rzecz pojednania?** – Włodzimierz Wieczorek, Kazimierz Kloc, Michał Łuczewski, Andrzej Ciepela

Tom dwunasty, 2016/2017

- LXXXIX **Sytuacja kobiety-matki, po niekorzystnej diagnozie prenatalnej. Co dalej? Nasze wybory** – Włodzimierz Wieczorek, Michał Troszyński, Jerzy Rodzeń, Bogdan Chazan, Maria Pietrzak, Agnieszka Strzoda, Marta Dzbeńska-Karpińska
- XC **Niepłodność małżeńska – in vitro – naprotechnologia – adopcja. Co dalej? Nasze wybory** – Włodzimierz Wieczorek, Ewa Dmoch-Gajzlerska, Zofia Dłutek, Magdalena Dubaniewicz, Małgorzata Zysińska, Katarzyna Jankowska
- XCI **Mężczyzna-ojciec po niekorzystnej diagnozie prenatalnej. Co dalej? Nasze wybory** – Włodzimierz Wieczorek, Michał Chorościński, Jerzy Siwec, Przemysław Wrzosek
- XCII **Odpowiedzialne rodzicielstwo a adopcja – nasze wybory** – Ks. Adam Zelga, Włodzimierz Wieczorek, Monika Redziak, Magdalena Modlibowska, Marcin Hoszwa
- XCIII **Etyczny status ludzkiego embrionu – czy to kwestia naszej decyzji?** – Ks. Adam Zelga, Włodzimierz Wieczorek, Marek Jurek, Andrzej Kochański, Błażej Kmiecik, Ewa Ślizień-Kuczapska, Michał Troszyński
- XCIV **Transplantacje narządów – możliwości i granice** – Włodzimierz Wieczorek, Anna Jakubowska-Winecka, Jarosław Czerwiński, ks. Jan O'Dogherty

- XCV **Granice między terapią wytrwałą a uporczywą – możliwości i ograniczenia** – Włodzimierz Wieczorek, Barbara Kozakiewicz, ks. dr Roberto Saltini, Krzysztof Fus
- XCVI **Kryterium śmierci – dylematy medyczne i etyczne** – Ks. Adam Zelga, O. Jacek Maria Norkowski OP, Włodzimierz Wieczorek

Wydawnictwo
 Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie
 ul. Marii Grzegorzewskiej 10
 02-778 Warszawa
www.swpr.edu.pl
 (48) 22 644-07-97

Wydawnictwo SWPR wydaje zarówno książki, jak i wydawnictwa ciągłe i seryjne. Pełen spis wydanych pozycji znajduje się na stronie internetowej. Książki można zamawiać drogą internetową. Poniżej znajdują się tylko wybrane pozycje.

Z zakresu pamiętników i wspomnień:

- *Kucem na Ursynów* – Izabela Dzieduszycka (2011)
- *Spotkani na drodze* – Leszek Starkel (2011)
- *Chwile czasu minionego* – Andrzej Mycielski (2012 – wydanie trzecie, rozszerzone)
- *Ci, o których powinniśmy pamiętać. Fascynujące życiorysy Polaków rozsianych po świecie*, tom I, II i III – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło (2010, 2011, 2012)
- *50 lat Wspólnoty Parafialnej Opatrzności Bożej na Rakowcu w Warszawie, 1962-2012* – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło (2012)
- *Chleb stał się granicą* – Leon Kowalski (2013)
- *Ballada marcowa* – Jan Białek, Jan Cichy, Klaudia Dawidko, Michał Dudek (2013)
- *Polscy pianiści* – Jan Sierpiński (2014)
- *Od Uralu po Brazylię i nie tylko...* – Alina M. Lenczewska (2014)
- *Kocham twą urodę złą, najdroższe miasto na świecie. Wspomnienia z getta łódzkiego* – Salomea Kape (2014)
- *Na drogach czasu i przestrzeni. Saga rodziny kresowej XIX-XXI wiek, wspomnienia nauczycielki* – Barbara Majewska-Luft i Maria Borsuk-Majewska (2014)

- *Wojenne dzieciństwo. Losy mojej rodziny (maj 1939 – marzec 1945)* – Elżbieta Wichrzycka-Lancaster (2014)
- *Rozmowa z Umarłymi* – Jean Clair. Tłumaczenie Maria Żurawska (2015)
- *A jednak przeżyłem... Losy pilota dywizjonu 305 Stefana Zygnerskiego* – Krystyna Kenig (2016)
- *Przez Chiny – kraj przyjaznych ludzi, śmieci i dymu* – Aleksander Ciepiela (2017)

Z zakresu podręczników i monografii:

- *Okolice Zarzecza. Przyroda, człowiek, czas* – Piotr Szwarczewski, Maciej Dąbski, Magdalena Błok (2017)
- *Podstawy meteorologii i klimatologii* – Urszula Kossowska-Cezak (2007)
- *Badania cech tekstualnych osadów czwartorzędowych i wybrane metody oznaczania ich wieku* – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło (2007)
- *Chemia dla przyrodników* (wyd. II) – Hanna Rembertowicz (2010)
- *Człowiek i paideia. Realistyczne podstawy filozofii wychowania* (wyd. II) – Mikołaj Krasnodębski (2009)

Z zakresu wiedzy historycznej:

- *Opactwo Czerwińskie w średniowieczu* – Marek Stawski (2007)
- *Kościół i Państwo w dziejach, źródłach i studiach nad przeszłością* – pod red. Marka Stawskiego (2008)
- *Duchowieństwo i laicy* – pod red. Andrzeja Wałkowskiego (2010)
- *Kościół i społeczeństwo* – pod red. Janusza Grabowskiego (2013)
- *Ksiądz Bolesław Stefański, żołnierz bezdomny* – Jacek Żurek (2014)

Z zakresu publicystyki społecznej i pedagogicznej:

- *Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata* – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło, tom I – XIII (2006 – 2018)
- *Nowy Nauczyciel – Nowa Edukacja* – pod red. Magdy Lejzerowicz, Teresy Stankiewicz, Mikołaja Krasnodębskiego (2014)

- *Myśl pedagogiczna neoscholastyki i neotomizmu* – pod red. Andrzeja Murzyna i Mikołaja Krasnodębskiego (2014)
- *Gender – spojrzenie z różnych perspektyw* – pod red. Włodzimierza Wieczorka (2015)
- *Życie i Płodność* – praca zbiorowa (2016)
- *Baśnie terapeutyczne dla młodzieży i dorosłych* – Jadwiga Glińska (2018)

Z zakresu poezji:

- *Kiedy będę do Ciebie szedł* – Marek Antoni Wasilewski (2010)
- *Na geograficznych ścieżkach życia (eseje geograficzne)* – Joanna Angiel (2012)
- *Rozmowy z Panem* – Bona (2012)
- *Odrobina Pana Boga* – Bona (2013)
- *Stabat Mater. W cieniu krzyża* – Bona (2014)
- *Tchnienie Ewangelii* – Bona (Bożena Fabiani) (2014)
- *Bliżej Boga* – Bona (2015)
- *Geograficzne wędrówki myślowe* – Joanna Angiel (2015)
- *Szkicownik A* – Krystyna Wojtyna-Drouet (2017)
- *Szkicownik B* – Krystyna Wojtyna-Drouet (2017)

Z zakresu wydawnictw ciągłych recenzowanych:

- Zeszyty Naukowe SWPR trzech serii: geograficzno-turystycznej, pedagogicznej i humanistycznej. (Zeszyty naukowe serii geograficzno-turystycznej i pedagogicznej są na liście czasopism punktowanych).